

Cytrynowy  
**CHLEB**

z ziarnkami maku



CRISTINA  
**CAMPOS**



Przełożyła  
Simona Popławska

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2016

Tytuł oryginału:  
*PAN DE LIMÓN CON SEMILLAS DE AMAPOLA*

Redakcja  
Beata Kołodziejska

Projekt okładki  
Izabella Marcinowska

Zdjęcia na okładce:  
© Margie Hurwich / Arcangel  
© Evgladysh / Shutterstock

Korekta  
Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący  
Małgorzata Głodowska

Copyright © Cristina Campos, 2016  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-329-5

**Wydawnictwo** **Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
**CZARNA** [www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)  
**OWCA** Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl) Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

Anna starannie zaplanowała własny pogrzeb. To jej kochanek, pieścąc piersi Anny, wykrył ziarno śmierci, która zabrała ją rok później. Ale podczas tego ostatniego roku doczesnej wędrówki Anna przejęła wreszcie kontrolę nad swoim życiem.

Wszystko zawarła w liście, który wysłała do siostry Mariny na kilka dni przed śmiercią. W pogrzebie mają uczestniczyć tylko córka, mąż i nieliczne grono przyjaciółek. Spotkają się na klifie pasma górskiego Tramontana na Majorce. Odczytają słowa, które do nich napisała, i wspólnie wysypią jej prochy do morza.

Nikt z biorących udział w tej intymnej uroczystości nie wiedział, dlaczego Anna zebrała ich w tym odległym miejscu. Niemniej, spełniając jej życzenie, stawili się na klifie Sa Foradada. Zdawało się, że nawet wiatr jej posłuchał i wiał delikatnie, tak jakby sobie tego życzyła. Morze było spokojne, wyglądało jak ogromna tratwa.

Córka Anny wzięła urnę z rąk ojca i przeszła samotnie kilka metrów, pragnąc zatrzymać matkę przy sobie jeszcze parę chwil. Usiadła na brzegu urwiska i objęła urnę ramionami. Przymknęła oczy i pozwoliła, aby łzy spływały powoli na prochy matki.

Marina zrobiła kilka kroków w stronę siostrzenicy i zatrzymała się. Spuściła wzrok i ponownie przytoczyła w myślach słowa listu, który siostra przekazała jej przed śmiercią.

### *Kochana Siostrze, Kochana Przyjaciółko*

*Chciałabym, abyś zawsze, myśląc o mnie, o nas, wymazywała z pamięci ostatnie trzydzieści lat naszego życia i cofała się w czasie, aż do chwili, kiedy nas rozdzielono. Ja odczułam to tak: byłaś moją młodszą siostrzyczką, moją przyjaciółką, moją powiernicą, i wtedy, tego dnia, kiedy odjechałaś prawie na zawsze, miałam wrażenie, że pęka mi serce. Właśnie skończyłaś czternaście lat. Nigdy nie zrozumiałam powodu twojego wyjazdu.*

*Kiedy wyjechałaś, z nostalgią wspominałam nasze przejażdżki łódką taty. Pamiętasz, jak bardzo kochał tę starą drewnianą łajbę? Kochał ją chyba bardziej niż nas...*

Spojrzała na morze, to samo, które je przyjęło i widziało, jak dorastały. Powoli popłynęła myślami ku wspomnieniom z dzieciństwa, do zatoczek po północnej stronie wyspy, na tej starej łódce. Gdy niezmiennie szukały miejsc osłoniętych od wiatrów. Ujrzała Annę siedzącą na dziobie łodzi, młodą, kruchą, o jasnej cerze, wystrojoną



w sukienkę z białego lnu z niewielkim dekoltem i związaną cienkimi wstążkami, które podkreślały smukłą figurę. Jej jasne włosy wzburzone lekkim wiatrem wiejącym podczas letnich miesięcy na wyspie. Lubiła wyciągać przed siebie ręce i bawić się niewielkimi falami uderzającymi o kadłub łodzi. Nabierała wodę dłonią, robiąc małe naczynko, a potem otwierała ją powoli, aby woda przepływała między jej palcami. Jeszcze raz, i jeszcze.

Tam, na tej starej drewnianej łódce, zwierzały się sobie, śmiały się, kłóciły, godziły albo pozwalały po prostu mijać godzinom w ciszy, kołysane morską bryzą, dopóki ojciec nie wrócił z jakimś skarbem... przynajmniej tak twierdził. Marina wsunęła list do koperty i przypomniała sobie ostatnią wspólną przejażdżkę łodzią. Nie wydarzyło się nic szczególnego, nic godnego zapamiętania. Wypowiedziały tylko te dwa słowa, których zazwyczaj siostry sobie nie mówią.

Jako pierwsi wyprowadzili *Ilaüt*<sup>1</sup> z portu Valldemosy. Popłynęli w poszukiwaniu najbardziej ustronnej zatoczki, do której nie dotarli jeszcze letnicy. Zbadali dno w Deià, urokliwym zakolu otoczonym górami. Néstor rzucił kotwicę i nim minęło kilka chwil, już był w wodzie. Tymczasem one rozwiesiły biały kawałek płótna, aby schronić się przed słońcem.

– Zapleciesz mi warkocz?

Marina usiadła na dziobie. Zdjęła gumkę, którą przytrzymywała niesforne, długie, czarne włosy. Anna rozczesła je palcami. Podzieliła na trzy części i zwilżyła kroplami morskiej wody. Zaplatała je powoli. Bawiła się każdym ruchem, krzyżując pasma włosów. Pomyślała mimo woli, że już nigdy więcej nie uczesze Mariny, że już nigdy nie wypłyną razem. Przestraszyła się, że widzi ją po raz ostatni. Krople morskiej wody zmieszały się z jej łzami we włosach siostry. Popatrzyły na siebie smutno oczami w kolorze laskowych orzechów odziedziczonymi po ojcu, wzrokiem, który na zawsze miały zapamiętać. I wtedy Anna wypowiedziała te dwa słowa, których siostry zazwyczaj sobie nie mówią. Usiadłszy obok Mariny, oparła głowę na jej ramieniu i wyznała:

– Kocham cię.

Marina włożyła list do kieszeni kurtki. Przyjrzała się wystraszonej dziewczynie, która nadal obejmowała urnę z prochami swojej matki, zanosząc się płaczem.

„Proszę cię, zaopiekuj się moją córką – pisała Anna. – Jest zagubiona, poszukuje siebie. Bądź przy niej w czasie tego jej dziwnego dojrzewania, proszę cię”.

Marina podeszła do siostrzenicy i usiadła obok na brzegu urwiska.

– Pozwolimy jej odejść? – spytała miękko.

Dziewczyna skinęła głową, delikatnie głaszcząc urnę po raz ostatni.

Ryk ciężkiego motocykla przerwał ciszę. Marina się odwróciła. Motocyklista wyjął kluczyki ze stacyjki i zsiadł. Zdjął kask i położył na siodełku. Sprawiał wrażenie niepewnego, jakby nie wiedział, jak się zachować. Wydawało się, że nikt go nie zna.

Marina od razu zorientowała się, kim jest ten mężczyzna, nieoczekiwany przez nikogo, jedyny, który wiedział, dlaczego Anna wybrała to miejsce, aby pożegnać się z najbliższymi. Ze światem. Z nim.

## MACIERZYŃSTWO LUB PODPŁOMYKI INDŻERA

### SKŁADNIKI

300 g mąki teff <sup>2</sup>  
250 ml wody  
szczypta soli

### PRZYGOTOWANIE W CERAMICZNYM MOGOGO <sup>3</sup>

Wymieszaj w misce mąkę teff z wodą i solą. Następnie odstaw, żeby ciasto odpoczęło, przykrywając miskę ściereczką. Musisz odczekać jeden, dwa dni, aż ciasto sfermentuje.

Nalej odrobinę oliwy do mogogo i postaw naczynie na średnim ogniu. Włóż ciasto do mogogo i poczekaj, aż się zrumieni. Indżerę smaży się tylko z jednej strony.

\* \* \*

Zapadała noc. Bezlitosny wiatr gwizdał w najbardziej gorącym i przepastnym miejscu planety, na pustyni Danakil, na północnym wschodzie Etiopii. Tylko sól, piasek i siarka w tej bezkresnej przestrzeni kontynentu afrykańskiego, gdzie temperatury sięgają sześćdziesięciu stopni i gdzie nic nie wskazuje na to, że życie jest możliwe. Właśnie tam, w głębi ciszy i nicości, ukryta w małym, białym domku z betonu, po uniesieniach miłosnych, Marina oddawała się pieszczotom Mathiasa.

– *Bäckerei* – szepnął.

– Ciągle o tym myślę – powiedziała, splatając swoje dłonie z dłońmi Mathiasa. – Dlaczego nam? Dlaczego Annie i mnie? Nikt nie oddaje swojego domu i własnej firmy nieznanym.

– Nie zostawiła żadnego listu poza testamentem?

– W zasadzie nie. Moja siostra wciąż sprawdza nazwiska, ale na razie nic nie wskazuje na to, że coś łączy nas z tą kobietą.

– A młyn nadal działa? – spytał Mathias.

– Jest zrujnowany. Ale piekarnia tak. To jedyna w Valldemossie.

Marina zamyśliła się przez chwilę.

– María Dolores Molí... Ilekroć bym powtarzała to nazwisko, i tak nic mi nie mówi.

– Dolores. Po niemiecku mówi się *Schmerzen*, prawda? – spytał Mathias.

Marina przytaknęła.

– To dziwne nazwać córkę Dolores. To tak jakby nazwać ją Niepokój albo Melancholia – kontynuował.

– Dolores to bardzo popularne imię w Hiszpanii – wyjaśniła Marina.

– Chętnie bym ci towarzyszył. Jestem chyba jedynym Niemcem, który nie zna Malorki – powiedział Mathias, ziewając.

– Tę nazwę pisze się przez dwa „ll” – uśmiechnęła się czule. – Dwie litery „ll” obok siebie wymawiamy jak „j”.

Ale ten dźwięk nie istnieje w języku niemieckim. Choćby nie wiadomo ile go uczyła hiszpańskiego, Mathias zawsze popełniał ten sam błąd. Za to Marina nie była w stanie wymówić ä i ö. Zazwyczaj mówili po angielsku, ale od czasu do czasu uczyli siebie nawzajem swoich rodzimych języków. Dwa lata wcześniej, w księgarni na lotnisku Barajas kupili notes Moleskine w czarnej oprawie i założyli w nim własny słowniczek. Zapisywali słowa, które wydawały im się ważne w obu językach. W prawej kolumnie słowa po hiszpańsku, w lewej tłumaczenie na niemiecki.

Marina wyciągnęła rękę i wzięła notes z nocnej szafki.

Otworzyła futerał i wyjęła czarny długopis.

– Z dierezą?

– Nad a.

Marina napisała *piekarnia*, a obok *Bäckerei*.

Odłożyła notes na nocną szafkę i westchnęła, a potem powiedziała z lekkim smutkiem:

– Od przeszło dziesięciu lat nie byłam na Majorce.

Mathias zgasił gołą żarówkę wiszącą pod sufitem.

– Dobranoc, dziedziczko, i nie zastanawiaj się nad tym więcej. Dobrze cię znam. Będąc tutaj, nie uda ci się niczego rozwikłać. – Marina odwróciła się plecami, a on ją objął.

Po kilku minutach Mathias już spał. Jej zawsze trudno było zasnąć. Wędrowała myślami, przypominając sobie sprawy zawodowe minionego dnia, planując rozwiązania na następny. Zdawała sobie sprawę, że w nocy nie rozwiąże problemów świata, i była na siebie zła, gdy wybijała pierwsza, a ona znów robiła to samo. Tej nocy również wyruszyła w wędrowkę przez swoje życie. Ale nie myślała o pracy, tak jak to miała w zwyczaju, tylko o podróży na Majorkę, na którą nie miała ochoty, ale którą musiała odbyć. Przypomniała sobie słowa z e-maila od Anny:

W końcu ten tajemniczy spadek doprowadzi do naszego spotkania i, wreszcie, do twojego powrotu do domu.

To zdanie ubodło Marinę.

– Majorka nie jest moim domem – powiedziała do siebie, czytając. – To miejsce,



gdzie się urodziłam i spędziłam część dzieciństwa. Gdzie mieszkali moi rodzice i gdzie teraz pozostała już tylko Anna. Nie, to nie mój dom. Nic nie łączy mnie z tą wyspą.

Ponieważ Marina nie miała miejsca, które by do niej należało, nie miała też dokąd wracać na Boże Narodzenie. Nie miała miejsca, gdzie spędzałaby dni zaznaczone w kalendarzu, jak to robią normalne rodziny. Owszem, miała pieniądze na zakup domu. Ale nigdy nie pragnęła mieć własnych czterech ścian. Jej psycholożka, parafrazując pisarza, którego nazwiska nie pamiętała, powiedziała pewnego dnia: „Dom to miejsce, gdzie ktoś na ciebie czeka”. I to zdanie wkradło się do głowy Mariny na wiele dni i nocy. Rodzice już nie żyli. Miała dalekich krewnych, z którymi prawie nie utrzymywała kontaktu. No i oczywiście była starsza siostra Anna. Anna i jej realia, które oddaliły siostry od siebie na zbyt długo.

Już jako młoda dziewczyna Marina zaczęła tracić swoje korzenie. Rozpoczęła wędrówkę jako czternastolatka i teraz, mając lat czterdzieści pięć, nadal była w drodze. Praca zmuszała ją do podróżowania. Ale dlaczego wybrała to koczownicze życie? Przenosząc się wciąż z miejsca na miejsce. Nie chcąc zapaść korzeni. Gdzie jest twój dom, Marino? Kto na ciebie czeka? Brak odpowiedzi na tak proste pytanie nie dawał jej spokoju.

Latami zastanawiała się nad tym. Po długich rozmyślaniach doszła do wniosku, że jej dom, jej prawdziwy dom, to cały świat u boku Mathiasa. Taka odpowiedź uspokoiła ją, a poza tym była słuszna, bo dokądkolwiek na świecie docierali, choćby do najmniejszych, najbardziej ukrytych i odległych miejsc, mieszkańcy przyjmowali ich zawsze z otwartymi ramionami.

Mimo że znalazła tę zasadną odpowiedź, czasem ciążył jej fakt, że nie miała stałego miejsca, tej Itaki, na którą mogli liczyć jej przyjaciele i koledzy z pracy, oraz to, że Mathias miał mieszkanie po rodzicach, pod numerem 11 na Bergmanstrasse w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg.

Oczywiście mogłaby wybrać życie bardziej konwencjonalne. Bardziej bezpieczne. Bardziej stabilne. Mogłaby pozostać na tym otoczonym morzem kawałku ziemi mierzącym sto kilometrów z północy na południe i siedemdziesiąt osiem ze wschodu na zachód.

Gdyby wróciła na Majorkę, być może wyszłaby za mąż, jak siostra, za jednego z chłopaków z Jachtklubu Królewskiego w Palmie, tak jak radziła matka. Albo tak jak tego pragnął ojciec, pracowałaby na oddziale położnictwa i ginekologii w Uniwersyteckim Szpitalu Son Dureta w okręgu Poniente, w Palmie.

Ale nie. Znajdowała się o siedem tysięcy osiemset czterdzieści trzy kilometry od miejsca, gdzie się urodziła, na pustyni Danakil, w ramionach mężczyzny, którego kochała.

Nadal nie mogła zasnąć. Zwróciła się w stronę Mathiasa i przyglądała się, jak spokojnie śpi. Byli tak różni, on wysoki, mocno zbudowany, tak niemiecki. Ona,

smagła, z czarnymi włosami opadającymi na plecy, malutka, silna, tak bardzo hiszpańska. Pogłaskała go po kasztanowej, zawsze potarganej brodzie

Odsunęła włosy, które opadały mu na twarz, i jej palce otarły się delikatnie o jego gładką i młodą skórę dookoła oczu. Powtarzając ten gest, pomyślała o nieśmiałych zmarszczkach, które pojawiły się wokół jej oczu. Mathias miał trzydzieści pięć lat, ona skończy czterdzieści sześć w sierpniu. Przez kilka sekund czuła niepokój, ale natychmiast odsunęła tę myśl. Objęła Mathiasa w pasie, szczęśliwa, że tuli się do tego mężczyzny, naprawdę dobrego człowieka, dziesięć lat młodszego od niej, który ją kochał i podziwiał.

Zamknęła oczy i wreszcie usnęła. On, nieświadomie, przycisnął ją do swojego ciała. Jej ognisko domowe. Jej dom.

\* \* \*

Głuche uderzenie. Spała dopiero od godziny. Otworzyła oczy. Poderwała się zaskoczona. Po cichu wstała z łóżka i skierowała się ku drzwiom sypialni. Uderzenia dochodziły z zewnątrz. Wyjrzała na dwór. Było zbyt ciemno. Nie zobaczyła nikogo. Ktoś znów łomotał, tym razem słabiej.

Podeszła do drzwi i je otworzyła. Na ziemi leżała półprzytomna, młoda Etiopka w ciąży.

– Mathiasie! – krzyknęła Marina.

Uklękła przy dziewczynie, która nie wyglądała na więcej niż piętnaście lat.

– Spokojnie – powiedziała do niej.

Przyłożyła czubki palców do jej nadgarstka. Nacisnęła. Puls był zbyt szybki.

Mathias wybiegł z sypialni i wziął dziewczynę na ręce. W miejscu, gdzie leżała, na jałowej ziemi została plama krwi. Pobiegli do domu obok, gdzie Mathias położył Etiopkę na znajdującej się wewnątrz leżance. Marina wzięła stetoskop z metalowego stolika z narzędziami chirurgicznymi i przyrządami do osłuchiwania. Mathias rozciął ciemnogrnatową chustę okrywającą ciało dziewczyny. Działali szybko, nic do siebie nie mówiąc. Każde wiedziało, co ma robić. Dziewczyna też milczała, poddając się im z zamkniętymi oczyma.

Marina zbliżyła stetoskop do jej brzucha i stwierdziła, że bicie serca płodu jest słyszalne, czyli dziecko nadal żyło. Włożyła lateksowe rękawiczki. Rozchyliła nogi Etiopki i usiadła na małym taborecie, aby ją zbadać.

Jak wszystkie kobiety z plemienia Afarów miała okaleczone narządy płciowe, a malutki otwór pozostawiony po infibulacji utrudniał wyjście płodu.

Marina wsunęła palce do pochwy dziewczyny. Szyjka macicy była skrócona, a rozwarcie wynosiło siedem centymetrów. Płód nie przyjął pozycji wyjściowej. Poród zaczął się prawdopodobnie przeszło dwanaście godzin wcześniej i dziecko

przestało napierać.

Mogłaby zastosować zabieg, polegający na rozcięciu blizn, aby w ten sposób pochwa mogła się rozszerzyć, spełniając swoje funkcje, gdyby dziewczyna nie została okaleczona.

Musiała zdecydować. Wykonała palpację. Płód był ułożony za wysoko, dziewczyna traciła zbyt dużo krwi.

– Cesarka, szybko. Nie ma czasu – powiedział Mathias.

Wziął rękę dziewczyny, poszukał żyły i założył wenflon.

– *Sēmewot man nô?* Jak się nazywasz? – spytał w języku afar.

Nie odpowiedziała.

– *Sēme Mathias nô.* Nazywam się Mathias.

– *Sēme Marina nô.* Nazywam się Marina.

Mathias podniósł Etiopkę. Marina stanęła za nią ze strzykawką wypełnioną nowokainą. Pochyliła dziewczynę do przodu i ucisnęła ostatnie kręgi w dolnej części jej pleców. Wstrzyknęła środek znieczulający do przestrzeni zewnątrzoponowej i znów ostrożnie położyli dziewczynę na leżance. Musieli odczekać długie dwadzieścia minut, aż znieczulenie zadziała.

Nie przestając do niej mówić pół po angielsku, pół w języku afar, żeby nie zasnęła, rozłożyli serwety na polu operacyjnym i przetarli je roztworem jodu. Przygotowali skalpel, pęsety chirurgiczne, kleszcze hemostatyczne, igły i nici chirurgiczne.

Krople potu bezustannie spływały z czoła rodzącej. Musiało być około trzydziestu pięciu stopni. Marina zmoczyła szmatkę, przetarła czoło pacjentki i podniósłszy jej głowę, napoiła ją. Znów zapytała, jak się nazywa, czy mieszka w pobliskiej wsi, czy ma męża. Dziewczyna nie odpowiadała.

– Jak nazwiesz dziecko? – Marina pomogła sobie gestem, aby nastolatka ją zrozumiała.

Też nie odpowiedziała. Z trudem udawało jej się nie zamykać swoich młodziutkich, wystraszonych oczu.

– Traci za dużo krwi – stwierdził zaniepokojony Mathias.

Jeszcze dziesięć minut, aż znieczulenie zadziała. Marina położyła dłonie na włosach dziewczyny. Powoli przesunęła ręką po czterdziestu czarnych warkoczykach pokrywających jej głowę. Stanęła przed nią, tak aby Etiopka mogła ją dobrze widzieć, udając, że obiema rękami zaplata warkocz w powietrzu, i dając do zrozumienia, że kiedy dziecko się urodzi, powinna tak samo zapleść mu włosy. Młoda Etiopka zrozumiała czułe gesty białej kobiety i uczyniła wysiłek, aby się słabo uśmiechnąć.

Skalpel wszedł poniżej pępka. Dociskając, Marina wykonała pionowe nacięcie, aż do brzegu spojenia, otwierając powłoki skórne. Nożyczki. Bardzo ostrożnie przecięła powięź. Włożyła palce i rozsunęła powłoki, aż dotarła do mięśni. Kleszcze. Precyzyjnym ruchem przecięła otrzewną i mięsień macicy, aż do worka owodniowego.

Płyn wymieszał się z krwią, której dziewczyna za dużo traciła.

Włożyła precyzyjnie rękę do wnętrza macicy i stwierdziła, że łożysko ulokowało się w pobliżu szyjki. Dotknęła płodu i ułożyła w prawidłowej pozycji. Ciągnąc za stopy, szybkim ruchem wyjęła go z jamy macicy. Nie dawał oznak życia. Mathias odciął pępowinę, ale reakcja na wywołane w ten sposób odcięcie dopływu macicznego tlenu nie nastąpiła.

Marina położyła noworodka na brzuchu. Dała mu kilka klapsów. Cisza. Spróbowała powtórnie. Chwyciła go jedną ręką na wysokości szyi i z pomocą drugiej podniosła, pochylając główkę w dół. Brak reakcji, cisza. Zdjęła rękawiczki. Położyła go na stole, odchyliła mu lekko głowę do tyłu i uniosła podbródek. Przyłożyła ucho do jego piersi. Średnim i serdecznym palcem dotknęła mostka noworodka i delikatnie i rytmicznie wykonała pięć szybkich uciśnień. Pomyślała, że prawdopodobnie zachłysnął się smółką z macicy i że jego drogi oddechowe stały się niedrożne.

Marina spojrzała z niepokojem na Mathiasa, który usunął już łożysko i zszywał Etiopkę. Miała otwarte oczy i nie wydając żadnego dźwięku, patrzyła na dziecko. Na córkę, którą wydała na świat.

Z nieruchomym noworodkiem na ręce Marina podeszła do dziewczyny. Usiadła obok i ułożyła go przy niej. Chwyciła jej rękę i razem spróbowały zrobić mu masaż serca.

Minęła już ponad minuta, odkąd dziecko znalazło się poza ciałem matki, bez tlenu. Zostało niewiele czasu. Marina to wiedziała. Mathias spojrzał na nią. Ona odwzajemniła spojrzenie. Spuścił wzrok. Dwie śmierci więcej spośród tylu, którym usiłowali zapobiec w ciągu wspólnych pięciu lat pracy dla Lekarzy bez Granic. I niezależnie od liczby zgonów, których byli świadkami, nie uodpornili się na wrażenie, jakie wywołuje śmierć kogoś, kto umierał na ich rękach. Marina, trzymając nadal swoją dłoń na dłoni dziewczyny, ponownie nacisnęła ciało noworodka, tym razem mocniej.

Niespodziewanie młoda Etiopka zebrała ostatnie siły i położyła sobie córeczkę na piersi. Dziecko przytulone do mamy usłyszało, jak to czyniło od miesięcy, bicie jej serca. Dziewczyna głęboko westchnęła. Powiedziała kilka słów w swoim języku, tuląc córkę w ramionach. I jakby słysząc błaganie swej matki, dziewczynka wreszcie uwolniła oddech z małych płuc i zapłakała.

Matka, słysząc płacz córki, uśmiechnęła się uspokojona. Spojrzała z nieskończoną wdzięcznością na białą kobietę, która pomogła urodzić się jej dziecku, zamknęła oczy i umarła.

\* \* \*

„Współpraca międzynarodowa”. Tego terminu użył doktor Sherman podczas ostatnich

zajęć z położnictwa prowadzonych dla studentów Szkoły Medycznej Perelmana. Wyświetlił slajdy, na których lekarze, ubrani w białe kitle z czerwonym logo z literami MSF, udzielali pomocy pacjentom podczas kryzysów humanitarnych na kontynencie afrykańskim. Do tej chwili Marina wiedziała tylko to, co większość studentów Uniwersytetu Pensylwanii: że świat jest niesprawiedliwy i że medycyna to przywilej tylko niektórych.

Minęło dziewiętnaście lat od tego wykładu na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów świata, ale dopiero trzymając na rękach tę afrykańską dziewczynkę, zrozumiała lepiej niż kiedykolwiek słowa doktora Shermana, kiedy mówił, jak potrzeba wielkoduszności tych niewielu ludzi zdolnych do rezygnacji z wygod świata zachodniego, aby ratować życie w najbardziej odległych i niegościnnych miejscach planety.

Mathias wyniósł z ambulatorium bezwładne ciało dziewczyny, dotąd spoczywające na leżance przykrytej zielonym prześcieradłem. Marina została sama z noworodkiem. Przestała postrzegać go jako płód i zobaczyła ludzką istotę. Uświadomiła sobie, że ma przed oczami ciemnoskórą, lepką, małą osobkę, która właśnie została sierotą.

Podczas dziesięciu lat, jakie spędziła, pracując dla Lekarzy bez Granic, Marina przyjęła nieskończoną liczbę porodów, ale po raz pierwszy matka umarła na jej oczach przy porodzie. To nią wstrząsnęło. Zdała sobie sprawę z ogromnej samotności tej afrykańskiej dziewczynki. Moką szmatką usunęła resztki krwi, wód płodowych i łożyska, które oblepiały ciało. Owinęła małą w zielone prześcieradło, takie jak to, które okrywało jej martwą matkę, i położyła ją sobie na rękę. Dziecko otworzyło buzię, szukając piersi, sutka mamy, chcąc wziąć go do ust. Marina otworzyła lodówkę. Z kartonowego pudełka z logo Lekarzy Bez Granic wyjęła butelkę gotowej mieszanki wody z mlekiem w proszku. Postawiła ją w oknie, aby ogrzała się w pierwszych promieniach słońca.

Dziewczynka bawiła się przez chwilę smoczkiem, i tak jakby nauczyła się tego w brzuchu matki, zaczęła ssać z szybkością nietypową dla noworodka. Poruszała wargami, prosząc o więcej, ale Marina uznała, że na razie wystarczy. Ukołysała dziecko delikatnie w ramionach i ułożyła jego główkę blisko piersi, tak aby mała mogła słyszeć bicie jej serca. Bicie serca, które czuła przez dziewięć miesięcy w brzuchu matki. Dziewczynka była niespokojna, więc Marina wyszła z nią z ambulatorium. Wstawał świt przy czterdziestoośmiostopniowym upale. Niebo malowało się pomarańczową i różową barwą, jak każdego poranka, tworząc przepiękny krajobraz. Dziecko zapłakało. Marina pogłaskała je i cichutko zanuciła:

*A la nanita nana nanita...*

Lulaj, dziecinko, lulaj...

Małe błogosławione oczka na szczęście już zamykasz.

Szemerze jasne źródółko w lesie i słowik śpiewa ciszej,

kiedy kołyska kołysze,  
*A la nanita nana nanita...*

To była kołysanka, którą babcia Nerea śpiewała jej w pogodne majorkańskie noce. Mała zasnęła. I tak zostały we dwie, same na pustyni Danakil, wśród piasku, soli i siarki.

\* \* \*

Pretensje Mariny do świata dawno już minęły. Tak jak kobieta w pierwszym roku małżeństwa zarzuca mężowi, że nie spełnia danych jej obietnic, tak i Marina przez pierwszy rok pracy dla organizacji pozarządowej zarzucała światu, że nie spełnia tego, co obiecał.

Wkrótce po ukończeniu dwudziestu lat, pełna tej cudownej naiwności typowej dla swego wieku, sądziła, że świat się zmieni. Mając trzydzieści lat, była pełną pasji działaczką na rzecz praw człowieka. Bez trudu potrafiła łączyć pracę lekarza z zaangażowaniem w walkę przeciwko globalnej niesprawiedliwości. A przede wszystkim w walkę o prawa kobiet. Kobiet takich jak ta, która właśnie umarła na jej oczach, i jak ta, która nadal żyła, śpiąc w jej ramionach.

Ale naiwność dwudziestolatki i siła trzydziestolatki słabły w miarę upływu lat, ustępując miejsca pogodzie ducha i umiarowi. Teraz Marina była kobietą dojrzałą, z doświadczeniem zawodowym, zaangażowaną w swoją pracę. Trafiała do serca każdego człowieka, któremu niosła pomoc. Bez innych ambicji niż pragnienie polepszenia życia tych ludzi. Była świadoma tego, że utulenie etiopskiego dziecka, które właśnie przyszło na świat, jest ważniejsze od jakiegokolwiek walki, rewindykacji, petycji czy próśb kierowanych do rządzących światem organizacji ponadnarodowych.

Zegarek wskazywał siódmą dwadzieścia. Upalna duchota doskwierała coraz bardziej, więc wróciła ze śpiącą dziewczynką do ambulatorium. Spojrzała na małą. Ta czarna, chudziutka i owłosiona istotka wydała jej się prześliczna. Spała błogo. Marina usiadła, nie przestając na nią patrzeć. Poczwała spokój, który emanuje od nowo narodzonych dzieci, gdy śpią. Wyczerpana oparła głowę o ścianę i ogarnęła ją błogość.

Przez otwarte drzwi zauważyła niewyraźne postaci kobiet, wynurzające się z obłoków rudawego pyłu. To pewnie krewne dziewczynki, pomyślała z ulgą. Pogłaskała ją po policzku. I wyobraziła sobie, jak odda małą innej kobiecie. Zdejmie z niej zielone prześcieradło i owinie ją w śliczną tkaninę w żywych kolorach, jak te, które noszą afrykańskie kobiety. Pomyślała o czekającym dziewczynkę życiu. Wiedziała, że nie zabraknie jej miłości. Afarowie są ludem dobrodusznym i uprzejmym, uwielbiają swoje dzieci. Mimo że matka ją osierociła, otoczy ją czułość reszty plemienia, ojca, ciotek, niezliczonych kuzynek, babć, przyjaciółek matki.



W Afryce wszystkie kobiety klanu dzielą się opieką nad dziećmi. Pomagają sobie nawzajem.

Mimo że Marina nie była matką, często zastanawiała się nad macierzyństwem kobiet europejskich, odizolowanych w aseptycznych miejskich domach, gdzie wychowanie dzieci stawało się synonimem samotności. Tak jak macierzyństwo jej siostry Anny i samotność jej siostrzenicy w rezydencji o powierzchni pięciuset metrów kwadratowych, wyłożonej białym marmurem, z basenem z widokiem na morze. Marina nauczyła się nie osądzać, ale zdawała sobie sprawę, że Europejki i Afrykanki mogłyby się dużo od siebie nauczyć.

Głaszcząc policzek trzymanej w ramionach czarnej dziewczynki, pomyślała, że małą czeka też ciężkie życie. Życie koczowników. Ta wysuszona ziemia będzie jedynym krajobrazem, który pozna. Nigdy nie ujrzy innego. Zawsze ponad czterdzieści stopni ciepła. Jak wiatr, przez całe życie będzie przemieszczać się w poszukiwaniu wody. Niosąc na plecach maty, z których zbuduje dom na jakimkolwiek kawałku ziemi. Prawdopodobnie nie nauczy się ani czytać, ani pisać. Będzie doiła kozy, szukała opału, męła ziarno, ugniatała ciasto. Ale nim zajmie się tymi wszystkimi zajęciami domowymi, kiedy skończy dwa lata, któregoś dnia o świcie, zgodnie z tysiącletnią tradycją, cztery kobiety zabiorą ją pod jakieś drzewo, położą na ziemi, dwie z nich przytrzymają ją za ramiona, a pozostałe dwie rozsuną jej nóżki i będą trzymały mocno, gdy plemienna znachorka będzie okaleczała jej genitalia brudnym narzędziem. Zamknęła oczy, myśląc o tym. Przycisnęła ciało niemowlęcia do swego ciała, jakby pragnąc je ochronić.

– Śpi? – spytał Mathias od progu.

Marina przytaknęła.

– Przyszła Samala. Teraz ja tu zostanę.

Bardzo ostrożnie podała mu dziewczynkę. Oddaliła się w stronę drzwi i usłyszała, jak Mathias mówi kilka słów po niemiecku, po cichutku, żeby jej nie obudzić.

– *Willkommen zum leben, meine lieblich Mädchen.*

Marina odwróciła się do nich. I ten piękny obrazek znów ją poruszył: Mathias, taki masywny, europejski, wpatrywał się wielkimi, zielonymi oczami w malutką, czarną dziewczynkę, kołysząc ją w ramionach.

– Prawdopodobnie któreś z tych słów mamy zanotowane w notesie – odezwała się Marina od progu.

Mathias spojrział na nią, czekając, aż sama je przetłumaczy:

– Witaj na świecie, moja ty śliczna dziewczynko.

\* \* \*

– Mają chyba GPS-y w podwzgórzach – stwierdziła Marina, widząc idące przez

pustynię afrykańskie kobiety.

Każdego ranka zadawała sobie to samo pytanie. Jak to możliwe, że potrafią znaleźć drogę w ciągnącym się kilometrami rozległym morzu piasku, w jej oczach wyglądającym zawsze tak samo, w którąkolwiek stronę spojrzeć? Ruchome kliniki organizacji przenosiły się z miejsca na miejsce, instalując się w pobliżu osad Afarów. Ale przychodziły też kobiety z odległych plemion. Wędrowały godzinami, orientując się, jak mówiły, dzięki pofalowaniom piasku i gwiazdom o świcie.

Marina obserwowała, jak kierują się powoli ku niej z niemowlętami przywiązanyymi chustami na plecach i grupą dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat biegnących dookoła nich. Afarki były smukłymi kobietami o wrodzonej elegancji, potrafiły zakrywać szczupłe ciała wielkimi, obszytymi lamówką chustami w desenie o żywych kolorach kontrastujących z czernią ich skóry.

– *Ĕndemĕn aderu* – zwróciła się do nich.

Kobiety roześmiały się, słysząc powitanie Mariny w języku afar. Były niezwykle naiwne i zawsze pełne wdzięczności. Niektóre niemowlęta krzyczały wniebogłosy, wystawiając główki spośród fałd tkaniny. Prawdopodobnie po raz pierwszy widziały białą kobietę. Żadna z nich nie zapytała o ciężarną dziewczynę i Marina, pomagając sobie gestami i używając bardzo prostych słów, opowiedziała im po angielsku o wydarzeniach tej nocy.

– Czy wiecie, kto to jest? Czy ją znacie? – spytała.

Nic o niej nie wiedziały. Żadna kobieta nie zniknęła z osady, w której mieszkały. Mimo to poprosiła je, żeby poszły z nią za betonowy budynek, gdzie Mathias postawił leżankę z ciałem zmarłej dziewczyny przykrytym zielonym prześcieradłem. Może ją kiedyś spotkały. Marina musiała coś zjeść, wziąć prysznic, a przede wszystkim napić się wody, zanim zacznie przyjmować te kobiety i wielu innych pacjentów, którzy mieli nadejść w ciągu dnia.

Weszła do domu. Samala piekła indżerę, chleb, który w Etiopii jada się na śniadanie. Należała do miejscowego personelu zatrudnionego przez Lekarzy bez Granic i zajmowała się sprzątaniami pokoi, praniem, zakupami żywności i gotowaniem dla członków organizacji. Jej dzieci były już duże, przed pięciu laty owdowiała. Żyła w ciężkich warunkach w jednej z najbiedniejszych wspólnot sąsiedzkich, kebeles, w Addis Abebie, gdzie wszystkie wiadomości przekazuje się z ust do ust. Dzięki temu dowiedziała się, że europejscy lekarze zatrudniają miejscowy personel. Przede wszystkim szukali ludzi do pracy w logistyce, mężczyzn z prawem jazdy, znających się na budownictwie, elektryczności i hydraulice, potrzebnych do montowania ruchomych klinik w całym kraju. Ale ona i tak się stawiała, umiała gotować i sprzątać, robiła to całe życie. Codziennie przez dwa miesiące siadała pod drzwiami biura, mając nadzieję, że któregoś dnia biali lekarze będą jej potrzebowali. I pewnego poniedziałku jedna z zatrudnionych przez organizację kobiet po prostu przestała przychodzić. W ten

sposób Samala weszła w skład wielkiej rodziny Lekarzy bez Granic. Od tego czasu upłynął już rok. Razem z odpowiedzialnym za miejscową logistykę Kalebem tworzyli zespół, który wraz z Mariną i Mathiasem brał udział w projekcie w zakresie żywienia dla matek i dzieci w Kotlinie Danakilskiej.

Marina domyśliła się, że Mathias opowiedział już Samali, co się wydarzyło, więc o tym nie wspomniała, tylko przywitała się z nią serdecznie. Podziękowała za śniadanie, wypłała duży łyk wody i poszła do sypialni.

Prysznic polegał na cieniutkim strumieniu wody, płynącym nie dłużej niż przez dwie minuty. Ale te dwie minuty dawały tyle przyjemności, że czasami Marina odliczała w myślach sto dwadzieścia sekund, aby nie myśleć o niczym innym, tylko o tym rzadkim skarbie pustyni, który spływał po jej ciele. Lecz umysł ludzki jest tak dziwny, że wbrew własnej woli przypominała sobie lot LH2039 Lufthansy, który za trzy dni miał zawieźć ją z Addis Abeby „do domu”.

\* \* \*

Siedząc na ziemi, oparte o ścianę ambulatorium, kobiety z dziećmi czekały, aż zostaną przyjęte przez lekarzy. Opowiadały sobie, co się wydarzyło tej nocy, i prowadziły nowo przybyłe do leżanki, na której spoczywała zmarła. Ponad sześćdziesiąt kobiet obejrzało zwłoki. Nikt nie wiedział, kim była ta dziewczyna.

O zmroku feter śmierci był nie do wytrzymania.

Z okna kuchni, gdzie karmiła niemowlę butelką, Marina zobaczyła, że Kaleb położył bezwładne ciało Etiopki na tylnym siedzeniu jeepa należącego do organizacji.

Zatrzasnął drzwiczki, odpalił silnik i odjechał w głąb pustyni, aby kilka kilometrów dalej wykopać dół i pochować zwłoki, ułożywszy je w kierunku Mekki. Przykryje dół stosem kamieni, jak nakazuje rytuał Afarów, i pomodli się do Allacha.

Pył wzniecony przez jeepa całkiem opadł. Ten nieistotny fakt zaniepokoił Marinę. Poczła, że serce jej przyspiesza, i odniosła wrażenie, że w ciągu kilku sekund temperatura powietrza znacznie się podwyższyła. Podczas dwunastu godzin, gdy zwłoki znajdowały się w domu, ta mała istota, którą trzymała na ręce, należała do zmarłej kobiety. I tak to przekazywano każdemu, kto przychodził do ambulatorium. Teraz, bez zwłok kobiety, dziecko było niczyje. Nikogo nie obchodziło. Gdyby płakało, było spragnione, głodne, miało mokro, chciało się poruszyć, żaden inny człowiek poza Mariną nie przyszedłby mu z pomocą. Ogarnął ją głęboki smutek wobec ogromnej samotności tej bezimiennej dziewczynki z Rogu Afryki. Poczła się przygnębiona i winna, mimo że postąpiła tak, jak postąpiłby każdy lekarz. Ale niepokoiło ją nie to, tylko pytanie, które już sobie zadawała przy innych interwencjach medycznych w ciągu długich lat pracy w organizacji.

– Czy życie było najlepszym rozwiązaniem dla tej istoty ludzkiej?

Ujrzała siebie jako dumną, zachodnią lekarzkę ratującą życie ludzi w pełnym nędzy Trzecim Świecie. Być może to wszystko było błędem i jedynie prawo natury powinno decydować o tym, kto ma przeżyć, a kto nie. I być może dziewczynka, którą kołysała w ramionach, powinna teraz spoczywać w pokoju, w ziemi, obok swojej mamy.

Marina przesunęła dłoń po czole i spróbowała odsunąć od siebie tę myśl.

– Dziwne, że nikt po nią nie przyszedł. Pewnie to niechciana córka, owoc gwałtu – oświadczył Kaleb.

Marina i Mathias nie spodziewali się takiego stwierdzenia i poczuli się nieswojo.

– Mogę ją zawieźć do sierocińca w Addis Abebie – kontynuował Kaleb.

– Poczekajmy jeszcze kilka dni, może ktoś po nią przyjdzie – odparła Marina. – Jeśli nikt się nie zgłosi, zostawimy ją w sierocińcu przed wyjazdem na lotnisko.

\* \* \*

Wiatr uderzał w betonowy dom, w którym spali Marina, Mathias i dziecko. Mała ponownie rozpaczliwie zapłakała, jak to robią noworodki, gdy są głodne.

– To nienormalne. Naprawdę uważasz, że nic jej nie jest? – spytał zaniepokojony Mathias, otwierając oczy.

Dziewczynka obudziła się tej nocy już trzeci raz. Marina wzięła ją na ręce.

Mathias wstał. To do niego należało przyniesienie butelki z mlekiem.

– Teraz rozumiem, dlaczego mój starszy brat rozwiódł się rok po narodzinach syna.

– Moja siostrzenica płakała bez przerwy w dzień i w nocy – dodała Marina. – Któregoś dnia o czwartej nad ranem zdesperowani wsiedliśmy do samochodu, żeby jazda ją uspokoiła.

– I zasnęła? – spytał Mathias.

– Tak, zasnęła. Do momentu, kiedy zaparkowaliśmy i wyjęliśmy kluczyki ze stacyjki.

W ten sposób Marina i Mathias spędzili kolejne dwa dni i dwie noce. Prawie nie spali. Niosąc pomoc setkom kobiet i dzieci, które przybywały do ambulatorium, jednocześnie zajmowali się bezimienną dziewczynką, po którą nikt się nie zgłaszał.

\* \* \*

Stary plecak Mariny był pełny. Pięć białych bluzek, trzy pary spodni w kolorach ziemi, bielizna, kurtka, kosmetyczka i afrykańska tkanina obszyta lamówkami w kolorze zielonym, żółtym i jasnofioletowym, którą kupiła z Mathiasem w Kongu i używała jako kapy na łóżko, gdziekolwiek pojechała. Otworzyła notes, włożyła do środka bilet i paszport i umieściła w bocznej kieszeni plecaka. Wyjęła z szafy stetoskop ojca. Miała go ze sobą w ponad trzydziestu krajach, w których pracowała. Zawsze ten sam. Nigdy

nie chciała innego. Nie było sensu zabierać go na Majorkę, bo miała wrócić przed upływem tygodnia, ale bez tych starych słuchawek lekarskich nie ruszała się z domu. Ostrożnie zwinęła giętki przewód słuchawki, po czym schowała swój amulet i zamknęła plecak.

Noworodek leżał na łóżku i mimo że miał dopiero dwa dni, śledził oczkami ruchy Mariny. Pachniało indżerą. Marina oddaliła się na chwilę, żeby pójść po swoje śniadanie. Dziewczynka wydała z siebie cichy dźwięk. Marina odwróciła się i przyglądała się dziecku przez kilka sekund. Mała znów zakwiliła. Kobieta uśmiechnęła się, zrozumiawszy, że ją woła. Podeszła do łóżka. Uświadomiła sobie, że mała już ją rozpoznaje. Była z nimi od trzech dni. Słuchała ich głosów, śmiechu, codziennych rozmów. Marina usiadła przy niej i wzięła ją za rączkę. Dziewczynka zacisnęła piąstkę wokół wskazującego palca kobiety i zakwiliła, jakby chciała powiedzieć: „Zostań ze mną”.

– Pójdę po kawę i kawałek indżery z masłem i zaraz wracam. – Marina uspokoiła małą po hiszpańsku.

Dziecko ponownie zakwiliło.

– Zobaczysz, zaraz będę... i przyniosę ci też twoją butelkę.

Dziewczynka znów odpowiedziała.

Marina pogłaskała ją i mała mocniej ścisnęła jej palec. Ten subtelny gest, tak nieznaczny, typowy dla wszystkich dzieci na świecie, sprawił, że Marina zadrżała.

\* \* \*

Jeep zagłębiał się w pustynię z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kaleb znał drogę jak własną kieszeń i prowadził, opowiadając z dumą o swoich korzeniach tkwiących w regionie Keffa, skąd pochodzi kawa. Etymologia słowa mówi sama za siebie: *caffa*, kawa, jak zapewniał, patrząc zbyt często na Mathiasa, który siedział na miejscu pilota i przytakiwał lekko zaniepokojony prędkością, trzymając się jedną ręką deski rozdzielczej, a drugą uchwytu pod oknem.

Na tylnym siedzeniu Marina ze śpiącym niemowlęciem na ręce patrzyła przez okno na kilometry piasku, nie biorąc udziału w rozmowie. W oddali rząd wielbłądów obładowanych solą wędrował równoległe do horyzontu.

Minęli osadę koczowników, gdzie kobiety budowały szałas. Niektóre układały kamienie na ziemi, tworząc podstawę, inne przytrzymywały konstrukcję z gałęzi mającą stanowić szkielet, podczas gdy niemowlęta siedziały na matach przeznaczonych na pokrycie dachu.

Jeep przejechał przez osadę. Dzieci pobiegły za samochodem, który zmniejszył prędkość.

– *Hello, hello!* – wołały radośnie. – Doktorze, doktorze!

Marina uśmiechnęła się do nich. Lubiła, kiedy ją rozpoznawały.

Kilometrami tylko piasek. Jeep zagłębił się w przepastny, rozpalony krajobraz. Zobaczyła pagórek z kamieni tworzący krąg – znak, że były tam pochowane zwłoki. Kaleb potwierdził. Pod tymi kamieniami spoczywało ciało matki dziewczynki śpiącej w ramionach Mariny.

Spojrzała na niemowlę. Tej nocy obudziło się pięć razy, a teraz, dzięki wstrząsom samochodu, smacznie spało. Zostało jeszcze siedem godzin podróży. Przejechali przez góry soli, jeziora siarki, po stokach wulkanu Erta Ale, aż wjechali na obszar w pobliżu granicy z Somalią.

Zobaczyli grupę Etiopczyków w wojskowych mundurach z kałasznikowami w rękach. Jeden z nich podniósł dłoń. Kaleb zatrzymał jeepa i opuścił szybę. Wojskowy podszedł, zerkając na boczne drzwi samochodu, do których przyczepiono wielkie, czerwone logo Lekarzy bez Granic. Wymienili parę słów po amharsku i Kaleb podał mu banknot o wartości dziesięciu birrów. Wojskowy uśmiechnął się uprzejmie do lekarzy i pozwolił im jechać dalej. Ta krótka chwila, kiedy stali, wystarczyła, aby dziewczynka poczuła brak ruchu. Obudziła się. Marina popatrzyła na nią i pogłaskała ją palcem po brodzie. Mała się uśmiechnęła. Marina powtórzyła gest i mała znów się uśmiechnęła. Poruszyła rączkami i przeciągnęła się w ten szczególny dla niemowląt sposób. Marina się zamyśliła. Coś ją na moment zaniepokoiło. Pochyliła się w stronę przedniego siedzenia.

– Nie ma imienia – powiedziała.

– Co? – spytał Mathias.

– Mała. Nie ma imienia – powtórzyła.

– Dadzą jej w sierocińcu – wtrącił Kaleb.

Marina z powrotem oparła się plecami o siedzenie. Dziewczynka zapłakała. Mathias odruchowo otworzył plecak i podał butelkę do tyłu.

W sierocińcu? Kto jej tam nada imię? „Imię jest ważne”, powiedziała do siebie w myślach.

Zastanowiła się, dlaczego rodzice dali jej na imię Marina. Nigdy ich o to nie zapytała. Będąc w klasie maturalnej, na zajęciach z łaciny odkryła, że „Marina” znaczy „kobieta urodzona w morzu”, i wywnioskowała, że to imię wybrał ojciec, który chełpił się w żartach, że jest lekarzem i marynarzem. „Jestem prawdziwym wilkiem morskim”, zwykł mówić z uczuciem, rozśmieszając córki, gdy wypływali swoją *llaüt*.

Dlatego doszła do wniosku, że swoje imię zawdzięcza miłości, którą Néstor, jej ojciec, darzył wody Morza Śródziemnego. Marina była córką człowieka morza, wilka morskiego.

Jej starszej siostrze nadali imię noszone przez wszystkie najstarsze córki w matriarchalnej rodzinie, w której się urodziła. Ana. Jednak do jej imienia dodano literę „n”, Anna, tak jak nazywa się Any na Majorce. Anna kontynuowała tradycję



rodzinną i ochrzciła swoją córkę tym samym imieniem, które otrzymały jej praprababcia, prababcia, babcia, matka i ona sama, ale tym razem bez jednego „n”.

Głaszcząc niemowlę, Marina przypomniała sobie rozmowę z Anną, kiedyś, na którejś z plaż Majorki, o tym, jakie imię da swojej córce. Anna miała wielki brzuch. Wchodziła w trzydziesty ósmy tydzień ciąży i argumentowała z przekonaniem, dlaczego jej córka będzie miała na imię Ana.

– Moja córka będzie Ana. Bez drugiego „n”. To dla mnie jasne. Całe życie muszę poprawiać swoje imię na tablicach szkolnych i w dokumentach urzędowych, wolę jej tego oszczędzić. Po prostu Ana. Anita. – Była tego pewna. – Anita. Nazwiemy ją Anita.

Dziecko rozglądało się i krzywiło buzię, bo raziło je światło słoneczne wpadające przez okno.

– Potrzebne ci jest imię, dziecinko, ładne imię na całe życie – stwierdziła Marina.

Litery jej imienia przesuwały się powoli w jej myślach. M, A, R, I, N, A. Powtórzyła to z literami imienia siostry. A, N, N, A, i z literami M, A, T, H, I, A, S. Zauważyła, że cztery litery imienia jej i Mathiasa są takie same, podobnie jak dwie ostatnie litery imienia jej i siostry. Tak oto, bawiąc się literami, znalazła imię, które przez resztę życia miało nosić niemowlę kołysane przez nią w ramionach. Naomi.

\* \* \*

Wreszcie w oddali zarysowały się kontury Addis Abeby. Luksusowe drapacze chmur u stóp zbrocza góry Entoto. Marina westchnęła z ulgą. Była wyczerpana. Miała obolałe ciało i zdrętwiałe ręce od trzymania przez siedem godzin dziecka. Wjechali na lepszą, asfaltową drogę, przejechali obok szkieletu biurowca w budowie, gdzie setka robotników pracowała nad przyszłą, olśniewającą siedzibą Unii Afrykańskiej. Minęli hotele Hilton i Sheraton, pałac cesarski, stadion lekkoatletyczny, aż wjechali w aleję Churchilla. Otyły strażnik miejski wymachiwał rękami, usiłując zapanować nad ruchem. Dźwięk klaksonów. Taksówki. Samochody. Motocykle. Afrykanie ubrani w stroje od Armaniego. Piękne Etiopki w kostiumach i na szpilkach. Sklepy z rękodziełem. Wystawy z manekinami w ubraniach marki Nike. Turyści. Żebracy. Europejska aleja, fatamorgana w Rogu Afryki, która nigdy nie była Marinie obojętna, ile razy tu była... A obok tego luksusu rozciągała się nędza, setki glinianych bud krytych azbestem, bez bieżącej wody, prądu, jakiegokolwiek przyszłości.

Pojechali wijącą się uliczką, między stadami kóz i małymi bazarkami pełnymi ludzi, aż dotarli do polnej drogi. Przejechali półtora kilometra, oddalając się od centrum miasta, znów zagłębiając się w prawdziwą Etiopię. Droga prowadziła ku polom zbóż, na których pochylone kobiety zbierały plony. Jeszcze półtora kilometra i dotarli do rozpadającego się budynku w bladoróżowym kolorze. Państwowy sierociniec Minem Aydelem Children Orphanage.

Kaleb zaparkował. Marina patrzyła przez zakurzoną szybę na nędzny dom, w którym mieścił się sierociniec. Mathias otworzył drzwi samochodu. Wahała się przez kilka sekund, badając wzrokiem otoczenie. Wydało jej się wyjątkowo smutne. Spojrzała na dziewczynkę, która nadal spokojnie spała na jej rękach.

– Jaka cisza – zdziwiła się.

Wysiadła z samochodu, starając się nie obudzić małej. Podeszli do drzwi sierocińca. Mathias zastukał. Otworzyła im Etiopka o dobrodusznym spojrzeniu.

– Mówisz po angielsku? – spytała Marina.

Kobieta przytaknęła. Marina wytłumaczyła jej, kim są i w jaki sposób Naomi przyszła na świat. Jednocześnie, nieświadomie, obserwowała milczące niemowlęta w żelaznych łóżeczkach, wypełniających korytarz. Niektóre nie spały i patrzyły przed siebie, w pustkę. Śmierdziało moczem, zjełczonym mlekiem i niemowlęcymi kupami. Cisza tego miejsca nie spodobała się jej. Zbyt duża cisza jak na schronisko dla dzieci pozbawionych rodziców. Było to najbardziej ponure miejsce, jakie kiedykolwiek widziała przez wszystkie lata współpracy z organizacją. Jej ręce leczyły okaleczone dzieci z Konga, dzieci zarażone ebolą, wycieńczone dziewczynki, które przebyły długą drogę, uciekając do Sudanu przed wojną. Ale zawsze wykonywała swoją pracę pod uważnym spojrzeniem ich matek, babci, brata, jakiegoś krewnego. Nigdy dotąd nie była w miejscu takim jak to, gdzie dzieci nie płakały, niczego się nie domagały, z nikim nie nawiązywały kontaktu wzrokowego.

Kobieta wskazała łóżeczko, w którym miała zostawić Naomi. Połamane, żelazne łóżeczko z plastikowym materacem, na razie bez prześcieradła, obok łóżeczka równie małego niemowlęcia. Marina poszukała wzrokiem Mathiasa. Naomi, pogodna, przeciągała się z zamkniętymi jeszcze oczkami. Mathias zbliżył dłoń do buzi dziewczynki i pogłaskał ją. Przyglądał jej się przez chwilę, pocałował ją w policzek i położył na ceratowym materacu w zepsutym łóżeczku. I wtedy Marina poczuła nagle, że serce pęka jej na tysiąc kawałków.

Odwróciła się w stronę drzwi i odeszła ze spuszczoną głową. Nie oglądając się za siebie. Budząc się, Naomi kwiliła po cichutku, w oczekiwaniu na ramiona kobiety, która kołysała ją przez pierwsze trzy dni jej życia. Nagle wydała z siebie głośniejszy dźwięk. Jeszcze jeden. Krzyknęła. Jeszcze raz. I rozpłakała się w głos, chcąc wtulić się w znajome ramiona. Marina przymknęła oczy. Miała serce w tysiącu kawałkach. Poczowała rozpaczliwy żal, mieszący się z gniewem, wstydem i smutkiem. Wychodząc z sierocińca, słyszała histeryczny płacz małej. Poczowała ucisk w piersi i westchnęła, a westchnienie przeszło w szloch. Wzięła głęboki oddech, kierując się do jeepa. Dopiero teraz zrozumiała ciszę sierocińca. Nie było w tym miejscu wystarczająco dużo rąk, aby ukoić płacz pięćdziesięciu niemowląt pozostawionych w łóżeczkach. Płakały przez pierwsze dni, aż przyzwyczajały się do pustki i stopniowo milkły.

Kaleb włożył kluczyki do stacyjki. Siedzący na miejscu pilota Mathias spojrzął ze

smutkiem na Marinę. Wsiadła, zamknęła drzwi i otworzyła okno. Płacz Naomi był tak głośny, że słycać go było w samochodzie. Kierowca ruszył. Nagle Marina odwróciła się w stronę zniszczonego budynku w blad różowym kolorze.

– Zatrzymaj się.

– Jak to? – spytał kierowca, nie rozumiejąc.

– Proszę cię, zatrzymaj samochód, Kalebie.

– Marino, pozostało niecałe dwie godziny do odlotu – powiedział Mathias.

– Zatrzymaj się – powtórzyła.

Kaleb zahamował. Marina otworzyła drzwi i pobiegła do sierocińca. Odszukała żelazne łóżeczko, w którym niepokieszona Naomi rozpaczliwie płakała. Wzięła ją na ręce i przytuliła do siebie.

– Spokojnie – szepnęła łagodnie. – Jesteś głodna, prawda, malutka? Prawda, Naomi?

Ostatni raz dostała butelkę cztery godziny temu. Dziewczyna obok, o wiele za duża, aby nadal leżeć w niemowlęcym łóżeczku, obserwowała je smutnymi oczami.

Z Naomi na rękach Marina wyszła tylnymi drzwiami. Znalazła się na małym podwórku, na którym stał betonowy barak, skąd dobywał się dym z zaimprovizowanego paleniska. Wewnątrz jakaś kobieta stawiała na ogniu wielki gar z brudnymi butelkami na mleko. Usłyszała płacz Naomi i zwróciła się w ich stronę.

– Przepraszam – odezwała się Marina – czy może mi pani dać mleko dla małej?

Nie zwracając uwagi na Naomi, kobieta podeszła do drewnianej półki, na której stała duża puszka z mlekiem w proszku.

– Kiedy się wygotują, przyniosę pani butelkę – powiedziała, pokazując gar.

– *Amesegëmallô* – podziękowała Marina.

Amharka uśmiechnęła się na ten wyraz szacunku, który okazała jej biała kobieta, dziękując w języku tubylców.

Naomi nadal płakała. Marina zmieniła ułożenie dziecka przytulonego do jej piersi tak, aby mogło się rozglądać. Pokołysała je, przeszła podwórkiem i zajrzała przez okno. Wewnątrz dostrzegła dziesięcioro milczących dzieci w łóżeczkach.

Głodna Naomi płakała coraz głośniej, a Marinę z każdą chwilą bolało to bardziej. Żalony płacz niemowlęcia przeniknął ją do głębi. Nigdy dotąd nie czuła się tak bardzo potrzebna drugiej istocie. Niepostrzeżenie łza spłynęła po jej policzku. Cicho zanuciła małej do ucha *A la nanita nana*, kołysankę, którą babcia Nerea śpiewała jej w łagodne noce na Majorce.

\* \* \*

Kontrola paszportowa międzynarodowego lotniska w Addis Abebie była przeciążona. Uśmiechnięte stewardesy towarzyszyły dumnym pilotom, chińscy biznesmeni ściskali

dłonie swoim afrykańskim kolegom, obładowani walizkami turyści wybierali wśród wędrownych sprzedawców, a sprzątaczkę nieustannie zamiatały futurystyczny budynek, w którym mieściło się lotnisko. Marina czekała w kolejce, trzymając Mathiasa za rękę.

Kiedy zdjął ze swoich ramion plecak Mariny, ona chwyciła swój warkocz i przełożyła go do przodu, aby mógł umieścić ekwipunek na jej plecach.

– Będę za tobą tęsknił.

– Nie dłużej niż dziesięć dni – odpowiedziała, stając na palcach i przybliżając usta do jego ust.

Odwróciła się i odeszła w kierunku kontroli paszportowej. Mathias zrobił kilka kroków i ją zawołał. Zawróciła, a on chwycił jej rękę.

– Kochasz mnie? – szepnął.

Marina spojrzała na niego ze zdziwieniem. Była prawdziwie zaskoczona, tak jakby te proste słowa były ostatnią rzeczą, której się spodziewała w tej chwili. Objęła go.

– Oczywiście.

– To mów mi to, proszę cię. Od czasu do czasu.

Marina pogłaskała go po policzku. Była świadoma swoich braków, nie była kobietą czułą, która często okazuje uczucia. Raczej powściągliwa i dyskretna w związkach. Był to zarzut, który wielokrotnie słyszała w ciągu swego życia. Z natury wierna i prostolinijna, kochała jak każda kobieta, być może mniej namiętnie, ale z całą szczerością, do jakiej była zdolna. Mathias miał tego świadomość, podobnie jak tych niewielu mężczyzn, z którymi była w życiu związana. Objęła go mocno i szepnęła:

– To tylko słowa. Ale jeśli tego pragniesz, mogę ci je mówić codziennie, co noc, ile tylko zechcesz.

– Wystarczy od czasu do czasu.

Z ust Mariny popłynęły ostatnie słowa.

– *Ich liebe dich.*

\* \* \*

*Etiopska książka kucharska*, taki tytuł miała książka, którą Marina trzymała w ręce w sklepie wolnoctwowym w terminalu lotniska. Kupiła ją. Wyszła ze sklepu i podczas szukania bramki wejściowej na pokład samolotu jej wzrok przyciągnął napisany wielkimi literami slogan mający na celu zainteresowanie turystów krajem: „Witajcie w Etiopii, kolebce ludzkości”. Tak paleontolodzy ochrzczili Etiopię. To kraj, w którym odkryto szkielet pierwszej kobiety na Ziemi, pochowanej ponad trzy miliony lat temu. Marina nie mogła powstrzymać się od wspomnienia matki Naomi, spoczywającej w piasku pustyni.

Podeszła do bramki. Była jeszcze zamknięta. Usiadła na nowoczesnej, przezroczystej, długiej ławie obok innych pasażerów oczekujących na lot do Europy.

Na ilu lotniskach już czekała? Do ilu samolotów wsiadła w życiu? Do ilu jeszcze wsiądzie? Loty międzynarodowe na pięć kontynentów, loty krajowe, loty małymi śmigłowcami do odległych miejsc. Takie życie prowadziła oddana pracy humanitarnej od dziesięciu lat, przenosząc się z kraju do kraju.

Przyjazd do Etiopii paradoksalnie oznaczał odnalezienie stabilizacji. Organizacja Lekarze bez Granic działała tu od dwudziestu lat. To jedyny kraj, w którym prowadziła stałą misję, gdyż tutejsza sytuacja uważana była za permanentnie kryzysową ze względu na stałe niedożywienie dużej części ludności. W wieku czterdziestu trzech lat Marinie zaproponowano na rok stanowisko szefa misji w afrykańskim kraju. Od tamtej pory upłynęły już prawie trzy lata...

Wyjęła z kieszeni książkę kucharską i przesunęła dłonią po okładce. Otworzyła książkę i przekartkowała. Na pierwszej fotografii afrykańska kobieta ugniatała ciasto na chleb. Do zdjęcia dodano przepis na to podstawowe danie Etiopczyków.

Dźwięk startującego samolotu sprawił, że Marina skierowała wzrok na płytę lotniska. Niebieskie niebo. Żadnej chmurki.

Annie ta książka się spodoba. Już jako małe dziewczynki obie pomagały babci Nerei w wyrabianiu ciasta na chleb. Każdego popołudnia, kiedy wracały ze szkoły, babcia już na nie czekała. Na długim, drewnianym stole przygotowywała wszystkie składniki do ciemnego chleba z żytniej mąki, *pa moreno amb farina de xeixa*, który, jak twierdziła, był niezwykle pożywny. Mieszały wodę z mąką i wciskały palce do masy. Wprost nie do wiary, ale po tylu latach nadal pamiętała proporcje składników do *pa moreno*. I kontakt palców z ciastem. I zapach. Zapach świeżo pieczonego chleba, który rozchodził się po całym domu i przenikał do jej serca. Zapach jej domu.

*Your attention, please. This is a boarding announcement for flight number 2039 destination Frankfurt. Please, passengers proceed to gate number eleven.*

## PRZYJAŹŃ LUB CZAPATI

### SKŁADNIKI

200 g mąki  
pół łyżeczki drobnej soli  
łyżka oliwy z oliwek  
filiżanka ciepłego mleka lub wody

### PRZYGOTOWANIE

Połącz mąkę z solą. Dolej oliwę i wymieszaj. Powoli dolewaj wodę, mieszając, aż ciasto będzie gładkie i przestanie się kleić do palców. Odstaw ciasto na pół godziny, żeby odpoczęło. Uformuj małe kuleczki i rozwałkuj je na cieniutkie placki. Rozgrzej suchą patelnię, połóż na niej czapati. Kiedy na cieście pojawią się małe pęcherzyki, odwróć placek. Ciasto będzie powoli puchło. Gdy się zrumieni, zdejmij je z patelni.

\* \* \*

Marina zapięła pasy. Była zmęczona. Ostatnie dni należały do intensywnych. Oparła głowę na oparciu i wyjrzała przez iluminator. Mathias pewnie dojeżdżał już do miasta. Tej nocy będzie spał w apartamencie, który organizacja wynajmowała dla swojego personelu w Addis Abebie. Wyobrazila go sobie popijającego moritza w towarzystwie Sigfrieda, również współpracownika organizacji, ich wspólnego przyjaciela, fanatyka klubu sportowego Bayer Leverkusen i Michaela Schumachera. Przyjaciela, któremu obiecali pewnej nocy, wypiwszy o dwa piwa za dużo, że jeśli kiedyś się pobiorą, to zostanie ich drużbą.

W apartamencie będzie też Bask Aritz Goikoetxea, inżynier i surfer, wspominający z nostalgią fale w Mundaka, i Ona, katalońska księgowa, która wieczorami koła tęsknotę inżyniera piosenkami Serrata.

Oczywiście będzie też Manolo, uroczy sewilczyk (z dzielnicy Triana, co zawsze podkreślał), zajmujący się logistyką, wytatuowany od stóp do głów były najemnik. Z pewnością przygotowuje tortillę z kartofli, z dużą ilością cebuli; podzieli się ze wszystkimi, chcąc szczególnie zrobić wrażenie na nowej współpracownicy organizacji, pretensjonalnej Francuzce, która niedawno dołączyła do projektu.

Marina pomyślała, że chętnie by ich zobaczyła. Zawsze spotykała się z nimi z przyjemnością, tak jak z innymi członkami organizacji, którzy wymieniali się w ramach misji medycznych prowadzonych w sytuacjach kryzysowych na całym



świecie. Tworzyli wielką rodzinę, rodzinę ludzi samotnych, jej rodzinę.

Rozległ się warkot silników, Marina zamknęła oczy i samolot wystartował.

Kolory. One pierwsze rzucały się w oczy, kiedy wracała do Europy. Od roku nie wyjeżdżała z Afryki, gdzie, mimo krańcowej biedy, wszystko zdawało się być pomalowane na radosne kolory: pomarańczowy, zielony, żółty... Wsiadając na lotnisku we Frankfurcie, odniosła wrażenie, że świat zgasł. Wydawał się smutny. Niebo prawie zawsze zaciągnięte chmurami przykrywało miasto będące hiperłączem dla setek Europejczyków w garniturach, którzy mijali się, nie patrząc na siebie, z czarnymi walizkami w rękach.

Marina przeszła szybkim krokiem przez mrowie anonimowych, szarych ludzi do bramki numer 45A, aby wejść na pokład samolotu do Barcelony.

Wychodząc z terminalu drugiego na lotnisku w Prat, zauważyła wydobywającą się z jej ust parę. Zapadła już noc. Roztarła zimne dłonie. Chuchnęła w nie i podciągnęła suwak kurtki. Zawsze silnie reagowała na nagłe zmiany temperatury. Miała nauczkę w zeszłym roku, kiedy pojechała z Mathiasem na święta do jego rodziny, do Berlina. Przeniosła się wtedy w ciągu kilku godzin z czterdziestu stopni gorąca w Etiopii do minus dziesięciu w Niemczech, co skończyło się najgorszą grypą w jej życiu.

Rozejrzała się i od razu rozpoznała rozklekotanego białego mercedesa swojej przyjaciółki Laury, dyskutującej ze strażnikiem miejskim. Niezależnie od tego, ile czasu by miało upłynąć, choćby całe lata, Laura zawsze czekałaby na nią w swoim starym, białym gracie.

Marina przyśpieszyła kroku i podbiegła do przyjaciółki, która już otwierała uczynnie bagażnik, mówiąc do strażnika: „Widzi pan? Przecież mówiłam, że zaraz będzie”.

Uściskały się, a tymczasem strażnik odszedł, kiwając głową i mruczając coś pod nosem.

Szybko wsiadły do samochodu i oczywiście ledwo Laura przekręciła kluczyk w stacyjce, ze starej kasety zabrzmiała piosenka Leonarda Cohena. Marina uśmiechnęła się, słysząc Kanadyjczyka. Wjechawszy na A7, przyjaciółka przyśpieszyła.

Laura miała pięćdziesiąt lat i pracowała w jednostce zajmującej się poradnictwem psychospołecznym, w głównej siedzibie Lekarzy bez Granic na Hiszpanię, w starym budynku w barcelońskiej dzielnicy Raval.

Kiedy w 1971 roku utworzono w Paryżu tę pozarządową organizację, okazało się niebawem, że ludzie wracający z misji potrzebują pomocy psychologicznej. Nie jest łatwo powrócić do dawnego trybu życia naocznym świadkom horroru, okaleczeń, klęsk głodu i wszystkich potworności świata, któremu usiłowali nieść pomoc. Dlatego wkrótce zdecydowano o utworzeniu specjalnego departamentu, aby ułatwić współpracownikom organizacji powrót do pracy w kraju, bez lęków i traumy.

Nikt nie był zmuszany do terapii z Laurą, ale większość miała z nią w końcu do

czynienia. Aby się wygadać, wypłakać, spróbować zrozumieć. Aby poszukać odpowiedzi.

Pięćdziesiąt pięć procent wyjeżdżających na pierwszą misję postanawiało po powrocie zaniechać pracy dla organizacji. Siadali w przytulnym gabinecie Laury rozbici i zawstydzeni i przyznawali, że nie są psychicznie przygotowani do dalszych interwencji na terenach objętych konfliktem. Tę sama rzeczywistość okazała się dla nich zbyt trudna. I to była prawda. Nie jest łatwo patrzeć na dzieci umierające z głodu i pragnienia, słuchać rozdzierającego płaczu ich matek, opatrywać młodych, zakrwawionych żołnierzy.

Dziesięć lat wcześniej Marina usiadła w fotelu, w gabinecie Laury, po powrocie ze swojej pierwszej misji. Wróciła po sześciu miesiącach udziału w programie opieki zdrowotnej nad matką i dzieckiem w indyjskim stanie Chattisgarh. Po minucie rozmowy Laura wiedziała już, że Marina należy do tych czterdziestu pięciu procent współpracowników Lekarzy bez Granic, którzy nie zrezygnują. Obecnie Laura nadal była psychologiem Mariny, ale w miarę upływu lat coraz trudniej było rozpoznać, kto był kim w relacji pacjentka – terapeutka. Nie wiedziały, kiedy zawiązała się między nimi silna przyjaźń.

Biały mercedes zjechał w dół Ramblą de les Flors. Była prawie dziesiąta wieczorem. Sobota. Mimo zimna Rambla pełna była turystów, a sklepy spożywcze nadal były otwarte, zagraniczni goście wchodzili i wychodzili z hoteli, oszklone restauracje pękały w szwach, młode, wystrojone dziewczęta uśmiechały się do swoich telefonów komórkowych. Afrykańscy przemieszczali się w grupkach, obładowani wielkimi, białymi torbami pełnymi podrabianych ubrań, Hinduski w sari przechadzały się, trzymając za rękę swoje dzieci, poważni Maghrebcyzy... Barcelona.

Pojechały ulicą Hospital, aż do Rambli del Raval i zaparkowały.

– A co u Mathiasa?

– W porządku. Nadal tworzymy dobry zespół – odparła Marina z uśmiechem.

Weszły po schodach starego budynku, gdzie mieszkała Laura. Znalazły się w mieszkaniu, w którym niewiele pozostało z wprowadzanych przez nią przed laty zasad feng shui. Przytulnemu chaosowi panującemu w domu winna była prześliczna dziewczynka z jasnymi lokami, która podbiegła teraz do matki.

– Córeczko, dlaczego nie śpisz o tej porze?

– Chciała na panią poczekać. Usiłowałam ją położyć, ale mowy nie było, przykro mi – powiedziała młoda, łagodna Tybetanka, słabo mówiąca po hiszpańsku.

Osiemdziesięciometrowy loft był wypełniony książkami psychologicznymi i obwieszony pogryzmołonymi kartkami i dziecięcymi rysunkami. Wszędzie zalegały lalki Barbie, inne zabawki i kredki świecowe. Kaloryfery zawsze były gorące.

– Jest śliczna – odezwała się Marina, patrząc na chrześniaczkę, której nie widziała od prawie półtora roku.

– To pewnie prawo kompensacji – odpowiedziała Laura z przekąsem, co jej się czasem zdarzało.

Jej córka była blondynką o bladej cerze i bardzo jasnych oczach. Słowiańska uroda, wręcz niezwykła, biorąc pod uwagę typ jej matki. Raczej nieatrakcyjna Laura miała szerokie czoło, małe oczy, wydatny nos i cienkie, siwiejące włosy. „Inteligentna, to pewne, ale brzydka jak sam grzech, biedaczka”, powiedział jej ojciec, gdy była dzieckiem, w któreś z tych świąt, kiedy wypito za dużo. To krótkie zdanie utkwiło w sercu Laury i oczywiście nawet psychologia, którą studiowała latami, nie zdołała go usunąć.

Laura zapłaciła trzydzieści euro Tybetance. Kobieta wzięła swoją torebkę i wyszła dyskretnie, jak przystało na Azjatkę.

– No, pora spać. Czy ty wiesz, która jest godzina?

Dziewczynka podbiegła do tatami, które dzieliła z matką. Marina i Laura również poszły, aby się z nią położyć. Mimo że miała już sześć lat, nadal ssała palec. Była to przyjemność, której matka nigdy jej nie broniła. Mała włożyła palec do buzi i spojrzała na chrzestną szeroko otwartymi oczami, prosząc o bajkę.

– Zaraz, zaraz. – Marina jeszcze nigdy w życiu nie opowiedziała żadnej bajki. – Pewnego razu...

Nic nie przychodziło jej do głowy.

– Wiesz, kochanie... Nie umiem opowiadać bajek. Mama robi to lepiej.

Laura się roześmiała.

– Nie, poczekaj. Już mam – kontynuowała Marina. – Była sobie księżniczka, która mieszkała w dalekim kraju zwanym Etiopią. Nazywała się Naomi i miała czarną skórę. Mieszkała pośród uprawnych pól, w domu w kolorze... w kolorze różowym.

– Różowym? – spytała dziewczynka, wyjmując palec z buzi.

– Zamknij oczy – poleciła córce Laura.

Marina mówiła powoli, ścisząc głos coraz bardziej, wymyśloną, pierwszą bajkę w swoim życiu, aż dziewczynka zasnęła.

Wstały z tatami i rozstawiły parawan.

– Sama nie wiem... to całe wspólne spanie... ile lat będzie to jeszcze trwało. Kopie mnie, że aż strach.

Laura w pełni przeżywała swoje macierzyństwo. I w pełni naprawdę oznaczało w pełni. Nim zaszła w ciążę, pracowała bez przerwy przez piętnaście lat. Nie była kobietą pozwalającą sobie na wiele przyjemności, zaoszczędziła więc wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc, po wykorzystaniu przysługujących jej krótkich czterech miesięcy urlopu macierzyńskiego, poprosić o dwuletni urlop wychowawczy, podczas którego całkowicie poświęciła się córce. Karmiła ją piersią na zawołanie przez dwa lata. Nosila ją zawsze w *mbotou*, tradycyjnym nosidełku afrykańskim, które Marina kupiła jej w małym sklepiku w Kongu, nad rzeką Ebołą. Bardzo rzadko używała wózka

dziecięcego, prezentu od kolegów z organizacji. No i oczywiście od dnia urodzin małej matka i córka sypiały razem.

Poza tym od chwili urodzenia się małej Laura zwracała się do niej jak do osoby dorosłej. Nie było mowy o używaniu zwrotów w trzeciej osobie ani o „dzidziuniach”, „kupeczkach” i „babciuniach”. Była przekonana, że forma zwracania się do dziecka ma związek z rozwojem jego inteligencji. I prawdą było, że dziewczynka posługiwała się wyjątkowo bogatym słownictwem jak na swoje sześć lat.

– Co chcesz na kolację?

– Coś lekkiego, mój żołądek jeszcze się nie pozbierał po locie.

– Zrobimy czapati? Mam też trochę sałaty.

Laura wyjęła mąkę z szafy, a Marina wałek do ciasta z szuflady. Wiele razy przygotowywały razem ten prosty indyjski chleb. Laura nie widziała sensu w codziennym kupowaniu pieczywa, jeśli z mąki, wody i soli w dziesięć minut mogła przygotować własne.

– Kim jest ta etiopska księżniczka? – spytała, dolewając szklanek wody do mąki.

Marina spojrzała na nią porozumiewawczo. Niewiele umykało uwadze przyjaciółki.

– Przyjmowałam poród, jej matka umarła – odpowiedziała szybko, wyrabiając ciasto.

Laura milczała, pozwalając jej mówić.

– Czasem wydaje mi się... – Marina zamyśliła się, nie przestając zagniatć ciasta.

– Być może ta dziewczynka nie powinna była przeżyć.

– Marino, nie mów takich rzeczy.

– Zostawiłam ją w koszmarnym sierocińcu.

Laura obserwowała poważny wyraz twarzy przyjaciółki, która wałkowała ciasto na cienkie czapati.

– Wszystko w porządku?

Marina odwróciła wzrok.

– Dzieci, które nie powinny się rodzić, jednak się rodzą, a dzieci, które być może powinny były się urodzić, nie rodzą się... bo ich matki do tego nie dopuszczają – dokończyła, rzucając czapati na patelnię.

Obie wiedziały, co kryło się za tym ogólnikowym stwierdzeniem. Laura zdawała sobie sprawę, że pewien epizod z życia Mariny kiedyś do niej wróci. Zbyt długo prowadziła terapie fotografek, lekarek, kobiet trudniących się logistyką, inteligentnych i silnych, które osiągnęły najwyższą pozycję zawodową, rezygnując z macierzyństwa. W którymś momencie swojego życia, zagładając w głąb swej duszy, zaczynały żałować, że nie przeżyły tego doświadczenia, tak zakorzenionego w kobiecej naturze. Ale w przypadku Mariny należało szukać głębiej, aby zrozumieć, że nie tylko ambicje zawodowe skłoniły ją do usunięcia ciąży.

– Potrafisz kochać dziecko, Marino. Nigdy nie próbuj w to wątpić. Nie jesteś swoją

matką – powiedziała Laura dziewięć lat temu, kładąc rękę na jej brzuchu.

Kilka godzin później towarzyszyła przyjaciółce do kliniki aborcji w Barcelonie, mimo że Marina wiedziała, że ojciec jej dziecka – starszy od niej o trzydzieści lat Jeremy, wykładowca w Szkole Medycznej Perelmana, znany wśród studentów jako doktor Sherman – zawsze by jej pomagał.

– Nazwałam ją Naomi. – Ponownie spojrzała na przyjaciółkę i uśmiechnęła się smutno.

– Bardzo ładne imię.

– Kaleb dał nam do zrozumienia, że najprawdopodobniej ciąża była wynikiem gwałtu.

– Tego nigdy się nie dowiemy. Jakie to ma teraz znaczenie, kim był ojciec? Zrobiłaś, co do ciebie należało. Ta dziewczynka znajdzie rodzinę adopcyjną i będzie szczęśliwa.

– Oby.

– Na pewno.

Laura wyjęła z lodówki sałatę, kukurydzę, cebulę i pomidora, podczas gdy Marina dalej kładła czapati na patelnię.

– A skoro już mowa o ojcach... Muszę ci coś powiedzieć – dodała Laura, odkręcając kran i myjąc sałatę.

Marina popatrzyła na nią wyczekująco.

– Jest Szwedem.

– Kto jest Szwedem?

– Dawca, Marino. O kogo innego mogłoby chodzić?

– Ale... Jak się dowiedziałas? – zdziwiła się Marina.

– Od lekarki, która przeprowadziła inseminację. Podczas jednego z ostatnich przeglądów zauważyłam, że ma podkrążone oczy, jest szczuplejsza. Mimo że nie byłam z nią zaprzyjaźniona, zapytałam ją, czy wszystko u niej w porządku, a wtedy ona się rozpłakała. Tak po prostu.

– Naprawdę?

– Wiedziała, że jestem psychologiem, i pewnie wyładowała stres. Typowa historia męża, który zapomina komórki z domu, więc żona dowiaduje się, że nie wiadomo od jak dawna jest z inną, a na dodatek i na domiar wszystkiego jest to jej najlepsza przyjaciółka.

Wzięły czapati i sałatę, poszły do salonu i usiadły na kanapie.

– No i w tym roku, pewnie z wdzięczności za te wszystkie darmowe terapie, a także znając tę jasnowłosą piękność, którą urodziłam, dała mi do zrozumienia, że kiedy nie mieli wystarczająco dużo nasienia, kupowali je w szwedzkim banku spermy.

Marina zaniemówiła, słysząc informację nielegalnie przekazaną przyjaciółce. Był to temat, który wielokrotnie poruszały w swoich rozmowach: tożsamość dawcy. W Hiszpanii prawo zabrania informowania o dawcach. Dlatego, korzystając z pomocy

Jeremy'ego, zwróciły się do amerykańskiej firmy Cryobank Association. Była to prywatna firma należąca do najlepszych w dziedzinie reprodukcji wspomaganiej. Przyjmowała wyłącznie nasienie od studentów Harvardu, Yale i Stanfordu. Z tego też powodu była pięć razy droższa niż inne. W Cryobank Association pozwalano kobietom wybrać wzrost, kolor skóry, oczu i włosów dawcy, a także usłyszeć jego głos.

Laure kusił pomysł podróży do Ameryki w poszukiwaniu najlepszego nasienia, ale była osobą sceptyczną, i to przede wszystkim wobec wszystkiego, co pochodziło ze Stanów Zjednoczonych.

Pewnej nocy wstąpiły do jakiegoś baru w Dzielnicy Gotyckiej i między jednym kieliszkiem wina a drugim, zjadając tapas z anchois, Laura wyobraziła sobie przyszłego dawcę, jakiegoś wątego studenta nauk ścisłych, siedzącego w malutkim, dźwiękoszczelnym pomieszczeniu o ścianach pomalowanych na czerwono, w banku spermy, w centrum Filadelfii. Wyobraziła sobie, jak rozsuwa rozporek lewisów 501, wkłada rękę do slipów i struga pałą przed ekranem telewizora, na którym umięśniony biały facet, z członkiem trzy razy większym niż jego, wbija go w wyjąca z rozkoszy piersiastą blondynę.

Do późnej nocy jadły tapas z anchois, popijając kolejnymi kieliszkami wina, dając się ponieść bujnej wyobraźni. Doszły do wniosku, że procedura pobierania nasienia jest pewnie podobna do stosowanej w hiszpańskich klinikach inseminacji. Z tą drobną różnicą, wyjaśniła Laura, że typ, który sobie marszczył fredda, mógł być jakimś nieudacznikiem, którego wywalili ze szkoły w pierwszej klasie liceum.

Po przeanalizowaniu całej sprawy na wszelkie możliwe sposoby i powątpiewając, czy nasienie amerykańskie na pewno będzie uniwersyteckie, Laura postanowiła poddać się inseminacji w ojczyźnie. Nie tylko ze względu na wątpliwości co do pochodzenia nasienia, ale też dlatego, że musiałyby spędzić w Stanach Zjednoczonych od trzech do dziewięciu miesięcy, gdyż zgodnie z danymi statystycznymi prawdopodobieństwo zajścia w ciążę podczas pierwszej próby wynosiło nie więcej niż dwadzieścia procent. Tak więc cała procedura mogła ciągnąć się miesiącami i nie wyobrażała sobie, że mogłaby mieszkać samotnie w Stanach, choćby dawca był doktorem honoris causa Uniwersytetu Stanforda.

Dlatego pewnego poniedziałku w styczniu 2004 roku pozwoliła, aby zadecydował przypadek, kiedy wstrzykiwano jej plemnik przez sterylną kaniulę na oddziale reprodukcji wspomaganiej w klinice Dexeus w Barcelonie. Dziewięć miesięcy później, w lofcie, w którym teraz się znajdowały, przy dźwiękach muzyki Leonarda Cohena, Marina pomogła Laurze wydać na świat prześliczną dziewczynkę.

– Odkąd sięgam pamięcią, ten anonimowy dawca, biologiczny ojciec mojej córki, zakrada się do moich snów... i dręczy mnie, prawdę powiedziawszy. Czasami ojciec... Nie wiem, dlaczego nazywam go ojcem – wtrącała, krzywiąc się. – Dawca wygląda na człowieka spokojnego i dobrotliwego, w średnim wieku, blondyn, bardzo



przystojny, moja córka jest do niego podobna... obserwuję ich z daleka. Bo ja też jestem w tym śnie, jak w filmie. On idzie przez pustynię, a moja córka biegnie do niego szczęśliwa.

– To ładny sen.

– Niby tak... Innym razem śni mi się, że jest włóczęgą, alkoholikiem, który w mroźny dzień idzie ulicami biednej dzielnicy w Sztokholmie, ciągnąc za sobą wózek z supermarketu pełen rupieci – dokończyła Laura z lekkim niepokojem.

– Odkąd masz opiekunkę, chodzisz dużo do kina, prawda? Czy tak? – spytała Marina z uśmiechem, starając się przekonać przyjaciółkę, że te sny nie oznaczają nic groźnego.

Roześmiały się. Faktem jest, że Laura nie była ciekawa, kim jest biologiczny ojciec jej córki, do kogo należał plemnik, który dostał się do jej jajeczka. Dopiero po rozmowie z lekarką, która przeprowadzała inseminację, otworzył się dla niej świat snu, którego wolałaby uniknąć, ale nie mogła, bo ojciec jej córki tylko w snach się pojawiał.

– A najgorsze jest to – kontynuowała Laura – że w Szwecji weszło w życie prawo znoszące anonimowość dawców nasienia i dzieci narodzone dzięki reprodukcji wspomaganej mogą poznać tożsamość dawcy, kiedy skończą osiemnaście lat. – Laura zamilkła na chwilę, po czym dokończyła: – Choć nie muszę jej o tym mówić.

– A teraz posłużę się twoim zdaniem. Kłamstwo nigdy nie jest dobre – powiedziała Marina, uśmiechając się lekko.

– Dajmy spokój, już wystarczająco długo wałkuję ten temat po nocach. Chciałabym natomiast zrozumieć, droga przyjaciółko, jak mogło przyjść ci do głowy dać pełnomocnictwo szwagrowi po tym wszystkim...

– A co niby miałam zrobić? Anna nie jest w stanie zająć się robotą papierkową związaną ze spadkiem. Najwyraźniej chodzi o tysiące formalności – Marina uniosła brwi – a ona nic nie robi bez konsultacji z mężem. Dałam mu ograniczone pełnomocnictwo. To ja z siostrą mamy ostatnie słowo.

– Boję się tego...

Wybiła czwarta rano. Noc minęła na plotkach o organizacji, opowiadaniu o miesiącach spędzonych z dala od siebie. Pielęgnowały tę serdeczną przyjaźń dzięki szczerym i pełnym szacunku rozmowom prowadzonym od lat. Prawdopodobnie znów nie spotkają się miesiącami, być może upłynie rok, a może i więcej. Ale to nie miało znaczenia, obie były kobietami, którym życie ofiarowało skarb. Trwały przyjaźń. Przyjaźń na całe życie, którą będą się cieszyć do późnej starości.

Tak jak dziś będą sobie doradzać w ciągu dnia i szeptać po nocach, przegryzając czapati, popijając wino i smakując tapas z anchois.

\* \* \*

W zimie Trasmediterránea czarterowała tylko jeden statek dziennie z Barcelony na Majorkę. Prom mógł pomieścić pięciuset osiemdziesięciu dziewięciu pasażerów, ale podczas tej przeprawy nie było ich więcej niż pięćdziesięciu. Niewiele osób podróżowało na wyspę zimą. Ci nieliczni, którzy to czynili, raczej wybierali dwudziestominutowy lot z lotniska w Barcelonie do Palmy de Mallorca, a nie osiem godzin, które czekały Marinę, aż prom zawinie do portu w Peraires. Niebo było zasnuwane gęstymi chmurami i tylko jeden nieśmiały promień słońca zdołał się przez nie przebić. Pięćdziesięciu pasażerów pośpiesznie weszło do środka, aby usadowić się w fotelach, nie zdejmując płaszczy. Marina, wchodząc na „Sorrento” – taką bowiem nazwą ulubiony wnuk armatora ochrzcił prom – od razu skierowała się po bakburcie w kierunku dziobu.

Na mostku stary kapitan uruchamiał silniki. Sto osiemdziesiąt metrów długości i dwadzieścia pięć szerokości, nieliczna załoga, niewielu pasażerów. „Sorrento” przypominało statek widmo. Mewy latały, zataczając koła, wydając z siebie przenikliwy skwir w oczekiwaniu, aż jakiś wspaniałomyślny rybak przypomni sobie o nich. Łopocząc skrzydłami, wznosiły się ku górze lub pikowały w dół. Marina oparła się o zardzewiałą barierkę na dziobie, obserwując mewy.

Wreszcie znalazła się tam, gdzie pragnęła.

Byłoby bardziej praktycznie wystartować z lotniska w Barcelonie, a jeszcze szybciej dotarłaby na miejsce, lecąc bezpośrednio z Frankfurtu do Palmy, ale wolała znów przeżyć tę powolną przeprawę, osiem godzin na wodach Morza Śródziemnego. Tę samą trasę przebyła z ojcem 21 grudnia 1982 roku, kiedy miała szesnaście lat. Chciała raz jeszcze przeżyć te szczególne chwile, choć wiedziała, że wywołają nostalgię. Mogła i chciała przypomnieć sobie każde słowo ostatniej rozmowy z mężczyzną, którego kochała w życiu najbardziej, ze swoim ojcem Néstorem Vegą, na pokładzie promu bardzo podobnego do tego, jakim teraz płynęła.

Utkwiła wzrok w horyzoncie. Wtedy też panowała mroźna zima. Marina była w klasie maturalnej w Saint Margaret’s School w Filadelfii, prestiżowej szkole z internatem dla dziewcząt, i wracała jak co roku, aby spędzić Boże Narodzenie z rodziną.

– Córeczko, ale wyrosłaś. Podoba mi się, jak się zmieniłaś – powiedział ojciec. – Patrząc na ciebie i słuchając twoich słów, widzę, jakim człowiekiem się stajesz, i mogę być tylko dumny.

Były to pierwsze słowa, które ojciec wypowiedział po wejściu na statek, dwadzieścia pięć lat temu.

– Tato... co ty mówisz.

– Co roku przez mój gabinet przewijają się setki ludzi i zapewniam cię, są bardzo różni: wspaniali, mniej wspaniali, po prostu ludzie, ludzie przewrotni i ludzie odrażający.

Marina się uśmiechnęła. Ojciec był bardzo krytyczny, czasem nawet za bardzo.

– Wydaje mi się, że w twoim przypadku wysiłek się opłacił. Zdaję sobie sprawę, że niełatwo było ci rozstać się z nami, ze mną, z Anną, z babcią Nereą. – Zrobił pauzę, zawahał się, ale jednak ją wymienił. – I z twoją matką.

Marina odwróciła wzrok. Dlaczego ją wymienił? Wiedział, że nie tęskniła za matką. Néstor chwycił dłoń córki. Postara się, aby te święta były spokojne. Bez krzyków i pretensji. Wiedział, że matka i córka nie mogły ze sobą wytrzymać dłużej niż dwa dni bez wybuchu, który kończył się płaczem jednej i somatyzowaniem, tak naprawdę nie wiadomo czego, tej drugiej. Jego córka Marina zasługiwała na spokojne święta. Ubiorą się ciepło i wypłyną razem na *llaüt*, jeśli tylko zima na to pozwoli.

– A twoja przyszłość, córeczko? Co chcesz robić w życiu? – spytał.

– O co ci chodzi, tato?

– O twoje życie. Życie, które cię czeka, kiedy skończysz Saint Margaret.

– Nie wiem.

– Na wyspie nie ma wydziału nauk ścisłych, możesz studiować w Madrycie, tak jak ja, albo tutaj, w Barcelonie. Albo... – Marina mu przerwała. Wiedziała, że jest trzecia możliwość, którą chciała zaproponować, ale nie zamierzał jej słuchać.

– Nie wiem, tato. Nie potrafię ci teraz odpowiedzieć. Wiesz, to, że w wieku siedemnastu lat każą człowiekowi decydować, co będzie robić, kim będzie przez resztę życia, wydaje mi się skomplikowane.

– Tak. To prawda. Ale tak już jest to zorganizowane.

– Nie wyobrażam sobie siebie w nowym mieście. Zaczynając od nowa. Znów sama... czasem wydaje mi się, że nie powinnam dalej studiować.

Nestor spoważniał.

– Co ty mówisz, dziewczyno? – W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie. – Byłoby szkoda. Od czterech lat uczysz się w jednej z najlepszych szkół w Stanach, jesteś przygotowana do studiów na każdym uniwersytecie na świecie. Masz świetne stopnie, doskonałe... Przedtem nie dałaś mi skończyć. Oczywiście, że mogłabyś studiować w Madrycie lub w Barcelonie, ale napisał do mnie dyrektor Saint Margaret.

– Wiem, tato – Marina znów mu przerwała. – Możliwe, że dostanę stypendium na Uniwersytecie Medycznym w Filadelfii – kontynuowała bez najmniejszego entuzjazmu. – Dyrektor już ze mną o tym rozmawiał.

– I nie cieszysz się? Czy ty wiesz, co to by oznaczało dla twojej przyszłości?

– Dyrektor sądzi, że mogę je dostać. Ale zostało jeszcze wiele miesięcy szkoły. I muszę zdać egzamin, który nie jest łatwy.

– Dostaniesz się. Zdasz ten egzamin. Z wyróżnieniem. Jestem tego pewny. Oczywiście jeśli tylko będziesz chciała. Córeczko, jeśli zdasz egzaminy, proponuję ci pełne stypendium i otrzymasz najlepsze wykształcenie medyczne, jakie tylko lekarz może zdobyć. Zasługujesz na to.

Marina nie chciała rozmawiać o swoich postępach w nauce ani o swojej przyszłości, ani o niczym, co było związane z tymi wszystkimi pochwałami. Wystarczyło jej, że stoi w milczeniu, przytulona do ojca na tym starym promie, odzyskując utracony czas. Dwa miesiące w roku, które przebywała z ojcem, to było dla niej za mało. Spędzała dziewięć miesięcy oddalona od niego o tysiące kilometrów, a teraz, kiedy dzieliło ich tylko kilka milimetrów, potrzebowała jedynie ciszy, miłości, a nie rozmów na temat jej postępów w nauce. Ale Néstor nie potrafił odgadnąć tego, co czuła, i nadal zadawał pytania o błyskotliwą karierę, która ją czekała.

– Poczekaj, coś ci opowiem... Pamiętasz, jak odwiedziłem cię w zeszłym roku? Przypominasz sobie, że wracałem wtedy z Waszyngtonu, z konferencji medycznej?

Marina przytaknęła, nie patrząc na niego. Dlaczego wreszcie nie przestanie mówić?

– Na kongresie poznałem amerykańskiego ginekologa. Firma farmaceutyczna ulokowała nas w tym samym hotelu i pierwszego wieczoru spotkaliśmy się w piano barze. Cherlawy pianista, bardzo stary i bardzo smutny, grał *Fly Me to the Moon* Franka Sinatry. Néstor uśmiechnął się na to miłe wspomnienie.

– Tato, co chcesz przez to powiedzieć?

– Poczekaj chwilę, nie bądź niecierpliwa. Pianista był żaloszny i ginekolog zwrócił się do mnie: „Nie wiem, czy nie powinienem zapłacić mu za całą noc i poprosić, żeby przestał nas dręczyć”. Zaraz potem podał mi rękę i przedstawił się skromnie. Mówię skromnie, bo wszyscy na kongresie wiedzieliśmy, kim był, światowej sławy ginekologiem... nazywał się Jeremy Sherman. Uprzejmy, trochę starszy ode mnie i, co ciekawe, zakochany w Majorce. Był tu z żoną jeszcze przed ślubem i całkiem możliwe, że jadł *arroz brut*<sup>4</sup> w zajeździe w Valldemossie. Niesłychane, prawda?

Néstor spojrzał na córkę, która nadal stała ze spuszczoną głową, słuchając, choć nie miała na to ochoty.

– Tak więc spędziliśmy resztę tygodnia razem, od odczytu do odczytu. Zaprzyjaźniliśmy się... Pisujemy do siebie regularnie, a na dodatek przysyła mi pisma ginekologiczne, których nie sposób dostać na wyspie. Ten pan, Marino, jest dziekanem Szkoły Medycznej Perelmana. I to nam się przyda, jeśli będziesz chciała tam studiować.

Słuchała ojca, patrząc na morze, spokojne mimo zimy.

– Ostatniego dnia kongresu siedzieliśmy na taboretach niedaleko pianisty, który znów grał *Fly Me to the Moon*... To było żaloszne... Jeremy to przyzwoity facet. Pomoże nam.

Néstor czekał na odpowiedź córki.

– Chcę wrócić na Majorkę, tato. Nie chcę żyć sama siedem tysięcy kilometrów od was. Czy ty tego nie rozumiesz?

Néstor spojrzał bacznie na Marinę, a ona mówiła dalej, usiłując okazać pewność siebie.

– Tato, chcę pracować. Tak jak to robi tylu młodych ludzi, którzy nie chcą dalej studiować.

– Jak możesz rzucić studia? Marino, proszę cię. I gdzie będziesz pracowała? – Nie podniósł głosu, ale córka wyczuła dobrze jej znaną twardą nutę.

Wzięła ojca za rękę, wiedziała, że go rozczarowuje, i było jej przykro. Ale on już zbyt długo decydował o jej życiu i czuła, że mimo swoich szesnastu lat chce być panią własnego losu.

Néstor oparł się o barierkę. Nie rozumiał córki.

– Tato, nie wiem, jak potoczy się moje życie. Ale wiem jedno, chcę wrócić. Chcę wrócić, tato. Tak za wami tęskniłam... tyle samotnych nocy w Stanach. Chcę mieszkać przy tobie, przy babci Nerei, choćby nie wiem jak była niedołączna i już mnie nie poznawała, i przy Annie. To jedyne, czego jestem całkiem pewna. Chcę wrócić.

Mewy nadal krążyły; Marina odniosła wrażenie, że przestały zataczać koła i utworzyły trójkąt. Kucharz z „Sorrento” podszedł do barierki z kawałkiem suchego chleba.

– Czekają na mnie... wiedzą, że ich nie zawiodę – zwrócił się głębokim głosem do Mariny, która obserwowała, jak marynarze odwiązują cumy od nabrzeża Botafort i „Sorrento” kieruje się powoli ku Majorce.

\* \* \*

Anna sądziła, że prom opuścił już port w Barcelonie. Znów zastanowiła się, dlaczego Marina wolała płynąć osiem godzin w zimnie, na tym niewygodnym statku, zamiast polecieć Ryanaiem za sześćdziesiąt euro, połączeniem, które jej wyszukała. Kiedy zobaczyła, jak cieniutka igła z jadem kiełbasianym zbliża się do kącika jej górnej wargi, zapomniała o siostrze. Otworzyła szeroko oczy, obserwując, jak kciuk lekarki powoli wciska tłoczek strzykawki, a mieszanka surowicy i botoksu w proszku obniża się w półprzezroczystym pojemniczku. Było to pierwsze ukłucie z dwudziestu, które ją jeszcze czekały, aby pozbyć się zmarszczek palaczki.

Cuca, bo tak miała na imię chirurg, wyjęła igłę ze skóry. Anna nie poczuła bólu, ale lekko zbladła. Było jej trochę niedobrze. Żeby nie patrzeć na strzykawkę, zaczęła rozglądać się po sterylnym gabinecie. Metalowe pudła, płyny, strzykawki, waciki i duże pojemniki ze spirytusem. Igła ponownie zagłębiła się w skórę. Poczowała zimny pot na dłoniach. Chwyciła się prętów metalowej kozetki, na której spoczywała w półleżącej pozycji. Czując zimny metal w spoconych dłoniach, przypomniała sobie nagle swój strach przed igłami z dzieciństwa. Cofnęła się pamięcią do pewnego wieczoru, miała wtedy nie więcej niż siedem lat. Zobaczyły z Mariną, jak ojciec otwiera czarną walizeczkę pełną igieł, i uciekły do pokoju babci Nerei. Leżały schowane pod łóżkiem, aż Néstor znalazł je pół godziny później i po porządnej

reprimendzie zaszczerpił przeciwko ospie. Anna darła się jak opętana, nie mogąc uwierzyć, że jej młodsza siostra przyjmuje wszystko biernie i że po szczepieniu, bez jednej łzy, wyjmuje strzykawkę ojca z walizeczki i układa je obok siebie.

Poczuła, jak igła wychodzi ze skóry. Zacisnęła zęby. Napięła szczęki. Wacik przykrył małą kropkę krwi wypływającą z wargi. Zwróciła uwagę na rękawiczkę z lateksu przytrzymującą wacik. Westchnęła lekko, usiłując nie poruszyć żadnym mięśniem. Poczuła zimny pot pod pachami i słabość w nogach. Lekarka zabrała lekko poplamiony krwią wacik. Anna dostrzegła krew i zamknęła oczy.

Poprzedniej nocy wpadła na genialny pomysł, aby wejść do komputera córki i wystukać słowo „botoks”. Trzydzieści osiem milionów trafień. Kliknęła na pierwszy link. W tym momencie poczuła drugie ukłucie i tak jakby ekran komputera pod jej powiekami nabrał życia, przypomniała sobie barbarzyństwa, które opowiadano w wirtualnym świecie o *Clostridium botulinum*, bakteriach, które właśnie jej wstrzykiwano. Pierwsze przeczytane zdanie głosiło: „Jeden gram jadu kiełbasianego jest w stanie zabić milion świnek morskich”. Obok tekstu pokazano szereg zdjęć maltretowanych świnek w laboratorium w jakiejś miejscowości w Stanach Zjednoczonych, której nazwy nie podano.

Otworzyła jedno oko. Tylko jedno. Spojrzała bacznie na Cucę, która znów wciskała kciukiem tłoczek strzykawkę.

Jeżeli ta idiotka pomyliła dawkę, zeszywnieję na tej kozetce.

Lekarka, czując, że pacjentka obserwuje ją lewym okiem, odchyliła się.

– Wszystko w porządku? – spytała, odsuwając strzykawkę od jej twarzy.

– Trochę tu gorąco, prawda? – Anna usiadła.

– No, żeby aż gorąco... Nie przypominam sobie równie mroźnej zimy. Ogrzewanie jest nastawione na dwadzieścia sześć stopni. Trochę je zmniejsz, jeśli chcesz.

– Może to menopauza – odpowiedziała, sama dziwiąc się tej nieprzemysłanej odpowiedzi. Brakowało jej jeszcze kilka lat do pięćdziesiątki i nadal miała regularne miesiączki.

– Mogę prosić trochę wody?

Prawdę mówiąc, Cuca była do pewnego stopnia jej przyjaciółką, chyba że udowodniłaby coś przeciwnego. Obie uczęszczały do szkoły San Cayetano. Cuca była o dwa lata młodsza i chodziła do tej samej klasy co Marina. Poza tym Curro, mąż Cuki, znany na Majorce notariusz i członek założyciel J&C Baker, budzącej postrach kancelarii adwokackiej, oraz Armando, mąż Anny, też byli kolegami z dzieciństwa i członkami Jachtklubu Królewskiego w Palmie. W lecie obydwu małżeństwa wypływały razem w morze. Raz łodzią jednych, a raz drugich. Poza tym Cuca i Anna spotykały się na kolacjach organizowanych przez klub dla swoich członkiń, podczas których panie zawierały przyjaźnie, rozmawiały o dzieciach, mężach i zmarszczkach.

Cuca podała jej szklanek wody.

– Wczoraj poczytałam o tym, co mi wstrzykujesz. – Niepotrzebnie wskazała na strzykawkę. – Piszą tyle bzdur! Przeczytałam, że jad kiełbasiany jest trzydzieści milionów razy bardziej śmiertelny od jadu żmii i że Al-Kaida produkuje go jako broń masowego rażenia.

– Co ty mówisz? – powiedziała Cuca, opierając się o stół.

– Nie można czytać tego, co jest w internecie – kontynuowała Anna po wypiciu wody – wypisują tyle głupstw. Ale jednak straszą człowieka. A teraz może się okazać, że przez usunięcie kilku zmarszczek mogę skończyć, wachając kwiatki od spodu.

Jej słowa potwierdziły to, co Cuca od dawna sądziła o swojej przyjaciółce: nie dość, że jest naiwna, to jeszcze głupia.

Jakieś dwa lata wcześniej Cuca, leżąc w stroju topless na jachcie swego męża i przeglądając pismo „Naturaleza y Vida”, przeczytała, że jad kiełbasiany był stosowany do produkcji broni masowego rażenia i że został zabroniony przez protokół genewski. Ten artykuł z gatunku letniej fantastyki naukowej raczej ją rozśmieszył, nie obchodziły jej skutki uboczne stosowania jadu kiełbasianego. Było dla niej całkiem jasne, że nie chce więcej pracować za marną pensję jako lekarz w placówkach państwowej służby zdrowia. Za dużo dyżurów w Szpitalu Uniwersyteckim Son Dureta, za wielu pacjentów i zbyt wiele lat z pensją poniżej dwóch tysięcy euro miesięcznie. Tak więc dzięki *Clostridium botulinum* założyła własną klinikę, a co ważniejsze, mogła zmienić swoją starą sześciometrową łódkę na trzydziestopięciometrowy jacht. Takie przyjaciółki miała Anna.

– Chcesz, żebyśmy dokończyły jutro?

– Nie, nie – odparła, znów kładąc się na kozetce. – Po prostu jestem strachliwa. Nie masz ibuprofenu?

Cuca, nieco zirytowana, odwróciła się i otworzyła szafę pełną buteleczek. Wyjęła sześćsetmiligramową tabletkę i podała przyjaciółce.

– Nie mam już wody – stwierdziła Anna, uśmiechając się nieśmiało.

Cuca znów napełniła szklanek, prawie żałując, że zaproponowała Annie zniżkę ze względu na łączącą je przyjaźń.

Anna wypła wodę i oddała szklanek.

– Nastawię ci muzykę, to cię rozluźni.

Oczywiście lekarka nie myślała o pacjentce, tylko o sobie. Musiała posłuchać muzyki relaksacyjnej, tej, która towarzyszyła jej każdego popołudnia w ośrodku Kundalini Yoga Mallorca. Razem z innymi kobietami w średnim wieku wykonywała polecenia Carlosa Shankara Awhita, a tak naprawdę bezczelnego Carlosa Fernándeza Fernándeza, który rokrocznie wyjeżdżał do aśramy w Indiach, co pozwoliło mu otworzyć własną szkołę, i z którym, tak na marginesie, Cuca chodziła czasem do łóżka.

Dźwięki sitara ustąpiły miejsca muzyce relaksacyjnej. Sześćset miligramów ibuprofenu zaczęło działać.

\* \* \*

Karta kredytowa Anny przesunęła się przez terminal płatniczy w gabinecie Cuki. Przypomniała sobie, że ma jeszcze wiele rzeczy do zrobienia przed przyjazdem Mariny. Pójść do supermarketu po świeżą rybę, do kwiaciarni po bukiet suchej lawendy, do pralni, żeby odebrać garnitury męża, odebrać Anitę ze szkoły i to, co najbardziej ją stresowało, przygotować sypialnię Mariny. Dała precyzyjne instrukcje służącej u niej Filipince, jak sprzątnąć pokój, ale chciała jeszcze wszystko sprawdzić przed przyjazdem siostry.

Do gabinetu weszła siedemdziesięcioletnia kobieta. Nadmiar botoksu sprawił, że miała zbyt szeroko otwarte oczy, zbyt nabrzmiałe usta, a czoło zbyt gładkie. Ale sądząc po tym, jak się nosiła, uważała, że wygląda pięknie. Anna przyrzekła sobie, że nigdy nie straci głowy i nie zmieni się w taką szkaradę z oczami labraksa.

Terminal wydał przeciągły gwizd.

– Jest odmowa – poinformowała ją asystentka, żując gumę.

– Jak to odmowa?

Asystentka pokiwała głową.

– Pewnie jest jakiś kłopot z terminalem – zasugerowała trochę nerwowo Anna.

Był pierwszy lutego. Bank miał dyspozycję przelewu z konta męża na jej konto. To musiała być pomyłka.

– Dziś rano używałyśmy terminalu kilka razy, bez żadnego problemu – oświadczyła asystentka. – Nie mogłaby pani zapłacić gotówką?

– Nie. Nie mam w zwyczaju nosić przy sobie gotówki – odpowiedziała nieco zawstydzona, zerkając na wpatrującą się w nią siedemdziesięciolatkę.

– Proszę chwilę poczekać. – Asystentka wyszła zza biurka, zrobiła balonik z gumy i zapukała do gabinetu, gdzie Cuca odmładzała kolejną pacjentkę.

Anna wyjęła swoją komórkę od Louisa Vuittona i zadzwoniła do męża. Może chodziło o jakiś błąd bankowy? Wiedziała, że mąż nie odbierze, ale poczekała z telefonem przy uchu... na wszelki wypadek. Spojrzała w stronę gabinetu Cuki i znów na labraksa. Spróbowała jeszcze raz. Bez skutku.

Wkładając telefon do torebki, pomyślała o cudownym spadku, który dosłownie spadł jej z nieba. Już nigdy więcej nie spotka jej takie poniżenie. Co za wstyd!

Ujrzała zbliżającą się do niej Cucę.

– Przykro mi... coś musi być nie tak z kartą.

– Oddasz przy okazji najbliższej kolacji w klubie. – Cuca zawahała się. – Albo kiedy ci będzie wygodnie. Nie ma pośpiechu.

Anna zorientowała się po wahaniu przyjaciółki, że ta coś wie o ich sytuacji finansowej. To było oczywiste. Curro zajmował się sprawami prawnymi Armanda, ale one nigdy na ten temat nie rozmawiała, więc jeszcze bardziej się zawstydziła.



- Dziś po południu na pewno ci oddam.
- Nie przejmuj się, naprawdę, zapłacisz mi, kiedy ci będzie wygodnie, możemy sobie zaufać, jesteśmy przyjaciółkami.

## RODZINA ALBO CYTRYNOWY CHLEBEK Z MAKIEM

### SKŁADNIKI

skórka starta z dwóch cytryn, z drzewka babci Nerei  
30 g maku  
350 g mąki z pełnego przemiału  
200 g brązowego cukru  
250 ml pełnotłustego mleka  
200 g masła  
3 jajka  
opakowanie drożdży w proszku  
łyżeczka soli

### PRZYGOTOWANIE

Wymieszaj mąkę, drożdże i sól. Ubij osobno jajka z brązowym cukrem i startą skórką, a następnie wlej mleko. Roztop masło na małym ogniu i dolewaj powoli do masy z jajek, jednocześnie ubijając. Kiedy masa stanie się jednolita, dodaj ją do mieszanki mąki, drożdży i soli. Na koniec wsyp mak i dokładnie wymieszaj. Wstaw do piekarnika uprzednio rozgrzanego do temperatury 180°C i piecz godzinę.

\* \* \*

Imelda była świadoma doniosłości wizyty siostry swojej pani i sprawdziła wszystko jak najdokładniej. Niewiele o niej słyszała. Wiedziała, że ma na imię Marina, że mieszka w Afryce i jest lekarką. Czasami, podczas świąt Bożego Narodzenia, jej pani wspominała, że cieszyłaby się, gdyby Marina z nimi tutaj była, ale nikt z rodziny nie podejmował tematu.

Przesunęła dłonią po grubym pledzie z białej wełny przykrywającym łóżko w pokoju gościnnym. Naciągnęła lniane prześcieradła i, tak jak przykazała pani Anna, wyłożyła wierzchnie prześcieradło na pled, aby było widać wyhaftowane niebieską nicią litery N&A.

Tydzień wcześniej pani poprosiła ją, żeby zniosła ze strychu plastikowe pudło ze starymi prześcieradłami. Pożółkły nieco, ale pani nie chciała ich prać w pralce. Poleciała wygotować je i zostawić na słońcu przez dwa dni. „Żadnych detergentów ani bielinki, odbarwiłyby niebieski haft”. Filipinka przyjrzała się im z zadowoleniem. Były bielusienkie. Niebieski kolor inicjałów nie wyblakł, a tego pani obawiała się najbardziej. Przesunęła palcami po literze N, od imienia Néstor, i po literze A, od

imienia jego żony Any de Vilallonga, rodziców Anny i Mariny. Inicjały wyhaftowała dla swego syna i synowej babcia Nerea. Te stare prześcieradła jak i dom były częścią wyprawy, którą w dniu ślubu ofiarowała swemu synowi Néstorowi i którą on miał pozostawić w spadku obu córkom.

Pokoik, który właśnie sprzątała, wydał się Imeldzie najładniejszy w całej rezydencji, choć w czasie czternastu lat jej pracy tutaj ani razu go nie używano. Stanowił małą oazę w dusznej atmosferze tego przeładowanego domu. Reszta pomieszczeń była wypełniona przedmiotami, które musiała dokładnie czyścić. Natomiast ta mała biała sypialnia bez dekoracji, praktycznie pusta, była przytulna i emanowała spokojem. Obok łóżka stał drewniany stoliczek z lampą z motywami morskimi, a u stóp łóżka imponujących rozmiarów drewniany kufer. Wydał się Imeldzie bardzo stary i przypominał jej skrzynie filipińskich marynarzy.

Pierwszego dnia pracy Imeldy pani kazała jej zabrać kufer z piwnicy i postawić w tym pokoju. Imelda próbowała zrobić to sama, ale był za ciężki, więc wniosły go na górę we dwie, używając zardzewiałego wózka. Pani Anna nauczyła ją wycierać kufer suchą szmatką i preparatem na korniki, po który pojechały do sklepu z narzędziami w Palmie.

Imeldę dziwiło, że musi sprzątać codziennie cały dom, swoją sypialnię, pokój córki, kuchnię i łazienki, natomiast nieużywany pokój gościnny ma sprzątać tylko raz na miesiąc – poza starym kufrem, który miała obowiązek czyścić codziennie. I tak robiła przez czternaście lat, mieszkając w owym domu i pracując jako służąca. O ile było jej wiadomo, w tym czasie nikt tej skrzyni nie otwierał. Była ciekawa, co się znajduje w środku, ale typowa dla kultury filipińskiej dyskrecja nie pozwoliła jej tam zajrzeć.

Spryskała płynem do mycia szyb weneckie okno. Wycierając je, spojrzała na morze, na nieskończone morze, którego wody, jak wierzyła, opływały kiedyś brzegi rzeki Pasig, gdzie spędziła część życia. Rzeki mającej ujście u stóp Manili. Tam czternaście lat temu zostawiła córkę pod opieką swojej matki. Imelda wyemigrowała do Hiszpanii, chcąc zapewnić lepsze życie czteroletniej córeczce. Miała szczęście, jak powiedziały jej inne Filipinki zatrudnione na wyspie, bo ledwie przybyła, znalazła pracę w domu państwa García Vega.

Pani Anna właśnie urodziła i potrzebowała pomocy przy sprzątanu domu, a przede wszystkim przy opiece nad nowo narodzoną córeczką. I tym zajęła się Imelda. Odkąd nastąpiła w domu, opiekowała się tym cudzym dzieckiem jak własnym. Jakby to ona ją wydała na świat, jakby chodziło o jej córkę. Po czternastu latach Imelda nadal zajmowała się domem, ścieląc łóżka, ścierając kurze, myjąc łazienki i śpiąc pod tym samym dachem co rodzina, do której nie należała. Od poniedziałku do soboty, mając wolne w czwartek po południu i w niedzielę. Z rodziną, która nawet nie znała imienia jej córki wciąż czekającej cierpliwie na matkę nad brzegiem rzeki Pasig.

Klakson samochodu pani zabrzmiał dwa razy.

\* \* \*

Anna otworzyła maskę swojego kabrioletu bmw w kolorze niebieski metalik, którym przemierzała wyspę we wszystkich kierunkach. Dom, gdzie mieszkała, znajdował się kilka kilometrów od centrum Palmy, w dzielnicy Son Vida, i był odizolowany. Z powodu słabo rozbudowanej na wyspie sieci transportu publicznego była to trasa, którą pokonywała codziennie samochodem, wypełniając obowiązki matki i żony.

– Jakie małe zakupy zrobiła pani dzisiaj, pani Anno – powiedziała Imelda, wyjmując z bagażnika torbę pachnącą rybami.

– Miałam dużo spraw do załatwienia i zabrakło mi czasu – skłamała.

Po incydencie z kartą kredytową wyszła z kliniki medycyny estetycznej i wyjąwszy wytartą portmonetkę od Louisa Vuittona, upewniła się, że ma jeszcze dwa banknoty po dwadzieścia euro i trochę drobnych. Nie wystarczyły, aby zapłacić za zabieg, ale mogła kupić za nie rybę na targu.

Dla zabicia czasu pochodziła po modnych sklepach na placu Weiler i w alei Jaime III, czekając, aż będą zamykać targ, bo wtedy sprzedawczynie obniżały ceny, aby nie zmarnować świeżej ryby. Zazwyczaj tak robiła, gdy na koncie prawie nic nie miała. Ale ta sytuacja wreszcie się skończy. Jej mąż, jak na dobrego spekulanta przystało, znajdzie nabywcę na ten błogosławiony spadek, który im spadł z nieba.

– Moja siostra przyjedzie około ósmej. Nie dzwoniła? – spytała Imeldę i zamknąwszy bagażnik, weszła do domu po schodach przez garaż.

– Nie, proszę pani, nikt nie dzwonił.

– Mamy jeszcze ziemniaki, prawda?

– Tak, proszę pani.

Poszły prosto do salonu. Było to pomieszczenie w stylu francuskim, z akcentami rokoko. Anna i jej matka urządziły je przed ślubem, wzorując się na publikowanych w piśmie „HOLA!” zdjęciach z rezydencji należących do hiszpańskiej elity. Wybrały szary kolor ścian i perłowe odcienie mebli. Królowała tu skórzana kanapa. Naprzeciwko kanapy stała drewniana komoda z ubiegłego wieku, prezent od teściowej. Obok znajdowała się biblioteka z mahoniem, którą zdobiły stare woluminy, nigdy nieczytane, a także figurki i bibeloty od Lladró i pamiątki przywiezione z podróży organizowanych przez biuro Halcón Viajes: chiński wazon, tybetański Budda, japoński bęben i aztecka maska. Ostatnim przedmiotem, najbardziej eleganckim w tym przeładowanym salonie, był stojący przed wielką plazmą szezlong obity skórą lamparta, na którym Anna odbywała krótkie sjesty przed wyjazdem po córkę Anitę do San Cayetano.

Anna zdjęła płaszcz i rzuciła na kanapę. Wzięła do ręki pilota i położyła się na szezlongu.

Wiadomości już się zaczęły. Nic nowego. Wojny, śmierć i głód.

Imelda podeszła do swojej pani, postawiła jej na kolanach tacę z talerzem zielonej fasolki szparagowej z ziemniakami i wróciła do kuchni. Nałożyła sobie to samo i usiadła przy stole kuchennym tak, aby widzieć ekran telewizora w salonie.

– Imeldo, ziemniaki są twarde. Mówiłam już, że trzeba je gotować w osobnym garnku. – Anna zwróciła się do niej trochę głośniejszym, bezceremonialnym, nie odwracającym się w stronę kobiety, ale bez wyrzutu w głosie, jak gdyby to była kolejna z wielu rozmów, które prowadziła ze służącą od czternastu lat.

– Zrobiłam, jak mi pani kazała – odpowiedziała służąca, jakby powtarzała litanię.

– W takim razie proszę gotować je dłużej... a teraz poproszę o sól.

Imelda wstała, poszła do salonu i podała solniczkę. Wróciła do kuchni. Usiadła do stołu i zabrała się z powrotem do jedzenia, oglądając z daleka wiadomości.

Najpierw informacje krajowe. Inflacja, bezrobocie, niezadowolenie społeczne, ale wiadomość, która sprawiła, że Anna przestała rozgniatać niedogotowane ziemniaki, dotyczyła wykrycia przypadku korupcji na Majorce. Operacja policyjna nosiła kryptonim „Makijaż”. Mimo że dziennikarka nie wyjaśniła, dlaczego nadano jej tak dziwną nazwę, Anna doskonale wiedziała, o kogo chodzi. Domniemana winna popełnienia przestępstwa podatkowego, malwersacji publicznych pieniędzy, uchybienia swoim obowiązkom i dokonywania nadużyć wobec administracji publicznej była stałą klientką kliniki Cuki, osobą, która wyjmowała ze swojej kosmetyczki Loewe wyłącznie kremy Shiseido, tusz do rzęs Yves’a Saint Laurenta, szminki Diora i serum z kawioru. Była też dobrą znajomą męża Anny. Kilkakrotnie poprawiały sobie jednocześnie makijaż w toalecie jachtklubu w Palmie. Majorka była niewielką wyspą.

Anna dalej jadła spokojnie, słuchając kolejnych męczących wiadomości o przypadkach korupcji politycznej w Hiszpanii, aż wreszcie zaczęły się informacje ze świata. Codziennie niecierpliwie oczekiwała wiadomości z Afryki. Było jej obojętne, o jaką wojnę chodzi i czy kolejna susza ogarnęła ten ogromny, niedaleki kontynent. Słuchała uważnie, czując się dumna, że tam żyła jej młodsza siostra, niosąc pomoc innym ludziom.

Sześćset miligramów ibuprofenu, które wzięła przed kilkoma godzinami, uspiło ją, zanim w prognozie pogody zapowiedziano zbliżającą się do wyspy wicherę.

Imelda skończyła obiad. Weszła do salonu i wyłączyła telewizor. Przykryła swoją panią kocem. Zabrała tacę i wróciła do kuchni. Umyła talerze. Wytarła je i odstawiła do kredensu.

Pani prosiła ją, aby nakryła w salonie do kolacji z siostrą. Było to nietypowe, bo do stołu nakrywano wyłącznie w niedzielę; w ciągu tygodnia rodzina jadła na tacach przed telewizorem.

Imelda wyjęła biały, lniany obrus, porcelanowe talerze i srebrne sztucce. Po cichu, aby nie obudzić pani, nakryła stół obrusem i rozłożyła talerze i sztucce. Potem poszła do swojego pokoju. Musiała się przygotować, bo tego dnia miała ważne spotkanie

w śródmieściu.

Półtorej godziny później obie wsiadły do bmw. Imelda rozpuściła włosy, była dyskretnie umalowana i miała na sobie nowy, czarny płaszcz z samodziału. W czarnym płaszczu, bez klasycznego uniformu służącej w bladuróżowe prążki, który nosiła na co dzień, była inną kobietą.

– Jak ładnie dziś wyglądasz, Imeldo. W tym płaszczu jest ci do twarzy – powiedziała szczerze Anna.

– Dziękuję pani. Dziś są urodziny mojej córki. Kończy siedemnaście lat.

– Ach, tak? Użyłaś też nowych perfum – dodała Anna.

Filipinka przytaknęła z uśmiechem.

Kwadrans później Anna wysadziła Imeldę przed Sai Baba Telecom, obskurnie wyglądającą rozmównicą telefoniczną w centrum Palmy, prowadzoną przez dziwnego Pakistańczyka. Na oknie wisiały plakaty niezliczonych operatorów telefonicznych, dzięki którym można było zadzwonić dokądkolwiek na świecie za wyjątkowo niską cenę. W pomieszczeniu stał długi rząd komputerów, a przed nimi dziesięć malutkich kabin z telefonem i taboretami. Stąd odświeżona i ubrana Imelda, pachnąca słodkawą wodą kolońską, telefonowała do córki, aby jej złożyć życzenia urodzinowe.

\* \* \*

Anna zaparkowała bmw blisko głównego wejścia do szkoły San Cayetano. Zostawiła włączone ogrzewanie. Cuca miała rację, była to jedna z najostrejszych zim ostatnich dziesięciu lat.

Spostrzegła grupkę matek wesoło rozmawiających przed wejściem. Mimo że nakłucia botoksem były prawie niedostrzegalne, wolała nie wysiadać z samochodu. Aby nie napotkać wzroku żadnej z kobiet, wyjęła telefon z torebki i zaczęła go przeglądać.

Wiedziała, że nie ma żadnej wiadomości, ale pomyślała, że Marina powinna była zadzwonić, powiedzieć, że już jest w Barcelonie, że wsiada na prom. W e-mailu, który jej przysłała przed tygodniem, napisała: „Przyślę promem 1 lutego o ósmej wieczorem. Zadzwonię, kiedy będę na miejscu”.

Ksiądz otworzył bramę San Cayetano. Najpierw wyszły najmłodsze dzieci. Dziewczynki w granatowych spódniczkach, dopasowanych kolorystycznie rajstopach i niebieskich blezerach, a chłopcy w podobnych blezerach i granatowych, prostych, flanelowych spodniach. Były to takie same mundurki, jakie nosiły z siostrą przed trzydziestoma laty. Obserwowała wychodzące piętnastolatki z klasy córki, większość dziewcząt była w za krótkich spódniczkach, przemarznięta, bez płaszcza. Miały niedbale przewieszane przez ramię plecaki i chowały się za długimi włosami. Najbardziej śmiało zapalały papierosa, nie bojąc się, że ktoś je zobaczy. Inne

flirtowały z chłopakami ze starszych klas.

Była to szkoła dla dzieci z uprzywilejowanej warstwy społecznej na Majorce, i to dało się zauważyć. Wszyscy zdawali się mieć szczęśliwe i radosne życie. Życie w dostatku. Zazwyczaj Anna wdawała się w rozmowę z innymi matkami o egzaminach, zajęciach pozaszkolnych, trójjęzyczności na lekcjach, zmaganiach komitetu rodzicielskiego. To były tematy rozmów każdego popołudnia, odkąd, czyli od trzeciego roku życia, Anita zaczęła uczęszczać do San Cayetano. Innych tematów nie było. Anna miałaby ochotę poznać bliżej niektóre z mam, ale z żadną nie udało jej się tak naprawdę zaprzyjaźnić. Nie ufała nikomu. Tym bardziej że, choć nie należała do matek udzielających się w szkole, zawsze docierały do niej wszelkie plotki. Nie miała więc ochoty, aby jej sprawy osobiste znalazły się na językach wszystkich. „Trzeba zachowywać pozory, córko. Słuchać, widzieć i milczeć”. Było to jedno z tych zwięzłych zdań matki, które wryło się jej w pamięć.

Wreszcie wyszła Anita, jak zwykle sama, bez tak potrzebnego w tym wieku towarzystwa nastolatek. Szła ze spuszczoną głową, chowając się w grubej kurtce, przekonana, że się ukrywa przed wzrokiem innych. Anita nie odziedziczyła nic z wyglądu matki. Genetyka sprawiła, że córka odziedziczyła większość cech po ojcu. Była masywna i silna jak on. Miała szerokie biodra i ramiona, mocną budowę, a na dodatek wydawała się dwa razy większa z powodu tych wszystkich warstw ubrań, które na siebie wkładała. A ponieważ od ósmego roku życia uparła się, że będzie pływać, rozrosła się w plecach.

– Powinniśmy nazwać naszą córkę nie Anita, tylko Anisko – zażartował Armando któregoś wieczoru podczas kolacji charytatywnej w Jachtklubie Królewskim w Palmie.

A potem, ku uciesze biesiadników, opowiedział, jak Anita, mając pięć lat, znalazła pod choinką kostium baletowy, tutu, getry i żakiecik, wszystko w różowym kolorze. Wzięła strój i kładąc go na kolanach matki, powiedziała (żeby było śmieszniej, Armando naśladował sepleniący głos dziecka):

– *Ezto ez una mierda. To jeś gófno.*

Goście wybuchnęli gromkim śmiechem, jak zwykle w towarzystwie sympatycznego i elokwentnego Armanda. Wszyscy zrywali boki, z wyjątkiem oczywiście jego żony, która się skrzywiła, bo toporny i męski wygląd córki wcale jej nie bawił.

Armando nie wiedział, i w związku z tym nie mógł opowiedzieć przyjaciółom z jachtklubu tego, że Anna zignorowała niechęć córki i przekupiwszy ją cukierkami, ubrała na pierwszą lekcję baletu. Ponieważ mała nie wiedziała, dokąd idzie, ufnie weszła do sali, w której dwadzieścia innych dziewczynek, też w różowych tutu, robiło *relevé*, naśladując chudą trzydziestolatkę.

W dniu, w którym miała się odbyć druga lekcja, po zjedzeniu pięciu cukierków, Anita tuż przy wejściu do szkoły baletowej objęła z całych sił latarnię i oświadczyła, że nigdy więcej nie wejdzie do tego okropnego miejsca. Matka nakazała jej, żeby nie

robiła głupstw i puściła latarnię. Dziewczynka jeszcze mocniej przywarła do żelaznej rury, błagając matkę, by wróciły do domu. Tłumaczyła, że dużo czasu spędziła w szkole i jest zmęczona, i że balet jej się nie podoba. Ale Anna uparła się, że córka nauczy się tańczyć. Był to dobry sposób, aby stała się bardziej kobieca i poruszała się z większym wdziękiem. Poza tym Anna opłaciła już wpisowe i należność za cały semestr.

Podarowała dziecku całe opakowanie cukierków, kupiła truskawkowe okrągłe lizaki z gumą w środku i węże o smaku coca-coli obsypane dużą ilością cukru. Ale Anita odmówiła. „Nie chcę, nie i nie”. Matka spróbowała oderwać jej rękę od latarni, ale dziewczynka wyrwała się i znów uczepiła rury. Bardzo rozgniewana Anna znów chwyciła ją za rękę. Anita, cała spocona, wybuchnęła płaczem, trzymając się drugą ręką latarni. Pod jej nosem wisały smarki i bardziej przypominała dziką dziewczynkę uczepioną drzewa nad Amazonką niż pulchną panienkę z wyższych sfer, która zaraz wejdzie do prestiżowej szkoły baletowej. Inne matki, odprowadzające swoje posłuszne córki z równiutko upiętymi w koczki włosami, przyglądały się im, przechodząc, i udawały spokój, choć tak naprawdę były zbulwersowane.

– Niech pani uważa, żeby dziecka nie poraził prąd – powiedziała jakaś starsza pani, prowadząc swoją wnuczkę za rękę.

– Jak to poraził prąd? – spytała zaniepokojona Anna.

– Wczoraj wybuchła latarnia w Sölller, wie pani, przez te deszcze. Te latarnie są bardzo stare – mówiła nieskładnie kobieta.

– Ależ co pani mówi – odparła Anna, na wpół dając się zasugerować starej kobiecie i nadal zmagając się z córką.

– No bo ta dziewczynka tak się poci – dokończyła starsza pani, znikając za drzwiami szkoły.

I tak rozmowa o krótkich spięciach w instalacji oświetleniowej na Majorce zakończyła przygodę Anity ze światem tańca. Trzy lata później z własnej woli poprosiła matkę, aby ją zapisała na lekcje pływania. I odtąd trenowała dzień w dzień, przez cały tydzień.

Była pewna cecha, którą Anita odziedziczyła po rodzinie Vega. Miała oczy o pięknym kolorze orzechów laskowych, jak oczy dziadka Néstora, matki i ciotki Mariny. Jednak Anita nie tylko się nimi nie chwaliła, ale ukrywała je pod grzywką, którą sama sobie krzywo przycinała.

Teraz z ociąganiem podeszła do samochodu. Otworzyła drzwi i nie patrząc na matkę, ledwo skinęła głową na powitanie.

– Jak ci minął dzień, kochanie?

Trzaśnięcie drzwiami.

– Jak zwykle.

Anita wyciągnęła rękę do tablicy rozdzielczej, bez pytania wyłączyła ogrzewanie i niechętnie zdjęła kurtkę.



Anna przyśpieszyła, żegnając kiwnięciem ręki dwie matki, które wesoło rozprawiały ze swoimi córkami.

– Jak tam klasówka z matmy, kochanie? – spytała spokojnie.

– Nie wiem. Nie podali mi stopnia, to chyba oczywiste. Miałam ją dzisiaj.

– Tak, ale czy dobrze ci poszło?

Anita wzruszyła ramionami i uniosła brwi.

– Włożyłam ci kanapkę do torby na basen.

– Nie jestem głodna.

Resztę drogi przejechały niemal w milczeniu.

– Gdybyś mi kupiła skuter, o który cię proszę od roku, nie musiałabyś robić codziennie za szofera.

Anna nie miała zamiaru wdawać się w dyskusję. Już tyle razy o tym rozmawiały. Pięć minut później wjechały na teren ośrodka sportowego. Kiedy Anna zaparkowała, Anita wzięła torbę z tylnego siedzenia.

– Bądź punktualna, proszę cię, dziś wieczorem przyjeżdża ciotka Marina.

– Tak, mam. Mówiłaś mi już to dziś rano – odpowiedziała, otwierając drzwi.

– Tak, to prawda. Zapo...

Trzaśnięcie drzwiami.

Anna popatrzyła za córką. Szła zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Była tak mało kobieca... Próbowwała zabierać ją na zakupy, tak jak to czyniły inne matki ze swoimi dorastającymi córkami. Córka Cuki uwielbiała wyprawy na zakupy. Dwa razy do roku, na początku sezonów zimowego i letniego, kupowały bilety Vueling Airlines do Madrytu, aby buszować po sklepach znanych marek w dzielnicy Salamanca i po sklepach vintage w dzielnicy Malasaña.

Anicie wystarczały ciemne spodnie od dresu z białym lampasem i bluzy z kapturem, które kupowała na drugim piętrze sklepu Alcampo.

Anna próbowała zabrać córkę do swojej fryzjerki. Niestety dziewczyna uparła się, że sama będzie się strzygła na pazia, w którym było jej wyjątkowo nie do twarzy.

Próbowała także umówić ją na wizytę do swojej kosmetyczki, żeby usunąć typowe dla wieku dojrzewania zaskórniki, ale Anita nie zgodziła się, aby ktokolwiek dotykał jej twarzy.

Próbowała nauczyć ją ładnie chodzić, żeby dziewczyna pozbyła się chodu gruboskórnego zwierza. Efekt był taki, że Anita odwróciła się do matki plecami, kiedy ta spróbowała jej wytłumaczyć, że powinna najpierw postawić na ziemi palce, zanim oprze całą stopę.

Próbowała nauczyć ją, jak pozować do zdjęć, podnosząc wzrok, a jednocześnie opuszczając brodę, tak jak to robiła celebrytka Presley i jej wytworne córki. Anita, oglądając zdjęcia w piśmie „HOLA!”, które matka położyła jej na kolanach, aby ta nauczyła się takiej postawy, spytała ją, dosłownie, czy pali jointy.

Spróbowała nauczyć ją, żeby się uśmiechała, nie gestykulowała, mówiąc, nie używała słowa „dobra”, żeby okazywała wdzięczność. Jednym słowem, żeby zachowywała się z klasą.

– Ważne jest mieć klasę. Z klasą się rodzisz, ale też się jej uczysz, córko. – Było to kolejne ze zdań, które zwykła powtarzać jej matka.

Ale Anita odmawiała robienia czegokolwiek, co pochodziło od matki. Za żadne skarby nie chciała być podobna do niej ani do żadnej z jej popleczniczek z jachtklubu w Palmie.

Gruboskórzec zbliżał się do budynku, w którym mieścił się basen miejski. Anna zauważyła, że córka wkłada rękę do torby. Doskonale wiedziała, czego tam szuka: kanapki. Anita wyjęła bułkę owiniętą przez Imeldę w srebrną folię. Rozwinęła ją, zrobiła kulkę z folii, podniosła rękę i rzuciła do kosza na śmieci znajdującego się w odległości ponad trzech metrów. Kosz! Przyjrzała się kanapce z ulubioną sobrasadą i jednym kęsem pochłonęła połowę.

– Anisko – westchnęła Anna, przekręcając kluczyk w stacyjce.

\* \* \*

Kostium kąpielowy, ręcznik, bluzka, spódniczka od mundurka i rajstopy obracały się w bębnie pralki.

Anita wzięła sobrasadę wiszącą na metalowym pręcie w kuchni. W tym momencie weszła Imelda.

– Cześć, Imeldo – powiedziała łagodnie.

– Czy mogę ci w czymś pomóc? Mam pokroić chleb? – spytała Filipinka.

W jej głosie zabrzmiał smutek, którego Anita oczywiście nie wyczuła.

– Nie, dziękuję. Poczekał do kolacji z ciotką. Ale muszę coś przekąsić, umieram z głodu. Dziś przepłynęłam prawie sto basenów – przypomniała sobie. – Co będzie na kolację?

– Labraks z pieczonymi ziemniakami.

Anita skrzywiła się, rozśmieszając tym Imeldę, która wiedziała, że dziewczyna od dzieciństwa nie znosi ryb. Kiedy była mała, Imelda próbowała setki razy namówić ją do zjedzenia przecieru z jakąś rybą, ale włożenie jej łyżeczki do buzi było prawdziwą męką. Papki lądowały na podłodze, w koszu na śmieci albo na uniformie w bladoróżowe prążki. W wieku trzech lat Anita odkryła wędlinę camaiot, sobrasadę, kizkę i dobry ser i tymi przysmakami się odżywiała.

– W takim razie... tak, zjem kiełbasę z kromką chleba.

Imelda otworzyła pojemnik na pieczywo. Została tylko bagietka ze śniadania.

– Imeldo, sama sobie przygotuję.

Anita nie pozwalała, aby Imelda ją wyręczała. Sama prała swoje ubrania. Ścieliła

łóżko. Sprzątała po sobie łazienkę i rozwieszała mokre ręczniki w suszarni. Imelda odkurzała codziennie jej pokój z polecenia pani, ale tak naprawdę nie było to konieczne.

Dziewczyna przekroiła bagietkę na pół.

Imelda wzięła pomidora z pręta, na którym wisiały kiełbasy, i go przekroiła. Wyjęła z szafy oliwę z oliwek i sól.

– Też ci przygotować? – spytała Anita.

Imelda się zawahała. Już jadła kolację, ale po tylu latach na Majorce polubiła *pa amb oli con tomàtiga de ramellet*<sup>5</sup>.

Usiadły, aby się posilić. Podczas gdy one jadły, Anna sprawdzała pokój, w którym miała spać Marina. Przesunęła dłonią po białym pledzie z kaszmiru i bawełny, mimo że nie było na nim żadnej zmarszczki. Naciągnęła bardziej prześcieradła i odsunęła poduszki, aby lepiej było widać inicjały N&A. Uśmiechnęła się do siebie: to było łóżko, pod którym schowały się z Mariną, żeby nie dać się zaszcześcić przeciwko ospie. Wzięła do ręki jasnoliliowy bukiet suchej lawendy kupiony tego ranka i położyła go ostrożnie na starym kufrze marynarskim.

Jej zegarek wskazywał siódmą pięćdziesiąt pięć.

Marina zaraz zejdzie na ląd.

Anna wyjęła telefon komórkowy z tylnej kieszeni dzinsów. Sprawdziła, czy jest włączony. Miała go od czterech lat i do tej pory działał niezawodnie.

Po raz ostatni rozejrzała się po pokoju. Zamknęła za sobą drzwi i poszła korytarzem do swojej sypialni. Przeszła przez pokój do łazienki. Spojrzała w lustro. Podeszła bliżej, żeby sprawdzić, czy botoks już zadziałał. Żadnego efektu. „Trzy dni”, powiedziała Cuca. Nie mogła jeszcze używać podkładu, ale mogła umalować lekko oczy. Wyjęła z kosmetyczki maskarę. Potrząsnęła opakowaniem, bo tusz się kończył. Kręcąc szczoteczką, wyjęła resztkę tuszu. Uważnie rozprowadziła go po rzęsach. Pomyślała, że pierwsze, co zrobi po otrzymaniu spadku, to kupi sobie tusz do rzęs Yves’a Saint Laurenta, ten sam, który jej pożyczyła skorumpowana polityk w toalecie jachtklubu w Palmie. Pociągnęła po ustach nabłyszczającym balsamem kakaowym w sztyfcie. Z małego pudełeczka wyjęła klasyczne kolczyki z okrągłymi perłami. Założyła je. Przeciągnęła szczotką po włosach i znów spojrzała w lustro. Była gotowa. Czowała się szczęśliwa, że znów zobaczy siostrę. Naprawdę, była szczęśliwa. Niepokoilo ją tylko spotkanie Armanda i Mariny. Jej mąż był dowcipny i uwodzicielski poza domem, ale kiedy przekraczał jego próg, do głosu dochodził dominujący charakter i przesadnie aktorski sposób bycia. Marina dobrze o tym wiedziała. Anna nie wytrzymałaby po raz drugi tej strasznej kłótni, która wybuchła między jej siostrą a mężem. Ale chwala Bogu, czas leczy rany i teraz pragnęła tylko, żeby te kilka dni, które Marina miała u nich spędzić, upłynęło w spokoju.

Znów wyjęła telefon z dzinsów. Ósma dziesiąt.

Trasmediterránea nie należała do punktualnych. Ale co z Armandem? Gdzie był Armando?

Specjalnie prosiła męża, żeby był w domu punktualnie o ósmej. Schowała telefon do kieszeni i wyszła z łazienki. Otworzyła szafę i wyjęła elegancki płaszcz z wielbłądziej wełny, wiedząc, że dobrze w nim wygląda. Wyszła z sypialni. Zeszła po schodach prowadzących do salonu. Podniosła słuchawkę telefonu stacjonarnego stojącego na komodzie i wykręciła numer biura męża. Pomyślała, że sekretarka już wyszła. Nikt nie odebrał. Armando nie lubił, kiedy ktoś do niego dzwonił na komórkę. A ona dzwoniła po raz drugi tego dnia... mimo że nie odpowiedział. Zadzwoiła do niego.

Odezwała się automatyczna sekretarka. Odłożyła słuchawkę.

Skierowała się do kuchni. Imelda i Anita jadły camaiot.

– Imeldo, czy ryba jest sprawiona?

– Tak, proszę pani, leży na tacy w lodówce.

Anna otworzyła lodówkę i zobaczyła pokrojone w cienkie plasterki ziemniaki, cebulę w piórka, czosnek w płatki oraz przygotowaną rybę. Doskonale.

– Jak tylko zadzwoni moja siostra, proszę nastawić piekarnik. Proszę podać labraksa odrobiną białego wina. Po dwudziestu minutach proszę go wstawić.

Imelda przytaknęła. Anita wytarła ręce w ściereczkę i wyszła z kuchni.

– Zjesz kolację z nami, prawda, córeczko? – spytała Anna, widząc, jak dziewczyna wchodzi po dwa stopnie na piętro.

– Tak – odparła krótko Anita.

Mimo że jej relacja z matką praktycznie nie istniała, zdawała sobie sprawę, jak ważny był dla matki przyjazd Mariny.

Poza tym była niezwykle ciekawa tej tajemniczej ciotki podróżującej po całym świecie. Matka pokazała jej ich zdjęcia z dzieciństwa. Zwróciła uwagę na to, jak bardzo się od siebie różniły. Matka miała jasne włosy, a ciotka ciemne. Matka miała ostre rysy i zgaszony wyraz twarzy, Marina okrągłą buzię i pyzate policzki z sympatycznymi dołeczkami. Wiedziała, że ciotka przyjmowała poród matki, ale nigdy nie zastanawiała się dlaczego. Choć była obecna w tak ważnym momencie życia matki i jej, nigdy więcej nie zadzwoniła i nigdy więcej ich nie odwiedziła. Po prostu zniknęła.

Zadzwoił telefon. Anna wyjęła go z tylnej kieszeni dzinsów. Na ekranie pojawił się numer Armanda. Szybko odebrała. Jacyś współpracownicy z Panamy przylecieli na wyspę i zaprosili go na kolację. Nie mógł im odmówić. Te kolacje były częścią jego pracy. Musiał przyjąć zaproszenie. Przeprósł ją. Pożegnał się pośpiesznie, nie omieszkając przypomnieć jej, że sprzedaż młyna z Valldemossy miała odbyć się w poniedziałek, punktualnie o piątej po południu, i że powinna przypomnieć o tym swojej siostrze. Rozłączył się.

Anna nie zmartwiła się, że mąż nie dotrzymuje obietnicy. Nawet lepiej, że go nie

będzie podczas tego pierwszego spotkania sióstr. Ale to on nalegał na tę kolację. Anna od dawna przestała odczuwać rozczarowanie. Ten etap miała już za sobą. Tyle razy ją zawiódł w ciągu dwudziestu pięciu lat małżeństwa, że ta kolacja była tylko jednym incydentem więcej. Minie, tak jak mijają dni. Czy byłam zakochana, wychodząc za niego za mąż? – zastanawiała się w dziesiątą rocznicę ślubu po tym, jak mąż po raz kolejny wystawił ją do wiatru. Teraz popatrzyła na stojące na marmurowym kominku zdjęcie sprzed dwudziestu pięciu lat.

Spojrzała na siebie i się nie poznała. Zobaczyła drobną blondynkę o łagodnym spojrzeniu, uśmiechającą się nieśmiało do obiektywu. W długim, białym welonie, w eleganckiej sukni ślubnej, zainspirowanej kreacją z białej, jedwabnej tafty z wielkimi falbanami i bufiastymi rękawami, w której wzięła ślub Lady Di. Ta łagodna, młoda kobieta ze zdjęcia wydała się jej kimś innym, na pewno nie nią. Na zdjęciu Armando w czarnym garniturze całował ją w policzek. On też zmienił się w kogoś innego. Ale zdjęcie potwierdzało, że kiedyś była szczęśliwa. Była tego pewna.

Może to koszmar spowodowany niemożnością zajścia w ciążę sprawił, że oddalili się od siebie. Miała pragnienia podobne do tych, które miały jej przyjaciółki z jachtklubu w Palmie, ale Armando nigdy tego nie rozumiał. Może zawiniło te sto dwadzieścia miesięcy, te trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt dni, podczas których mąż i żona stopniowo oddalili się od siebie.

Przez dziesięć lat bezskutecznie usiłowali począć dziecko. Przez dziesięć lat uprawiali seks, prawie nie czując pożądania. Przez dziesięć lat co miesiąc Anna siadała na klozecie, widząc poplamione krwią majtki. Przez dziesięć lat brakowało jej zrozumienia, bo Armando nie potrzebował dziecka i nie pojmował potrzeb żony i depresji, w której stopniowo się pograżała. Z roku na rok bardziej. Czuła się pusta w środku. Jałowa. Bezwartościowa. Widziała, jak rosą brzuchy jej koleżanek z San Cayetano, i skręcało ją z zazdrości. Ogarniał ją smutek, że nie może urodzić, do tego smutku dołączył wstyd, że jest bezpłodna. Niezdolna do prokreacji... Długie dziesięć lat.

Aż w końcu któregoś dnia, kiedy Anna już się tego nie spodziewała, zaszła w ciążę. Znów mogła się uśmiechać. I pojawiła się Anita. Anna sądziła, że do domu powróci szczęście, ale nic nie wyglądało tak, jak tego oczekiwała. Minął rok białych nocy, bez snu, bo Anita bez przerwy płakała.

W dzień i w nocy. O każdej porze domagała się piersi. Bezsenność irytująca Armada i płacz Anny, którą macierzyństwo przerosło, stworzyły wybuchową mieszankę. Zatrudnili Imeldę. Kobieta pomagała jak umiała najlepiej. Jednak Anita nie przestawała płakać, wyprowadzając z równowagi Armada, którego tylko obchodziły jego interesy w sektorze nieruchomości i brak snu spowodowany sytuacją w domu. Po dwóch miesiącach Anna przestała karmić córkę piersią i mała zaczęła spać w pokoju filipińskiej służącej. Wreszcie sami, Armando i Anna... Lecz Armada znudziła żona

i często wyjeżdżał do Panamy pod pretekstem gromadzenia tego, co określał jako przyszłe, wielkie bogactwo. I w miarę jak jego córka przestawała płakać, on stopniowo przestawał interesować się rodziną. Choć owszem, nadal wszystko utrzymywał: ten sam dom, ten sam samochód, tę samą Filipinkę, tę samą żonę i te same meble. Anna przyzwyczaiła się do samotności jako jeszcze jednego aspektu małżeństwa. Traktując to jako jeszcze jedno życiowe doświadczenie i przeistaczając się stopniowo w jeden z mebli, które odkurzała służąca. A mebel się nie skarżył, po prostu uznał, że takie życie jest mu pisane.

Ósma czterdzieści.

Wyszła z kuchni. Otworzyła komodę i wyjęła książkę telefoniczną. Znalazła numer linii żeglugowej Trasmediterránea. Wybrała numer 902. Nagrany głos proponował dwie możliwości. Wcisnąć numer rezerwacji lub wybrać dwa numery biur podróży. Wcisnęła jedynekę. W kolejnym nagraniu proszono o podanie portu zaokrętowania.

– Palma.

Uświadomiła sobie pomyłkę i poprawiła się.

– Barcelona!

– Proszę potwierdzić, czy wymieniono Palmę – usłyszała nagrany głos.

– Nie – odparła.

– Przepraszamy, nie zrozumieliśmy. Proszę wyraźnie powtórzyć port zaokrętowania.

Anna prychnęła.

Od nowa powtórzyła całą procedurę, ciągle patrząc na zegarek i na ekran telefonu komórkowego. Po kilku minutach udało jej się porozmawiać z operatorką z krwi i kości, która potwierdziła, że statek dotarł do portu przeznaczenia czterdzieści minut temu. Anna spytała, czy można sprawdzić, czy na liście pasażerów była jej siostra Marina Vega de Vilallonga. Operatorka odpowiedziała uprzejmie, że ze względu na ochronę danych osobowych nie udzielają takich informacji. Anna rozłączyła się zirytowana i wykręciła numer portu.

Nikt się nie zgłosił.

– Proszę pani, będę u siebie w pokoju. Proszę mnie zawiadomić, kiedy przyjedzie pani siostra.

– Oczywiście, Imeldo. Proszę tylko włączyć piekarnik.

Anna spojrzała na stół przygotowany przez Imeldę. Zabrała talerz i sztucce przeznaczone dla męża i zaniósła z powrotem do kredensu. Wróciła do stołu i rozstawiła talerze tak, aby Marina usiadła na honorowym miejscu.

Nie chciała czekać z założonymi rękami. Narzuciła na ramiona płaszcz z wielbłądziej wełny i wyszła z salonu. Weszła energicznym krokiem do garażu i wsiadła do bmw. Włożyła kluczyki do stacyjki. A jeśli Marina postanowiła wziąć taksówkę? Wtedy mogłyby minąć się na szosie. Natychmiast przyszło jej do głowy, że w zimie taksówki rzadko przyjeżdżały do Son Vida, bo nieliczni turyści odwiedzający

wyspę zatrzymywali się w hotelach w centrum Palmy. Jeśli zobaczy jadącą w górę taksówkę, będzie wiedziała, że jedzie nią Marina. Zatrąbi i siostra ją rozpozna.

Ruszyła. Na szosie wiodącej w dół w kierunku śródmieścia dodała gazu, zwracając uwagę na każdy mijany samochód: jaguar, audi, kolejne audi. Przejechała przed rezydencją Cuki. Brama wjazdowa była otwarta, nie dostrzegła samochodu terenowego przyjaciółki. Pewnie jest na jodze, pomyślała. O mój Boże, ależ Cuca wpadła w nałóg tej jogi. Może też powinnam spróbować.

Po dziesięciu minutach dotarła do portu. Zaparkowała na pustym parkingu blisko morza. Wysiadła z bmw i nie zamykając drzwi, rozejrzała się uważnie dookoła. Zobaczyła trzy zaparkowane samochody. Żywej duszy. Zapięła płaszcz. Powietrze było zimne i wilgotne. Przy prawie nieoświetlonym nabrzeżu stał przycumowany prom Trasmediterránea, ale przedsiębiorstwo żeglugowe charterowało również promy do Walencji, na Minorcę i Ibizę. Powinna sprawdzić, czy to statek z Barcelony. Była bojaźliwa i mimo że nie miała zbyt chęci zostawić samochodu, zamknęła drzwi i poszła szybkim krokiem przez nabrzeże Perales do słabo oświetlonego budynku, w którym znajdowało się biuro firmy. Cyfrowy zegar wiszący obok drzwi wejściowych wskazywał na czerwono dziewięć jeden. Weszła do środka. Budynek był pusty. Tylko młody, senny Majorkanin stał za kontuarem.

– Tak. Prom z Barcelony przyplłynął ponad godzinę temu – potwierdził.

– Bardzo pana proszę – mówiła Anna błagalnie łamanym majorkańskim, z góry znając odpowiedź, którą otrzyma – nie mógłby pan sprawdzić, czy pasażerka Marina Vega de Vilallonga wsiadła na pokład tego promu?

Kiedy już siedziała w bmw, przyszło jej do głowy, że może siostrze coś się stało. Ogarnął ją niepokój. Być może nadal jest w Etiopii. Wypadek. Porwanie. Zaraziła się czymś. Przyśpieszyła, jadąc przez centrum Palmy, i skierowała się z powrotem do swojej dzielnicy. Czy ktoś by ją zawiadomił? Lekarze bez Granic nie mieli jej numeru telefonu. Poznała kiedyś przyjaciółkę Mariny, Laurę. Pomyślała, że gdyby coś się stało, Laura zadzwoniłaby do niej, ale doszła do wniosku, że przyjaciółka siostry też nie ma jej numeru. Musi skontaktować się z siedzibą Lekarzy bez Granic w Barcelonie. Będą wiedzieli, gdzie przebywa Marina. Ale tego wieczoru biuro jest już pewnie zamknięte.

Wreszcie dotarła do domu. Nie włączając światła, położyła płaszcz na kanapie. Skierowała się do kuchni, oświetlonej tylko lampką wewnątrz włączonego piekarnika. Otworzyła drzwiczki, żeby wypuścić gorące powietrze niepotrzebnie gromadzące się od godziny. Poczła głód. Otworzyła lodówkę. Zobaczyła zeszywniałą rybę z wyłupiastymi oczami jak u tej siedemdziesięcioletniej kobiety po operacjach plastycznych w gabinecie Cuki.

Widok niezwyłego labraksa sprawił, że tym razem naprawdę poczuła się samotna.

Cumy „Sorrento” zostały rzucone na nabrzeże Peraires. Czarne fale rozbijały się o falochron, gdzie dwaj majorkańscy marynarze w grubych kurtkach i wełnianych, granatowych czapkach zbierali liny, mocując je do osadzonych w ziemi polerów.

Na mostku stary kapitan gasił silniki. Dzięki wiatrowi Garbí, który towarzyszył „Sorrento” na całej trasie, statek wpłynął do portu kwadrans przed czasem, co zawsze cieszy dobrego marynarza.

Marina obserwowała ich, stojąc na dziobie. Myślała o nich, o tych marynarzach, którzy mieli życie inne niż ona. Często obserwowała życie innych ludzi, cudze życie. W Etiopii obserwowała tamtejszych ludzi, spacerując samotnie po uliczkach targowisk. Na Rambli w Barcelonie tysiące turystów wędrujących w górę i w dół. Na setkach lotnisk, które poznała, tłumy pasażerów. Jak wyglądało ich życie? Kogo kochali? Co sprawiało im ból? Co nie pozwalało im zasnąć? Jakie mieli dzieciństwo? Każdy miał inne życie, jedyne w swoim rodzaju, niepowtarzalne.

Poczuła zimno. Zasunęła suwak kurtki.

Na nabrzeżu czekało pięć taksówek. Rzuciło się ku nim kilku pasażerów, świadomych tego, jak niewiele ich jeździ po mieście o tej godzinie w zimie.

Cyfrowy zegar wiszący obok drzwi wejściowych do budynku linii żeglugowej Tramediterránea wskazywał na czerwono siódmą czterdzieści pięć.

Marina skierowała się do siedziby firmy i weszła do środka. Podeszła do kontuaru, za którym młody, senny Majorkanin zabijał czas, przeglądając zawartość swojego telefonu komórkowego.

– Dobry wieczór.

Młody człowiek zrobił nieznaczny gest powitania, nie otwierając ust. Odłożył telefon na kontuar.

– Czy mógłby pan mi powiedzieć, jak dojechać do Valldemossy?

Mężczyzna podniósł się nieco.

– *Uy, està lluny aixó.* To bardzo daleko... radzę wziąć taksówkę. Niech się pani nie martwi, zaraz przyjadą następne.

– Wolałabym pojechać autobusem.

Nie śpieszyło się jej. Poza tym nie była zwolenniczką taksówek. Nie uważała się za osobę skąpą czy przesadnie oszczędną, ale nadal nie mieściło się jej w głowie, że te sześćdziesiąt euro, które w przybliżeniu będzie kosztował kurs, to tyle, ile afrykańska rodzina potrzebuje na miesięczne wyżywienie.

– Proszę wyjść z portu, naprzeciwko zobaczy pani wiatę. Musi pani wsiąść do autobusu numer jeden do placu España i tam, zaraz... Na pani miejscu wziąłbym jednak taksówkę – powtórzył.

Otworzył szufladę pod kontuarem i wyjął kartkę z rozkładem jazdy autobusów na wyspie. Podał go Marinie. Jeżdżą co godzinę, najprawdopodobniej nie zdąży na ostatni.



– Czy jest tu gdzieś budka telefoniczna?

– Naprzeciwko parkingu, ale chuligani popsuli ją w zeszłym tygodniu. Nie wiem, czy już działa... Pod pretekstem, że wszyscy mają komórki, Telefónica się nie śpieszy. Musi pani sama sprawdzić.

Podziękowała i wyszła z budynku. Młody Majorkanin powrócił do zabawy telefonem komórkowym.

Miał rację, plastikowe elementy budki były spalone, a słuchawka popsuta.

Na nabrzeże wjechała taksówka. Marina podeszła bliżej.

– *Qué val un viatge a Valldemossa?* Ile kosztuje podróż do Valldemossy? – spytała przezornie swoim słabym majorkańskim.

Wiedziała, że lepiej umówić się z góry na określoną cenę, niż zawierzyć taksometrowi. Taksówkarze obwozili nieszczęsnych zagranicznych turystów dookoła wyspy, każąc sobie płacić, ile im się podobało.

– *Diset kilòmetres.* Siedemnaście kilometrów – taksówkarz udawał, że oblicza.

– *Seixanta...* Sześćdziesiąt...

Powinna się targować, ale nie miała ochoty ani nie potrafiła tego robić. Manolo, jej kolega z Sewilli, targował się bez skrępowań na bazarach Addis Abeby i zazwyczaj płacił trzy razy mniej niż Marina za każdą rzecz, którą kupował.

Sześćdziesiąt euro to połowa tego, co taksówkarz brał od Rosjan; dwadzieścia euro mniej, niż brał od Niemców, Norwegów, Szwajcarów i Anglików, w zależności, czy jechali do Magalufu, czy do pięciogwiazdkowego hotelu, i piętnaście euro mniej, niż sobie liczył od Włochów. W końcu, po ustaleniu, że cena wyniesie pięćdziesiąt pięć euro, odjechali szosą Ma-1110.

Serfując po sieci u Laury, podczas gdy przyjaciółka dyskutowała z córką, która uparła się, żeby włożyć letnią spódniczkę bez rajstop (nie należy zapominać, że była pół-Szwedką), Marina znalazła stronę małego, ośmiopokojowego hoteliku w Valldemossie. Nie zadzwoniła. Był martwy sezon, więc sądziła, że znajdzie wolny pokój. Serce zabiło jej mocniej. Nie chodziło o miejscowość, tylko o drogę, którą jeździli z ojcem i siostrą w niedzielę do portu, aby wypłynąć w morze na *llaüt*.

Wjechali do miasteczka. Już zapadła noc. Pustą główną aleję pokrytą brukiem oświetlały stare, żelazne latarnie. Kamienne fasady budynków ściśnięte w wąskich uliczkach wchłaniały lekko pomarańczowe światło. Miejsce jakby wyjęte ze średniowiecznej baśni. Taksówkarz zostawił ją na placu przy wjeździe.

– *Agafi sa tarja que som pocs taxis fent feina a l'hivern.* Niech pani weźmie moją wizytówkę. Niewielu z nas pracuje na taksówce w zimie.

Marina zapłaciła i przyjęła wizytówkę. Taksówka odjechała. Nie było nikogo, spojrzała na góry okalające samotne miasteczko i nie wiedząc czemu, poczuła spokój.

Przeczytała nazwy uliczek prowadzących do placu i od razu znalazła ulicę Uetam, przy której znajdował się Es Petit Hotel de Valldemossa. Weszła w uliczkę i po kilku

metrach ujrzała kamienny budynek hotelu. Drzwi wejściowe były zamknięte, ale w środku świeciło się światło. Zadzwoiła. Miała lodowate ręce. Potarła jedną o drugą. Przysunęła je do ust, złożyła razem i chuchnęła kilka razy. Nikt nie otwierał. Oczekała chwilę i znów zadzwoniła. Zaczęło kropić. Poszła uliczką w poszukiwaniu innego wejścia do hotelu. Na stronie internetowej napisano, że jest otwarty trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku. Co jej szkodziło zadzwonić z domu Laury? Dotknęła wizytówki taksówkarza w kieszeni dzinsów. Ponownie zadzwoniła do drzwi i wyjęła wizytówkę z kieszeni. Teraz trzeba było tylko znaleźć budkę telefoniczną. Westchnęła.

– Idę! Już idę! – dobiegł ze środka męski głos.

Drzwi otworzył mężczyzna wyglądający na jakieś sześćdziesiąt lat i uśmiechnął się ciepło.

– Proszę wybaczyć. Mieszkamy na samej górze i nie spodziewaliśmy się nikogo.

– Powinam zadzwonić – pośpieszyła z usprawiedliwieniem Marina, wchodząc do hotelu.

– Tak to jest. Ludzie, którzy dużo podróżują, lubią improwizować – stwierdził z uśmiechem, wywołując tym samym uśmiech na twarzy Mariny.

– Jestem Gabriel – dodał, wyciągając do niej rękę. – Witam.

Marina uściśnęła mu dłoń. Lubiła ludzi gościnnych, z którymi od pierwszego uściśnięcia dłoni człowiek dobrze się czuje. A w hoteliku panowała ta sama atmosfera ciepła, którym emanował właściciel. Był eleganckim mężczyzną z nierówno przyszyronym białym zarostem. Marina zwróciła uwagę na gruby wełniany sweter w granatowym kolorze, zapięty pod szyję, bardzo podobny do tego, który jej ojciec wkładał w zimowe niedziele.

– Ile dni pani zostanie?

– Jeszcze nie wiem. Dwa, trzy... może dłużej.

– Ja przyjechałem dwadzieścia lat temu na dwa, trzy dni i nadal tu jestem – powiedział, nie patrząc na nią, po czym wyjął klucz z kieszeni sztruksowych spodni i położył na kontuarze. – Może pani zostać, ile pani chce, jest pani jedynym gościem.

Marina podała mu paszport, a on wypełnił kartę meldunkową.

– Czy jest tu telefon?

Wyjął spod kontuaru stary bladozielony aparat telefoniczny z okrągłym cyferblatem.

U Anny było zajęte. Zegar wskazywał ósmą czterdzieści. Godzinę, o której Anna rozmawiała z operatorką telefoniczną linii żeglugowej Trasmediterranea.

– Czy chce pani coś zjeść?

– Nie, dziękuję.

Gabriel oddał jej paszport. Marina odłożyła słuchawkę.

– Zatem pora na spoczynek. Pani pokój jest na drugim piętrze. My mieszkamy na trzecim. Gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę się nie wahać i dać mi znać.

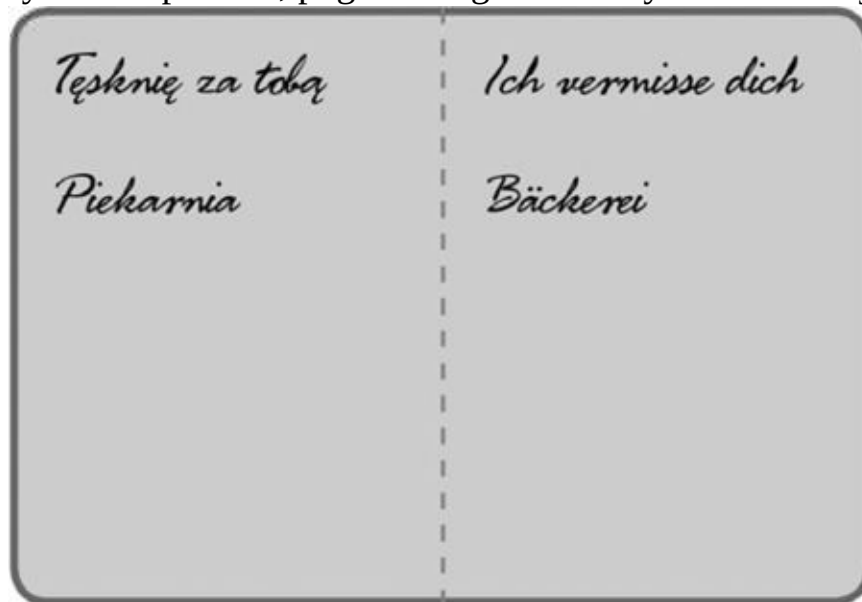
– Dobranoc. Miłego odpoczynku.

Znów spróbowała skontaktować się z siostrą, ale u Anny nadal było zajęte. Oparła łokieć na kontuarze. Mogła poczekać lub wejść na górę do pokoju, wziąć prysznic, rozgrzać się i spróbować zadzwonić później.

Pokój o ścianach z kamienia był niewielki i przytulny, na łóżku leżała gruba biała kołdra. Przyłożyła rękę do kaloryfera, już zaczynał grzać. Zdjęła plecak i usiadła na łóżku. Minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd wyjechała z pustyni w prowincji Afaru. Udało jej się przysnąć na niecałe dwie godziny podczas lotu z Addis Abeby do Frankfurtu, a w domu Laury spała nie więcej niż pięć godzin. Była wyczerpana.

Otworzyła plecak i wyjęła kosmetyczkę. Weszła do łazienki, odkręciła wodę pod prysznicem, rozplotła warkocz i się rozebrała. Gorąca woda obficie spływała po ciele i Marina poczuła tę samą przyjemność, której doznawała pod cieniutkim strumyczkiem zimnej wody przynoszącym jej ulgę w żarze pustyni... Jak różny jest świat. Namydliła włosy naturalnym mydłem miodowym, które kupowała na bazarze w Addis Abebie, i rozplątała je ostrożnie. Po kąpieli owinęła się wielkim, miękkim ręcznikiem i włożyła stary podkoszulek Mathiasa z napisem Freie Universität Berlin. W końcu, leżąc pod grubą kołdrą, pomyślała, że zadzwoni do siostry jutro.

Wyjęła czarny notes z plecaka, pogłaskała go i otworzyła na ostatniej stronie.



Zamknęła oczy, myśląc o Mathiasie, ale nie potrafiła zasnąć spokojnie bez przeanalizowania tego, co działo się w jej życiu. I wtedy, bezwiednie, cofnęła się pamięcią do ostatniego miesiąca spędzonego z Anną. Przypomniała sobie dni, które poprzedziły ten nieprzewidziany, nieszczęsny zwrot w ich stosunkach czternaście lat temu. Marina była przed trzydziestymi drugimi urodzinami, Anna skończyła trzydzieści cztery.

– Masz pilny telefon z Hiszpanii! – powiedziała do niej afroamerykańska pielęgniarka, stając w progu.

Marina, która właśnie przyjęła wyjątkowo trudny bliźniaczy poród w szpitalu

w Pensylwanii, przestraszyła się. Spojrzała na doktora Shermana, a on skinął ręką, pozwalając jej wyjść. Szybko zdjęła zakrwawione lateksowe rękawiczki. Pilny? Hiszpania? Anna? Była czwarta rano. Wrzuciła rękawiczki do kosza na recykling, popchnęła gwałtownie drzwi wejściowe i pobiegła korytarzem, wymijając pielęgniarzy i pacjentów na wózkach szpitalnych. Weszła do recepcji i wzięła słuchawkę.

– Tak?!

– Marina, tu Anna. Posłuchaj! Jestem w ciąży!!!

Chętnie by ją zamordowała. Tak. W tej chwili zabiłaby własną siostrę. Ale Anna właśnie taka była: naiwna, prosta, egoistyczna, i Marina, kryjąc niezadowolenie, pogratulowała jej wiadomości, której siostra wyczekiwała od dziesięciu lat i która uczyniła ją nieprawdopodobnie szczęśliwą. Anna miała tylko jedną misję w życiu: być żoną, i marzenie do spełnienia: zostać matką, więc Marina wybaczyła siostrze, że ją tak wystraszyła, rozumiejąc, jak bardzo chciała podzielić się tą nowiną.

– Będę rodziła na początku czerwca. Chciałabym, żebyś spędziła ostatni miesiąc mojej ciąży tutaj, ze mną. Proszę cię. Powiedz tak.

Marina nie odpowiedziała. Od przeszło półtora roku przygotowywała pracę doktorską o nowotworze szyjki macicy u Amerykanek. Ciężkie półtora roku, podczas którego, poświęcając godziny snu, łączyła pracę ginekologa w szpitalu w Pensylwanii z poważną pracą badawczą, niezbędną do przygotowania doktoratu. Piętnastego czerwca miała obronić rozprawę doktorską przed komisją Szkoły Medycznej Perelmana. Data została ustalona rok wcześniej i nie można jej było zmienić.

– Marina? Co ci jest? Gdyby mama i tata jeszcze żyli, nie prosiłabym cię o to.

Te słowa ją wzruszyły. Mimo że dzielił je Atlantyk, Marina widziała w wyobraźni swoją siostrzyczkę, tak bojaźliwą, zawsze zbyt chronioną przez rodziców.

– Anno, pamiętasz, mówiłam ci, że piszę doktorat, aby móc wykładać na uniwersytecie. Mam egzamin ustny piętnastego czerwca i jeśli go przesunę, będę musiała odczekać kolejny rok na obronę. Piętnastego czerwca wieczorem wsiądę do samolotu do Hiszpanii i będę przy tobie.

– Ale ja już wtedy urodzę, Marino. Chcę, żebyś była przy porodzie, żebyś przy mnie była.

– Armando będzie z tobą.

– Ale ja chcę, żebyś to była ty.

Obiecała, że zadzwoni do Anny następnego dnia i da jej odpowiedź. Tej nocy, w swoim mieszkaniu w centrum Filadelfii, leżąc z głową opartą na piersi swojego promotora, przyjaciela, kochanka, doktora Shermana, Jeremy'ego, poprosiła go o radę. Przygotowanie doktoratu było okupione ogromnym wysiłkiem, pięćset pięćdziesiąt trzy dni spędzone na pracy badawczej w zaciszu bibliotek, dwieście pięćdziesiąt siedem tysięcy napisanych słów, pięćset pięćdziesiąt trzy dni nauki do ustnego egzaminu przed

komisją! Za dużo czasu i zbyt wielki trud, aby odwlec osiągnięcie celu o rok.

– Otrzymać doktorat rok wcześniej czy rok później, cóż to za różnica? – powiedział Jeremy, głaszcząc ją po włosach. – Nie pamiętam już tego nadmiernego wysiłku, który włożyłem w niekończące się lata nauki. Ale pamiętam, Marino, te drobne, szczęśliwe momenty u boku swoich bliskich. I wydaje mi się, że narodziny siostrzenicy są właśnie jednym z tych ważnych momentów w twoim życiu. – Jeremy zamilkł na chwilę, po czym dokończył: – Néstor chciałby, żebyś przy niej była.

Tak więc w połowie maja Marina poleciała z Nowego Jorku do Madrytu, a z Madrytu na Majorkę. Anna z ogromnym brzuchem, w ośmiomiesięcznej ciąży czekała na nią z otwartymi ramionami przy wyjściu z lotniska w Palmie. Rzuciła się na siostrę, ściskając ją i całując czule, jak zwykle przesadnie uczuciowa.

Miały spędzić trzy tygodnie same. Armando był w podróży służbowej w Panamie. Mogły zatem bez żadnych ograniczeń szaleć w domu swojego dzieciństwa. Marina zdziwiła się, że szwagier wyjechał akurat teraz, a zarazem nie mogła pohamować radości z tego powodu.

Wsiadły do nowego bmw Anny i pojechały do wielkiego, kamiennego domu, w którym mieszkały całe życie. Domu, który babcia Nerea zostawiła swojemu synowi Néstorowi i jego córkom, a który Marina bezinteresownie i bez wahania odstąpiła Annie, kiedy ta o to poprosiła. Marina chciała, aby siostra mogła w nim szczęśliwie żyć z Armandem, tym bardziej że ona sama urządziła się w Stanach. Nie czuła już, że to jej dom, ale gdy wracała, zawsze ogarniała ją nostalgia. Gdy otwierała drzwi do ogrodu, na widok kamiennej fasady, drzewka cytrynowego babci Nerei. Choć tak naprawdę tylko ta fasada sprawiała, że Marina cofała się w przeszłość. Przekraczając próg, wchodziła do zupełnie innego domu niż ten, w którym kiedyś mieszkały. Został całkowicie wyremontowany: kamienne ściany były pokryte betonem i pomalowane zgodnie z tendencjami narzuconymi przez hiszpańskie elity, posadzka marmurowa, a dekoracja w stylu rokokowym. Marina nigdy nie miała do tego żadnych zastrzeżeń, tylko jedna zmiana jej się nie spodobała, a wręcz ją zasmuciła. Kuchnia, w której wygniatały ciasto z babcią Nereą, stała się domowym magazynem i była pełna narzędzi, preparatów chemicznych do czyszczenia łodzi, węży gumowych, nożyc ogrodowych, opon, plastikowych krzeseł. A pośrodku stał zapomniany i zakurzony stary kufer ojca.

Jedynie sypialnia babci Nerei zachowała coś z atmosfery domu dzieciństwa Mariny i właśnie tu zdecydowały się spać przez te trzy tygodnie oczekiwania na narodziny dziecka. W tym samym łóżku, pod którym schowały się przed ojcem, żeby ich nie zaszczerpił przeciwko ospie.

Były to cudowne tygodnie. Rano składały dach bmw i jechały na północne wybrzeże wyspy. Kąpały się w spokojnych wodach w pobliżu plaży las Assussenes lub na rozległych płąciznach Can Picafort, Son Bauló i Ses Casetes des Capellans. Któregoś

przepięknego ranka zmieniły kierunek i pojechały na wschód, aby kąpać się nago w przezroczystych wodach przy plaży Es Perengons Petits. Jadły o dowolnej porze, słuchały muzyki, tańczyły i rozmawiały o tym, co sobie każdego roku obiecywały – będą widywać się częściej, mimo że dzielił je Atlantyk.

Wyglądając przez okno Petit Hotel de Valldemossa, Marina przypomniała sobie dzień porodu Anny. Obudziła się o piątej rano w morderczym upale. Był pierwszy czerwca. Otworzyła oczy i spojrzała na siostrę, która spała spokojnie z rękami na brzuchu. Pamiętała, że patrzyła na nią, czując jej kruchość i niezwykłą wrażliwość. Anna była jej rodziną. Jedyłą, którą miała. Jedyłą, która jej pozostała. Zrozumiała, że podjęła właściwą decyzję, doktorat mógł poczekać. Przed snem wykonała badanie palpacyjne, rozwarcie się powiększyło i płód był ułożony w pozycji do wyjścia. Niespodziewanie poczuła złość na szwagra, którego ojcostwo zdawało się w ogóle nie obchodzić. Uważał, że wystarczy, jeśli zadzwoni do żony raz w tygodniu.

– Słuchaj się mojej matki i dzwoń do niej codziennie – powtarzał Armando w czasie tych rzadkich rozmów.

Odkąd przyjechała Marina, Anna ani razu nie zadzwoniła do teściowej. Za to teściowa robiła to codziennie, bez wyjątku, o dziewiątej rano. Od poniedziałku do niedzieli. Nie miała nic innego do roboty niż opiekować się synową.

Teściowa towarzyszyła jej podczas każdej wizyty ginekologicznej. Teściowa kupowała z nią kosz i kołyskę. Teściowa wybrała blad różowy kolor do pokoju dziewczynki. Teściowa wybrała kościół na chrzest i marszczoną sukienkę z tkaniny ze wzorem imitującym plaster miodu, w którą wnuczka miała być ubrana. Teściowa decydowała o wszystkim, a Armando nie oponował, przeciwnie, zachęcał matkę do tego. Teściowa nie pozwalała Annie swobodnie oddychać, sprawiała, że synowa się dusiła, ale Anna, z natury uległa, zbyt ugodowa, milczała i podporządkowywała się jej woli.

Marina przypomniała sobie, jak zostawiła śpiącą spokojnie siostrę i zeszła na dół na śniadanie. Wiedziała, że już nie zaśnie. Zrobiła sobie herbatę i wyruszyła w poszukiwaniu wspomnień do dawnej kuchni babci Nerei, zamienionej teraz w magazyn. W stojącym tu starym kufrze żeglarskim ojciec przechowywał kiedyś drobne skarby znalezione w morzu. Któregoś dnia, jeśli Marina znajdzie własny dom, poprosi siostrę o ten kufer, niewątpliwie zasługujący na lepszy los.

Postawiła filiżankę z herbatą na podłodze i usiadła ze skrzyżowanymi nogami przed kufrem. Otworzyła go ostrożnie i zajrzała do środka. Wewnątrz, tak jak się tego spodziewała, znajdowały się kolorowe kamyki, bransoletki z muszelek, które robiły we dwie, czekając na plaży, aż ojciec oczyści *llaüt* z soli, przed pozostawieniem jej w marinie, muszle, haczyki rybackie, kawałki sieci, rozgwiazda z zatoczki Ratjada, zardzewiałe, metalowe pudełko pomalowane na czerwono ze starymi zdjęciami, które z jakiegoś powodu nie zasługiwały na aksamitne albumy rodziny Vega de Vilallonga.

Zamiast wyrzucić zdjęcia do śmieci, jak pewnie sugerowała mu żona, Néstor przechowywał je w tym zardzewiałym pudełku w kufrze. Marina wyjęła je i otworzyła. Wiedziała, że oglądanie tych zdjęć ją zasmuci. Ale zawsze kiedy przylatywała na Majorkę, znajdowała chwilę samotności, aby znów je obejrzeć i poczuć dziwną nostalgię wywołaną wspomnieniem momentów, które już nigdy nie powrócą. Najpierw niewyraźne fotografie obu sióstr na *llaüt*. Potem zdjęcia robione pod światło, na których Marina, uczepiona ręki Anny, biegła przez pole maków. Te zdjęcia wydały jej się piękne, mimo że światło rozmywało ich postaci. Marina doskonale pamiętała dzień, kiedy je wykonano. Wracali z przejażdżki łodzią, jadąc samochodem przez pole maków. To ona powiedziała ojcu, że chce wysiąść, aby nazbierać kwiatów na bukiet dla babci i nasion do swojego ciasta urodzinowego. Był 15 sierpnia 1971, dzień, w którym skończyła siedem lat. Przeglądając te zdjęcia, nie mogła powstrzymać napływających do oczu łez, aż dotarła do fotografii, która zawsze ją rozśmieszała: ona, w wieku czterech lat, płacząca wniebogłose, podczas gdy Anna usiłuje zapleść jej włosy. Babcia Nerea stojąca pod swoim drzewkiem cytrynowym. A między tymi wszystkimi zdjęciami fotografia ich młodej opiekunki, jednej z wielu, które zatrudniano, ubranej w biały fartuch, z dwuletnią Anną na ręce. Patrząc na to zdjęcie, Marina usłyszała krzyk Anny, spowodowany pierwszym skurczem. Nie zamknęła kufra, postawiła filiżankę na blacie kuchennym i wbiegła na piętro. Anna, zastygła w bezruchu, czekała na nią z wyrazem paniki na twarzy. Marina uśmiechnęła się lekko. Nareszcie...

Mówiły o momencie porodu, odkąd przybyła na Majorkę. Wytłumaczyła siostrze, że porody mogą trwać długo, nawet dwa dni, i że jeśli Anna będzie chciała, to Marina pomoże jej urodzić w domu.

Usiadła na łóżku obok siostry.

– Rozsuń nogi.

Włożyła palce do jej pochwy.

– To dopiero początek. Rozwarcie na trzy centymetry. Trzeba czekać.

Było za wcześnie, żeby jechać do szpitala. Medykalizacja porodu w warunkach szpitalnych i wynikające z niej często rutynowe wykonywanie procedur medycznych bez uzasadnienia nie były najlepszym rozwiązaniem ani dla niej, ani dla noworodka. Podczas tych trzech tygodni, które spędziły razem, Marina próbowała pomóc Annie przezwyciężyć irracjonalny lęk przed rodzeniem. Wiedziała, że ciało siostry jest doskonale przygotowane do porodu. Aby ją uspokoić, wypożyczyły w bibliotece miejskiej książki o naturalnych porodach w krajach północnej Europy, opisujące, jak kobiety rodzą bezstresowo w domu, bez nacinania krocza, bez pasów, kroplówek i monitorów, nauczone oddychania tak, aby wytrzymać ból, w towarzystwie swoich partnerów i wspierane przez położne. Gdyby Anna zechciała, również mogły tak zrobić, we dwie. Marina przyjęłaby wtedy poród w domu. Liczyły oczywiście na

Armanda...

Marina namówiła siostrę, aby wzięła prysznic. Po godzinie nastąpił kolejny skurcz. Anna przestraszyła się, ale wytrzymała ból w milczeniu. Minęła następna godzina, podczas której prawie nie miała skurczów. Marina przygotowała herbatę ziołową, którą wypily spokojnie.

Punktualnie o dziewiątej zadzwonił telefon.

– Anno – powiedziała Marina, podnosząc lekko głos – to twój poród i twoja córka. Nie musisz dzielić się tym z nią, jeśli nie chcesz.

Teraz, patrząc wstecz, po czternastu latach, Marina pomyślała, że być może nie powinna była tego mówić. Być może Anna powinna była odebrać telefon od teściowej.

Gdyby odebrała, prawdopodobnie nic z tego, co później nastąpiło, nie wydarzyłoby się... a może jednak tak.

Anna przechadzała się niespokojnie z lękiem w oczach, w oczekiwaniu na ból, który stopniowo narastał.

– Marino, wolę pojechać do szpitala.

– Jeśli wolisz, nie ma sprawy.

Włożyły do torby różowe śpioszki, różowe czapeczki i różowe rękawiczki.

Godzinę później w luksusowej, prywatnej klinice gruba i oschła, około pięćdziesięcioletnia położna sprawdziła rozwarcie.

– Królowo, już pięć centymetrów. Zrobimy lewatywę i zejdziemy na salę porodową.

– Mogę jeszcze trochę wytrzymać, moja siostra jest gi...

– Oj, królowo, to, jak cię teraz boli... pomnóż przez dziesięć – ucięła położna.

Marina opanowała się i nic nie powiedziała.

Zeszły na salę porodową. Będzie przy siostrze podczas porodu. Stała obok i obserwowała w milczeniu. Anna usiadła na łóżku porodowym. Pochylili ją do przodu. Wstrzyknęli znieczulenie zewnątrzoponowe. Położyli ją na łóżku ginekologicznym. Zsunęli jej pośladki do brzegu łóżka. Rozsunęli jej nogi i umieścili je w strzemionach. Przypięli nogi pasami na rzepy. Wszedł ginekolog. Przywitał się. Włożył ręce do pochwy pacjentki. Przerwał worek owodniowy. Wyjął ręce z pochwy. Wziął nożyczki. Włożył je do pochwy i naciął prosto dwa centymetry w kierunku odbytu. Wziął kleszcze. Wsunął je do pochwy. Wyciągnął noworodka. Noworodek zapłakał i został oddany położnej. Położna wzięła noworodka i oddaliła się w kierunku metalowego stołu.

Podczas całego zabiegu Marina patrzyła czule na siostrę, trzymając ją za rękę i nic nie mówiąc. Wzięła głęboki oddech, widząc niegodne traktowanie, jakiemu poddawano te dwie istoty będące częścią jej życia. Ale zatrzymała to dla siebie i pogłaskała wystraszoną siostrę. Milczała w trakcie zabiegu, ale nie udało jej się powstrzymać na sam koniec i zainterweniowała. Być może, gdyby zachowała



milczenie, nic by się nie stało, nic.

– Czy zanieś pani dziecko mojej siostrze? – Marina zwróciła się poważnym tonem do położnej.

– Słucham? – odpowiedziała kobieta, odwracając się do niej.

– Niech pani zanieś dziecko i połóż je na jej piersi.

– Teraz je umyję – oświadczyła oschle położna.

Być może Marina nie powinna tego zrobić, ale to zrobiła. Nie wypowiadając ani słowa, słysząc histeryczny płacz siostrzenicy, podeszła do położnej i odebrała jej noworodka. Kobieta rzuciła jej pełne pogardy spojrzenie, ale Marina, wpatrzona w bardzo tłuściutką, bardzo brzydką i płaczącą wniebogłose dziewczynkę, już niosła ją siostrze, która wyciągnęła ręce. Anna wzięła córkę, położyła ją sobie przy piersi i objęła, plamiąc się zakrwawionym łóżyskiem. Po dziesięciu latach oczekiwania spełniło się wreszcie jej gorące pragnienie macierzyństwa.

Spędziły dwie noce w szpitalu, praktycznie nie śpiąc. Anita ciągle domagała się piersi matki i ssała maleńką brodawkę, z której nie wypływała jeszcze ani jedna kropla mleka, tylko siara. Ale tej ważącej cztery dwieście dziewczynce siara nie wystarczała, a mleko mogło się pojawić dopiero za kilkadziesiąt godzin. Poza tym nie sposób było tutaj spać. Jeśli nie budziła ich Anita, robili to ginekolog, pediatra lub położna, jeszcze bardziej oschła. Przysypiały, kiedy tylko było można, wpatrując się z zachwytem w tę krzepką dziewczynkę z noskiem boksera i zmarszczonymi brwiami. Z wyglądu była kopią ojca.

I jej ojciec wreszcie się pojawił. Taki jak zawsze. Władczy. Głośny.

– Anno! Jak mogłaś nie zawiadomić mojej matki? Cześć, Marino.

Armando usiadł na łóżku obok żony i córki. Marina obserwowała, jak Anna uśmiecha się do męża z wyrazem miłości i smutku na twarzy. Uświadomiła sobie, że jej siostra bardzo pragnie uścisku tego silnego mężczyzny. Anna przysunęła usta do jego ust, a on pocałował ją bez entuzjazmu. Wreszcie udało się jej stworzyć rodzinę, o której marzyła. Rodzinę Garcíá Vega w komplecie. Nie wiedząc czemu, widok ich trojga przypominał Marinie zdjęcie reklamujące ubezpieczenia na życie, umieszczane wzdłuż autostrad w Filadelfii, na którym dwoje ludzi trzymało niemowlę z silikonu na tle specjalnie do tego celu zbudowanej dekoracji. Obraz rodziny Garcíá Vega wydał jej się, podobnie jak ta reklama, jednym wielkim kłamstwem.

Zaraz potem pojawiła się matka Armanada. Również mówiła zbyt głośno, obcałowując najpierw syna i biorąc bez pytania wnuczkę z rąk Anny.

– Dziś w nocy zostanie z tobą moja matka – oświadczył Armando. – Mam za sobą czternaście godzin lotu, muszę odpocząć.

Marina przypomniała sobie twarz siostry, gdy ta usłyszała słowa męża. Anna była bliska płaczu. Ją samą ogarnęła bezsilna wściekłość wobec obojętności szwagra i potulności siostry. Spojrzała na nią bez słowa, przytrzymując jej wzrok. Postaw się.

Chodzi o twoje życie, Anno. Twoje życie. Mów. Bez lęku. Obie siostry tak dobrze się znały, że Anna odczytała wszystko z oczu Mariny, ale ograniczyła się do niemej skargi, spuściła wzrok i czując przelotny pocałunek męża, wpatrzyła się w stopy w skarpetkach swojej męczącej teściowej.

Marina wróciła wspomnieniami do zdawkowej rozmowy ze szwagrem podczas jazdy samochodem do domu, rozpoczętej, jak zawsze, tym samym: „Z roku na rok jesteś piękniejsza”. Nie znosiła tego stwierdzenia i uważała je za zbyt uczynne, ale grzecznie podziękowała, tak jak ją nauczono, nie dając się wciągnąć w jego grę. Taki właśnie był Armando, uważał się za donzuana i prawil komplementy ładnym kobietom. Na początku było to zabawne, ale teraz coraz bardziej irytujące. Armando powiedział jej, że może zostać, ile tylko zechce. „To twój dom... to nadal jest twój dom”. Tak naprawdę było mu na rękę mieć ją na miejscu do pomocy i do towarzystwa żony i córki, a przede wszystkim jego matki.

Czuła się dziwnie, śpiąc tej nocy w tym samym domu co Armando, bez siostry. Uniknąwszy wspólnej kolacji ze szwagrem, weszła na górę do pokoju babci i natychmiast zasnęła. Nazajutrz obudził ją płacz siostrzenicy. Otworzyła oczy i wstała. Sen jest lekarstwem... Wyszła na korytarz i zeszła do salonu. Armando przywiózł je ze szpitala i oto byli wszyscy: teściowa, szwagier i siostra, usiłujący uciszyć niemowlę.

– Jest głodna. Bardzo głodna. Ona ma bardzo mały sutek – zakrakała teściowa. – Trzeba dać dziecku sztucznej mieszanki. Jest najlepsza. Szybko na niej przybierze.

– Karmię ją od kilku godzin. Zmieniłam jej pieluchę. Ciągłe płacze – powiedziała zrozpaczona Anna, zwracając się do siostry.

Marina podeszła do nich.

– Dzieci płaczą, Anno. Nie martw się... No dobrze, zobaczymy, co jest temu maluchowi – odparła, biorąc dziewczynkę na rękę.

Położyła sobie małą siostrzenicę na prawej ręce buzią w dół, a lewą pomasaowała jej plecki.

– Mleko w proszku – raz po raz krakała teściowa.

Marina dobrze pamiętała zgryźliwe słowa tej nieprzyjemnej kobiety.

Anna nie poszła do sypialni małżeńskiej, tylko do pokoiku babci Nerei, który działał na nie kojąco. Weszły, po czym Anna zamknęła drzwi i usiadła na łóżku. Marina masowała jej delikatnie plecy, a mała oparta na ręce ciotki w końcu się uspokoiła, więc Marina położyła ją na łóżku.

– Budzi się co dwie godziny i tylko chce ssać. Wydaje mi się, że nie dam rady.

– Oczywiście, że dasz radę, Anno. Karmienie piersią wymaga poświęcenia. I... nie jestem matką... ale zawsze uważałam, że jest to wyraz miłości do dziecka. Domyślam się, że karmienie mlekiem w proszku jest łatwiejsze, ale spróbuj przez miesiąc, a jak nie, zawsze pozostaje ta druga opcja. Witaj w macierzyństwie.

Anna podeszła do okna i je otworzyła. Teściowa w szarej bluzce z krótkimi

rękawami i czarnej spódnicy za kolana chodziła po ogrodzie, zbierając liście.

– Przypomina srokę.

Marina podeszła do okna.

– Tak, to prawda – roześmiała się.

– Czy myślisz, że mama nas karmiła piersią?

Marina wzruszyła ramionami. Było to pytanie, którego nigdy sobie nie zadała. Anna położyła się na łóżku, zamknęła oczy i po chwili już spała. Marina przykryła siostrę i dziecko lnianym prześcieradłem z wyhaftowanymi niebieskimi literami. Widok tych dwóch spokojnie śpiących kobietek wydał jej się wzruszający i piękny.

Do sypialni wkradł się głos Armanda. Rozbawiony rozmawiał przez telefon. Marina zamknęła drzwi i usiadła w fotelu przy oknie. Widząc srokę i słuchając głosu Armanda, przeczuła, że coś wyjdzie nie tak. Anna poprosiła ją, aby została na czas połogu, i Marina, tłumiąc przeczucia, zgodziła się.

Tej nocy, kiedy leżała w sypialni u boku męża, Anna odkryła małe pęknięcie na podrażnionej brodawce. Poczowała obawę. Bardzo ją piekło. Chwilę później po policzku córeczki spłynęła biaława woda. Anna uśmiechnęła się pogodnie, ze spokojem. To była ich pierwsza wspólna noc. Ogarnęło ją szczęście. Rodzina García Vega w komplecie. Armando, Anna i Anita tworzyli rodzinę, nareszcie prawdziwą.

Anita przespała dwie godziny. Zapłakała. Possała jedną pierś, a potem drugą. Zasnęła. Anita przespała kolejne dwie godziny. Zapłakała. Possała jedną pierś. Zrobiła kupkę. Anna zmieniła jej pieluchę i mała zasnęła. Anita przespała godzinę. Zapłakała. Possała jedną pierś. Potem drugą. Zwymiotowała. Anna ją przebrała. Znow się rozplakała. Zasnęła. Anita przespała jeszcze godzinę. Zapłakała. Possała jedną pierś. Potem drugą. Zasnęła. Rozplakała się.

– Idź ją karmić do salonu! Mam jutro ważne spotkanie! Muszę się wyspać! – wrzasnął Armando.

Ostry głos szwagra obudził Marinę. Otworzyła drzwi i zobaczyła przygnębioną Annę wychodzącą z Anitą przy piersi. Przeniosły kosz do pokoju babci i od tego momentu siostry stworzyły tandem. Udało im się znaleźć rytm, który pozwalał odpocząć wszystkim trzem. Kiedy Anna kończyła karmienie, Marina zabierała siostrzenicę i wychodziła z pokoju, niosąc ją na dół, żeby z nią pospacerować. Tymczasem Anna zasypiała, brała prysznic albo spokojnie jadła śniadanie. I tak wymieniały się przez dwadzieścia jeden dni i dwadzieścia jeden nocy. Anna, mimo pomocy Mariny, pragnęła obecności męża. Lecz Armando, nie dość, że co noc spał sam, to nadal był pochłonięty pracą i w ogóle nie przejmował się prośbami żony. Jeśli potrzebowały więcej rąk do pomocy, musiały uważać, aby nie wymknęła się im najmniejsza skarga, bo chyża sroka tylko na to czekała.

Przebywając w rodzinie, do której nie należała, Marina zdała sobie sprawę z emocjonalnego niedopasowania tych trojga. Władza Armanda nad żoną była w jej

oczach władzą tyra. To prawda, przynosił do domu pieniądze, mieli ich aż nadto. Zatem skąd ta potrzeba więcej i więcej? Czy te ważne transakcje finansowe, którymi się chwalił, nie mogły trochę poczekać? To pierwszy miesiąc życia jego córki. Czy naprawdę nie mógł przestać pracować przez trzydzieści dni? Czy miesiąc to tak wiele dla człowieka interesu osiagającego wielkie sukcesy? I w dniu, kiedy o świcie zastanawiała się nad przyczyną egoizmu szwagra, wybuchł konflikt, który doprowadził do rozstania sióstr, choć tak bardzo się potrzebowały.

Tej nocy Anita płakała więcej niż kiedykolwiek z powodu ataków kolki. Marina pamiętała, że wymieniały się przy małej, zdesperowane, a ona płakała histerycznie, jak tylko potrafią niemowlęta. Zmieniły jej pieluchę. Anna przystawiła ją do piersi. Nie chciała ssać. Masowały brzuszek. Podały jej wodę łyżeczką do kawy. Zdesperowane, po bezsennej nocy, dostały ataku śmiechu. Nie wiedziały, co jeszcze mogą zrobić. Płakać czy się śmiać. Anna wyszła z pokoju po wodę do picia i zapomniała zamknąć drzwi. Marina podeszła do okna, trzymając na ręce zanoszącą się histerycznym płaczem siostrzenicę. Wyjrzała przez okno, słońce wyłaniało się powoli z Morza Śródziemnego. Wyglądało na to, że niemowlę zaczyna się uspokajać.

– Do ciężkiej cholery, nie możecie czegoś zrobić, żeby się uciszyła!

Marina odwróciła się w stronę szwagra. Anita znów się rozplakała.

– Co powiedziałaś? – spytała.

– Zabierzcie ją do lekarza, do diabła, coś jej na pewno jest.

Marina nie wierzyła własnym uszom.

– Jak... możesz być taki...

– No jaki? – warknął Armando.

Tysiąc obelg przemknęło jej przez głowę. Streściła je zwięźle. – Tępy.

Określenie to kojarzyło się Armandowi z tęnym uczniem. To go speszyło. Spodziewał się każdej innej obelgi. Ale nie tej.

– Tępy. Kim ty jesteś, żeby w moim własnym domu nazywać mnie... tęnym? Od dwóch miesięcy żyjesz jak królowa w tym domu, moja droga.

– W ogóle nie zajmujesz się żoną – odpowiedziała szeptem, nie chcąc się bronić, tylko pomóc Annie.

– Co się tu dzieje?! – krzyknęła Anna, biegnąc po schodach z dwiema szklankami wody.

– Już wystarczająco długo tu byłaś, w tej chwili pakuj manatki i wracaj do tej swojej ukochanej Ameryki.

Wbił wzrok w szwagierkę.

– I oddaj mi moją córkę! – krzyknął, wyrywając małą z jej rąk.

– Moja matka pójdzie dziś rano z tobą do lekarza, koniec dyskusji. Masz kupić mleko w proszku, i to natychmiast – zwrócił się do żony. – A twoja siostrunia wraca do tego swojego starego pieprzonego jankesa i zostawia nas w spokoju.

– Armando, proszę cię, przestań – błagała Anna.

– Wraca do siebie i pozwala nam z powrotem żyć, do niczego nie jest nam tu potrzebna. A teraz – dodał, patrząc szwagierce w oczy – pakujesz się i spadasz.

– Armando, proszę cię, uspokój się.

– Do jasnej cholery, ja mam się uspokoić? Co ta baba sobie wyobraża? Wszystkowiedząca mądrała. Flaki z siebie wypruwam, żeby... nie wiem, do jasnej cholery, dlaczego się usprawiedliwiam! – wrzasnął.

– Armando, proszę cię – powtarzała z przerażeniem w oczach Anna.

Oddał jej córkę i poszedł do sypialni. Zanim wszedł, odwrócił się do szwagierki.

– Swoją drogą, niezły numer wywinęłaś położnej w szpitalu. Co ty sobie, kurwa, wyobrażasz? – syknął i zniknął w pokoju.

Marina pamiętała, że popatrzyła na siostrę, oczekując, że postawi się temu egoiście, którego wybrała na męża. Jedno zdanie. Cokolwiek. Choćby coś naiwnego, byle stanęła po jej stronie. Odczekała sekundę. Dwie. Trzy. Płacz małej wdarł się im obu do mózgu, głębiej niż poprzednio. Cztery sekundy. Pięć. Sześć. Marina skierowała się do pokoju babci Nerei. Anna podążyła za nią.

– Pójdę z nim porozmawiać. Zaraz wracam.

Marina otworzyła walizkę. Krew pulsowała jej w skroniach, kiedy wkładała ubranie, które miała na sobie poprzedniego dnia. Pośpiesznie spakowała swoje rzeczy i wyszła z pokoju.

Schodząc po schodach, słyszała histeryczny płacz siostrzenicy, któremu towarzyszył uległy płacz siostry. „Dlaczego, Anno? Dlaczego nadal jesteś z tym mężczyzną? Nie potrzebujesz go. Mieszkacie w domu, który nam zostawił tata. Jest nasz. Wyrzucić go stąd. Lepiej być samej niż w złym towarzystwie”. Ale słowa te były dokładnie odwrotnością tego, co przez całe życie powtarzała ich matka. Lapidarne zdania, które na zawsze wryły się w podświadomość córki. „Co się dzieje z kobietą, która samotnie idzie przez życie? Jest tematem plotek innych ludzi, którzy litują się nad nią, bo jest sama. Kobiecie zawsze musi towarzyszyć mąż. Czasami małżeństwo nie jest tym, czego oczekujemy. Ale trzeba to znosić, córko. Widzieć, słuchać i milczeć”.

Szesnaście godzin później Marina wchodziła do swojego mieszkania w śródmieściu Filadelfii. Od tamtego dnia minęło czternaście lat. O tego czasu się nie widziały.

Wreszcie przestała rozmyślać o tym nieszczęsnym epizodzie ze swojego życia i usnęła w hoteliku zagubionym w górach.

\* \* \*

Jak tylko zadzwonił telefon, Anna podniosła słuchawkę.

– Marino, wszystko w porządku?!

– Tak, wszystko w porządku.

– Czekałam na ciebie wczoraj. Nie mogłam zasnąć przez całą noc... Myślałam, że coś ci się stało.

– Przepraszam... usiłowałam zadzwonić do ciebie z nabrzeża, ale telefon był zepsuty.

– Ale gdzie ty jesteś?

– W Valldemossie.

– W Valldemossie? Co tam robisz? Jadę po ciebie. I zjemy obiad w domu, dobrze?

– Już sprawdziłam autobusy, nie martw się. Sama przyjadę.

Autobus do Palmy wyruszał o pierwszej po południu. Miała czas, żeby przejść się i poznać ten tajemniczy spadek. Poszła według wskazówek Gabriela. Przeszła przez plac Ramón Llull i dalej aż do placu Santa Catalina Tomás. Weszła w brukowaną uliczkę de la Rosa ciasno zabudowaną domami z kamienia. W jej górnej części stał młyn. Imponujący, stary i kamienny, z ogromnymi skrzydłami. Podeszła powoli, z dziwnym uczuciem. Ten kamienny olbrzym był jej, należał do niej. A obok stał dom z kamienia, w którym mieściła się piekarnia. Stanęła u drzwi wejściowych, na których widniał napis:



Bezsukutecznie próbowała je otworzyć. Pod ścianą znajdowała się drewniana ławka. Weszła na nią, usiłując zajrzeć do środka przez małe okno, ale zamknięte okiennice nie pozwoliły nic dojrzeć. Na jej kurtkę spadła kropla wody. Zeszła z ławki i choć zaczął padać deszcz, usiadła. Przyglądała się sąsiednim domkom tłoczącym się przy młynie. Z kominów kilku z nich wydobywał się dym. Objęła wzrokiem piękny, zimowy krajobraz Majorki, stuletnie drzewa oliwne, teraz pozbawione liści, pola drzew świętojańskich i wspaniały spektakl białych i różowych odcieni kwitnących migdałowców, które odradzały się tutaj każdej zimy.

Dlaczego to wszystko zostawiłaś nam, Marío Dolores Molí? Czy nie było nikogo

innego, komu mogłaś ofiarować to cudne miejsce?

Z zamyślenia wyrwało ją szczekanie starego golden retrievera z opuszczonymi uszami. Wlókł się zmęczony ulicą Camí de la Rosa. Podszedł do Mariny i ją obwąchał. Powolnym krokiem, podpierając się laską, zbliżała się staruszka o siwych włosach spiętych w kok.

Była bardzo wysoka, miała na sobie wełniany, ciemnobrązowy płaszcz sięgający kostek, a na szyi niebieski szal z kaszmiru.

– Niebla, chodź tu, zostaw panienkę – powiedziała staruszka do psa. – Dzień dobry – przywitała się.

Marina się ukloniła. Staruszka miała porytą bruzdami twarz i wielkie, niebieskie oczy w tym samym kolorze co szal. Wydała jej się piękna, choć miała już pewnie osiemdziesiąt lat.

Suka, nie zwracając uwagi na właścicielkę, usiadła obok Mariny.

– Uważaj, bo zamknę drzwi.

Kobieta czekała oparta na lasce.

– Rusz się, Niebla, no chodź. Nie bądź głupia, bo zimno jak diabli – przekonywała, wkładając klucz do zamka domu przylegającego do piekarni.

Ponownie spojrzała na psa, który właśnie krzyżował łapy, kładąc się u stóp Mariny. – Pieprzona suka...

Suka oparła pysk na łapach.

– Zaskrobiesz do drzwi, jak ci się zachce – zakończyła staruszka, znikając w domu.

Marina przyglądała się zwierzęciu, które najwyraźniej nie miało zamiaru się ruszyć. Suka spojrzała na nią i powróciła do swojej pozycji potulnej owieczki u jej stóp.

I tak pozostały, Marina i stare psisko, moknąc na mżawce, ze wzrokiem zagubionym wśród pól migdałowców rosnących u podnóża gór Tramontana.

\* \* \*

Usiadła na miejscu tuż za kierowcą autobusu.

Poza nią było tylko trzech pasażerów. Rzuciła na nich obojętnie okiem. Była to młoda rodzina z małą dziewczynką siedzącą na kolanach matki. Dziecko jadło kromkę bardzo białego, przemysłowego chleba z formy z dżemem truskawkowym, co Marina odkryła po chwili, słysząc awanturę, którą robiła Marta, bo tak miała na imię kobieta, swojemu mężowi za to, że dał córce kanapkę z dżemem, którym poplamiała nową sukienkę.

Marina poczuła niepokój. Wielokrotnie wyobrażała sobie spotkanie z siostrą. Dzień po kłótni Anna próbowała dodzwonić się do niej do Filadelfii. Marina zobaczyła na ekranie telefonu połączenie z zagranicy i nie odebrała. Przez trzy tygodnie Anna dzwoniła codziennie, ale Marina nigdy nie podniosła słuchawki. Bo nie chodziło o tę

klótnię ani o fakt, że musiała przełożyć o rok obronę pracy doktorskiej – to był drobiazg. Na trasie z Madrytu do Nowego Jorku długo o tym rozmyślała i utwierdziła się w przekonaniu, które zresztą miała od dawna, że Anna była wyjątkową egoistką. Myślała tylko o sobie i tak było zawsze. Prawie nigdy nie dzwoniła do Mariny, kiedy ta w wieku czternastu lat zamieszkała w internacie Saint Margaret. To Marina dzwoniła na swój koszt w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Tęskniła za głosem starszej siostry, z którą się wychowała, z którą przez czternaście lat dzieliła sypialnię. Anna była jedyną osobą, która wiedziała, jaka Marina jest naprawdę. Gdy wracała na Majorkę w święta Bożego Narodzenia i na letnie wakacje, było im razem dobrze i nigdy się nie rozstawały, ale wszystko kręciło się wokół Anny. Wokół jej koleżanek. Jej narzeczonego, marynarza. Jej oblanych egzaminów. Poza tym w ciągu tych piętnastu lat, które Marina spędziła w Stanach Zjednoczonych, nie odwiedziła jej ani razu. Mało brakowało, a raz przyjechałaby do niej z mężem, kiedy podróżowali wzdłuż Wschodniego Wybrzeża. Zwiedzili Waszyngton, Boston i Nowy Jork, ale ponieważ jechali grupą, nie udało im się zahaczyć o Filadelfię. Nawet w dzień wręczenia dyplomów na uniwersytecie nie było przy niej Anny, choć wielokrotnie ją o to prosiła przez telefon, a Néstor i Ana de Vilallonga już wtedy nie żyli. Marina była jedyną absolwentką w czarnej todze, która rzuciła w powietrze swój biret, nie sprawiając tym radości komuś bliskiemu. Zabolało ją to bardzo. Ale przeszła nad tym do porządku dziennego i nadal jeździła na Majorkę na Boże Narodzenie, aby spędzić święta ze swoją jedyną rodziną, z Anną. Zniosła już wystarczająco dużo i postawa ofiary przyjęta przez jej siostrę podczas dyskusji z mężem była kroplą, która przepełniła czarę goryczy. To dlatego, lądując na lotnisku Johna Fitzgeralda Kennedy’ego, postanowiła zerwać stosunki ze starszą siostrą. Mogła żyć bez tych dwudziestu telefonów w ciągu roku i bez przelotnych wizyt na wyspie w Boże Narodzenie.

Anna nigdy nie uświadomiła sobie tego, jak samotnie czuła się Marina w Stanach Zjednoczonych i jak bardzo siostra potrzebowała rozmowy z nią w każdą ostatnią niedzielę miesiąca. Zazdrościła nawet Marinie, gdy matka zabraniała jej wychodzić wieczorami w weekendy, i wiele razy marzyła o tym, że to ona jest uczennicą tej cudownej, elitarnej, międzynarodowej szkoły otoczonej dębami, położonej na dwustu czterdziestu hektarach ziemi, wśród rozległych lasów. Kiedy Marina skończyła studia medyczne, Anna była już mężatką. Data uroczystości wręczenia dyplomów zbiegła się z remontem rezydencji w Son Vida. I nie wydało jej się dobrym pomysłem zostawienie Armanda samego w domu pełnym robotników.

Po nieudanych próbach dodzwonienia się Anna postanowiła pisać listy. Jeden tygodniowo. Bez przerwy. Prosiła w nich o wybaczenie tego, że była tak słaba, że nie umiała postawić się mężowi, że się mu poddawała, że nie decydowała o niczym – za wszystko. „Potrzebuję twojej bliskości – pisała niezmiennie – chcę wiedzieć, że jesteś przy mnie, nawet jeśli mieszkasz sześć tysięcy kilometrów stąd”. I zawsze, zanim



skończyła, informowała ją o drobnych postępach Anity, a także, usiłując ją rozśmieszyć, podawała szczegóły swojego psiego życia przy sroce.

Marina dalej wiodła życie u boku Jeremy'ego, pochłonięta studiami i pracą ginekologa. Czytała listy Anny, ale błagania siostry nie potrafiły zmienić decyzji, którą podjęła – żyć swoim życiem i trzymać siostrę z dala od siebie.

W grudniu pewnego roku Marina wyjęła ze skrzynki ostatni list od Anny, która pisała w kilku słowach:

*Kochana Marino*

*Piszę do ciebie, aby ci życzyć szczęśliwego wejścia w nowy rok. Mam nadzieję, że w tym roku spełnią się twoje marzenia, i mam też nadzieję, że mi wszystko wybaczysz.*

*Teraz żegnaj się już, aż do chwili, gdy to rozważysz. Kocham cię i zawsze będę cię kochała. Twoja siostra i przyjaciółka*

*Anna*

To był jedyny list, który Marina zachowała, kiedy rok później zakończyła związek z Jeremym i rozpoczęła karierę w organizacji Lekarze bez Granic.

Musiało minąć dziesięć lat, zanim odpowiedziała na ten list. Pewnego zimnego poranka, 25 grudnia 2007 roku, Marina wsunęła kopertę przez szparę skrzynki pocztowej przy ulicy Bergmanstrasse 17 w Berlinie, a pierwsze słowa jej listu brzmiały:

*Kochana Siostró, Kochana Przyjaciółko*

*Czas mija zbyt szybko i nie widzę już sensu utrzymywania dystansu między nami. Prawdopodobnie te bożonarodzeniowe dni budzą we mnie uczucie smutku, nostalgii... czy ja wiem...*

*Potrzebowałam wielu lat, jestem tego świadoma. Ale teraz jestem gotowa wrócić, jeśli chcesz...*

Po tym liście odnowiły korespondencję. Później nastąpiły e-maile, po których odbyły kilka rozmów telefonicznych. Ale nic więcej. Każda miała swoje życie. Poza tym zbyt dużo czasu spędziły z dala od siebie. Dopiero ten nieoczekiwany spadek doprowadził do ich spotkania.

Łało jak z cebra. Furtka do ogrodu była uchylona, weszła i wystarczyła jej chwila, aby zdać sobie sprawę, jak bardzo uległ zniszczeniu dom jej dzieciństwa. Elewacja wyglądała starzej niż kiedykolwiek. Drzewko cytrynowe w ogrodzie uschło. Basen był wypełniony zielonkawą wodą. Nie poczuła nostalgii, która kiedyś ją ogarniała. Nieoczekiwanie miejsce to wydało jej się całkiem obce.

Nie musiała dzwonić, Anna już otwierała drzwi. Spojrzały sobie w oczy, zanim do

siebie podeszły. Czternaście lat to długo. Marina dostrzegła w ułamku sekundy walkę, którą siostra podjęła ze zbliżającą się starością. Zobaczyła opuchliznę po wypełnieniach botoksem, nieruchome czoło, prasowane włosy, jasne pasemka, chude ciało i silikonowe piersi wystające spod starego jasnobrązowego swetra z kaszmiru. Annie siostra wydała się taka jak zawsze, ze swymi czarnymi, prostymi włosami zaplecionymi w długi warkocz, z nowymi zmarszczkami, które pojawiły się, gdy się lekko uśmiechnęła, a zaraz potem jej słodkie dołeczki. Nie wiedząc czemu, Marina zawstydziała się i prawie poczuła się winna, widząc pełne radości spojrzenie siostry, ponieważ patrząc w jej oczy i opierając się na znanym powiedzeniu babci, że oczy są zwierciadłem duszy, uświadomiła sobie to, co już wiedziała: że dusza Anny była duszą dobrą, duszą delikatną, niezdolną do wyrządzenia krzywdy komukolwiek i niezdolną do obrony samej siebie, a tym bardziej do obrony kogokolwiek innego. To wszystko przemknęło przez głowę Mariny w ułamku sekundy. To Anna podeszła do niej i ją objęła. W milczeniu. I Marina poczuła, że nie jest w stanie się ruszyć, ale uniosła powoli ramiona i objęła siostrę wpół. Przez dłuższą chwilę trwały w uścisku, nic do siebie nie mówiąc.

– A to ci dopiero, szwagiereczko! Jak się masz?

Głos Armanda, jak zwykle donośny, rozdzielił je, i tak jak było do przewidzenia, wtargnął między nie brutalnie. Podszedł do niej z otwartymi ramionami, objął ją, poklepał po plecach i zakończył powitanie siarczystym pocałunkiem w policzek. Przecież nic się nie stało. Marina uśmiechnęła się grzecznie, uświadamiając sobie, że szwagier rozrósł się jeszcze bardziej wszere, że nadal miał te same sterczące kosmyki co zawsze, tyle że siwe, a na sobie nienaganną, białą koszulę z logo przedstawiającym gracza polo na koniu, nieco już zniszczoną, oraz granatowe dżinsy i buty Martinello. Jej przyjaciel Sigfried, niemiecki pielęgniarz i wierny kibic wszystkich wyścigów Schumachera, powiedziałby, że jest dwa razy grubszy od dyrektora Formuły 1, Flavio Briatorego, oczywiście w gorszej wersji.

– Piękna jak zawsze. Nie widać po tobie upływu czasu. Popatrz, jaka jest opalona – schlebiał Marinie, zwracając się do żony. – Wszystko zapomniane, prawda? Wejdz, proszę.

Anna poszła w milczeniu za mężem, który poprowadził je do salonu. Ta scena utwierdziła Marinę w tym, czego się spodziewała, że w małżeństwie siostry nic się nie zmieniło.

– Powiem nastolatce, że już jesteś. Zaraz do was wracam – powiedział Armando, wchodząc po schodach na piętro.

Marina zdjęła kurtkę, Anna ją od niej wzięła i powiesiła na wieszaku. Usiadły na kanapie. Spojrzały na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Ciszę przerwała Filipinka, wnosząc tacę z talerzem małży, oliwkami i dzbankiem wody.

– To Imelda.

– Witaj, Imeldo. Jak się masz? – przywitała się Marina, wstając z kanapy i całując kobietę w oba policzki. – Nazywam się Marina. Miło mi.

Anna otworzyła szeroko oczy, widząc zachowanie siostry wobec służącej. Żadna z jej przyjaciółek z jachtklubu nie podeszła do Imeldy, kiedy Imelda była im przedstawiana, a tym bardziej żadna jej nie pocałowała.

– Dzień dobry pani. Chciałam panią poznać – powiedziała szczerze Imelda. – Czy mogę podać pani coś do picia?

– Wystarczy woda. Dziękuję.

Służąca uśmiechnęła się i dyskretnie wyszła, pozostawiając siostry same.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Bardzo dobrze.

– A ty?

– Też dobrze.

Kolejny uśmiech i krępująca cisza. Marina wyjęła z plecaka książkę kucharską, którą kupiła dla Anny na lotnisku w Addis Abebie.

– Bardzo dziękuję. Co za miły gest – powiedziała Anna, przeglądając książkę. – Prawdę powiedziawszy, zapomniałam o kuchni.... może w ten sposób do niej wrócę. No dobrze, ale dziś – tu spojrzała na siostrę z uśmiechem – dziś przygotowałam dla ciebie coś specjalnego.

Znów spojrzały na siebie. Anna chętnie przysunęłaby się bliżej do Mariny, objęłaby ją i zabrała daleko stąd, aby odzyskać utracone lata. Albo jeszcze lepiej, wyrzuciłaby męża na kilka godzin, a najlepiej, żeby przy okazji zabrał ze sobą córkę, która z dnia na dzień stawała się coraz bardziej impertynencka. Wysłałaby ich do teściowej, zostając tu, na miejscu, z młodszą siostrą, w spokoju, tylko one dwie, w swoim domu. Bo Anna więcej straciła przez ich rozstanie, nie miała czego uchwycić się w życiu. Nie miała męża, mimo że mieszkali pod jednym dachem. Nie miała pracy, nigdy nie było jej to potrzebne. Nie mogła liczyć na prawdziwe przyjaciółki, być może z powodu wychowania, które nauczyło ją, żeby nikomu nie ufać, żeby patrzeć, służyć i milczeć. Oczywiście miała dorastającą córkę, ale tak niezdolną.

– Jakie to dziwne – powiedziała Anna, unikając zagłębiania się w drzemiące w niej uczucia.

– Tak, to prawda. Dowiedzieliście się czegoś więcej o piekarce? – odparła Marina.

– Nie. – Anna wzruszyła ramionami i zaprzeczyła ruchem głowy. – W każdym razie nie jest naszą krewną. Jak się nazywała?

– María Dolores Molí.

– Myślę, że Armandowi udało się to dobrze sprzedać. Cena za metr kwadratowy jest bardzo wysoka – dodała z półuśmiechem Anna.

Potarła powoli dłonie, patrząc na nie. Marina знаła ten nerwowy gest siostry. Poczekwała na jej dalsze słowa.

– Jesteśmy w trudnej sytuacji. – Anna zniżyła głos, rzucając szybkie spojrzenie w stronę schodów. – Pamiętasz inwestycje w nieruchomości w Panamie?

Marina przytaknęła.

– Nie bardzo rozumiem, co się stało, ale okazały się oszustwem. – Zrobiła pauzę i znów skierowała wzrok w stronę piętra, aby upewnić się, czy mąż ich nie słyszy. Ściszyła głos: – Jesteśmy zrujnowani.

Pojawiła się Anita w swoim czarnym dresie. Schodziła po schodach z poważną miną, ciężko stąpając. Wydawało się, że trudno jej iść.

– Cześć, Ano! – powitała ją Marina, wstając.

Choć było to zupełnie logiczne, Marinie wydało się niesamowite, że owo płaczliwe niemowlę, które miało dwadzieścia dni, kiedy wyjechała, stało się tą masywną dziewczyną, która stała teraz przed nią.

– Cześć – odpowiedziała Anita powściągliwie i nieśmiało, nie patrząc na ciotkę.

Nadstawiła policzki, nie oddając pocałunku. Marina zauważyła ten gest, ale sama pocałowała siostrzenicę i pogłaskała ją czule po ramieniu.

Usiadły we trzy w krępującej ciszy. Marina przyglądała się prowokacyjnemu nadrukowi na bluzie, którą miała na sobie Anita. Było to zdjęcie kobiety z widelcem w ręce, w skórzanej, czarnej kurtce i w czarnym T-shircie z napisem „Zjedźmy bogaczy”.

– Lubisz Patti Smith? – spytała Marina o kobietę na bluzie.

– Wiesz, kto to jest? – Siostrzenica była zdziwiona.

– Pewnie, że wiem. Czy twoja mama nie powiedziała ci, że spędziłam pół życia w Stanach? Wiele lat temu byłam na jej koncercie w jakimś marnym klubie w Nowym Jorku... Przeszło dwadzieścia lat temu.

– Serio? – zapytała zafascynowana Anita, tak jakby to była najbardziej nieprawdopodobna historia, jaką słyszała w tym domu, gdzie rozbrzmiewała tylko muzyka z telewizora.

Anita знаła na pamięć wszystkie piosenki i wiersze starej piosenkarki rockowej, którą nazywano teraz „babcią punk rocka”. Marina pomyślała, że to dużo mówi o jej siostrzenicy. Naprawdę dziwne, że Anita nie tańczy do piosenek szurniętej Lady Gagi, jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent jej koleżanek z San Cayetano, ani nie porusza biodrami, towarzysząc byłej Hannah Montanie intonującej *Party in the USA*, tylko siedzi samotnie w swoim pokoju ze słuchawkami na uszach przy *People Have the Power* starej amerykańskiej aktywistki. Anna nie miała oczywiście najmniejszego pojęcia, kim była kobieta ze zdjęcia na bluzie córki. Ostatni raz włożyła ją, idąc, zmuszona przez rodziców, na fiestę majorkańskiej elity w jachtklubie. Anna poprosiła wówczas Anitę, żeby się przebrała. To nie był właściwy strój na tę okazję. Anita, bardzo niezadowolona, poszła do swojego pokoju i wróciła po dziesięciu sekundach w innej czarnej bluzie bez nadruku z przodu. Kiedy Anna wchodziła za córką do

jachtklubu, odkryła, że jej ukochana dziewczynka miała na plecach bluzy nadruk zdjęcia babci punk rocka robiącej obsceniczny gest, ale tym razem napis głosił: „Pieprzyć bogaczy”.

– Moje panie, zapraszam do stołu – powiedział Armando, wchodząc do salonu.

Wstały z kanapy. Od miesiąca Anna wyobrażała sobie z przerażeniem tę sytuację. Nim Marina przyjechała, poprosiła męża, aby zachowywał się uprzejmie. Armando nie był idiotą... sprzedaż tego młyna oznaczała zmniejszenie jego długu w Panamie. Będzie uroczym facetem, jakim go znano poza czterema ścianami tego domu. Anita, nieświadoma ich przeszłości, obserwowała z ciekawością nowego członka rodziny.

Weszła Imelda z wazą i podała zupę.

Armando pierwszy otworzył usta i wbrew obawom obu siostr rozmowa przy obiedzie, choć powierzchowna, okazała się o wiele mniej stresująca, niż sobie wyobrażały. Armando dopytywał o współpracę Mariny z organizacją, więc podczas gdy rodzina García Vega jadła zupę, ona odpowiadała uprzejmie, opisując miejsca, gdzie pracowała.

Anna opowiedziała, jak bardzo Majorka się zmieniła w ciągu tych czternastu lat. Armando mówił o wybudowanych osiedlach, o turystyce, dzięki której kieszenie wyspiarzy regularnie się napełniały. O tym, że oficjalnie już pięćdziesiąt tysięcy Niemców miało posiadłości na wyspie i że właśnie jeden z nich zdecydował się kupić młyn, który odziedziczyły.

– No dobrze, do rzeczy, bo kto ziarno sieje, ten przed burzą zwieje... i to dosłownie. – Armando roześmiał się z własnego dowcipu. – Udało mi się go sprzedać za dwa miliony euro – dodał dumnie. – Milion dla każdej z was.

Anna uśmiechnęła się i spojrzała na siostrę, która nie wyglądała na zadowoloną. Armando wytłumaczył im, że nabywca nazywał się Helmut Kaufmann. Był solidnym przedsiębiorcą z branży wędliniarskiej, producentem kielbas, w które zaopatrywał większość piwiarni w Republice Federalnej Niemiec. Miał zamiar znów otworzyć piekarnię Can Molí, łącząc sprzedaż tradycyjnego *pa moreno* z wyspiarskiej mąki *xeixa* ze sprzedażą Weiswurst, białej kielbasy produkowanej na własnej fermie trzody chlewnej pod Frankfurtem. Helmut miał wylądować w Palmie nazajutrz o trzeciej po południu. Armando przyjechałby po nie, a o piątej notariusz czekałby na nich w swojej kancelarii, aby podpisać umowę.

Imelda przyniosła deser, który Anna przygotowała z ogromnym pietyzmem tego ranka. Wiedziała, że Marinę zachwyci biszkopt, który babcia Nerea nazywała cytrynowym chlebkiem z makiem. Być może jego smak wskrzesi jej wspomnienia. Szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa. „Ten słodki chleb – mówiła babcia – ma magiczny składnik, którego nigdy wam nie wyjawię”. To on nadaje ciastu wyjątkowy, pyszny smak. Obie nalegały, chcąc dowiedzieć się, co to za magiczny składnik, ale zawsze odmawiała... Aż wreszcie, w dniu gdy Marina skończyła siedem lat, posadziła

je przy drewnianym stole w kuchni i każąc im najpierw przysiąc, że dochowają tajemnicy, pochyliła się nad ich główkami i szeptem wyjawiała przepis.

Marina spojrzała na siostrę i uśmiechnęła się z wdzięcznością. Anna wiedziała, że Armando i jej córka nie uchwycą szczególnego znaczenia tego ciasta, ale Marina doceni jej gest, który w pewnym sensie raz jeszcze wyrażał jej prośbę o wybaczenie.

Anna wolałaby upiec chleb, używając cytryn z drzewka w ogrodzie, bo babcia twierdziła, że rosnące na nim cytryny miały jedyny i niepowtarzalny na całej wyspie smak. Niestety drzewko uschło kilka miesięcy wcześniej. Niestety, bo Anna naprawdę opłakała jego śmierć. Rozplakała się na oczach ogrodnika, gdy zwrócił się do niej, siląc się na dowcip: „Proszę pani, to drzewo jest bardziej martwe niż Michael Jackson”. Anna zabroniła mu je ścinać i zaniósła się histerycznym płaczem. Oniemiały ogrodnik, widząc łzy spływające po jej twarzy, przeprosił, myśląc jednocześnie, że Anna musi być fanką Jackson Five i że bogate Barbie z bogatej dzielnicy Son Vida mają nie po kolei w głowie.

Tak więc tego ranka Anna wsiadła do swojego bmw i pojechała do Alcampo po dziesięć cytryn. Wiedziała, że w zimie nie znajdzie nasion maku, więc obdzwoniła przyjaciółki z jachtklubu i w końcu dowiedziała się o niedawno otwartym sklepie bio, w którym młoda Niemka ubrana w pomarańczowe sari sprzedawała jej dziesięć paczuszek maku. Po powrocie do domu, podniecona, włączyła piekarnik i wymieszała powoli wszystkie składniki, usiłując przypomnieć sobie dokładne proporcje stosowane przez babcię. Pierwszy biszkopt wyszedł za gorzki, bo dodała za dużo skórki startej z cytryny; drugi się przypalił, aż wreszcie trzeci wyszedł puszysty, tak jak lubiła Marina.

– Można powiedzieć, że jesteście z Anną milionerkami – odezwał się Armando chełpliwym tonem.

– Macie klucz? – spytała Marina, biorąc kawałek biszkoptu.

– Klucz – powtórzył Armando.

– Tak. Klucz do młyna i do piekarni.

Cisza.

– Tak.

– Dasz mi go? – zapytała Marina.

Armando skrzywił się w grymasie niezadowolenia. Anna przestała jeść i spojrzała z przerażeniem na męża.

– Po co? – indagował Armando tonem poważniejszym niż ten, którego używał podczas spokojnej rozmowy prowadzonej od godziny, i nieco mniej dosadnym niż ten, którego użył wtedy, gdy wyrzucił Marinę z ich domu.

Anita i Anna obróciły głowy w stronę Mariny. Rozległ się grzmot, ale nikt nie wyrzwał na dwór. To w domu zanosilo się na burzę.

– Jestem ciekawa, jak wygląda. Chcę dowiedzieć się, kim była ta pani, tak hojna,

która uczyniła nas milionerkami. Musi coś tam być w środku, co nam pomoże to sprawdzić.

Anita i Anna obróciły głowy w stronę Armanda.

– Nie ma tam wiele do oglądania. To stara piekarnia pełna worków z mąką, z pomieszczeniem produkcyjnym i piecem opalany drewnem. Nic więcej. Młyn nie działa od lat i tyle... rozpada się. Jest prawie całkowicie zrujnowany. To nie wasza bezpośrednia rodzina. Sprawdziliśmy nazwiska jej rodziców, dziadków, pradziadków... Prawdę mówiąc, co to za różnica – powiedział, siląc się na uśmiech.

– Dwa miliony euro są wasze.

Armando złożył serwetkę, uznawszy rozmowę za skończoną, i szykował się do wstania od stołu.

– Proszę cię, Armando, daj mi klucze – powiedziała zdecydowanie Marina, patrząc mu w oczy.

\* \* \*

Naonczas spostrzegli trzydzieści lub czterdzieści wiatraków na tym polu. Ujrawszy je, Don Kichote powiedział do giermka:

– Fortuna sprzyja naszym zamiarom bardziej, niżbyśmy pragnąć mogli. Oto patrz tam, przyjacielu Sanczo Pansa, gdzie ukazują się trzydzieści lub i więcej potwornych olbrzymów, z którymi zamierzam stoczyć walkę i wszystkich życia pozbawić; łup po nich będzie początkiem naszego wzbogacenia się, jest to bowiem słuszna wojna i doniosła służba boża znieść tak podłe nasienie z oblicza ziemi.

– Jakie olbrzymy? – zapytał Sanczo Pansa.

– Te, które tam widzisz – odpowiedział pan jego – o długich ramionach; niektórzy zdają się mieć je długie na dwie mile.

– Zważcie, jegomość – odparł Sanczo Pansa – że to, co tam się ukazuje, to nie żadne olbrzymy ino wiatraki, a to, co się wydaje ramionami, to skrzydła, które obracane wiatrem poruszają kamień młyński<sup>6</sup>.

Cuca szeroko ziewnęła.

– Cuco, trochę szacunku dla reszty klasy, proszę – odezwała się młoda nauczycielka literatury z San Cayetano.

– Ale proszę pani, o dziewiątej rano to jest nie do wytrzymania – odpowiedziała Cuca.

Pozostałych dwudziestu dziewięciu uczniów roześmiało się i nauczycielka westchnęła. Cuca, tak impertynencka jak zwykle, miała trochę racji: żaden nastolatek nie był w stanie emocjonować się tą książką, nawet jeśli była wersja zaadaptowana dla młodzieży. Prawdą też jest, że sama nauczycielka musiała ją przeczytać na studiach filologii hiszpańskiej wiele lat temu, i oprócz tego, że poznała setki nieużywanych już słów, lektura ta wydała się jej wybitnie nudna. Jednak zachowała to dla siebie, aby nie potraktowano jej jak ignorantki, biorąc pod uwagę fascynację, jaką budziły wśród kolegów z uczelni nieprawdopodobne historie pomysłowego rycerza z La Manchy.

– Zamknijcie książki – oświadczyła. – Schowajcie je do plecaków i ubierzcie się.

Idziemy na spacer.

Uczniowie krzyknęli radośnie. Szybko włożyli kurtki na mundurki i przepychając się, wybiegli z klasy. Nauczycielka zebrała swoje rzeczy i włożyła je do teczki. Pozostała tylko jedna uczennica. Siedziała nieruchomo w ostatnim rzędzie, patrząc przez okno zagubionym wzrokiem.

– Marino?

Marina spojrzała na nauczycielkę.

– Dobrze się czujesz?

Dziewczyna przytaknęła, wstając z krzesła. Wzięła płaszcz i skierowała się w stronę drzwi. Nie. Nie czuła się dobrze. Sytuacja w domu była nie do zniesienia. Nienawidziła matki i miała wrażenie, że matka też jej nienawidzi. Poprzedniego wieczoru, jak codziennie, wybuchła między nimi gwałtowna kłótnia. Tym razem chodziło o sposób trzymania widelca.

W inne wieczory, w inne dni, chodziło o zbyt długie włosy splecione w nieporządny warkocz, którego Marina nie chciała ściąć; o zapach jej nieuparfumowanej skóry; o nieuporządkowany pokój pełen starych książek medycznych, które przyniosła z domu babci i które były według matki pełne roztoczy; o to, że nie chciała chodzić na mszę w niedzielę po przejażdżce łódką. A najbardziej matka nie znosiła zażyłości, jaka łączyła Marinę ze starszą siostrą i z babcią ze strony ojca, a przede wszystkim z ojcem. Poza tym Marina nigdy nie podnosiła głosu i zawsze odpowiadała na krytykę matki, atakując celnie i argumentując w sposób kwestionujący jej zasady.

Marina odnosiła wrażenie, że nawet jej obecność przeszkadza matce. Nie potrafiła zrozumieć kobiety, która czternaście lat wcześniej dała jej życie. Natomiast Anna wręcz przeciwnie, w oczach matki była córką doskonałą. Stworzyła ją na swój obraz i podobieństwo. Była ładna, krucha, naiwna, porządna i uparfumowana. Ale Marina wiedziała równie dobrze jak i matka, że Anna była nieskomplikowaną nastolatką, nieposiadającą innych zainteresowań poza nowymi sukienkami, bez żadnych aspiracji w życiu. Przeciętna w nauce, ze stopniami, które nie przekraczały czterech i pół punktu na dziesięć. Na szczęście, dzięki dobrowolnym datkom, o które prosili księża z San Cayetano, a które matka hojnie przekazywała, udawało jej się osiągnąć wymagane pięć punktów. Tak więc dziesiątki Mariny były powodem do dumy ojca, choć u rodzicielki wywoływały tylko błądy uśmiech.

W końcu Marina przyzwyczaiła się do krzyków matki, do których dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze dochodziło podczas nieobecności Néstora. Ani razu nie rozległy się w jego obecności. Marina przestała odparowywać ataki matki celnymi argumentami i nauczyła się powstrzymywać, nie odpowiadała. Kiedy matka coś jej zarzucała, ona, wbrew swojej naturze, wychodziła i zamykała się w pokoju. Matka szła za nią, otwierała drzwi i kontynuowała litanię wyrzutów. Aż w któreś święta Bożego Narodzenia, dzięki dwustu pesetom, które dostała od babci, Marina kupiła zasuwę.



Zasuwa spowodowała ograniczenie krzyków, ale zwiększyła desperację matki szlochającej w ramionach męża z powodu nieokiełznanej nastolatki, którą wychowali. Poza wszystkim Ana de Vilallonga była hipochondryczką, cierpiała na nerwicę i somatyzowała, co objawiało się wysypką, jęczmieniem na powiece lub opryszczką na ustach. Napięcie w domu narastało... aż pewnego dnia, w wyniku niezwykle silnej wysypki na twarzy, jej szacownej matce udało się doprowadzić do tego, co knuła od wielu miesięcy i co było powodem zamyślenia wpatrzonych w okno Mariny, podczas gdy jej koleżanki wychodziły hałaśliwie z klasy. Postanowiono wysłać ją do szkoły z internatem sześć tysięcy kilometrów od Majorki.

Trzydzieścioro uczniów i nauczycielka literatury dotarli do starej dzielnicy marynarzy Es Jonquet, którą zdobiły stare młyny.

– Widzicie?

– Co mamy widzieć? – wyskoczyła Cuca.

Pozostali uczniowie jak zwykle milczeli. Jedni, nie rozumiejąc, drudzy, nie słuchając.

Wiek dojrzewania jest etapem w życiu, który na kilka lat zmienia człowieka w idiotę, pomyślała młoda nauczycielka.

– Młyny, na Boga, młyny.

Poszli dalej, aż znaleźli się w pobliżu jednego z nich. Wtedy nauczycielka poleciła im otworzyć książki. Wybrała pryszczatego, tyczkowatego i niezgrabnego ucznia, aby odczytał kwestię Don Kichota, oraz przysadzystego, aby odegrał Sancho Pansę. Cuca uparła się, że zagra Dulcyneę, wywołując rumieńce na twarzy tego niezgrabnego, który jak większość uczniów San Cayetano marzył o dotknięciu piersi najfajniejszej dziewczyny w szkole.

Lekcja literatury minęła wśród śmiechów i aplauzów i na zawsze pozostała we wspomnieniach uczniów z ich młodych lat, nawet we wspomnieniach Mariny.

Młoda nauczycielka literatury pomyślała, że poza czterema ścianami klasy nie jest tak trudno poruszyć nastolatków, jeśli tylko się człowiek o to naprawdę postara.

\* \* \*

Autobus podążał serpentynami pasma górskiego Tramontana w kierunku Valldemossy. Deszcz nasilał się, uderzając w lusterko kierowcy, który jechał ostrożnie i powoli, co pozwalało jedynej pasażerce podziwiać zachód słońca kryjącego się za samotnymi górami.

Schroniła się pod wiatą. Deszcz odbijał się ze zdwojoną siłą od bruku. Nasunęła kaptur kurtki i przebiegła trzysta metrów, które ją dzieliły od hotelu. Poczekaj tam, aż przestanie padać, a potem pójdzie do młyna.

Gabriel i Izabela siedzieli przy kominku w salonie i rozgrywali partię szachów.

Powitali ją uprzejmie. Gdyby jej powiedziano, że ten mężczyzna i ta kobieta są rodzeństwem, uwierzyłaby. Musieli być w podobnym wieku, około sześćdziesiątki, było między nimi fizyczne podobieństwo. Emanowały od nich spokój i łagodność, które podziały kojąco na Marinę.

– Muszę napisać e-mail. Czy macie komputer z łączem internetowym? – spytała Marina.

– Tak. Ale usiłowaliśmy połączyć się z naszym synem na Skypie i mowy nie ma. Zdarza się, kiedy tak pada... przykro mi. Powiem ci, jak tylko zaczniesz działać.

Deszcz lał intensywnie przez całe popołudnie i całą noc. Internetu nadal nie było i Marina zasnęła. Chwilę przed snem widziała siebie i siostrę, biegły przez pole maków, i nagle, nieoczekiwanie, małą Etiopkę, którą porzuciła w żelaznym łóżeczku, a kiedy już głęboko zasnęła, śnił jej się Mathias.

Od: mathiaschneider@gmail.com

Data: Luty 2, 2010 (dzień temu)

Do: marinavega@gmail.com

Marino

Właśnie dostaliśmy pilny telefon z centrali. Potrzebują wsparcia na Haiti. Do trzęsienia ziemi doszła epidemia cholery i są przeciążeni. Proszą nas o ponad sześć miesięcy. Nie umiałem powiedzieć nie. Jutro lecę do Barcelony. Czekam tam na ciebie. Wiem, że nie chcesz zostawić Etiopii, ale naprawdę myślę, że potrzebują nas na Haiti. Będę nocował w domu Ony i jak tylko wyląduję, pójdę do biura organizacji. Proszę cię, zadzwoń tam do mnie.

Kocham cię. Ich liebe dich.

Deine Mathias

Marina zbladła. Przesunęła dłońmi po twarzy, nie odrywając oczu od ekranu komputera. Jeszcze raz przeczytała e-mail. Wolałaby, żeby tych kilka linijek nigdy nie zostało napisanych. Pożałowała, że musi przeczytać je po raz drugi. Czytając od nowa, szukała jakiejś pomyłki. Najwyraźniej Mathias wyjeżdżał z Etiopii, aby zaangażować się w nową walkę. Wzięła głęboki oddech.

Zaprzagnęła egoistycznie, żeby trzęsienie ziemi oddalone o prawie osiem tysięcy kilometrów od miejsca, gdzie się znajdowała, się nie wydarzyło. Bo to trzęsienie ziemi nią wstrząsnęło. Ta nowa katastrofa humanitarna nie pasowała do jej życia. Nie oczekiwała zmiany planów i wcale tego nie chciała. Kraj w Antylach będzie potrzebował pomocy zagranicznych lekarzy latami i okresy pobytów mogą przedłużyć się rok lub dłużej. Znowu zmieniać miejsce? Przyzwyczajać się do nowej kultury? Przyzwyczajać się do nowego zespołu? Spać w namiocie, w kolejnym, nieznanym hotelu?

Westchnęła, usiłując opanować ogarniające ją powoli uczucie niepokoju. Mathiasie, tak dobrze jest nam w Etiopii. Dlaczego wyjechałeś?

Od trzech lat, odkąd organizacja zaproponowała Marinie stanowisko szefa misji medycznych, pracowali i żyli w Etiopii. Choć mogło to wydawać się dziwne,

mieszkanie służące za obóz bazę dla pracowników, którzy wymieniali się w zależności od projektów rozwijanych przez Lekarzy bez Granic w Addis Abebie, stało się ich miejscem. Miejscem, w którym czuła się bezpiecznie i dobrze. Daleko mu było do ogniska domowego, ale te cztery znane ściany dawały jej poczucie bezpieczeństwa. Kontrakt był na rok, ale kiedy upłynął ten termin, poprosiła o przedłużenie, przekonawszy najpierw Mathiasa, który zgodził się zostać z nią w Etiopii. Tylko raz, na prośbę organizacji, opuścił Etiopię i przyłączył się do zespołu lekarzy udających się do Myanmaru, aby pomóc ludności dotkniętej skutkami cyklonu Nargis. Organizacja nie zezwalała na zajmowanie żadnego stanowiska dłużej niż trzy lata. Został im rok. Gdyby nie zgodzono się, aby nadal pełniła tę funkcję, spróbowaliby pracować dla jednej z organizacji pozarządowych świadczących pomoc rozwojową w Etiopii. Podczas przyjęcia wydanego przez ONZ w siedzibie w Addis Abebie poznała wielu współpracowników Lekarzy Świata i Intermonu Oxfam, którzy zapewnili ją, że ani jej, ani Mathiasowi nie zabrakłoby pracy w tym zawsze będącym w potrzebie zakątku Rogu Afryki. Taki miała plan.

Ale ten e-mail, te kilka linijek wszystko zmieniało. Etiopia to był też Mathias. Nie zostałaby tam przez ostatnie dwa lata, gdyby Mathias się nie zgodził. Wyobraziła sobie siebie bez niego na suchej pustyni Afaru i zadrżała. Nie mogła mu wyrzucać, że wyjechał. Zawsze był szczerzy, nie chciał spędzić całego życia w Etiopii. Ale Marina odpowiadała, że co to za różnica leczyć chorych w tym czy innym kraju.

Pracowała dla Lekarzy bez Granic ponad dekadę. Dopóki nie skończyła czterdziestu lat, przerzucała się z jednego kontynentu na drugi, w zależności od pojawiających się na świecie kryzysów humanitarnych. Zmiana kraju nigdy nie stanowiła dla niej problemu, choćby znajdował się tysiące kilometrów dalej. Oferowała zawsze swoją pomoc w czasie Bożego Narodzenia, kiedy większość współpracowników wolała przebywać z bliskimi w rodzimym kraju. W 2004 roku, gdy skończyła czterdzieści lat, w jej życiu pojawił się Mathias i przez pierwsze trzy lata ich związku nadal bez przerwy podróżowali po całym świecie. Zawsze razem. Organizacja szanowała to i popierała. Praca w ekstremalnych warunkach jest zawsze, jak wszystko w życiu, łatwiejsza, kiedy towarzyszy jej miłość. Tamtego roku Mathias i Marina wylądowali w obozie dla uchodźców w Sudanie Południowym, aby tam pracować przez sześć miesięcy. Później spędzili cztery w Republice Środkowoafrykańskiej, a pod koniec roku polecili do Czeczenii. W 2005 roku przez cztery miesiące zwalczali chorobę Chagasa w Boliwii, resztę roku spędzili na Sri Lance w związku z brakiem miejscowych lekarzy, a w grudniu w Zimbabwie, z powodu rozszerzenia programu zwalczania HIV. Pod koniec 2006 roku polecili do Jemenu, aby leczyć wycieńczonych uchodźców afrykańskich przybywających na lichych łodziach z Somalii. Ta podróż była psychicznie wyniszczająca dla Mariny i kiedy w 2007 roku pojawił się wakat na stanowisku szefa misji w Etiopii, nie zawahała się. Funkcja ta oznaczała pozostanie od

roku do trzech lat w jednym miejscu. Dziesięć lat z plecakiem na ramionach było wystarczające, nie miała już energii trzydziestolatki. Czowała to fizycznie i psychicznie. Wiedziała, że Etiopia nie da sobie niestety rady bez pomocy Zachodu i że zawsze będzie tam potrzebna. Marzyła, aby resztę życia spędzić w tym zakątku świata razem z Mathiasem.

Wylogowała się z poczty Google, nie odpowiadając na e-mail. Oszołomiona wstała z krzesła. Wzięła kurtkę i się ubrała. Skierowała się do wyjścia z Es Petit Hotel de Valldemossa. Spojrzała na zegarek, pozostało jej pięć godzin do podpisania umowy sprzedaży. Włożyła ręce do kieszeni kurtki i dotknęła żelaznego breloczka z kluczami do młyna. Apatycznie przeszła przez środek miasteczka tą samą drogą co poprzedniego dnia, bo zaplanowała, że tak właśnie zrobi tego ranka, nim pojedzie do notariusza. Zainteresowanie spadkiem całkiem minęło, w głowie miała proste, rozsadzające skronie pytanie. Etiopia czy Haiti?

Na ulicy de la Rosa znów minęła staruszkę o jasnych oczach i siwą sukę rasy golden retriever ze spuszczoneymi uszami.

Marina i staruszka przywitały się skinieniem ręki i każda poszła w swoją stronę. Dotarła do młyna. Wyjęła klucz i włożyła go do zamka. Otworzyła drzwi. Młyn był pusty, pośrodku stała stara, od dawna nieużywana maszyna. Weszła po kręconych schodach na drugie piętro, gdzie znajdowało się urządzenie służące do mielenia zboża. Wyrzała przez jedno z wąskich okienek. Dostrzegła morze między skrzydłami młyna. Skrzydła widziane z tej perspektywy wydawały się dwa razy dłuższe. Znów zadała sobie to samo pytanie. Etiopia czy Haiti?

Otworzyła drzwi domu. Na parterze znajdowała się piekarnia z zapleczem produkcyjnym. Stary, solidny, długi stół z sosnowego drewna. Za stołem puste blachy. Przy wejściu do piekarni, na prawo, widać było piec opalany drewnem, miesidła, stopy worków z mąką, pakiety dębu ostrolistnego i migdałowca, żelazne wagi i formy. Miejsce było surowe i zimne.

Weszła po schodach prowadzących na pierwsze piętro. Znalazła się w pomieszczeniu będącym jednocześnie kuchnią i salonikiem. Na suficie szerokie, drewniane belki. Na ścianach żelazne garnki, a na piecu obok kamiennego zlewu stare patelnie. Z boku wiekowa kanapa obita przetartym materiałem i szafka z otwartymi drzwiami i wysuniętymi szufladami. Zdziwiona podeszła do szafki. W jednej z szuflad sztuce w nieładzie. W innej porozrzucone czyste serwetki. Zamknęła szuflady i drzwi. Dalej lustrowała pomieszczenie. Obok kanapy wejście do drugiego pokoju, w którym na pierwszy rzut oka panował bałagan. Miejsce prawie tak duże jak kuchnia. Na półkach i podłodze rozrzucone miotły, mopy, puszkony konserw, nici, napastrki, narzędzia, guziki, nożyczki...

Na drugim piętrze surowa sypialnia, łóżko bez prześcieradeł, obok stolik nocny, z drugiej strony wiklinowe krzesło.

Otworzyła okiennice, wpuszczając poranną bryzę. W oddali między górami lśniło morze. Podeszła do łóżka zmarłej piekarki i usiadła. W jej umyśle znów pojawiły się dwa kraje: Etiopia i Haiti. Instynktownie, pragnąc wyciszyć myśli, położyła się, nie odwracając wzroku od widniejących w oddali gór i kawałka morza. Splotła dłonie pod głową. Nagle nieśmiały promyk słońca przedarł się między chmurami, wpadł przez okno do sypialni i dotknął jej ciała. Czuła się słabsza niż kiedykolwiek. I tak dała się ukołysać słońcu, wiatrowi i aromatom kwitnących migdałowców wymieszanym z zapachem śródziemnomorskiej bryzy.

\* \* \*

O wpół do czwartej po południu Helmut wysiadł z teczką pełną gotówki na lotnisku w Palmie. Armando czekał na niego w swoim audi A6 prosto z myjni. Uścisnęli się po męsku, poklepując się po plecach otwartą dłonią. Potem uśmiech i natychmiastowe wręczenie teczki.

Armando, jak przystało na wielkiego spekulanta nieruchomościami, był przyzwyczajony do dokonywania transakcji w B, jak to określał. Płacił w B i płacono mu w B, zarabiał na czarno, oszukiwał urząd skarbowy. Był przestępcą. Ale ten proceder, jak wiadomo, w tamtych czasach był w Hiszpanii powszechny. Począwszy od murarza, a skończywszy na deweloperze, wszyscy starali się umknąć przed pożarciem przez skarb państwa. Jak dotąd wszystko w porządku. Naprawdę istotny w tej sprawie był fakt, że dokonując transakcji sprzedaży młyna w ten sposób, Armando oszukiwał nie tylko urząd skarbowy, ale także żonę i szwagierkę. Wiedział, że nie zdawały sobie sprawy z możliwości popełnienia błędów, a on nie zamierzał ich o tym informować. Był zadłużony po uszy, miał przeszło milion euro długu w hiszpańskim banku i milion w panamskim, więc biorąc pod uwagę narastające procenty, jego sytuacja z dnia na dzień się pogarszała. Nie zastanawiał się długo. Dzięki pośrednictwu swojego przyjaciela Curra miał sprzedać młyn i dom, w którym mieściła się piekarnia oraz mieszkanie Marii Dolores Molí za dwa miliony euro legalnie i za dodatkowy milion w B, który miał otrzymać do ręki, w banknotach o nominale pięćset euro.

Helmut wszedł do samochodu i obydwaj udali się do JC Backera.

Marina pojechała do Palmy autobusem. Ten sam kierowca poznał ją i uprzejmie przywitał. Mimo stanu ducha, w jakim się znajdowała, podziękowała mu za ten gest, wdając się z nim w krótką rozmowę na temat widoku promieni słońca wynurzających się powoli zza gór. Uprzednio pożegnała się z Gabrielem i Isabelą. Na siedzeniu za nią leżał jej czarny plecak. Podpisać umowę sprzedaży i polecieć ostatnim lotem do Barcelony. Po zwiedzeniu młyna wróciła do hotelu i korzystając z tego samego komputera, na który dostała e-mail tak bardzo zmieniający kierunek jej życia, kupiła bilet last minute do Barcelony, aby dzisiejszej noc spać u boku Mathiasa. Audi A6

i miejscowy autobus minęły się na placu España.

---

## UMOWA KUPNA SPRZEDAŻY NIERUCHOMOŚCI

Majorca, dnia 2 lutego 2010 r.

### STAWILI SIĘ

**Z JEDNEJ STRONY:** Anna Vega de Vilallonga i Marina Vega de Vilallonga

**Z DRUGIEJ STRONY:** Helmut Kaufmann

**WYSTĘPUJĄ:** wszyscy w imieniu własnym i działając na własną korzyść. Obie strony uznają nawzajem swoją zdolność prawną do zawarcia niniejszej umowy kupna sprzedaży i w tym celu

### OŚWIADCZAJĄ, ŻE

I. Anna Vega i Marina Vega są właścicielkami nieruchomości, na którą składają się:

Dwupiętrowy dom o powierzchni całkowitej 110 m<sup>2</sup>

Młyn zbożowy

WPIS: wyżej wymieniona nieruchomość jest wpisana do rejestru nieruchomości na Majorce.

II. Niżej podpisani zgodni są co do tego, że pani Anna Vega i pani Marina Vega sprzedają panu Helmutowi Kaufmannowi wyżej wymienioną nieruchomość oraz doprowadzają, za obopólną zgodą, do zawarcia niniejszej umowy kupna sprzedaży zgodnie z poniższymi

### KLAUZULAMI:

**PIERWSZA** – SPRZEDAJĄCY sprzedają panu Helmutowi Kaufmannowi, KUPUJĄCEMU, nieruchomość opisaną w punkcie pierwszym.

**DRUGA** – Cenę nieruchomości ustala się na 2 000 000 euro płatne w następujący sposób:  
Kwota 20 000 euro jako zaliczka wręczona podczas czynności podpisania niniejszej Umowy.

**SPRZEDAJĄCY** oświadcza, że zaliczkę otrzymał oraz wystawia pokwitowanie panu Helmutowi Kaufmannowi. Pozostałą kwotę KUPUJĄCY uiszcza w postaci czeku na okaziciela w momencie zawarcia niniejszej umowy kupna sprzedaży w formie aktu notarialnego. Strony postanawiają nadać niniejszej Umowie formę dokumentu urzędowego w terminie nie dłuższym niż 3 miesiące od daty zawarcia niniejszej Umowy, przed notariuszem, wybranym za obopólną zgodą.

**TRZECIA** – Klucze do domu zostaną wręczone KUPUJĄCEMU w momencie nadania niniejszej Umowie formy dokumentu urzędowego.

**CZWARTA** – KUPUJĄCY zobowiązuje się do pokrywania wszelkich kosztów wynikających z posiadania nieruchomości, zwłaszcza kosztów wspólnoty, od chwili odebrania kluczy.

**PIĄTA** – Pozostałe opłaty i podatki powstałe lub należne w związku z zawarciem niniejszej Umowy ponosi odpowiednio każda ze stron zgodnie z obowiązującymi przepisami.

**SZÓSTA** – SPRZEDAJĄCY ponosi względem KUPUJĄCEGO odpowiedzialność z tytułu rękojmi za wady fizyczne i prawne sprzedanej rzeczy, zgodnie z regulującymi ją przepisami.

Na dowód zawartej transakcji obie strony podpisują niniejszą Umowę sporządzoną w dwóch jednobrzmiących egzemplarzach, po jednym dla każdej ze stron, w miejscu i dniu podanych na wstępie.

SPRZEDAJĄCY

Drżąca ręka, w której Marina trzymała pióro, zawisła nad dokumentem. Poczła wbity w siebie wzrok siostry, szwagra, Helmuta i Curra. Podniosła oczy znad umowy i spojrzała na nich.

Dalej, Marino, zdecyduj się. Nabrała powietrza, spojrzała na umowę, napisała pierwszą literę swego imienia. Przymknęła na chwilę oczy.

– Nie chcę jeszcze podpisywać – powiedziała, kładąc pióro równolegle do kartki papieru.

– Słucham? – spytał Curro. – Nie zgadzasz się z którąś z klauzul umowy?

Marina zamilkła na chwilę. Pozostali zamarli w oczekiwaniu.

– Proszę, dajcie mi kilka tygodni – odpowiedziała, zniżając głos.

– Jak to? – wybuchnął Armando z takim wyrazem twarzy, że Marina nie była pewna, czy oznacza wściekłość, nienawiść czy strach.

Anna spojrzała na siostrę z przerażeniem i zaraz potem skierowała wzrok na męża, a konkretnie na niebieską żyłę, która zawsze nabrzmiwała, kiedy był zdenerwowany, a w tej chwili była na granicy pęknięcia.

– Ten człowiek przyleciał z Niemiec, żeby dziś podpisać umowę – kontynuował Armando tym samym groźnym tonem, którego użył przed czternastoma laty, wyrzucając ją z domu.

– *Helmut, es tut mir sehr Leid.* Helmucie, bardzo mi przykro – zwróciła się do niego po niemiecku Marina. – Przykro mi. Naprawdę. Jestem ci winna tysiąckrotne przeprosiny – dokończyła po angielsku.

Wstała z kluczami w ręce pod ostrzałem niedowierzających spojrzeń siostry, szwagra i Curra.

– Przykro mi – powtórzyła szczerze.

– Jak to ci przykro? Podpisz i już. Co ci jest do ciężkiej cholery? – odezwał się Armando, podnosząc głos.

– Proszę, dajcie mi trochę czasu – powiedziała niepewnie Marina.

– Ale co ty sobie, do cholery, wyobrażasz? – warknął Armando, wstając.

Curro podniósł się i chwycił Armanda za rękę, próbując go uspokoić.

– To się tak nie skończy, Marino – dodał z groźbą w głosie szwagier.

Helmut nawet nie zareagował na ten nieoczekiwany obrót sprawy. Kilka miesięcy później tłumaczył swojemu przyjacielowi Rudolfowi, trzymając kij golfowy przed małą, białą piłeczką w klubie golfowym we Frankfurcie:

– Takie właśnie rzeczy zdarzają się w Hiszpanii, są częścią tej kultury. Częścią tego kraju, tak jak sjestá, paella, sangria, piękne kobiety, bałagan. – I dodał, jednocześnie obracając biodro o czterdzieści pięć stopni i podnosząc kij: – A mnie, no cóż, nawet mnie bawi, że takie rzeczy są możliwe.

\* \* \*

Marina usiadła pod wiatą przystanku na placu España. Czekwała na autobus numer 1, który miał ją zawieźć na lotnisko. Lot do Barcelony miała za dwie godziny. Poczuła, jak szybko bije jej serce. Nie rozumiała, dlaczego podjęła tę decyzję. Była kobietą zrównoważoną, która od osiemnastego roku życia sama o sobie decydowała. Rozważając wszystkie za i przeciw. Wiedząc, co będzie dla niej najlepsze. Odrzuciła milion euro. Dlaczego to zrobiła? Być może tym razem nie chciała decydować, nie chciała sama podejmować decyzji, a być może pragnęła, aby los ją po prostu zaskoczył. Być może te rozpadające się ściany domu w Valldemossie namawiały ją: „Zostań”.

Zapadał zmrok, a Marina nadal siedziała pod wiatą z otępiąłym umysłem, przepuszczając kolejne autobusy.

Od: marinavega@gmail.com

Data: Luty 2, 2010

Do: mathiaschneider@gmail.com

Mathiasie

Nie wsiadłam do samolotu. Centrala jest zamknięta, dlatego piszę do ciebie e-mail.

Nie sprzedałam młyna ani domu... Sama nie wiem, dlaczego podjęłam tę decyzję. Ach, gdybyś tu był, mam mętlik w głowie. Jutro zadzwonię do ciebie do centrali, ale jedź spokojnie na Haiti. Nie wiem jeszcze kiedy, ale dołączę do ciebie, jak tylko dojdę do tego, kim jest kobieta, która ofiarowała mi to miejsce wśród gór. Napisałam już do centrali w Barcelonie, prosząc o dodatkowe dwa tygodnie urlopu.

Kocham cię. Ich liebe dich.

Deine Marina

– Trudno jest dotrzeć do Valldemossy, ale jeszcze trudniej stąd wyjechać – powiedział Gabriel, zaskoczony widokiem Mariny wchodzącej do hotelu, mimo że pożegnała się z nim tego ranka.

Mężczyzna zdjął starą kurtę z baraniej skóry, którą miał na sobie, i powiesił na drewnianym wieszaku.

– Jadłaś kolację?

Gabriel, Isabel i Marina zjedli razem przy kominku. Kolacja w towarzystwie dwójki nieznanym, którzy nadal przekomarzali się ze sobą, mimo tylu spędzonych wspólnie lat, była przyjemna. Marina od razu zauważyła łączącą ich zażyłość. Piękną zażyłość dojrzałej pary, która nadal się kocha, tyle że inaczej. Opowiedzieli jej nieco



więcej o piekarce. Była kobietą pracowitą, która od poniedziałku do niedzieli wstawiała co dzień o piątej rano, aby upiec chleb dla całego miasteczka i przepyszny cytrynowy biszkopt, który dawała w prezencie stałym klientom. Piekarnia była otwarta trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku i Gabriel oświadczył, że w ciągu trzydziestu lat, które spędził na wyspie, właścicielka nigdy nie wzięła ani jednego dnia urlopu. María Dolores pracowała z Cataliną, inną piekarką w tym samym wieku. Jeżeli był ktoś, kto wiedział cokolwiek o życiu Marii, to bez wątplenia była to jej dobra przyjaciółka Catalina.

\* \* \*

Marina udała się do sypialni zmarłej piekarki. Gabriel pożyczył jej mocną latarkę i oto tu była, w tym samotnym domu wśród gór. Otworzyła okiennice, do środka wpadło światło księżyca.

Obok szafy stał mały piecyk gazowy. Odkręciła zawór butli i poruszyła małą dźwignią. Pojawił się niebieski płomyk, który natychmiast się rozprzestrzenił. Poczła zapach gazu i ciepło.

Otworzyła szafę z ciemnego drewna. Skierowała do wnętrza światło latarki. Wieszaki były puste, ale szafę wypełniał stos ubrań: spódnice, halki i czyste bluzki leżały na dnie, na espadrylach. Uklękła, aby otworzyć dwie dolne szuflady. W pierwszej leżały prześcieradła i ręczniki, w nieładzie, choć wyglądały na czyste. Wyjęła wierzchnie i spodnie prześcieradło. Otworzyła drugą szufladę, tym razem z bielizną, też w nieładzie. Zdziwiła się, że wszystko było czyste, ale w takim nieporządku.

Wstała i już miała zamknąć szafę, gdy zobaczyła swoją postać odbijającą się w prostokątnym lustrze umocowanym na wewnętrznej stronie drzwi. Przyjrzała się sobie, rozplatając warkocz, i pomyślała, że zmarła piekarka była ostatnią osobą, która przeglądała się w tym lustrze. Jakie to dziwne.

Materac był wełniany, taki, jakie kiedyś robiono na wsiach. Przykryła go czystymi prześcieradłami i kocem w kratę, który wzięła z wiklinowego krzesła.

Znów kroił deszcz. Poczła się samotna. Gdyby wsiadła do samolotu, teraz spałaby u boku Mathiasa. Westchnęła. Spojrzała na łóżko niemal z zażenowaniem. Zaczęła się powoli rozbierać. Poczła się nieswojo na myśl, że spędzi pierwszą noc w tym miejscu, całkiem sama. Niespodziewanie do sypialni weszła stara suka sąsiadki. Marina krzyknęła. Suka spojrzała na nią smutnymi oczami i powoli podeszła bliżej. Potarła ufnie łbem jej rękę i polizała ją. Marina nie bardzo wiedziała, co ma zrobić, głaskała psa po łbie, obserwując to łagodne zwierzę, które budziło w niej bardziej współczucie niż lęk.

Suka zwinęła się w kłębek pod oknem... tam gdzie spała przez całe życie.

\* \* \*

Obudziło ją szczekanie psa, którego poprzedniego wieczoru udało jej się wyprowadzić z sypialni, kusząc czekoladką z samolotu, zapomnianą w bocznej kieszeni plecaka. Włożyła dzinsy, podkoszulek, sweter i kurtkę, które przed zaśnięciem powiesiła na oparciu wiklinowego krzesła. Być może stara Argentynka coś jej wyjaśni. Przechodząc próg drzwi wejściowych, zdumiona staruszka spytała:

– Kupiłaś ten dom?

Suka radośnie skoczyła ku Marinie, a ona podrapała ją za uszami.

– Odziedziczyłam go.

– Naprawdę? Jesteś z rodziny Maríi Dolores?

– Nie – odpowiedziała, wyciągając rękę. – Mam na imię Marina.

– Úrsula – odpowiedziała Argentynka, ściskając jej dłoń.

– Prawdę powiedziawszy, nie wiem, kim ona jest. Nie wiem, kim jest María Dolores, i chciałabym się czegoś o niej dowiedzieć. Ten spadek był niespodzianką.

– Naprawdę? Masz szczęście. Te wiejskie domy są bardzo poszukiwane.

– A pani ją znała?

– Tak... Można powiedzieć, że byłyśmy przyjaciółkami, dotrzymywałyśmy sobie towarzystwa. Jak to dwie samotne kobiety. Prawdę powiedziawszy, nigdy nam nie przyszło do głowy rozmawiać o tym, komu zostawimy naszą własność.

Niebla szczekała, domagając się spaceru.

– Co za nieznośna suka. Nie jest moja. Należała do Loli – powiedziała, przyłożywszy jej łaskę, na co suka uskokczyła, aby uniknąć kolejnego ciosu. – Siedź cicho. Nigdy się nie zamknie, kretynka. Żałuję, że jej nie zabrali do schroniska.

Zwierzę schodziło już uliczką w kierunku miasteczka.

– Wiesz co? Chodź ze mną, zaprowadzę cię do domu Cataliny. Była przyjaciółką Loli od dzieciństwa, a poza tym pracowały razem, odkąd ja się tu osiedliłam.

– Tak, wczoraj Gabriel powiedział mi o Catalinie.

– Już poznałaś Gabriela? Ten, jak tylko zobaczy ładną kobietę, od razu do niej lgnie. Jest niegroźny, ale nie może się powstrzymać...

Ruszyły ulicą de la Rosa w ślad za suką, która nie przestawała szczekać. Úrsula, mimo że szła o lasce, miała prawdziwie germańską postawę i głębokie, niebieskie oczy, była wysoka i szczupła. Marina domyśliła się, że ta starsza kobieta żyła kiedyś bardzo intensywnie, a teraz oczekiwała tu na śmierć z godnością damy, nie będąc ciężarem dla nikogo oprócz siebie.

– Od dawna pani tu mieszka?

– Kupiłam ten dom trzydzieści pięć lat temu. Dopóki Franco nie wykitował, te chałupy nie były nic warte. Przedtem jeździłam w tę i we w tę, aż pięć lat temu zamieszkałam tu na stałe.

Zrobiła przerwę, szukając w pamięci jakiegoś momentu czy wspomnienia, i kontynuowała:

– Kiedy zdecydowaliśmy z mężem, że się przeniesiemy tutaj na zawsze, to on wziął i umarł, matoł jeden. I tak sobie teraz idziesz ze starą Niemką z akcentem z Buenos Aires, a czas płynie.

– Jest pani Niemką? – zdziwiła się Marina.

– Proszę cię, nie mów do mnie pani, bo czuję się jeszcze starsza, niż jestem. Prawdę mówiąc, sama nie wiem, skąd jestem. Nigdy nie czułam, że należę do jakiegoś miejsca. W latach trzydziestych podróżowałam w brzuchu matki, kiedy uciekała z Niemiec. Wychowałam się w Argentynie, w kolonii niemieckich emigrantów z Buenos Aires, i kiedy skończyłam dwadzieścia lat, rodzice wysłali mnie na studia do Niemiec, do Heidelbergu, urocze miasto studenckie, nieduże, spędziłam tam osiem lat. Zakochałam się w pewnym muzyku – wyjaśniła – więc zostałam. Ale tęskniłam za Argentyną i przekonałam go, żebyśmy wrócili do Buenos Aires... i tak, to tu, to tam, przez całe życie.

Úrsula się zatrzymała.

– Wiesz, o co chodzi, Marino? Jestem zgrzybiałą staruchą, która nie ma z kim porozmawiać. Wiem, że zawracam ci głowę.

– Úrsulo, słucham pani z przyjemnością – szczerze odpowiedziała Marina, domyślając się, ile ta kobieta musiała przeżyć.

– Proszę cię, mów mi po imieniu – powtórzyła Úrsula, opierając łaskę na pękniętej kostce bruku. – Często, kiedy się rano budzę, a zwłaszcza teraz, w zimie, zastanawiam się, co ja, do ciężkiej cholery, robię na tej wyspie.

Wkrótce doszły do kamiennego domu. Wszystkie domy w Valldemossie wyglądały prawie tak samo.

– To jest dom Cataliny – powiedziała, wskazując łaskę.

Zastukały kołatką do drzwi. Otworzyła im puciołowata, sześćdziesięcioletnia kobieta w okularach jak denka od butelek, miała krzaczaste, zrosnięte brwi. W środku ryczał telewizor.

– Cześć, Úrsulo. *Com anem?* Co słyhać? O, patrzcie, Niebla – przywitała się, głaszcząc sukę, która machała ogonem i skakała na nią.

– Cati. To Marina... Szuka cię, bo... odziedziczyła piekarnię.

Spojrzała na Marinę, a ta uśmiechnęła się lekko. Catalina przyglądała jej się przez chwilę, zanim się odezwała.

– Jak tam? *En què et puc ajudar?* W czym mogę pani pomóc? – spytała oschle, jak mają w zwyczaju Majorkanie.

– Daj spokój, Cati. Nie rozumiemy po majorkańsku.

– Do cholery, Úrsulo, mieszkasz tu tyle lat. Mogłabyś się już czegoś nauczyć.

Marina uśmiechnęła się do siebie. Te dwie kobiety musiały znać się od dawna.

– Przestań pieprzyć, Cati – odpowiedziała Úrsula.

– Rozumiem po majorkańsku, ale nie mówię – odezwała się Marina.

– No dobrze, w czym mogę pani pomóc? – spytała Catalina, patrząc na Marinę.

– Szczerze mówiąc, Catalino, nic nie wiem o Marii Dolores... razem z siostrą dostałyśmy ten spadek i... jesteśmy bardzo zaskoczone. Próbuje dowiedzieć się dlaczego. Dlaczego właśnie my? Wcale nas nie znała.

– *Jo no sé res*. Nic nie wiem – pośpiesznie odpowiedziała kobieta, przerywając jej i spuszczać wzrok. – Wiem tylko, że przekłety zawał zabrał z dnia na dzień moją przyjaciółkę. Straciłam i ją, i moją pracę. Prawie wszystko, co miałam. To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Przykro mi, Catalino. Ja... tylko szukam odpowiedzi. Próbuje zrozumieć dlaczego. Nie zostawia się tak cennego miejsca komuś, kogo się nie zna. Komuś, kto cię nie obchodzi.

Patrzyły na siebie bez słowa. Catalina nadal milczała.

– Mówiła kiedykolwiek o Nerei Vega?

– Nie.

– Na pewno? Nerea Vega była moją babcią. Jej nazwisko panińskie brzmiało Arroyo.

– Nigdy nie słyszałam o pani babci.

– Mój ojciec miał na imię Néstor. A moja matka to Ana de Vilallonga.

– W życiu nie słyszałam tych nazwisk.

Catalina zaprzeczała ruchem głowy. Marina odczekała kilka sekund. Czują, że kobieta wie więcej, niż mówi.

– Cóż, nie chcę więcej pani przeszkadzać. Dziękuję za poświęcony mi czas, Catalino.

– No to *que vagi be*, wszystkiego dobrego – pożegnała się, zamykając pośpiesznie drzwi.

– Widziałaś, jacy są ci Majorkanie. Zamknięci w sobie jak tyłek lalki. Akurat, jestem za stara, żeby uwierzyć, że tyle monosylab to normalne. Była jej jedyną przyjaciółką – powiedziała Úrsula.

Oddaliły się lekko skonsternowane.

– Catalina się skończyła. Dzień w dzień były razem, na dodatek przez całe życie piekły chleb. Wstawaly o świcie. A teraz siedzi zamknięta w domu, patrząc na te plotkarskie programy w telewizji, opiekując się matką, bo jeżeli ja jestem wiekowa, to z niej musi już być zupełnie stare próchno... Chodzi o przyzwyczajenie, wiesz. Ten, kto pracował całe życie, dostaje bzika, kiedy przejdzie na emeryturę. Potem, no cóż, mijają dni, miesiące, i przyzwyczajasz się...

– Piekarnia jest pełna worków mąki. Szkoda, żeby się zmarnowały. Może mogłaby nadal pracować, dopóki tu jestem. Tak naprawdę nie wiem, ile zostanie.

– Jeśli tak, to wiesz, że zrobiłabyś przysługę Catalinie i całej Valldemossie, bo to jedyny piec, który daje prawdziwy chleb. A teraz albo musisz jeździć do Sóller, albo kupować te białe bagietki bez smaku.

Zawróciły i znów stanęły przed domem Cataliny. Otworzyła z wrogim wyrazem twarzy.

– *I ara què voleu?* A teraz czego pani chce? – spytała szorstkim tonem po majorkańsku.

Marina i Úrsula zrozumiały, co powiedziała. Trzeba przyznać, że mimo opryskliwości ta gburowata, krótkowzroczna kobieta o zrosniętych brwiach w ogóle ich nie onieśmiała.

– Catalino, nie wiem, jak to pani powiedzieć... ale może pani nadal pracować w piekarni przez cały czas, kiedy tu będę. Szkoda zmarnować tyle mąki.

– *Hi ha farina per sis mesos. Ho sé...* Mąki jest na sześć miesięcy. Dobrze wiem...

– Catalina przetłumaczyła swoje słowa i zamilkła.

Wyglądała na niezdecydowaną.

– Słuchaj no, robisz lepiej *el pa moreno de xeixa* niż ktokolwiek inny, a siedzisz tu beczynnie na tyłku przed telewizorem już od dwóch miesięcy – wtrąciła się Úrsula.

– *Quins orgues que tenen aquests alemanys, ah...* Ale organy mają ci Niemcy... Najeżdżają naszą wyspę i dawaj, grzmią na cały regulator co tylko im przyjdzie do głowy – odpowiedziała Catalina.

– Głupia babo, nie jestem Niemką, tylko Argentyнкą, przecież znamy się tyle lat.

Catalina spojrzała na Marinę, która czekała, nie nalegając dłużej.

– Sama nie dam rady. W piekarni jest za dużo roboty dla dwóch rąk – stwierdziła piekarka.

– *Che!* Ej! Mnie nie wrabiajcie, mam artretyzm – odezwała się Úrsula.

– I nie znasz nikogo?

Catalina cmoknęła.

– *Miri, jo, senyoreta, tot això ho trob molt raro.* Proszę posłuchać, panienko, uważam, że to wszystko jest dziwne, w ogóle pani nie znam. Poza tym akurat teraz mam coś do roboty. Panie wybaczą – pożegnała się, chwytając klamkę, aby zamknąć drzwi.

– Jeżeli pani zmieni zdanie, to wie pani, gdzie mnie szukać.

Catalina zatrzasnęła drzwi.

– Twardy orzech do zgryzienia.

– A ja jestem uparta jak osioł – podsumowała Marina.

\* \* \*

Rozejrzała się po piekarni, jakby to robiła po raz pierwszy. Otworzyła pusty piec i zamknęła go. Przeliczyła jeden po drugim worki z mąką. Spojrzała na pakiety drewna

i powieszono nad nimi na gwoździu dwa białe fartuchy. Nad stołem, na którym zagniaty ręcznie chleb, zauważyła coś, czego poprzedniego dnia nie odkryła: przybite pineskami dwie pożółkłe, zapisane odręcznie kartki. Podeszła i przeczytała. Zwróciła uwagę na dziecinny charakter pisma i wyblakły kolor papieru, co oznaczało, że te kartki wisiały na ścianie od wielu lat. Na pewno pisała je dziewczynka, która z wielkim zaangażowaniem usiłowała pisać równo.

Na pierwszej kartce zapisane były składniki tradycyjnego przysmaku z Valldemossy:

<i>COCA Z ZIEMNIAKÓW</i>				
<i>Mąka</i>	<i>Drożdże</i>	<i>Jajka</i>	<i>Cukier</i>	<i>Gotowane ziemniaki + smalec</i>
<i>1</i>	<i>8</i>	<i>2</i>	<i>250</i>	<i>250 g</i>
<i>2</i>	<i>16</i>	<i>4</i>	<i>500</i>	<i>500 g</i>
<i>10</i>	<i>80</i>	<i>20</i>	<i>2.500</i>	<i>2.500 g</i>
<i>20</i>	<i>160</i>	<i>40</i>	<i>5.000</i>	<i>5.000 g</i>

Przypomniała sobie, że wielokrotnie jadła taką cocę.

Już miała przeczytać drugą kartkę, gdy jej wzrok padł na nazwę potrawy. Poczula, że serce podchodzi jej do gardła. To, co tam było napisane, nie miało żadnego znaczenia dla osoby niezainteresowanej, ale dla niej nie był to zwyczajny przepis. Chodziło o tajemniczy przepis. Przepis, który znały tylko ona i jej siostra. Przekazany im przez babcię Nereę. Przepis na cytrynowy chlebek z makiem.

\* \* \*

Oszołomiona, chwyciła rulon toreb na śmieci, który znalazła na podłodze w pokoju za kuchnią, i poszła do sypialni. Otworzyła szafę. Wzięła do ręki tradycyjną majorkańską spódnice. Obejrzała ją bardzo dokładnie, szukając kieszeni, jakiejś fałdy, wskazówki. Jeszcze cztery spódnice. Nic nie znalazła. Obejrzała czerwony rozpinany sweter z dzianiny z boczną kieszonką. Wsunęła rękę. Nic. Sprawdziła w ten sposób wszystkie ubrania zmarłej piekarki. Gdy upewniła się, że nic w nich nie ma, złożyła je starannie i schowała do torby na śmieci. Otworzyła szufladę w stoliku nocnym: wypalona świeca, obrazki świętej Cataliny Tomás, kastaniety...

Zeszła do kuchni z torbami ubrań. Otworzyła kredens i dotykała półek ręką, natrafiając na łyżki, widelce i noże porozrzucane po szufladzie. Nic, co by jej pomogło. Otworzyła pokój sąsiadujący z kuchnią. Obejrzała półki, przewrócone puszki, miotły i mopy na podłodze, duży, pusty karton stojący na środku. Nic. Żadnego zdjęcia. Żadnego pisma. Rachunku za światło, wodę lub gaz. Wypełniła torby i zebrała je w jednym miejscu.

Zamykając drzwi, trochę rozczarowana, odniosła wrażenie, że ktoś już tu przed nią był i szukając czegoś, przewrócił wszystko do góry nogami.

– Marina! – usłyszała głos starszej siostry.

Wyprostowała się i dźwigając torbę pełną ubrań, zeszła na parter.

– Witaj, Anno – przywitała ją z lekkim uśmiechem.

– Co tam masz?

– Usiłuję coś sprawdzić.

– Czy dobrze się czujesz? – W głosie Anny zabrzmiał niepokój.

Marina przytaknęła.

– Na pewno? Byłam tu wczoraj wieczorem. Nie zastałam cię. Czekałam na ciebie. Dlaczego nie chciałaś podpisać papierów? Spałaś tutaj?

Marina znów przytaknęła.

– Ale zostaniesz na Majorce? Nie wyobrażasz sobie, co wyprawiał Armando, kiedy wyszłaś – powiedziała niespokojnie.

– Chodź – odparła Marina, niezdolna do odpowiedzi na pytania siostry. Sama nie była niczego pewna.

Wzięła Annę za rękę i zaprowadziła ją na zaplecze.

– Spójrz – wskazała palcem kartkę z przepisem na cytrynowy chlebek z makiem.

Anna pochyliła się, żeby przeczytać.

– Przepis babci – potwierdziła.

– Nie dziwi cię to? To przepis wymyślony przez babcię, a tu nagle okazuje się, że ta María Dolores Molí go znała. O dziwo, wisiał u niej na ścianie i to od wielu lat, sądząc po wyglądzie kartki.

– Pewnie to nie babcia go wymyśliła. Zresztą wszystko jedno.

– Dla mnie to nie wszystko jedno. Nie jesteś ciekawa, kim była ta kobieta, Anno?

– Wiem tylko, że jesteśmy na wpół zrujnowani i że potrzebujemy miliona euro, żeby spłacić pewne długi... nawet nie wiem, ile pieniędzy jest winien mój mąż. Jest zdenerwowany. Bardzo zdenerwowany – odpowiedziała Anna niespokojnie.

Marina spytała ją bez ogródek:

– Dlaczego nadal z nim jesteś?

W tym momencie drzwi piekarni się otworzyły. Siostry wyszły z zaplecza i ujrzały Armanda. Serce Anny przyspieszyło. Nie spodziewała się go tutaj.

– Cześć, Armandzie. – Mimo zdenerwowania Marina zwróciła się do niego pewnym głosem.

– Co tu robisz, Anno? Nie miałaś być u mechanika?

– No tak, ale trochę zboczyłam z drogi, żeby... – Anna spuściła oczy, usprawiedliwiając się lękliwie.

– Czego chcesz, Armandzie? – ucięła Marina.

Armando wbił wzrok w szwagierkę. Przepraszanie nie było jego silną stroną,

przychodziło mu to z trudem, ale nie miał innego wyjścia.

– Po pierwsze... – Spojrzał ze złością na żonę, bo nie chciał, aby słyszała, jak się upokarza. – Wczoraj przesadziłem. Przepraszam.

Marina milczała. Armando nie mówił szczerze, było to dla niej całkiem jasne.

– Słuchaj... – kontynuował Armando, dotykając nerwowo swoich włosów – Helmutowi zależy na tej posiadłości i daje nam milion więcej. Będzie w całości dla ciebie.

Marina odczekała chwilę, nim odpowiedziała.

– Armandzie, nie chodzi o pieniądze. Potrzebuję czasu dla siebie. Poza tym chcę się dowiedzieć, kim była kobieta, która nam to wszystko zostawiła.

Armando wziął głęboki oddech, usiłując zapanować nad sobą.

– Masz zamiar zaprzepaścić półtora miliona euro, żeby zaspokoić swoją ciekawość?

– Jeśli Helmut nie może poczekać, znajdziemy innego nabywcę.

– Nie, ślicznotko – odpowiedział impulsywnie, bezwiednie wracając do aroganckiego tonu głosu – nikt nie zapłaci nam tyle pieniędzy. Zapewniam cię.

– Ta kobieta zostawiła spadek mojej siostrze i mnie. Nie tobie, Armandzie. Zatem bądź tak uprzejmy i trzymaj się z daleka – odpowiedziała twardo, wytrzymując jego wzrok.

Zobaczyła gniew w oczach szwagra. Powściąganą wściekłość, którą musiał hamować. Był zdruzgotany. Marina to zauważyła, a jednocześnie spostrzegła, jak jej siostra się kuli, próbując stać się niewidoczna za jego plecami.

– Daj mi miesiąc. Odpowiem ci na początku marca.

– To niesamowite, że pozwalasz sobie na utratę przeszło miliona euro – dokończył.

– Jestem kobietą bardzo... – Marina zastanowiła się chwilę, nim odpowiedziała – tępą.



## MIŁOŚĆ „ALBO Z TOBĄ CHLEB I CEBULA”

### SKŁADNIKI

1 kg mąki (nieważne, z jakiego zboża, może być mąka pszenna, kukurydziana, ryżowa, żytnia, orkiszowa, kamut, każda)  
500 ml letniej wody (też nieważne jakiej, z braku innej może być woda morska)  
2 łyżeczki drożdży albo zakwasu  
łyżka soli (o ile nie użyto wody morskiej)  
łyżeczka cukru (nie jest niezbędna i tylko jeśli finanse na to pozwolą)

### PRZYGOTOWANIE

Podczas gdy ty nagrzewasz piec, ja mieszam mąkę z wodą. Zagnieciemy ciasto powoli, bez pośpiechu, wspólnie. Odstawimy na kilka godzin, żeby wyrosło, a później, kiedy ja otworzę piec, ty włożysz ciasto do środka. Zamkniemy i poczekamy, patrząc, jak masa rośnie i pęka.

Wystarczy mi trochę tego chleba, kawałek cebuli i twoja miłość, aby przeżyć z tobą gdziekolwiek na świecie resztę mojego życia.

\* \* \*

Jechała za samochodem męża aż do wyjazdu z miasteczka. Na skrzyżowaniu mieli zboczyć w kierunku Palmy. Armando przyspieszył, nie czekając na nią. Przejechało kilka aut i traktor, zanim Anna mogła dodać gazu swoim starym bmw w kolorze granatowy metalik.

Ledwo przejechała trzydzieści metrów, samochód zaczął gasnąć. Wiedziała, że wcześniej czy później tak się stanie. Od wielu tygodni czuła, że coś dziwnego dzieje się z silnikiem. Ale nie było to ani miejsce, ani moment, żeby się psuć.

Na próżno kilka razy próbowała zapalić. To dopiero kłopot. Spróbowała zadzwonić do męża, chociaż wiedziała, że nie odbierze. Nie dlatego, że prowadził, tylko dlatego, że nigdy nie odbierał telefonów od niej. Zostawiała wiadomość, a on oddzwaniał, kiedy mógł. Tak też zrobiła tym razem, przypuszczając, że być może odsłucha wiadomość dopiero wieczorem.

Otworzyła schowek. Wyjęła książkę swojego ubezpieczyciela, znalazła telefon pogotowia drogowego i zadzwoniła.

Jak można się było spodziewać, miły, kobiecy głos nagrany na taśmę poinformował ją, że wszystkie linie są zajęte i żeby się nie rozłączała. Kiedy czekała, włączyło się nagranie z ofertami ubezpieczyciela.

Po pięciu minutach zgłosiła się operatorka, przepaszając za czas oczekiwania. Poprosiła o dane. Znów kazała jej czekać. Po chwili wróciła na linię i wyjaśniła, że holownik przyjedzie za czterdzieści minut do półtorej godziny.

– Półtorej godziny?! – powtórzyła osłupiała Anna. – Co mam robić przez półtorej godziny na polu migdałowców?! Jest zimno, proszę pani, i ogrzewanie w samochodzie nie działa... To po to płacę ubezpieczenie?

– Przykro mi. Wszystkie holowniki są zajęte.

Anna napadła na dziewczynę z centrali, ale ta, przyzwyczajona do nieprzyjemnych rozmów, powtarzała jak automat: „przykro mi”. Przy piątym „przykro mi” Anna wybuchnęła.

– Niech pani przestanie powtarzać, że pani przykro, i wyśle wreszcie ten cholerny holownik!

Rzuciła telefon na siedzenie obok, dziwiąc się swojej agresywności. Wiedziała, że bardzo rzadko zdarza się jej tak zachowywać i że wyładowuje się wtedy na tych, którzy na to nie zasłużyli.

Półtorej godziny... Mogła wrócić na piechotę do miasteczka, poczekać z siostrą w piekarni, a może nawet spróbować ją przekonać, chociaż wiedziała, że jest uparta jak osioł – już ich matka to mówiła. Jeżeli powiedziała, że da odpowiedź za miesiąc, to zdania nie zmieni. Poza tym powodem, dla którego zdecydowała się czekać, marznąc na kość, było to, że znów się wstydziła. Marina nie mogła zrozumieć, dlaczego trwała w tym małżeństwie. Jasne, nigdy nie była zamężna ani nie miała dzieci. Jak miała to zrozumieć? Pożycie dwojga ludzi nigdy nie jest łatwe, a kobieta ma moralny obowiązek wytrzymać, choćby tylko ze względu na dzieci. Marina tego nigdy nie zrozumie. Nie była matką i w tym wieku już nią nie będzie...

Po dwudziestu minutach dostała wiadomość na komórkę. Chwyciła telefon i spojrzała na wyświetlacz. Córka. Otworzyła SMS: „Wrócę późno”.

– Jak późno? – spytała na głos.

Poza tym co Anita robi z włączonym telefonem podczas lekcji. Było to kategorycznie zabronione. Zadzwoiła do niej. Nie odebrała. Zadzwoiła jeszcze raz. Nic. Anna napisała.

„Masz pojutrze egzamin poprawkowy. O piątej trzydzieści w domu”.

Dlaczego trafiła się jej tak skomplikowana i oschła córka? Obserwowała ją czasem i gdyby nie miała pewności, że nosiła ją pod sercem dziewięć miesięcy, pomyślałaby, że to nie jej dziecko. Nie było nic z Anny w Anicie. Absolutnie nic.

Czekał ją trudny wieczór, między mężem a córką. Zdenerwowała się na samą myśl o tym.

Trzydzieści minut później spostrzegła, jak szosą zbliża się holownik. Zaparkował przed bmw. Anna wysiadła i podeszła bliżej. Kierowca miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami. Na sam widok Annie zrobiło się zimno. Był prawdopodobnie

w jej wieku, silny, niewysoki brunet, typowy wyspiarz. Prawdę powiedziawszy, Anna miała ochotę powiedzieć mu, co myśli, bo nadal była wściekła, ale idąc w jego stronę, pomyślała, że jeszcze się obrazi i każe jej czekać dwie godziny dłużej.

Kierowca wyjął szmatkę z irchy, aby wytrzeć ubrudzone smarem ręce.

– Dzień dobry. Nareszcie – padło jedynie z jej strony. – To chyba akumulator – dodała.

– Dzień dobry – odpowiedział mechanik, rzuciwszy pobieżnie okiem na właścicielkę bmw, i włożył szmatkę do bocznej kieszeni drzwi.

Wystarczyło to spojrzenie kątem oka, ten ułamek sekundy, kiedy ich oczy się spotkały, aby ciało Anny przeszedł dreszcz. Mechanik podniósł na nią wzrok i też zadrżał.

– Antonio – szepnęła.

Rozpoznała jego czarne oczy. Jego opaloną skórę. Jego zdecydowaną postawę i tę pewność siebie, która zawsze od niego biła i która zdawała się niezachwiana, mimo upływu lat. Obserwowali się nawzajem, rozpoznając u siebie oznaki mijającego czasu. I podczas gdy Anna odkrywała, jak nieubłagane płynące lata zmieniły tego, który był prawdziwą miłością jej życia, tętno przyspieszyło i zapomniała o zimnie, długach męża, niepokromionej dorastającej córce, niedawno przybyłej siostrze, spadku.

Antonio podszedł do niej, aby ją pocałować, a wtedy podświadomość zdradziła go na ułamek sekundy i wbrew swojej woli poczuł podniecenie. Pocałowali się w oba policzki.

– Jak pięknie wyglądasz – rzekł, odsuwając się.

Anna uśmiechnęła się nieśmiało.

– Postarzałam się.

– Ja też się postarzałem.

Milczeli, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Potrzebowałem trzydziestu lat, żeby wrócić na tę skałę – kontynuował Antonio, wpatrując się w jej oczy.

Mówiąc to, poczuł, że podświadomość znów go zdradziła na ułamek sekundy, bo wypowiedziane słowa wyrażały żal, który, nie wiedząc czemu, dał o sobie znać.

Anna spuściła wzrok chwilę później, aż nadto świadoma niespełnionych obietnic młodości, wiedząc, że odmówiła mu tego, o czym tak często marzyli, mając siedemnaście lat, a co on wyszeptał jej do ucha pewnej nocy, gdy leżeli na plaży w porcie Valldemossa: „Ucieknijmy stąd, wyjedźmy wreszcie z tej cholernej skały. Na zawsze, ty i ja”.

Oboje przypomnieli sobie to zdanie, jakby właśnie je wypowiedział.

– Podczepię samochód do haka i porozmawiamy w ciężarówce, zanim całkiem zamarznie – dodał, przerywając tę chwilę, sekundy wymykające się im spod kontroli.

Anna postawiła nogę w botku na obcasie na stopniu ciężarówki, odbiła się od ziemi

i wsiadła. Antonio wykonał manewr kierownicą i spojrział w tylne lusterko. Zwróciła uwagę na jego dłonie, od razu je poznała. Silne. Zawsze opalone. Pierwsze dłonie, które dotknęły jej nagiego ciała.

– Pasaty porzuciły nas pośrodku Atlantyku... było ciężko – powiedział i się uśmiechnął.

Bo on to zrobił. Zrealizował to, o czym wspólnie marzyli. Tak jak planowali, odważył się opuścić tę skałę, aby poznać świat poza wodami Morza Śródziemnego. Wsiadł na pokład „Lorda Blacka”, starego żaglowca o długości ponad szesnastu metrów, należącego do sir Petera Blacka, który przyjął go do załogi, z którą chciał przepłynąć Atlantyck. Na taką właśnie okazję czekali, aby uciec z wyspy, na której oboje przyszli na świat. Wody Morza Śródziemnego kołysały Antonia od urodzenia. Był synem rybaka z S’Estaca, wioski składającej się z czternastu chat, położonej między portem Valldemossa i Sa Foradada. Nauczył się zawodu rybaka od ojca, a ten od swego ojca. Nikt w ich rodzinie nigdy nie wykonywał pracy niezwiązanej z morzem. Ale Antonio, siedząc na skromnej *llaüt* z żaglem łacińskim i ucząc się przekazywanego z pokolenia na pokolenie zawodu, od małego marzył o tych wspaniałych i okazałych jachtach z wielkimi żaglami, na których cudzoziemcy przyplądali na wyspę z całego świata, kotwicząc je w pobliżu domków rybackich.

Jeden z tych cudzoziemców, angielski arystokrata, zszedł ze swego żaglowca na ląd i z małym pomocnikiem udał się wzdłuż wybrzeża S’Estaca. Sir Peter Black mówił trochę po hiszpańsku i wytłumaczył rybakom, którzy właśnie smażyli sardynki na ruszcie, że poszukuje załogi do swojej przygody. Antonio wysunął się do przodu i uściskał mu dłoń. Był młody, potrafił tylko to, czego nauczyło go morze. Przekonał arystokratę, że jego narzeczona może pracować na statku jako kucharka. I czekał na nią o świcie, w październiku 1980 roku, aby uciec na żaglowcu, który otwierał im drzwi na świat.

– Opowiedz mi to, co straciłam – odezwała się Anna, niemal ze wstydem. – Bardzo cię proszę.

Opowiedział jej ze szczegółami, jak po wypłynięciu z portu Valldemossa dotarli do Puerto Banús w prowincji Malaga. Stamtąd do Puerto Santa María w Kadyksie, a po trzech dniach do Puerto Isla Canela w Ayamonte, w prowincji Huelva. Potem przyszły Fuerteventura, Senegal, Wyspy Zielonego Przylądka. Na tym archipelagu musieli przeczekać trzy tygodnie, aż powieją pasaty z północnego wschodu, i kolejne trzy na Atlantyku, bo mimo że najpierw złapali korzystny wiatr, potem ustał. Dwa tygodnie prawie bez ruchu. Później wściekły huragan, aż wreszcie dotarli do Republiki Dominikany. Anna słuchała, nie przerywając.

Cała ta historia powinna potoczyć się tak samo, tyle że z nią na pokładzie żaglowca.

– A kiedy już dotarliście na miejsce?

– Tak jak mówiłem. O pracę było łatwo. Wystarczyło, że zapytałem w porcie. Setki

statków przyplývajú tam w poszukiwaniu załogi. I tak spędziłem trzydzieści lat jako marynarz na Karaibach. Popłynąłem też w dół, do Brazylii, Argentyny, Urugwaju... I znów w górę.

Zerknął w tylne lustro i mówił dalej.

– Spotkałem na swojej drodze Dominikankę... urodziła się nam córka, ma już dwadzieścia lat... Rozstaliśmy się i znów tu jestem. – Spojrzał jej w oczy i się uśmiechnął. – Na tej skale.

Zjechał na drogę objazdową.

– A jak wyglądało twoje życie, Anno?

– Nie wyjeżdżałam stąd wiele. Tylko kilka podróży zorganizowanych przez Halcón Viajes.

Oboje się roześmiali.

– Wyszłaś za mąż?

– Tak... Mam czternastoletnią córkę – odpowiedziała powściągliwie.

W tej chwili jedyne, czego pragnęła, to zapomnieć o swoim życiu, a tym bardziej nie chciała dzielić się swoimi niepowodzeniami z Antoniem.

– I jak to się stało, że skończyłaś... prowadząc holownik? – spytała, zmieniając temat.

– Po przyjeździe próbowałem pracować w porcie w Palmie. Ale od stycznia do kwietnia to kiepski okres, a w warsztacie znajomego kogoś potrzebowali... mechanika okrętowego... mechanika samochodowego. No i tu jestem. W kwietniu znów poszukam pracy w porcie. Ale nieźle zarabiam, naprawiając samochody. Na Karaibach dobre jest to, że zawsze jest praca dla marynarza, a tutaj tylko w sezonie letnim. Jednak na tym etapie mojego życia nie wrócę już do połowów, jak mój ojciec.

Nadal przeskakiwali z tematu na temat, opowiadając sobie o życiu, które spędzili z dala od siebie, aż dojechali do warsztatu. Antonio odczepił samochód od holownika. Otworzył maskę i świecąc latarką, obejrzał silnik. W bmw brakowało wszystkiego, wody, oleju i, owszem, padł akumulator. Samochód musiał pozostać w warsztacie i Anna miała go odebrać nazajutrz.

Nadszedł moment rozstania. Raz jeszcze ucałowali się w policzki i uśmiechnęli się do siebie nieśmiało.

– Zawsze przychodzisz mi z pomocą. Jak nie chodzi o jeźowca, to o akumulator w samochodzie.

Antonio spojrział w ziemię, a potem podniósł na nią wzrok. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale zrezygnował. Chciał zapytać ją o jedno. O to, co zabolalo go chyba bardziej niż fakt, że nie wyruszyła z nim w podróż, którą zaplanowali.

Dlaczego, Anno? Dlaczego nigdy nie odpowiedziałaś na moje listy?

\* \* \*

Ławica sardynek wynosząca ponad pięćdziesiąt metrów długości przepływała pod *llaüt* Antonia, który razem z ojcem cierpliwie trzymał worek włoka. Był koniec sierpnia, okres rozmnażania się sardynek, ale do tego dnia nie mieli szczęścia, bo w lecie 1979 roku wody nie były tak ciepłe, jak się tego spodziewali, i sardynki wolały składać ikrę w południowych wodach. Niemniej akurat ta ławica zdecydowała się złożyć ikrę w wodach majorkańskich, co skończyło się dla nich pechowo, bo wkrótce potem zostały schwyte ku wielkiej radości dwóch biednych rybaków z S'Estaca. Ojciec Antonia stawił się na aukcji rybnej w Palmie, przywożąc przeszło piętnaście kilo świeżych sardynek. Antonio został na przystani w porcie Valldemossa, myjąc *llaüt* i czekając, aby razem wrócić do wioski.

Wlewał kubeł słodkiej wody do wnętrza łodzi, przysłuchując się rozmowie młodej dziewczyny z wyższych sfer z jej ojcem. O tym, że była to panienka z dobrego domu z Palmy, wywnioskował po lekko afektowanym sposobie mówienia, charakterystycznym dla wszystkich pańienek z dobrych domów z Palmy, tak różniących się od córek rybaków z jego wioski.

– Zostanę tutaj, tato. Wieje tramontana, a zresztą co będę robiła, kiedy ty będziesz szukał skarbów? – powiedziała z kpiącą miną i dodała: – Poza tym nudzę się bez Mariny. A tak w ogóle to nie powinieneś dziś wypływać, tato. Jest niebezpiecznie.

– Jedź ze mną, kochanie. Popłyniemy do Es Port d'es Canonge, zjemy w budkach na plaży i wrócimy. No, chodź – nalegał jej ojciec, rozwiązując węzeł mocujący *llaüt* do nabrzeża.

– Nie, tato, nie mam ochoty. Poczekać na ciebie tutaj.

– No dobrze, jak chcesz, córeczko. Za dwie godziny będę z powrotem.

*Llaüt* oddaliła się. Anna pomyślała, podnosząc rękę na pożegnanie, że jej ojciec jest uparciuchem, na tak wzburzone morze nie wypłynęła żadna inna łódź. Uświadomiła sobie, jaką miłością ojciec darzył te wody i ile mu dawały szczęścia. Tak naprawdę jej także.

Zdjęła sandały i podwinąwszy sukienkę, weszła do wody, powoli zagłębiając się coraz bardziej. Był koniec maja i woda nadal była zimna. Antonio obserwował ją ukradkiem, nie przestając czyścić *llaüt*. Dziewiętnaście lat, prawdziwy byczek, a teraz jeszcze bardziej byczkowaty niż kiedykolwiek. Wydała mu się taka delikatna, śliczna, krucha... już od pierwszej chwili. Zerknęła kątem oka na młodego chłopaka, który mył łódź, bez podkoszulka, w samych dżinsach, ale nie dostrzegła w nim nic innego poza tym, że był młodym, silnym rybakim o smagłej skórze. Nadal wchodziła do morza. Lubiła dotyk kamyczków masujących stopy i delektowała się tym.

– Auuu! – krzyknęła nagle.

Antonio, który nie odwracał od niej wzroku, przybiegł nad brzeg. Anna stała jakieś dziesięć metrów od niego.

– Co się stało? – spytał.

– Coś mi się wbiło w nogę – odrzekła.

Młody rybak wszedł pośpiesznie do wody, mocząc dzinsy.

– Chwyć mnie za szyję – powiedział.

– Nie przejmuj się mną.

– Chwyć się – rozkazał.

Anna nieśmiało otoczyła Antonia ramieniem, a on objął ją w pasie i wziął na rękę.

Czuła się zawstydzona w ramionach tego chłopaka. Spojrzała mu w oczy, a on uśmiechnął się do niej. Nie odezwali się do siebie. Wyszli na brzeg, wtedy Antonio posadził ją ostrożnie na skale.

– Pokaż – odezwał się, chwytając jej nogę w kostce.

– Co za wstyd.

Nie przejmując się, wziął jej stopę w dłonie. Pewnie wbiły się kolce jeżowca. Tyle razy mu się to zdarzyło! No właśnie, miała ze dwadzieścia kolców wbitych w stopę. Antonio poszedł do *llaiüt* i z czarnej, plastikowej saszetki wyjął pęsetę. Wrócił do Anny, usiadł obok i bardzo ostrożnie wyjmował kolce jeden po drugim. Anna skarżyła się, kiedy musiał sięgnąć nieco głębiej pod skórę. Wtedy przerywał, polewał jej stopę wodą morską i kontynuował. Czuła się tak zawstydzona, że nie odezwała się ani słowem. Zawsze była nieśmiała w obecności chłopców. Co do Antonia, chętnie by pożartował, jak to miał w zwyczaju, bo był z natury wesołkiem i wyrażał się z uliczną swadą, a raczej z marynarską. Nigdy nie przeczytał żadnej książki. Z tej przyczyny, mając czternaście lat, rzucił naukę. Ale był bystry, zabawny i z łatwością rozśmieszał przyjaciół, dziewczyny i krewnych. Dzięki darowi wymowy otrzymanemu od Boga podrywał więcej dziewczyn niż którykolwiek z jego kolegów. Co prawda z Majorkankami szło mu gorzej, bo wymagały, aby je szanować, i były świętoszkowatymi katoliczkami. Natomiast w przypadku blond cudzoziemek, które w lecie rozbiegały się po wyspie, był bezkonkurencyjny. Dukał kilka słów po angielsku, obejmował je w talii i używając całego swojego uroku, z drinkiem Kerri Mucho w rękę, prowadził je na plażę. Stracił dziewictwo w wieku czternastu lat ze Szwedką, wyższą od siebie o głowę. Była kobietą wyzwoloną i przez dwa miesiące, które spędziła na wyspie, zdradzała mu erogenne miejsca kobiecego ciała. Od tamtej pory, jak się chwalił kolegom, wszystko było dla niego proste niczym reguła trzech i nie kłamał, a każde wieczorne wyjście kończyło się sukcesem, bo jak mówią: co strzelił, to ustrzelił.

Jednak tym razem, z nieznaney przyczyny, ta młoda dziewczyna go onieśmiałała. I tak jak przy innej gadałby głupstwa, żeby ją rozśmieszyć, przy tej absolutnie nic nie przychodziło mu do głowy.

Następnego dnia Anna wróciła z ojcem do portu Valldemossy. Gdy zamknęła drzwi samochodu, dyskretnie spojrzała w stronę nabrzeża w nadziei, że znajdzie tam Antonia, ale na brzegu była tylko grupa Angielek, która spuszczała kajaki do wody. Morze było

spokojne, świeciło słońce, doskonały dzień, aby pożegłować. Anna, argumentując, że boli ją rana na stopie, a ponadto ma kobiece dni, została na lądzie. Miała nadzieję, że może on się pojawi. I oczywiście wkrótce nadszedł. Usiadł przy niej i pocałował ją w policzek. Gawędzili jak dwoje młodych, którzy się sobie podobają, i onieśmieleni usiłują wypełnić słowami chwile ciszy.

Tak było jednego dnia, i drugiego, i następnego, i we wszystkie dni kończącego się lata, bo Néstor uszanował wolę córki, która nie chciała więcej wsiadać do *llaüt*, twierdząc, że czuje się samotna bez Mariny. Wolała czekać na ojca na plaży, opalając się. Odtąd, w letnie poranki 1979 roku, para młodych wyspiarzy spędzała czas, opowiadając sobie o swoim życiu.

Anna wyjaśniła mu, że został jej jeszcze rok do matury w San Cayetano i że potem planuje pójść na kurs sekretarski. Antonio miał zamiar chodzić na kurs organizowany przez Główny Zarząd Marynarki Handlowej w Palmie, aby zostać skipperem. Nie chciał być rybakim, a to, czego naprawdę pragnął, to być marynarzem i podróżować po całym świecie.

Przez te wszystkie dni, siedząc na nabrzeżu, ani razu się nie pocałowali. On nigdy jeszcze nie pragnął kobiety tak bardzo, ale czuł, że biednemu rybakowi, którego rodzina żyje w skromnej chacie nad brzegiem morza, za wysoko sięgać po tę kruchą, delikatną, o białej skórze panienkę z dobrego domu.

Ona nie знаła jeszcze smaku ust mężczyzny, ale każdy pocałunek w policzek i każde dotknięcie jego skóry budziły w niej nieznane dotąd wrażenia. Było to fizyczne doznanie, jakby z jej serca do podbrzusza spływała fala gorąca, docierając powoli do najbardziej sekretnych miejsc. Ogarniało całe jej ciało, więc próbowała oddychać ukradkiem, aby nie zauważył nieznanej przyjemności, którą w niej budziła jego bliskość.

Piętnastego września rozpoczął się rok szkolny. Poniedziałek, wtorek, środa... Anna liczyła dni, godziny, sekundy, tysięczne sekund, których brakowało do weekendu i ponownego spotkania nad morzem z rybakim.

– Mój ojciec wyciąga *llaüt* na brzeg pod koniec października. – Anna spojrzała na morze. – Nie będziemy mogli się już spotykać.

Zanurzyła dłonie w kamyczki na plaży, patrząc w wodę. Zrozumiał wreszcie po jej tęsknym spojrzeniu, że Anna pragnęła go tak mocno jak on jej. Wziął w dłonie jej twarz i zwrócił ku sobie, tak aby na niego spojrzała. To samo dziwne wrażenie ogarnęło całe jej ciało, a wtedy on przysunął się bliżej, czując, że go nie odtrąci. Dotknął ustami jej warg i cierpliwie czekał, aż je rozchyliła, pozwalając mu wsunąć język. Przesuwał go po jej zębach, po dziąsłach, bawiąc się powoli językiem Anny. Robił to bez pośpiechu, delikatnie, smakując każdy nowy zakątek tych ust, których tak bardzo pragnął. Wycofał się. Zamknięte oczy dziewczyny i rozchylone wargi prosiły o więcej. Znow wsunął język, tym razem szybciej, a ona odpowiadała i przyzwalała, ulegając po raz pierwszy



miłości tego, który na zawsze miał pozostać mężczyzną jej życia.

Pod koniec października Néstor wyciągnął *Ilaüt* na brzeg. Jak co roku miał zostawić łódź w baraku w porcie Valldemossy do końca kwietnia. Wyjątkiem był rytuał, który nakazywał pierwszego stycznia, niezależnie od zimna, byleby tylko nie wiało, zwodować łódź, aby powitać Nowy Rok.

– Będę przyjeżdżał do ciebie codziennie na skuterze – oświadczył Antonio.

I tak robił. Spotykali się, kiedy wychodziła ze szkoły, w bocznej uliczce, z dala od spojrzeń koleżanek. Przekonała matkę, aby jej pozwalała wracać godzinę czy dwie później, przecież miała już siedemnaście lat. Ana de Vilallonga odmówiła. Nie wypadało, aby panienska z dobrego domu spacerowała z koleżankami po miasteczku.

– Mamo, twoja młodsza córka mieszka siedem tysięcy kilometrów stąd, a ty nie pozwalasz mi pójść samej nawet do najbliższego rogu. Chcę spędzać trochę czasu po szkole z przyjaciółkami, proszę cię – argumentowała Anna.

Ale dopóki Néstor się nie wtrącił, matka nie dała się przekonać.

Anna, ubrana w szkolny mundurek i w kasku na głowie, wsiadała na skuter i przytulała się do pleców swojego chłopaka, który dodawał gazu, jadąc z boczem w dół. Czasem brała ze sobą pyszne ciasteczka, które sama piekła, i jechali na podwieczorek na którąś z plaż Palmy. Kiedy zrobiło się zimno, wyszukiwali oddalone od centrum kawiarenki, gdzie pałaszowali *ensaïmadas*, słodkie bułeczki. W kącikach ust osiadał cukier, który wylizywali sobie nawzajem. Antonio kupił walkman, więc dzieląc się słuchawkami, słuchali muzyki na plażach. Jak wszyscy zakochani, wybrali sobie piosenkę *Jota Marinera*, opowiadającą o ośmiu morskich wiatrach, którą wylansowała Maria del Mar Bonet, młoda majorkańska piosenkarka. Antonio opowiadał Annie, jak ciężka jest zima dla rodziny rybaków, ale zawsze okraszał te opowieści humorem. Ona czuła się coraz szczęśliwsza, coraz bardziej zakochana w tym młodym rybaku. Ale było coś, co jej ciążyło i nie pozwalało oddać się pierwszej miłości jej życia. Wiedziała, a nawet była tego pewna, że matka nigdy nie zaaprobuje związku z chłopakiem takim jak on. Nigdy.

Minął październik, listopad, grudzień, a miłość dwojga młodych stawała się coraz silniejsza.

Pod koniec grudnia przyjechała z amerykańskiego internatu Marina, aby spędzić święta Bożego Narodzenia w domu. Wreszcie Anna mogła komuś opowiedzieć o tym, co ukrywała w sercu, a czego nigdy nie odważyła się powiedzieć przyjaciółkom z San Cayetano, mimo że niektóre miały już narzeczonych i spotykały się z chłopakami, oczywiście pochodzącymi z wielkiej majorkańskiej burżuazji.

Pierwszego stycznia świeciło słońce. Było bardzo zimno, ale Anna i Marina po raz pierwszy zapytały ojca, czy mogą mu towarzyszyć do portu Valldemossy, bo też chciały zacząć rok, kłaniając się morzu. Wiedziały, że matce robi się niedobrze na dźwięk słowa *Ilaüt* i że jej hipochondria nie stanie na przeszkodzie obmyślonego przez nie

planu. Ubrani w kurtki przeciwdeszczowe i kalosze zwodowali łódź. Port Valldemossa leżał w pobliżu chat rybaków z S'Estaca. Siedząc we trójkę na łodzi, popłynęli tam w słońcu, było bardzo zimno.

– Tato, spójrz! – powiedziała Anna, pokazując S'Estaca.

Dym z piecyka z rusztem wznosił się ku niebu. Grupa rybaków świętowała na przystani początek roku, smażąc świeżo złowione ryby.

– Chodźmy tam!

Néstor zamierzał nadal żeglować, opłynąć wyspę, na ile pozwoliłaby mu na to pogoda, ale ponieważ córki nalegały, popłynął w tamtym kierunku.

Antonio czekał na nich i dał im znać ręką, aby podpłynęli.

Ku zdziwieniu Néstora Anna przywitała go nieśmiało.

– Znasz ich? – spytał zaskoczony ojciec.

– Tak, tato. Poznałam ich w lecie.

Użyła liczby mnogiej, nie mając odwagi na całkowitą szczerość.

Dotarli do brzegu. Antonio zdjął buty, podwinął dżinsy i pomógł Néstorowi podciągnąć łódź do pomostu. Był ubrany w białą koszulę z logo przedstawiającym gracza polo na koniu, na lewej piersi, taką, jakie noszą chłopcy z dobrych domów w Palmie. Zamówił ją jako prezent na Boże Narodzenie. Annie wydał się jeszcze bardziej przystojny niż zwykle.

– Miło mi, panie Vega – powiedział, ściskając nieco nerwowo rękę Néstora, ale z tym swoim sympatycznym uśmiechem.

– Cześć, Marino – powiedział, całując ją w oba policzki. – Tyle o tobie słyszałem. Bardzo chciałem cię poznać.

Na przystani dziadkowie, rodzice, wujowie, kuzyni i sąsiedzi skupili się dookoła rusztu, czekając na śniadanie, czyli świeże sardynki, żeby powitać Nowy Rok. Podeszli do nich rodzice Antonia.

– *Benvinguts a S'Estaca. Ja m'ho va dir es meu fill que vendrien amics.* Witajcie w S'Estaca. Syn powiedział mi już, że przypląną jego znajomi – odezwał się ojciec Antonia, podając im talerz sardynek. – *Fresques d'aquest matí.* Złowione dziś rano.

Néstor zaczął od razu rozmawiać ze starym wilkiem morskim. Anna nie zaplanowała tego spotkania, gdyby nie wiedziała, że ojciec był mądrym i bezpośrednim człowiekiem, traktującym tak samo członków hiszpańskiej rodziny królewskiej, których zresztą znał osobiście, jak i każdego innego człowieka, choćby skromnego niepiśmiennego rybaka.

Wszyscy usiedli na skałach, zajadając ryby rękami i słuchając o przygodach wilka morskiego, patriarchy rodziny.

– Któregoś dnia odwiedzimy cię we dwójkę w Stanach – szepnął Antonio Marinie, mrugając ukradkiem do swojej dziewczyny.

– Bardzo bym się cieszyła – odpowiedziała Marina, uśmiechając się smutno.

Marina łaknęła towarzystwa ojca i Anna wiedziała, że nie sprawi im większej różnicy, jeśli na chwilę zniknie. Przeprosiła i oddaliła się z Antoniem i grupą rybaków na drugi koniec wioski. Ostatnia chata należała do jego rodziny. Była malutka i wilgotna, zbudowana z ciemnego kamienia. Annę zaszokowało, że mogli mieszkać w takich warunkach. Było bardzo zimno, ale nic nie powiedziała i trzymając Antonia za rękę, poszła za nim do jego malutkiej sypialni. Materac i dużo koców. Bardzo stara mapa świata przyklejona taśmą do ściany służyła za zagłówek. Przez okno naprzeciwko łóżka można było dostrzec morze. Prowadzące do wszystkich mórz, o których marzył Antonio.

Pocałował ją. Po raz pierwszy znajdowali się sami w czterech ścianach.

Spojrzał na nią i pogłaskał ją po twarzy.

– Kocham cię, Anno.

Poczuła, że ogarnia ją uniesienie, nic nie odpowiedziała. Po raz pierwszy usłyszała te słowa z ust innego mężczyzny niż jej ojciec.

Pozwoliła, aby zdjął jej kurtkę. Mimo zimna czuła, że jej ciało płonie. Objął ją w tali i powoli przesunął dłońmi po plecach. Całował ją i powolnymi ruchami głaskał po ramionach. Powoli jego ręce przesunęły się na jej piersi. Ostrożnie muskał je czubkami palców. Wydały mu się małe. Twarde jak skała. Nie przestając jej całować, dotknął sutków i poczuł, jak twardnieją. Pieścił je bez pośpiechu. Anna znów poczuła, jak fala gorąca spływa w dół do podbrzusza, w sutkach pulsowała krew. On zsunął dłonie tam, dokąd prowadziły go zmysły. Pieścił jej biodra, napierając na nie coraz mocniej. Rozpiął guzik jej dzinsów, powoli rozsunął zamek błyskawiczny i jego palce poczuły pod majteczkami wilgoć kobiety, którą kochał. Anna jęknęła.

– Proszę cię, przestań.

– Przepraszam cię, moja ukochana. Przepraszam... ja...

Zapiął jej spodnie i znów pocałował ją w usta.

– Kiedy sama będziesz chciała – szepnął, całując ją ponownie.

Ona skinęła nieśmiało głową i spuściła oczy.

– Mój ojciec może coś podejrzewać.

Néstor spokojnie popijał likier migdałowy z rodziną Antonia i nawet nie zauważył nieobecności córki. Usiedli za nimi. Anna spojrzała na siostrę, która siedziała samotnie na skałach, obejmując rękoma kolana, i obserwowała ich. Marina posłała jej lekki uśmiech. Anna uśmiechnęła się w odpowiedzi i gestem dłoni zaprosiła ją, aby się do nich przyłączyła.

Rybacki rozpalili ognisko i ojciec Antonia, zawstydzając syna, nucił z innymi rybakami znane piosenki majorkańskie, a Néstor, zawstydzając z kolei córkę, nucił strofy, których właśnie się nauczył.

Fiesta dobiegła końca. Néstor z córkami odpłynęli z powrotem do swojego życia.

– Wszystko zostanie między tobą a mną, córeczko. Nie martw się – zwrócił się do

starszej córki.

Bo wyraz oczu Anny mówił sam za siebie. Néstor nie potrzebował jej wyznania, aby spostrzec, że córka zakochała się po raz pierwszy. Żona nigdy by nie zaakceptowała tego niewinnego związku, ale on miał zamiar pozwolić Annie przeżyć tę miłość. Wiedział, że jest niemożliwa, podobnie jak ta, której on kiedyś doznał. Wróżył jej smutny koniec, tak jak się stało w jego przypadku. Był jednak przekonany, że niezależnie od wszystkiego warto jest przeżyć takie uczucie.

Marina wyjechała do Stanów. Po świętach powróciły wycieczki Anny i Antonia na skuterze, domowe ciasteczka, które jedli, ciepło ubrani, na brzegu morza, cukier w kącikach ust i jego dłonie pieścące bez pośpiechu zakamarki ciała Anny.

Wreszcie nastąpił kwiecień, ładna pogoda i *llaüt* na wodzie. Wkrótce potem pojawili się turyści na swoich wielkich żaglowcach, a wraz z nimi marzenia Antonia, teraz dzielone z Anną.

Pewnej niedzieli, gdy ojciec z Mariną się oddalali, machając do nich na pożegnanie z pokładu *llaüt*, Antonio zawiózł Annę do swojego ulubionego miejsca na wyspie, do klifu Sa Foradada. Stamtąd wzrok gubił się w bezkresie. Zsiadli ze skutera, a on zaprowadził ją do najbardziej odległego końca klifu. Byli sami. Usiedli na skale z nogami spuszczone w stronę morza. Antonio wyjął z plecaka mapę, która mu służyła za zagłówek, i ją rozłożył. Anna chwyciła jeden róg, on drugi. Wziął jej rękę i położył na Majorce. Powoli przesunął jej palcami po Morzu Śródziemnym aż do Gibraltaru, stamtąd do Wysp Zielonego Przylądka, później na wody Atlantyku. Przecięli ocean i dotarli do Wysp Karaibskich, potem w dół, do Wenezueli, Brazylii, Urugwaju, Chile i Peru. Przesunęli rękę, aby dostać się do Azji.

– Chciałbym poznać to wszystko z tobą.

– Ale jak? – Uśmiechnęła się, sądząc, że tylko się bawi marzeniami.

– Na łodzi.

– Na *llaüt* twojego ojca czy mojego? – Anna uśmiechnęła się łagodnie, z lekką kpina.

– W porcie szukają marynarzy. Mój kuzyn jest marynarzem na statku handlowym. Był na Kubie, a teraz tam pływa raz do roku.

– A ja? Co będę robiła na statku? Nie zatrudnią mnie.

– Coś wymyślimy... Chcę wyjechać z tej skały, Anno, z tobą... Patrzę na moich rodziców, którzy spędzili całe życie na wyspie. Całe życie, Anno – powiedział, biorąc ją za rękę. – Codziennie wypływając w morze. Moi rodzice nigdy stąd nie wyjeżdżali. Nigdy, Anno. Nigdy. – Popatrzył w jej oczy tak poważnie jak nigdy przedtem. – Chcę poznać świat. Chcę mieć inne życie, w innym miejscu planety i u twojego boku.

Pocałował ją w usta.

– Niedługo skończysz osiemnaście lat. Nie będziemy już musieli się kryć. Néstor zrozumie, a twoja matka będzie musiała to przełknąć.

– Z czego będziemy żyli?

– Marynarze dobrze zarabiają. A kiedy dotrzemy do portu, znajdę pracę. To nie będzie trudne. Już wszystko obmyśliłem. Mówią, że w porcie Dominikany jest dużo roboty. Zostaniemy tam, ile będziemy chcieli. Rok, dwa. A kiedy nam się znudzi... popłyniemy do innego portu... Mnie nie trzeba dużo do życia, Anno. Mam ciebie. Mam morze i ręce, żeby zarobić na to, czego nam będzie potrzeba.

Anna nie odpowiedziała. Wiedziała, że Antonio mówi z głębi serca. To nie była jedna z tych wesołych historyjek, które wymyślał. Mówił poważnie.

– Wiem, że to szaleństwo, Anno. Ale przynajmniej moglibyśmy spróbować. Jeśli się nam nie uda, to przecież ta cholerna skała, na której żyjemy, nigdzie nie ucieknie.

Roześmiali się.

Antonio położył się na ziemi, a ona oparła się na jego piersi. Oddali się marzeniom o tym prostym życiu, które sobie planowali, leżąc w milczeniu z zamkniętymi oczami w ciepłych promieniach wiosennego słońca.

– Wiesz, co myślę? – powiedziała Anna, nie podnosząc się z jego piersi. – W każdym porcie potrzebują marynarzy, ale i piekarzy. A to jest coś, co umiem robić.

Po raz pierwszy podczas całej nauki w szkole, przez ostatni rok przed maturą Anna pochłaniała książki do geografii, natomiast Antonio wypożyczył w malutkiej bibliotece na starym moło w Palmie książkę z mapami morskimi i drugą o morskich wiatrach. Uczyli się o północno-wschodnich pasatach, tak potrzebnych, aby przepłynąć Atlantyk, o burzach tropikalnych, których trzeba za wszelką cenę unikać, o azjatyckich monsunach. O szerokościach geograficznych, milach i węzłach. Anna bez pytania wyniosła książkę z biblioteczki ojca. Odkąd była dzieckiem, ta książka przyciągała jej wzrok, nie dlatego, że chciała ją przeczytać, ale dlatego, że ilustracja na okładce budziła w niej lęk. Widniał tam wielki wieloryb, który zderzał się z malutką łodzią pełną przerażonych marynarzy. Nosila tytuł *Moby Dick* i była autorstwa Hermana Melville'a. Wyjęła ją spośród wielu książek medycznych i nim ją schowała do torby, przeczytała pierwszy ustęp, aby upewnić się, że na pewno chodzi o książkę o przygodach na morzu.

Imię moje: Izmael. Przed kilku laty – mniejsza o ścisłość, jak dawno temu – mając niewiele czy też nie mając wcale pieniędzy w sakiewce, a nie widząc nic szczególnego, co by mnie interesowało na lądzie, pomyślałem sobie, że pozęgluję nieco po morzach i obejrzę wodną część świata <sup>2</sup>.

Tak. To była książka dla Antonia. Tego popołudnia po szkole pojechali na małą ukrytą plażę i jedząc cytrynowy chlebek z makiem, czytali *Moby Dicka*, pierwszą książkę, którą wspólnie przeczytali z pasją.

Anna kupiła notes i zapisała wszystkie przepisy babci na chleb i biszkopty. Dostawała sto peset tygodniowo. Dodając je do swoich oszczędności, mogła uzbierać jakieś dziesięć tysięcy. Antonio oszczędzał od lat i uzbierał trochę ponad dwadzieścia

tysięcy, ale słyszał, że w Ameryce Południowej, mając sześćdziesiąt tysięcy, człowiek był bogaty.

Najlepszym okresem na przepłynięcie Atlantyku były miesiące od listopada do lutego. Kiedy nastał styczeń, Antonio zaczął rozpytywać w porcie Palmy. Mógłby wsiąść na wiele statków, ale na żadnym nie zgodzono się przyjąć Anny jako kucharki.

Swoje usługi jako kucharze oferowali też mężczyźni, którzy byli bardziej przygotowani do stawienia czoła wyzwaniom morza. Pewnego dnia, gdy Antonio miał już dość tego dopytywania, w okolice S'Estaca przyplłynął sir Peter Black na swoim klasycznym, drewnianym żaglowcu. W młodości brał udział w regatach i nadal lubił mocne wrażenia. Żeglował z żoną. Tym razem miał zamiar podróżować spokojnie i bez pośpiechu. Był wystarczająco zamożny, aby cumować w portach i spędzać czas, gdzie tylko miał ochotę, a raczej gdzie ochotę miała jego żona, która zawsze mu towarzyszyła, pod warunkiem, że jej pozwalał cieszyć się życiem portów, plaż i letnich bazarów.

Uwielbiała po nich spacerować i kupować wyroby rękodzielnicze, natomiast on nie znosił zakupów, więc wydało mu się świetnym pomysłem zabrać na pokład inną kobietę, która poza gotowaniem towarzyszyłaby jego żonie w poszukiwaniu tych wszystkich bransoletek i kolczyków.

– Wyruszamy, Anno. Jutro – oświadczył Antonio w euforii, podnosząc ją do góry i okręcając się trzy razy.

Pocałował ją pięć razy z rzędu, rozentuzjasmowany, natomiast Anna uśmiechała się najlepiej, jak potrafiła, ale w przeciwieństwie do niego te słowa przyprawiły ją o zawrót głowy i poczuła lęk. Ogromny lęk. Dotąd była to tylko zabawa. Nierealne marzenie karmione tak, jak karmi się rybkę w akwarium. Rybkę marzącą o wypłynięciu w ogromne i niepewne morze, którego nie zna, i na które nie jest przygotowana po tylu latach pływania w szklanej kuli.

Tej nocy wróciła do domu i podczas kolacji z rodzicami się popłakała. Płakała niepokieszona, nie odważywszy się przyznać, co jej jest. Néstor domyślił się od razu, że młody marynarz ma coś wspólnego z rozpaczliwym płaczem córki, ale gdy na jego pytanie odpowiedziała: „Nic, tato”, postanowił to uszanować. Schroniła się w pokoju siostry, jedynym zamkniętym na zasuwę.

Pozwoliła, aby lęk wdarł się bezczelnie do jej myśli i wtargnąwszy do wnętrza duszy, opanował ciało. Tymczasem wścibska matka waliła w drzwi, żądając wyjaśnień.

Antonio miał ją odebrać następnego dnia o piątej rano. Mieli pojechać do portu w Palmie, gdzie oczekiwał angielski żaglowiec, a dalej... szeroki świat.

Zasnęła w pokoju Mariny. Obudził ją pierwszy brzask. Wstała otepiała. Odsunęła zasuwę i zeszła do kuchni.

Dwadzieścia godzin do opuszczenia skały, na której się urodziła, i do wyruszenia

w świat. Przygotowała sobie kubek mleka, ale po pierwszym łyku dostała czkawki. Poczula, że jest jej niedobrze, więc położyła się na kanapie. Spędziła cały dzień, wędrując niespokojnie jak potępiona dusza, przenosząc się z kanapy na łóżko i z łóżka na kanapę. Odliczała minuty, sekundy.

Piętnaście godzin do odjazdu. Matka zmierzyła jej gorączkę. Kilka kresiek powyżej normy. Nic poważnego, ale podała jej ibuprofen, żeby się rozluźniła. Anna popłakiwała od czasu do czasu, skarżąc się na kłucie w brzuchu.

Ana de Vilallonga zadzwoniła do męża, do szpitala, niepokoila się o córkę, nigdy dotąd tak się nie zachowywała. Néstor, który wiedział co nieco o kłuciach w sercu, uspokoił żonę. Anna nie chciała jeść kolacji i wcześniej poszła do łóżka.

Siedem godzin do odjazdu. Poczekała, aż rodzice zasną, i włożyła do czarnego plecaka, prezentu od Mariny, spodnie, podkoszulki, dwa swetry, bieliznę i kurtkę. Otarła łzy spływające po policzkach, gdy pakowała paszport, zaoszczędzone pesety i notes z przepisami na chleb i biszkopty do nieprzemakalnej saszetki zamykanej na hermetyczny suwak, którą jej kupił Antonio. Schowała saszetkę do plecaka i czekała, czuwając. Do piątej rano pozostało sto osiemdziesiąt minut.

Szlochała, leżąc na łóżku, z podkulonymi nogami, z głową na złożonych dłoniach. Usłyszała kroki ojca na korytarzu. Schowała plecak pod łóżko.

– Co ci jest, córeczko? – spytał łagodnie, wchodząc do pokoju.

Usiadł przy niej i pogłaskał ją po twarzy.

– Czy coś się stało z Antoniem?

Czekał cierpliwie. Anna sprawiała wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale nadal milczała.

– Ja też zakochałem się kiedyś w kobiecie bardzo ode mnie odmiennej.

Anna mu przerwała. Czula potrzebę zwierzenia się i uczyniła to. Wyznała mu, jaki plan uknuli z Antoniem. Jej matka, ukryta za drzwiami, podsłuchiwała wściekła.

– Ależ z ciebie idiotka. Z czego będziecie żyli? – spytała, stając w progu. – Jesteś kłamczuchą, Anno, a ty, Néstorze, drugim kłamczuchem. Nie stać cię było, żeby mi cokolwiek powiedzieć. Odkąd wiesz o tym wszystkim?

– Ano, uspokój się i idź do łóżka – rozkazał żonie Néstor.

– Jeśli stąd wyjdiesz, nie waż się wracać – powiedziała do córki Ana de Vilallonga, wychodząc z pokoju.

Czekała za drzwiami, słuchając, jak jej rozhisteryzowana córka ogłasza całemu światu swoją bezwarunkową miłość do tego biednego rybaka, ślubne plany, wylicza pieniądze, jakie on zarabiał i jakie ona mogłaby zarobić, piekąc chleb w portach na świecie. Ale mówiła to, szukając podświadomie aprobaty rodziców, a przede wszystkim wsparcia, które by jej dało odwagę do opuszczenia swojej szklanej kuli.

– Posłuchaj, córko. Chyba nie wierzysz w to „z tobą chleb z cebulą”, prawda? Temu nędzarzowi zależy tylko na naszych pieniądzech.

– Przestań, Ano, już dość! Proszę cię, zostaw nas samych. – Néstor ostro zganił żonę.

Wróciła do swojej sypialni bez słowa. Ojciec i córka zostali sami. Anna patrzyła przed siebie zagubionym wzrokiem. Néstor ją pogłaskał.

– Czy jesteś tego pewna, córeczko? Czy naprawdę tego pragniesz? – spytał, biorąc ją za rękę. – Niedługo skończysz osiemnaście lat. Będiesz mogła odejść, jeśli tylko zechcesz... Nie wiem, czy jesteś przygotowana, aby przepłynąć Atlantyk. Czekać na tramontanę, aby opłynąć Majorkę, to nie to samo, co czekać na pasaty, żeby popłynąć przez ocean. To niebezpieczne, córeczko... Czy tego chcesz, na pewno?

– Chcę jego. Ale... – spuściła wzrok. – Nie chcę stąd wyjeżdżać. Nie chcę opuszczać Majorki.

Spojrzała na zegarek. Była za piętnaście piąta. Za piętnaście minut Antonio miał na nią czekać na ulicy, na skuterze. Znów wróciły łzy, paraliżujący strach. Z oczu Anny płynęło teraz morze łez, morze palących łez, rozszalałe morze, nigdy dotąd tak pełne wściekłości, nigdy tak tchórzliwe.

– Ty wyjdź do niego, tato. Ja nie mam odwagi spojrzeć mu w oczy. Powiedz mu, żeby codziennie do mnie pisał, proszę cię. Będę czekała na jego powrót przez resztę życia.

\* \* \*

Marina zadzwoniła z hotelu do Mathiasa. Wy tłumaczyła mu, że zdecydowała się zostać miesiąc na wyspie. Mieli spotkać się na Haiti w połowie marca. Wróciła do domu, ubrania Marii Dolores leżały spakowane w torbie na śmieci w pokoju za kuchnią. Wzięła wilgotną szmatę i poszła do sypialni, żeby wyczyścić szafę. Powiesiła na wieszakach swoje spodnie, kilka podkoszulków i dwa swetry. Schowała stetoskop i notes w szufladzie nocnego stolika. Na koniec rozłożyła afrykańską chustę ozdobioną lamówkami w kolorze zielonym, żółtym i liliowym, którą kupiła z Mathiasem w jakiejś wiosce w Demokratycznej Republice Konga. Rozprostowując ją dłonią, przypomniła sobie ich pierwsze spotkanie.

Marina zamykała suwak swojego kombinezonu z włókien polietylenu o dużej gęstości. Obok niej stał lekarz Kongijczyk, dwóch pielęgniarzy, też miejscowych, amerykański antropolog i młody lekarz, który akurat przyjechał. Miał na imię Mathias. Wszyscy w całkowitej ciszy wkładali na siebie kombinezony chroniące przed skażeniem biologicznym, podczas gdy wyspecjalizowany personel nadzorował, aby w ścisłej kolejności zakładali, jak mówią potocznie lekarze, swoje PPE, czyli środki ochrony osobistej: sterylne kombinezon, gumowe kalosze, okulary ochronne, podwójne rękawice, nieprzemakalny kitel i maseczkę na twarz.

Marina splotła włosy w warkocz i schowała pod swoim PPE. Zapięła suwak aż po



brodę i przełożyła przez głowę gumkę maski.

Podeszła do młodego niemieckiego lekarza. Była szefem misji w tym projekcie i domyśliła się po jego pełnym ciekawości spojrzeniu, że to jego pierwsza praca w terenie.

– Dziękuję, Mathiasie. Mówiono mi, że dziś miałeś się do nas przyłączyć – powiedziała z uśmiechem. – Jesteśmy bohaterami, już to wiesz, prawda? – dodała łagodnym tonem, patrząc mu w oczy.

Chciała to powiedzieć Mathiasowi, bo mimo że była daleka od uważania się za bohaterkę ani nie sądziła, że praca w terenie członków organizacji pozarządowych mogła być podniesiona do rangi heroicznego wyczynu, wiedziała, że ten młody lekarz o naiwnym spojrzeniu będzie świadkiem czegoś, czego się nie spodziewał. Czekał go silny wstrząs. Marina już od pięciu lat pracowała dla Lekarzy bez Granic i zdawała sobie sprawę, że udział w tej wyniszczającej misji brutalnie zgasi to urocze spojrzenie.

Zasłonili usta maskami i niczym ekipa astronautów weszli do Oddziału Izolacyjnego Wysokiego Ryzyka Zараżenia Ebołą. Piekło. Czterdzieści jeden stopni. Na pryczach bez prześcieradeł spoczywały półnagie samotne dzieci. Leżące na boku kobiety wymiotowały do kubłów. Odchody starszych ludzi przelewały się przez łóżka. Nie było leku czy szczepionki na ebołę. Miejscowy personel uwijał się, sprząając bez przerwy. Każdy lekarz miał przydzielony jeden rząd prycz, podchodził do umierających, od pacjenta do pacjenta, aby ich nawodnić mieszanką wody i soli mineralnych, podając paracetamol, antybiotyki i nieustannie sprawdzając, czy nie rośnie gorączka.

Nie sposób było wytrzymać w PPE dłużej niż czterdzieści minut, upał był ekstremalny i pot zalewał pracującym oczy. Marina zobaczyła, że Mathias wychodzi pierwszy, a za nim reszta zespołu. Ona była w stanie wytrzymać kilka minut dłużej i zająć się Kongijką w ciąży, która wpatrywała się w nią błagalnym wzrokiem.

Lekarze zrobili półgodzinną przerwę, prawie nie rozmawiając. Uzupełnili płyny, aby się nie odwodnić, i wrócili do środka.

Późnym popołudniem pracownicy sanitarni polewali Marinę, Mathiasa i resztę zespołu roztworem chloru, zgodnie z surowym protokołem dezynfekcji. Potem w ustalonym porządku zdjęli PPE. Najpierw fartuch, kalosze, nie dotykając ich rękami, kitel i rękawice, zwijając je stroną wewnętrzną na zewnątrz, okulary ochronne, a na koniec maskę, zawsze od tyłu głowy.

– Nie zapominajcie, proszę, że nie możecie dotykać się między sobą. Nie możecie podawać sobie żadnego przedmiotu. Niczego, to znaczy ani długopisu, ani solniczki, ani pasty do zębów. Niczego. Czasem zapominacie. Uważajcie, proszę was. Dopóki nie wrócicie do Europy, nie możecie się dotykać – przypomniał kongijski pielęgniarz, zwracając się do Mathiasa.

Marina przyglądała się, jak Mathias słucha pielęgniarza, i dostrzegła to, czego się spodziewała: jego oczy przypominały teraz dwa pęknięte szmaragdy. Zagubione

i wystraszone spojrzenie. Spojrzenie tego pierwszego razu. Pierwszy raz, kiedy oczy przestają patrzeć na cudzy ból na ekranie telewizora i stają twarzą w twarz z rzeczywistością.

Każdego popołudnia podjeżdżał po nich jeep i odwoził ich do obozu bazy, gdzie mieszkali wszyscy uczestnicy programu przybyli z zagranicy. Każdy miał małą sypialnię, kuchnia była wspólna. Jedli razem kolację przygotowywaną przez sympatyczną Kongijkę zatrudnioną przez organizację. Była to cicha misja, ludzie niewiele między sobą rozmawiali. Siadali dookoła stołu, fizycznie i psychicznie przygnieci horrorem, z którym stykali się na co dzień. A przede wszystkim tym, że czuli się bezsilni, patrząc, jak siedemdziesiąt pięć procent chorych znajdujących się pod ich opieką umierało z powodu śmiertelnego wirusa, podczas gdy oni prawie nic nie mogli zrobić. Poza tym musieli siadać w metrowej odległości od siebie, aby żadna część ciała nie dotknęła ciała innego członka zespołu. Wobec tej choroby nikt nie był bezpieczny.

Któregoś wieczoru, widząc, że Mathias je bez apetytu i ze spuszczoną głową pastę z manioku i wody, którą im codziennie podawano, Marina spytała go, jak wyglądało jego życie, zanim zaczął pracować dla organizacji. Studiował na Freie Universität Berlin i od pierwszego dnia, kiedy wszedł do budynku, w którym mieścił się wydział medyczny, jego jedynym celem była praca dla Lekarzy bez Granic. Marzył o tym, aby zostać altruistycznym lekarzem, zdolnym zmieniać świat. Zdolnym do tworzenia lepszego świata i do pomagania potrzebującym. Gdy uzyskał dyplom, pracował przez trzy lata w szpitalu Charité Campus Berlin Buch, chcąc zdobyć wymagane doświadczenie i zostać przyjętym do organizacji. I oto tu był, na afrykańskiej ziemi, realizując swoje marzenie. Marzenie, które legło w gruzach, ledwie stanął na afrykańskim kontynencie.

W ten sposób minęły trzy miesiące w tym chorym miejscu świata, u boku śmierci, która nadchodziła tak bezceremonialnie.

W noc przed powrotem do Europy Marina nie mogła zasnąć. Wyszła, żeby napić się wody. Owinęła się afrykańską chustą, którą tego popołudnia kupiła z Mathiasem. Poszła do kuchni i przez okno zobaczyła go siedzącego na ławce. Wyglądał dłonią bibułkę papierosa. Marina wyszła na dwór.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Mathias przytaknął bez słowa, wkładając ustnik do bibułki. Wypełnił papierek tytoniem i zwinął. Marina podeszła i usiadła obok niego.

Wyjął zapalniczkę ze spodni i zapalił papierosa. Marina patrzyła, jak się zaciąga i powoli wypuszcza dym.

– W innych okolicznościach poprosiłabym cię, abyś mi dał się zaciągnąć – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Nigdy nie zapominali protokołu, który im zabraniał kontaktu fizycznego. Nie

dotykali się nawzajem od dziewięćdziesięciu pięciu dni, chyba że poprzez strój izolujący.

– W innych okolicznościach poprosiłbym, żebyś mnie objęła – odpowiedział Mathias, nie patrząc na nią, a dwie łzy wypłynęły powoli z jego pięknych, zielonych oczu.

Marina zbliżyła dłoń do dłoni Mathiasa i koniuszkiem wskazującego palca dotknęła paznokcia jego małego palca pod niebem rozjaśnionym księżycem i miliardem gwiazd.

# PRZESZŁOŚĆ LUB CIEMNY CHLEB Z MAKI XEIXA

## SKŁADNIKI

400 g mąki z rodzimej pszenicy *xeixa* z Balearów

200 ml letniej wody

150 g zakwasu

Wypiekać w piecu opalonym drewnem z migdałowca, dębu ostrolistnego i sosny

## PRZYGOTOWANIE

Mąkę należy zemleć w starym tradycyjnym młynie. Podczas mielenia kamienie młyńskie nagrzeją się lekko i w ten sposób zostaną zachowane wszystkie wartości odżywcze i oryginalny smak ziarna. Delikatny smak, który nie ma nic wspólnego z tym, który uzyskuje się w wyniku mielenia w młynach przemysłowych.

Wymieszaj mąkę i wodę z zakwasem i zagnieć ręcznie lub w dawnej mieszarce z wolno mieszającymi łopatkami. Tajemnica tego pysznego chleba tkwi w długim procesie wyrastania ciasta, który może trwać od jednego do trzech dni, a przede wszystkim w wypieku chleba w tradycyjnym piecu opalonym rodzimym drewnem z wyspy. Mąka *xeixa* i ogień z drewna z migdałowca i dębu ostrolistnego decydują o jego unikalnym smaku.

\* \* \*

Marina włożyła starą koszulkę Mathiasa z godłem berlińskiego Freie Universität. Anna miała na sobie bardzo delikatną koszulkę nocną na ramiączkach, z zielonego jedwabiu. Od lat jej nie nosiła, była za ładna, aby ją marnować w samotne noce u boku męża.

Każda była pochłonięta swoimi myślami.

Dlaczego nigdy do mnie nie napisałeś, Antonio? Rozumiem, że mogłeś nie mieć ochoty, ale ja i tak cierpliwie czekałam, w dzień i w nocy, latami, aż twoje wspomnienie zatarło się w moich myślach. Napisałabym do ciebie, aby ci wytłumaczyć, dlaczego nie wsiadłam z tobą na ten statek. Tłumacząc ci mój lęk, usprawiedliwiając moje tchórzostwo. Ale dokąd miałam napisać? Nigdy więcej nie wróciłeś na wyspę? Na jakieś Boże Narodzenie? Na jakąś Wielkanoc? Wiedziałeś, gdzie mieszkam. Dlaczego po mnie nie wróciłeś? Być może Néstor, gdy wyszedł, aby ci powiedzieć, że nie wsiadę na żaglowiec z tobą, poprosił, abyś o mnie zapomniał. Że to historia nierealna. Kto wie, może kiedyś będę mogła zapytać cię o to. Jak by wyglądało moje życie u twojego boku? Jak by wyglądało moje życie, gdybym wsiadła z tobą na „Lorda Blacka”? Jak by wyglądało życie skromnego rybaka z dziewczyną z wielkiej majorkańskiej burżuazji?

Życie Anny byłoby całkiem inne. Być może lepsze. Być może gorsze. Ale bez wątplenia inne. Wyobraziła sobie siebie na tym żaglowcu, w wieku siedemnastu lat, szczęśliwą, razem z nim... aż conocne chrapanie Armanda przywróciło ją do rzeczywistości.

Marina położyła się do łóżka, myśląc o Etiopii. Przypomniała sobie ostatnie dni tam

spędzone i tę wychudzoną dziewczynkę, którą porzuciła w sierocińcu. Tak bardzo pragnęła, aby szybko znalazła rodzinę adopcyjną, która da jej miłość potrzebną każdemu nowo narodzonemu dziecku. W przeciwnym razie czeka ją długie i gorzkie dzieciństwo w tym smutnym sierocińcu. Pomyślała o tym, jak dzieciństwo wpływa na dorosłe życie. Jak zatem wygląda dorosłe życie sieroty? Dziecko bez dzieciństwa to dorosły bez życia. Co czeka Naomi, jeśli nie zostanie zaadoptowana? Bez miłości, bez pieczy, bez nikogo, kto by ją utulił nocą, zawsze samotna. Ogarnął ją żal, ale spróbowała odsunąć tę myśl i zasnąć w tych obcych, a zarazem własnych, czterech ścianach.

Obie siostry zasnęły prawie jednocześnie. Nim to jednak nastąpiło, pomyślały jedna o drugiej, tak jakby z jakiejś tajemniczej przyczyny ich myśli były zdolne się splatać, i przypomniały sobie popołudnia z dzieciństwa spędzane w kuchni babci Nerei, kiedy ocierały skórkę z cytryn i wyjmowały nasiona maku rękami zawsze pobrudzonymi mąką...

\* \* \*

O piątej rano ktoś zastukał kołatką w drzwi piekarni. Niebla czujnie nadstawiła uszu. Poprzedniej nocy, na krótko przed tym, jak Marinie udało się zapaść w sen, suka powróciła do swoich zwyczajów i stęskniona za dawną sypialnią weszła na górę. Marina chwyciła ją za skórzaną obrozę i spróbowała, tak jak poprzedniej nocy, pociągnąć ją w stronę schodów. Stara i uparta suka zaparła się siwymi łapami. Marina znów spróbowała przekupić ją czekoladką. Zwierzę było stare, ale nie głupie, nawet jej nie powąchało. „Niebla, Úrsula czeka na ciebie. Niebla, nie możesz tu zostać. Niebla, wyjdź”. Suka podnosiła głowę, spoglądając smutnym, ludzkim wzrokiem, szukając zrozumienia u nowej właścicielki jej domu. Bo tak naprawdę to był bardziej jej dom niż dom tej ludzkiej istoty, która usiłowała ją stąd wyrzucić. Sypiała tu od dziesięciu lat. Przeliczając na wiek ludzki, od siedemdziesięciu lat.

– Úrsulo, nie chce zejść! – powiedziała Marina, wychylając się przez okno.

– No i co zrobimy? – spytała Úrsula, spoglądając w górę. – Jeśli chcesz, wejdę do ciebie i spróbujemy sprowadzić ją we dwie. Ale ja już nie mam zbyt wiele siły.

Marina spojrzała na sukę, która zdążyła się położyć pod oknem. I znów wyjrzała do Úrsuli.

– No dobrze... sama nie wiem... no to niech zostanie dziś na noc – postanowiła z wahaniem w głosie Marina.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę – odpowiedziała Úrsula, wchodząc pośpiesznie do swojego domu. – Marino! – zawołała, zanim zamknęła drzwi.

Marina, która już domykała okiennice, znów je otworzyła.

– Wiem, że jesteś dobrym człowiekiem i ufasz rasie ludzkiej, ale, na Boga, zamykaj

drzwi na klucz.

Niebla zamknęła oczy i usnęła.

I znów głucho stuknięcie do drzwi. Niebla szczerknęła. Marina otworzyła oczy. Spojrzała na zegarek. Uśmiechnęła się do siebie. Wiedziała, kto to. Szybko włożyła dzinsy i zbiegła po schodach.

– Dzień dobry, Catalino – powiedziała, otwierając drzwi. Kobieta pogłaskała sukę, która ją radośnie obskakiwała.

– *Bon dia*. Dzień dobry. – Catalina odchrząknęła lekko. – *Mira, guapa... he tornat perquè... és un desastre, tothom ha de comprar es pa en es súper que és una espadenya*. Słuchaj, ślicznotko... wróciłam, bo... to katastrofa, wszyscy muszą kupować chleb w supermarkecie, smakuje jak espadryle.

– Jak dobrze, że pani przyszła, Catalino. To pani dom, proszę wejść.

– *Millor diguem Cati i, mira, ja te saps el nom de mitja Mallorca. Aquí, la meitat de dones són Catalines i la meitat d'homes Tomeus. Treballadors sí, però originals no ho som gaire el mallorquins*. Lepiej nazywaj mnie Cati, i posłuchaj, w ten sposób będziesz już znała imię połowy Majorki. Tutaj połowa kobiet ma na imię Catalina, a połowa mężczyzn Tomeu. My Majorkanie jesteśmy pracownicy, to tak, ale mało oryginalni – oświadczyła, czyszcząc zaparowane okulary brzegiem szerokiej, czarnej spódnicy do kolan. – *Perquè me vas dir que el mallorquí l'entens, no?* Bo mówiłaś mi, że rozumiesz po majorkańsku, no nie?

– Owszem, rozumiem... Ale nie mieszkam na wyspie od wielu lat. Jeśli jakichś słów nie zrozumie, to poproszę panią o przetłumaczenie. Niech się pani nie przejmie. Może pani spokojnie mówić do mnie po majorkańsku.

– Dobrze mi robi poćwiczyć hiszpański. Będziemy mieszały oba języki.

Catalina przeszła na zaplecze piekarni, spokojnie, jak to robiła przez całe życie. Z domu przyniosła wiklinowy kosz, z którego wyjęła przechowywany u siebie zakwas. Obejrzała worki z mąką *xeixa* porozrzucane po podłodze. Wystarczyłoby na zimę dla całego miasteczka. Już miała włożyć fartuch wiszący obok worków, kiedy spojrzała na nową właścicielkę piekarni pytającym wzrokiem. Uważała, że musi poprosić o pozwolenie, to wszystko już nie należało do Marii Dolores.

– Cati, proszę, niech pani robi to, co do pani należy.

Catalina umyła ręce. Zabroniła Niebli wchodzić na zaplecze i włożyła fartuch.

– *Trob molt raro ser aquí sense na Lola*. Dziwnie mi tu bez Loli – powiedziała do siebie.

– Nazywaliście ją Lola?

– *A na María Dolores no li agradava gens el seu nom. Ni Dolores. Ni Dolo... Deia que era com María Agonía o María Suplicio... Sí, a Valldemossa, desde joveneta, tothom li deia Lola...* María Dolores nie lubiła swojego imienia. Ani Dolores. Ani

Dolo... Mówiła, że to jak Maria Agonia albo Maria Męczennica... Tak, tu, w Valldemossie, od wczesnej młodości wszyscy nazywaliśmy ją Lola.

Catalina wzięła do ręki fartuch swojej przyjaciółki Loli. Przez chwilę przyglądała mu się z nostalgią.

– Już rozpuściłam wici, że poszukuje się pomocnika piekarza. Dziś zrobię tylko sto chlebów.

– Mogę pomagać, dopóki nie znajdziesz kogoś innego – powiedziała Marina.

Catalina spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Zagniatać chleb?

– Tak. Nauczyłam się piec chleb, kiedy byłam mała, z babcią. Raczej się wtedy bawiłyśmy, ale może sobie coś przypomnę.

Catalina patrzyła przez chwilę na nową właścicielkę.

– *Doncs bueno.* – Spojrzała z powątpiewaniem na swoją rozmówczynię. – No dobrze, niech będzie. W porządku – powiedziała, biorąc fartuch Loli i podając go Marinie.

Marina przełożyła fartuch Loli przez głowę i zawiązała sobie na plecach. Catalina włożyła czepek, który wyjęła ze swojego kosza, a Marina zebrała włosy w warkocz.

– Więc już wiesz: *farina de xeixa, agua, masa mare, ni sal ni sucre...* mąka *xeixa*, woda, zakwas, ani soli, ani cukru... i ciasto rośnie całą noc, aż podwoi objętość. Na dzisiejszy chleb użyjemy suchych drożdży i odstawiamy na półtorej godziny, żeby zaczęły pracować.

Catalina otworzyła piec. Był głęboki, z łukowym sklepieniem, miał około trzech metrów długości i niecały metr wysokości.

– Mogłabyś mi przynieść *ses feixines*? – poprosiła.

Marina uniosła brwi. Rozejrzała się po pomieszczeniu, szukając czegoś, co pasowałoby do tego nieznanego jej słowa majorkańskiego.

– *Ses feixines*, kobieto. Tak samo jest po hiszpańsku, no nie? – spytała piekarka, wskazując na leżące na ziemi pakiety dębu ostrolistnego, gałązki sosny i migdałowca obwiązane sznurkiem.

Marina podniosła paczki z ziemi, nie tłumacząc sympatycznej towarzyszce, że takie słowo nie istnieje w języku hiszpańskim, i podała jej drewno.

Catalina włożyła do pieca najpierw gałązki migdałowca i sosny, a potem polana dębu ostrolistnego.

Wyjęła pudełko zapalek z koszyka. Zapaliła zapałkę i włożyła ją do środka. Gałązki migdałowca zajęły się od razu, kilka sekund później zajął się dąb. Płomień poszedł powoli w górę, aż odbił się od sklepienia. Marina obserwowała piekarkę w milczeniu. Było coś magicznego w tym starym, głębokim piecu opalonym drewnem. Coś magicznego dla Mariny, która widziała go po raz pierwszy, ale nic poza codziennością dla kogoś, kto ogląda go przez całe życie.

Catalina szczelnie zamknęła piec.

Otworzyła worek mąki i w trakcie posypywania drewnianego stołu opowiadała Marinie, jak ona i María Dolores pracowały razem przez prawie pięćdziesiąt lat. W lecie piekły trzysta bochenków ciemnego pieczywa, a w zimie sześćset. W weekendy – tradycyjna, słodka *coca* z ziemniaków i sałatka *trempó*. Piekarka opowiedziała też o dostawcach, którzy przyjeżdżali dwa razy do roku. Słuchając, Marina przypomniała sobie, że Gabriel wspomniał o cytrynowym biszkopcie z makiem. Pamiętała o tym, bo tak przesadnie chwalił niezwykły smak tego słodkiego ciasta. Jednak Catalina nie wspomniała o nim ani słowem.

Wsypywały mąkę, dodawały wodę, sfermentowane ciasto i drożdże do staroświeckiej mieszarki z wolno mieszającymi łopatkami.

– W piekarniach w Palmie sprzedają mieszarki, które zagniatą ciasto w pięć minut. Dziś wszystko się robi szybko, ale nie, to nie to samo. Smak nie jest taki jak powinien... *poc a poc tot surt molt més bé*. Jak się robi powoli, wszystko wychodzi lepiej.

– Powiedziałaś we wsi, że piekarnia znów jest otwarta? – zapytała Marina.

– No pewnie, kobieto! Wyobrażasz sobie, że przyszłam tu o piątej rano w zaparowanych okularach i skostniała z zimna, nie wiedząc, czy sprzedam cały chleb?! Poszłam wczoraj do baru *den Tomeu*. Znasz bar Tomeu?

– Ten przy drodze?

– Właśnie ten, tak. Jak chcesz się czegoś dowiedzieć, to tylko tam. Że ten się rozwiódł, a tamten splajtował. Że taki owaki *ha estirat sa pota...* wykitował... też tam się dowiesz. W Valldemossie niewiele znajdziesz prywatności: *poble petit, infern gran...* mała wioska, duże piekło. Wczoraj *en s'horabaixa*, po południu, poszłam na kawę i rozmawiałam z Josefą, jego żoną, teraz wszyscy już o tym wiedzą. Nie martw się, nie zostanie ani jeden bochenek. Miejscowi nudzą się i *xerra massa...* *las habladurías...* plotkują, ile wlezie, jak mówią Hiszpanie. A o tobie mówią, co popadnie.

– Tak?

– Uff. Mówią, że jesteś córką niemieckiego fabrykanta wędlin, multimilionera, i że kupił ci młyn, żebyś miała zajęcie. Oczywiście nie mogą zrozumieć, dlaczego tak dobrze mówisz po hiszpańsku. Odbiło im... *pardals asoleiats* <sup>8</sup>... nagrzone wróble – mruknęła pod nosem po majorkańsku. – Powiedziałam ludziom, że nic nie wiem. Całe miasteczko przyjdzie po chleb, zobaczysz. Bo, po pierwsze, ten biały chleb z supermarketu jest niejadalny, a po drugie, umierają z ciekawości i chcą dowiedzieć się, kim jesteś.

Wyjęły ciasto. Catalina wzięła skrobak i odkroiła mały kawałek. Nauczyła Marinę, jak wyrabiać ciasto pięściami, składając je, unosząc do góry na kilka centymetrów i puszczając, aby spadło na stół. Trzeba było powtórzyć tę czynność wiele razy,



a potem wyrabiać ciasto ręcznie kilka minut. Wreszcie formowało się je w idealną kulę. Catalina kroić ciasto na sto kawałków, a Marina wyrabiała je niezdarnie. Pulchne dłonie Cataliny były zręczne i szybkie.

Przykryły ciasto bawełnianymi ściereczkami i odstawiły, aby odpoczęło.

Otworzyły piec, temperatura wahała się od dwustu pięćdziesięciu do dwustu siedemdziesięciu stopni. Po spalonym drewnie pozostał popiół i żar mieniący się na czerwono, żółto i pomarańczowo.

Catalina włożyła metalową łopatę na długim trzonku i wyjęła popiół i żar. Wzięła drugą łopatę tej samej długości, ale drewnianą, i oprószyła ją mąką. Marina ułożyła chleb na łopatach, tak jak ją nauczyła piekarka. Pierwsza porcja. Druga. Trzecia. Czwarta. Piąta...

Godzinę później z otwartego pieca wydobywał się zapach świeżo pieczonego chleba, jak ożywczy powiew, który delikatnie musnął duszę Mariny. Przymknęła oczy i powoli wdychała zapach przepełniający ją nostalgią. Zapach dzieciństwa. Zapach domu.

\* \* \*

Burmistrz, fryzjerka, proboszcz, listonosz, strażnik miejski, Tomeu, Gabriel, Úrsula, mężczyzna z kiosku, kierowca autobusu, wielu zbytecznych pracowników ratusza i mieszkańcy małego miasteczka Valldemossa przedefilowali przez piekarnię w poszukiwaniu *pa moreno*, który jadal przez całe życie. Przyglądali się z ciekawością nowej piekarce i okazywali jej wdzięczność, skarżąc się na przemysłowy chleb, który jedli, odkąd zmarła Lola. Każdy prosił też o poranny przysmak – cytrynowy chlebek z makiem. Catalina tłumaczyła się, odpowiadając wszystkim:

– *El pa de llimona i rosella era cosa de na Lola, no era cosa meva.* Cytrynowy chlebek z makiem to była działka Loli, nie moja.

Oczywiście szczegół ten nie umknął uwadze Mariny. Ale nie był to moment, aby się dopytywać. Jeszcze będzie na to czas.

Po kupieniu chleba, przed wyjściem, każdy wypowiadał kilka miłych słów o zmarłej piekarce. Tęsknili za nią. Była wesołą kobietą, mówili. Zawsze miała uśmiech dla swoich klientów.

Skończył się dzień pracy. Marina i Catalina usiadły na wiklinowych krzesłach.

– Ciężki jest zawód piekarza – wyznała Catalina, trzymając w ręce metalowe pudełko, do którego wkładały pieniądze. – Bardzo dziękuję.

– *Gràcias a vosté.* To ja pani dziękuję – odparła Marina po majorkańsku.

– Proszę cię, mów mi po imieniu.

Marina się uśmiechnęła. Tymczasem Catalina wyjęła połowę pieniędzy z pudełka.

– To dla ciebie – powiedziała, podając jej banknoty.

– Nie, Cati. Nic nie chcę.

– To twoje pieniądze i nie ma o czym mówić. Tu, na Majorce, jesteśmy uczciwi. *Has fet bona feina. Els doblers són teus.* Zrobiłaś dobrą robotę. Pieniądze są twoje.

Marina odmówiła, ale Catalina położyła przed nią przysługujące jej euro.

– Dobrze, w takim razie dziękuję. Nie wiem, ile czasu tu zostanę, Cati. Kilka tygodni. Miesiąc. Dopóki nie dowiem się, dlaczego María Dolores, Lola – poprawiła się – kobieta, której w ogóle nie znam, zostawiła mi miejsce tak... – rozejrzała się dookoła, szukając właściwego słowa – magiczne, tak piękne. Jeśli nie miała żadnego krewnego, któremu mogłaby to dać, mogła zostawić wszystko tobie. Byłaś jej przyjaciółką.

Cati spuściła na chwilę wzrok.

– *Jo no sé res.* Ja tam nic nie wiem. – Po raz drugi odpowiedziała zbyt szybko, unikając wzroku Mariny.

– Zobaczę, jak to załatwię z siostrą, która chce wszystko szybko sprzedać.

– Jedyne, czego się nauczyłam w życiu, to wypieku chleba. *Només ser fer pa.* Umiem tylko robić chleb – wtrąciła Catalina ze smutkiem. – Nie wyobrażam sobie siebie siedzącej w domu przed telewizorem w oczekiwaniu na odwiedzin *dels paradals dels meus germans...* tych wróbli, moich braci. Ani braci, ani szwagierek, ani ich dzieci. *A més, a qui vénen a veure és a mumare.* Przychodzą odwiedzić moją matkę. Ale to ja zajmuję się nią od dziesięciu lat. Mogłam wyjść za męża, wyjechać stąd, jednak przy ośmiu braciach kto opiekowałby się matką na stare lata?

Catalina popatrzyła dookoła na ukochaną piekarnię i na sukę, która leżała na ulicy brzuchem do góry i zdawała się przysłuchiwać rozmowie.

– Mam oszczędności, ale nie tyle, żeby to wszystko kupić – kontynuowała. – Mogłabym poszukać pracy w innym miasteczku albo w Palmie. Ale teraz ciasto się zamraża, używa się nowoczesnych maszyn, już nie trzeba tylu rąk do pracy, a poza tym nikt nie będzie chciał zatrudnić takiej grubej krótkowzrocznej sześćdziesięciolatki jak ja. *Ningú.* Nikt.

– Nie mów tak, Cati.

– Wiesz, Lola i ja byłyśmy tutejszymi starymi pannami. Naśmiewali się z nas, o tak. *Se quedaran per vestir sants.* Nie doczekają się męża. Co tam, cholera, nie doczekają się męża. Ośmiu braci, to było aż nadto. A dzieci nigdy nie chciałam mieć. I mówię to z ręką na sercu, chociaż wiem, że i tak nikt mi nie wierzy. „Bidulki, dwie stare panny”, mówili o nas. Kiedy rodzice Loli zmarli, zastanawiała się, czy nie zamknąć interesu, ale zdecydowałyśmy się spróbować we dwie. Pomyśl, to był początek lat osiemdziesiątych, wtedy miejsce kobiet było w domu, przy dzieciach, i wiesz, to, że dwie kobiety same zarabiałły pieniądze, było bardzo źle widziane.

Marina wyczuwała dumę w każdym słowie Cataliny. Dumę z tego, że potrafiły

zbudować tę małą kobiecą firmę. A jednocześnie wyczuwała jej żal, że z pewnością będzie musiała porzucić swój zawód.

– Byłyśmy znane na całym świecie dzięki tej piekarni.

Marina się uśmiechnęła.

– *No te'n riguis*. Nie śmieję się, bo nie przesadzam. Byłyśmy we wszystkich przewodnikach turystycznych, a na dodatek napisali o nas artykuł w japońskim piśmie, nawet ze zdjęciami.

– Naprawdę?

– Tak, naprawdę. Przyjechała dziennikarka, nie mówiła ani po majorkańsku, ani po hiszpańsku, po żadnym, tylko po japońsku. Cały dzień robiła zdjęcia i *arigato*, *arigato*, dziękuję, kłaniała się.

Przerwała i znów spojrzała w stronę zaplecza. Marina od razu zdała sobie sprawę, jak bardzo tęskni za latami spędzonymi z przyjaciółką.

– Może jest jakiś sposób, żebyś nadal tu pracowała mimo sprzedaży domu. Nie mogę ci nic obiecać, Cati... ale spróbuję.

Catalina westchnęła, wstając z krzesła.

– Muszę zrobić obiad matce. Już jej powiedziałam, że dziś wrócę późno, ale nawet sobie nie wyobrażasz, co wyprawia, kiedy nie zje w porę. *Moltes gràcies, bonica. I perdona per ahir. Sempre he tingut una mica de mala lluna*. Bardzo ci dziękuję, moja miła. I przepraszam cię za wczoraj. Zawsze miałam trochę zły charakter. W takim razie do jutra.

Poszła w kierunku drzwi. Marina patrzyła za nią.

– Cati.

Odwróciła się.

– Moja babcia nauczyła mnie przepisu na cytrynowy chlebek z makiem. Umiem go zrobić. Jeśli chcesz, mogę spróbować.

Catalina wyszła z piekarni bez słowa.

\* \* \*

Marina ostrożnie wyjęła pineski z przypiętej do ściany kartki z przepisem na chlebek cytrynowy z makiem. Złożyła ją na pół i schowała do kieszeni dzinsów. Wzięła klucze wiszące przy wejściu. Z piekarni przeszła do młyna. Tam jeszcze nie szukała. Spędziła godzinę, porządkując zakurzone sprzęty do mielenia. Puste worki. Drewniane krzesła i połamane przedmioty. Nic nie znalazła. Oparła się o okrągłą ścianę młyna, patrząc na zaniedbanie i bałagan, i wtedy stało się dla niej jasne, że albo Lola była osobą wyjątkowo chaotyczną, albo ktoś przeszukał jej rzeczy.

\* \* \*



\* \* \*

– Już ci mówiłem, że ta Panamka miała niezłe cycki, ale nie grała czysto – powiedział Curro Armandowi, wychodząc z restauracji, w której jedli ze swoimi żonami paellę z homara.

Armando zaciągnął się nerwowo mocnym marlboro i podniósł kłapy płaszcza. Wyglądało na to, że przekłeta zima nigdy się nie skończy. Wypuścił kłęb dymu, przypominając sobie z nienawiścią latynoską kochankę, która go sobie okręciła wokół palca, żeby wyciągnąć, ile tylko się dało.

– Strzelam sobie w stopę. J&C Baker zarabia miliony na przypadkach takich jak ten, który mi proponujesz – kontynuował notariusz. – Ale przegralibyśmy proces. Moja rada to lepiej dojść do porozumienia, do niekorzystnej ugody z twoją szwagierką niż walczyć z adwokatami o to, aby spadek został poddany publicznej licytacji, a wiesz, co się wtedy dzieje. Zostanie sprzedany za psi grosz, straciecie i wy, i ona. Zaproponuj jej cały milion. Dwa miliony dla niej i jeden dla was. Na to nie powie nie.

– Nie znasz jej, ta dziwka jest uparta jak osioł – odrzekł Armando, zaciągając się.

Curro dostrzegł przez szybę restauracji, jak przesadnie uwodzicielska Cuca podaje kartę kredytową młodemu, przystojnemu kelnerowi. Domyślał się jej skoków w bok i zapominając o Armandzie, rzucił żonie mordercze spojrzenie. Cuca, czując, że jest obserwowana, i będąc świadoma zazdrości męża, spojrzała w jego stronę i mrugnęła do niego. Wiedziała, że tej nocy przeleci ją w ich sypialni, w willi, którą zamieszkiwali razem od dwudziestu lat.

– Dziś ja płacę za paellę – oświadczył Curro, robiąc ruch, jakby chciał wejść do restauracji.

– Mowy nie ma – stanowczo i dumnie zaoponował Armando. – Nie jest ze mną aż tak źle – skłamał.

W restauracji Anna i Cuca rozmawiały o swoich sprawach.

– Ale narozrabiała ta twoja siostra, co? Pamiętam, że była dziwadłem. Wyjechała dwa lata przed maturą, prawda?

Anna przytaknęła.

– Zawsze była taka milcząca – kontynuowała Cuca. – Prawie niewidoczna... ale zawsze szanowana. Była świetna z matmy i pozwalała nam ściągać od siebie na egzaminach. Bezinteresowna babka.

– Mam nadzieję, że uda się na nią wpłynąć i odzyska rozsądek. Jak tylko będę mogła, oddam ci to, co jestem winna – odparła Anna.

– Daj spokój.

– Nie, Cuca, oddam, jak tylko będę mogła.

– Bardzo dobrze wyglądasz – stwierdziła Cuca, zerkając na swój mały rolex. –

Spóźnię się na jogę – przeprosiła, wstając pośpiesznie.

– Ja też jestem spóźniona do mechanika.

\* \* \*

Warsztat mechanika otwierano o czwartej trzydzieści. Anna przyjechała piętnaście minut wcześniej. Weszła do obskurnego baru obok i starając się, aby kelner jej nie zauważył, chyłkiem przemknęła do toalety. Stała przed lustrem i wyjęła kosmetyczkę z torebki. Przyjrzała się swojemu odbiciu. „Co robisz, Anno? W co ty grasz?” – westchnęła i sama sobie odpowiedziała, nie będąc do końca przekonana: „Nic nie robię, poprawiam makijaż, żeby spotkać się z dobrym znajomym”.

Wyjęła próbkę japońskiego serum o natychmiastowym działaniu, które – według ekspedientki perfumerii usiłującej sprzedać jej przy okazji motocykl – zawierało rewolucyjny składnik stymulujący naturalne właściwości liftingujące skóry. Otworzyła saszetkę i wycisnęła kilka kropli na dłoń. Roztarła je na policzkach, a resztę schowała do kosmetyczki. Wyjęła czarną kredkę do oczu kupioną tego ranka i bardzo ostrożnie umalowała sobie oczy. Pędzelkiem rozprowadziła kolor na górnej powiece. Jeszcze tylko tusz na rzęsy i błyszczak na usta.

Wyszła z baru, słysząc za sobą: „Toaleta jest tylko dla klientów, proszę pani”. Nie było dużo ludzi, więc nie najadła się wstydu. Swoją drogą nie znosiła, kiedy zwracano się do niej per pani. Miała czterdzieści siedem lat, ale wcale tego nie czuła. Czasem myślała: Czterdzieści siedem? Brakuje mi trzech do pięćdziesiątki. Wydawało jej się, że to niemożliwe. Niemożliwe. Jednak nie było dnia, żeby jakiś dwudziestolatek swoim „przepraszam panią” nie przypomniawszy jej tego półwiecza, które nosiła na barkach.

Wyjęła włosy spod płaszcza. I wtedy, kilka metrów od wejścia do warsztatu, stało się coś, czego Anna się nie spodziewała. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła, jak jej usznięta dusza przez krótką chwilę budzi się do życia. Przestraszyła się. Stała, odetchnęła głęboko i wypuściła powoli powietrze. Poszła dalej i niczym aktorka wychodząca na scenę wkroczyła do warsztatu mechanika. Antonio podszedł do niej. Był ogolony i miał na sobie nienagannie białą koszulkę (przed kilku minutami przebrał się w toalecie).

– Jak nowy – powiedział, oddając jej kluczyki do bmw.

– Ile jestem winna?

– Zapłać sto za akumulator. Olej, woda i siła robocza to prezent od firmy.

Annie ta zniżka była na rękę, bo reperacja samochodu oznaczała, że będzie całkiem bez grosza do końca miesiąca, ale oczywiście nie chciała się na to zgodzić.

– Nie, Antonio. Nie ma mowy. Powiedz, ile to kosztuje.

– Sto i już. Naprawdę.

Nalegała, ale Antonio nie miał zamiaru przyjąć zapłaty.

– Sama nie wiem... No dobrze... Dziękuję ci bardzo. Mam wobec ciebie dług wdzięczności – dodała.

Wręczyła mu sto euro, podeszła do samochodu i otworzyła drzwi. Antonio obserwował ją. Raz jeszcze podziękowała mu i wsiadła do bmw. Włożyła kluczyki do stacyjki i zapaliła silnik. Ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili pragnęła, to wcisnąć pedał gazu i wyjechać z tego warsztatu pachnącego benzyną. „Anno, wysiądź z samochodu i zrób, co ci serce dyktuje, nie bój się, przynajmniej raz w życiu”, powiedziała sama do siebie. Wzięła głęboki oddech. Wyprostowała się i wysiadła z samochodu. Spojrzała na Antonia, który nie ruszył się z miejsca.

– Jeżeli masz czas i... – zawahała się przez moment, wzruszając ramionami – miałbyś ochotę... mogę... jeżeli chcesz... zaprosić cię na kolację.

Od: marinavega@gmail.com

Data: Luty 5, 2010

Do: mathiaschneider@gmail.com

Przepraszam. *Es tut mir leid*. Nie zadzwoniłam do ciebie do Barcelony. Powiedziano mi, że mieliście wyruszyć razem z ekipą i że przez cały dzień czekałeś w centrali na mój telefon. Cieszę się, że dotarliście na Haiti.

Ucałuj Siegfrieda ode mnie.

Nie uwierzysz, ale sama nie mam pojęcia, co tu robię. Poddaję się intuicji. Dziś rano wyrabiałam chleb z piekarką, która pracowała z Marią Dolores (Lolą). Wie więcej, niż mówię. Ale nie wiem, z jakiego powodu nie chce mi nic powiedzieć. Muszę dowiedzieć się, kim jest ta kobieta i dlaczego zostawiła mi wszystko, co w życiu posiadała.

À propos, María Dolores miała psa, który teraz chodzi za mną krok w krok. Ostatniej nocy spał ze mną. Kiedy widzę, jak ten siwy pies za mną idzie, dostaję ataku śmiechu. Wabi się Niebła. Teraz czeka na mnie przed hotelem, z którego do ciebie piszę.

Wiesz, Mathiasie? Po raz pierwszy od bardzo dawna dobrze się tu, na Majorce, czuję. To Majorka, którą mało znałam... Tak, wiem, może wydawać się dziwne, że mieszkałam czternaście lat na tej wyspie, a są miejsca, których nie znam... ale są... To miasteczko między górami, tak ciche i spokojne... było mi nieznane. Dom się rozsypuje i nie jest zbyt ładny, ale dobrze tu śpię... nie ma hałasu. Tylko wiatr, tramontana, to wiatr, który wieje w tych okolicach. Odprężam się, słuchając go... Czułabym się szczęśliwa, gdybyś był tu ze mną i to wszystko zobaczył. Chcę kiedyś przyjechać razem z tobą na wyspę. Znów muszę zadzwonić do centrali, żeby ich zawiadomić, że nie wrócę do Etiopii. Łamię mi to serce, Mathiasie... naprawdę. Wczoraj wieczorem przypominałam sobie Naomi i te dwie bezsenne noce, które spędziliśmy, czuwając nad nią. Mam nadzieję, że ta dziewczynka, której we dwoje pomogliśmy przyjść na świat, znajdzie szybko dom.

Kocham cię. *I love you. Ich liebe dich. T'estim* (to znaczy kocham cię po majorkańsku; chyba dodam nową kolumnę w notesie).

Deine Marina

<i>Hiszpański</i>	<i>Niemiecki</i>	<i>Majorkański</i>
<i>Lekarz</i>	<i>Artz</i>	<i>Metge</i>
<i>Woda</i>	<i>Wasser</i>	<i>Aigua</i>
<i>Kocham cię</i>	<i>Ich liebe dich</i>	<i>T'estim</i>
<i>Siostra</i>	<i>Schwester</i>	<i>Iermana</i>
<i>Matka</i>	<i>Mutter</i>	<i>Mare</i>
<i>Ojciec</i>	<i>Vatter</i>	<i>Pare</i>
<i>Przyjaciółka</i>	<i>Freundin</i>	<i>Amiga</i>
<i>Młyn</i>	<i>Mühle</i>	<i>Molí</i>
<i>Chleb</i>	<i>Brot</i>	<i>Pa</i>
<i>Wyspa</i>	<i>Insel</i>	<i>Illa</i>
<i>Moje życie</i>	<i>Mein leben</i>	<i>Ma vida</i>
<i>Piekarnia</i>	<i>Bäckerei</i>	<i>Forn de pa</i>
<i>Teżnię za tobą</i>	<i>Ich vermisse dich</i>	<i>T'anyor</i>
<i>Dolores (Lola)</i>	<i>Schmerzen</i>	<i>Dolors</i>

\* \* \*

Dział rejestru nieruchomości na Majorce mieścił się na starówce w Palmie. Úrsula jeździła raz na tydzień do miasta, żeby spotkać się z grupą niemieckich emerytów na placu Santa Magdalena w księgarni kawiarni prowadzonej przez Niemca z Monachium, też emeryta. Marina i Úrsula wsiadły do autobusu jadącego na plac España, a stamtąd poszły uliczkami starówki, aż do kawiarni. Ku zdziwieniu Mariny na wystawie widniał dwumetrowej wysokości plakat Úrsuli, o wiele młodszej, z rękami opartymi na książce zatytułowanej: *Letzen Tagen mit dir*<sup>9</sup>, a pod spodem napis: „1.000.000 exemplare erraicht”<sup>10</sup>.

– No i popatrz, mówiłam temu gamoniowi, żeby zdjął to zdjęcie z wystawy, ale mnie nie słucha. Sądzę, że jest przekonany, że to mi się podoba, niech to szlag, ta książka wyszła piętnaście lat temu – mruknęła do siebie.

– Jesteś pisarką – zdziwiła się Marina.

– Byłam pisarką, kochana, czas przeszedł. Teraz już nie jestem. Od prawie piętnastu lat nie napisałam ani linijki. Etap życia jako pisarki mam już za sobą. Ale ci tutaj nie przestają mi go przypominać – dodała, uśmiechając się z goryczą. – No idź już, bo urzędnikom z ratusza o piątej ołówki wypadają z rąk. Pierwsza w prawo i cały czas prosto w dół. Spotkamy się później – dokończyła, wchodząc do księgarni i wymyślając po niemiecku rodakowi, który wyszedł jej na spotkanie z otwartymi ramionami.



Marina oddaliła się, myśląc o tej serdecznej, charakternej babci, która była jej sąsiadką. Jakie miała życie? Opowiedziała jej pokrótce w autobusie, że przez wiele lat wykładała na uniwersytecie, ale ani słowem nie wspomniała o swoim obliczu pisarki. Zastanowiła się nad tytułem książki, *Letzen Tagen mit dir*. Nie była pewna... powinna zajrzeć do słownika. *Mit dir*, „z tobą”? *Tag*, „dzień”?

Weszła do siedziby działu rejestru. Tęgi strażnik z głupawym wyrazem twarzy, w brązowym mundurze i groteskowej, pomarańczowej kamizelce, poprosił ją o dowód osobisty i spytał o powód wizyty. Po sprawdzeniu, że kobieta na zdjęciu to ta sama, która stoi przed nim, polecił jej przejść przez wykrywacz metali i pójść na drugie piętro. Weszła na górę.

Siedziała tam nijaka urzędniczka, stukając w klawiaturę komputera. Sala była pusta. Marina podeszła do kobiety.

– Proszę wziąć numerki – burknęła urzędniczka, nie patrząc na nią i nie przestając pisać.

Marina rozejrzała się po pustej sali. To było bez sensu, ale posłuchała. Zawróciła i podeszła do nowoczesnego dyspensera przy wejściu. Nacisnęła guzik. Maszyna wydała numerki jeden. Marina usiadła w odległości kilku metrów od urzędniczki, nadal pogrążonej w czeluściach komputera (zmieniała po raz trzeci swój profil na stronie [www.singlepocztardziestce.com](http://www.singlepocztardziestce.com)). Kobieta wcisnęła guzik i w całej sali rozległ się ostry dźwięk, a jednocześnie nad jej głową zapaliła się czerwona cyfra 1. Marina podeszła.

– Słucham, w czym mogę pani pomóc.

Marina przedstawiła swoją sprawę i wręczyła dokumenty potwierdzające, że nieruchomości, o którą pytała, była jej własnością. Nie wdając się w wyjaśnienia, urzędniczka poleciła jej wypełnić formularz, określając szczegółowo, o jaką informację petent występuje. Marina wypełniła formularz i podała go jej.

– Za miesiąc otrzyma pani zwykłą pocztą pełny wypis z rejestru dotyczący historii nieruchomości.

– Za miesiąc?

– Za miesiąc, półtora miesiąca. Do widzenia – powiedziała urzędniczka, kierując z powrotem wzrok na monitor komputera.

Marina pożegnała się uprzejmie i wróciła tą samą drogą, którą przyszła. Ospały strażnik nadal tam tkwił, siedząc na krześle i popijając kawę. Pożegnał ją spojrzeniem. Nie ulegało wątpliwości, że był to szary urząd, zatrudniający równie szarych pracowników.

Úrsula miała na nią czekać o ósmej pod wiatą przystanku na placu España. Zostały jej jeszcze dwie godziny, spacerowała więc po starówce, kierując się do katedry. Dotarłszy na miejsce, spojrzała w niebo, tak jak to zawsze robiła w Boże Narodzenie, kiedy przychodziła tu z koleżankami z San Cayetano, aby śpiewać kolędy. Od szóstego

do czternastego roku życia, zawsze dwudziestego grudnia, brała udział w szkolnej uroczystości Bożego Narodzenia. Weszła do katedry. Za każdym razem robiła na niej przejmujące wrażenie. Wolno szła po czerwonym dywanie prowadzącym do ołtarza, przypominając sobie cichy szereg uczennic San Cayetano. Ujrzała siebie, sześciolatkę, witającą z daleka ojca, podnieconą i zdenerwowaną, kiedy po raz pierwszy śpiewała w chórze szkolnym. Gdziekolwiek by się nie znalazła na wyspie, zawsze towarzyszyły jej słodko-gorzkie wspomnienia z przeszłości.

Podeszła do kaplicy i nieoczekiwanie ujrzała coś, co uderzyło ją swoim wyjątkowym pięknem. Ten zakątek katedry nie należał do jej wspomnień. Nie pamiętała go z dzieciństwa. Przez sekundę myślała, że dzieło sztuki, które właśnie odkryła, było wytworem jej wyobraźni, ale nie... Miała wrażenie, że ściany kaplicy pokrywa ogromna fala gliny. Fala, w której odnalazła głębinę Morza Śródziemnego swego dzieciństwa, suchą pustynię afrykańską swych dojrzałych lat, zboże przemielone w mąkę tych ostatnich dni. Morze, pustynia i chleb. To dzieło w ułamku sekundy wywołało u niej dziwne odczucie. Zapragnęła usiąść, aby podziwiać je w spokoju. Chłoneła niezwykle piękno otoczenia, czując, jakby jej życie zmaterializowało się w tym sennym zakątku katedry w Palmie. Nie wiedziała nic o sztuce; ani o rzeźbie, ani o malarstwie. Z pewnością krytycy, elokwentni i wspaniałomyślni w swoich pochwałach, opisali już to dzieło, ale Marina potrafiła tylko pomyśleć: Co za urokliwe miejsce, i natychmiast zaciekawiała się, czyje ręce stworzyły ten obraz.

Nie wierzyła ani w Boga, ani w Kościół, a mimo to majorkański artysta Miquel Barceló otulił ją delikatnie tkaniną z gliny, z której jego dłonie uformowały owo dzieło w tym miejscu kultu. Kołysana jego ramionami, śledziła pęknięcia pnące się ku niebu katedry. Pęknięcia, które w sposób nieunikniony przypominały jej szczeliny pustynnej ziemi Afaru, gdzie po raz pierwszy ukołysała małą Naomi.

\* \* \*

Stara maszyna do pisania Underwood i gramofon stały opuszczone na dębowym stole w kącie salonu. Na całej szerokości jednej ze ścian wisały półki z cedru zastawione setkami książek w beładzie i starymi płytami winylowymi. Parkiet częściowo przykryty olbrzymim perskim dywanem w niebieskich odcieniach przecinały delikatne żyłki w kolorze miodu. Úrsula przebudowała ścianę, wybijając świetlik i poszerzając okna. Jej pełen uroku i artystycznego nieładu dom niczym nie przypominał ciemnego mieszkania zmarłej sąsiadki Marii Dolores Molí. Marina wzięła z półki egzemplarz *Letzen Tagen mit dir*.

- Ostatnie dni z tobą – przetłumaczyła.
- Twój partner jest dobrym nauczycielem – zauważyła Úrsula.
- Została przetłumaczona na hiszpański?

– Nie.

– Nie sędzę, abym mogła ją przeczytać.

– Niewiele tracisz. To list do mojego zmarłego męża. Opowiada o dwojgu ludziach, którzy spędzają pięćdziesiąt lat razem, nieustannie się kłócąc. Właściwie nie wiem, dlaczego wywołała taki entuzjazm w Niemczech.

– Coś teraz piszesz?

– Nie. Jestem stara. A pisanie męczy. Poza tym nie mam ani ochoty, ani pomysłu. I nic mnie nie inspiruje. Moje neurony umarły, młoda damo – powiedziała, tak jakby już miała gotową odpowiedź. Pewna siebie. Bez wahania.

– Nie do końca wierzę twoim słowom, Úrsulo – z przelotnym uśmiechem odparła Marina.

– To uwierz. Zresztą ta stara maszyna do pisania, na którą patrzyłaś, jest zepsuta od – policzyła w myślach – trzech lat i nie mam zamiaru jej naprawiać. Chodź, zrobimy kolację.

Marina natychmiast zdała sobie sprawę, że Úrsula nie jest zainteresowana rozmową o swojej twórczości literackiej, i odłożyła książkę między setki woluminów stojących na regale. Kładąc na drewnianej desce sery kupione u serowara w Palmie, Úrsula opowiedziała o miłościach swojego życia, o wnukach mieszkających w Niemczech, które spędzały wszystkie wakacje u niej w Valldemossie. Przede wszystkim najstarsza – skończyła już piętnaście lat. Ma na imię Pippa, zdrobnienie od Phillipy, i jest, zgodnie z opisem babci, prześliczną, rudowłosą amazonką, tak zbuntowaną, że rodzice cieszyli się, mogąc zostawić ją na trzy miesiące na wyspie. Pod koniec czerwca znów tu będzie. Mówiła, że wnuk jest spokojniejszy, a ponieważ odziedziczył po babce miłość do lektury, prawie nie zauważała jego obecności. (Powiedziała to z niezwykłą czułością i dumą, a przede wszystkim po to, aby podkreślić różnicę między nim a niesforną rudowłosą, o której zresztą też wypowiadała się z prawdziwym uwielbieniem).

Otworzyła butelkę białego wina schłodzonego w zamrażarce i wyjęła dwa kieliszki z szafki. Marina pokroiła *pa moreno* upieczony tego ranka.

– Jaka była Lola?

– Gdybym miała określić ją jednym słowem, powiedziałabym, że była kobietą radosną. Bez odrobiny niegodziwości. Bardzo pracowitą.

– A fizycznie?

– Była... silna... niska i rozłożysta. Czarne włosy zawsze zbierała w kok. Miała smoliste, bardzo przenikliwe oczy. To niesprawiedliwe umrzeć, mając sześćdziesiąt trzy lata, prawda? – powiedziała do siebie. – Nie tyle się przyjaźniłyśmy, ile spędzałyśmy razem całe przedpołudnia.

– Dziwne, że nie znalazłam w domu żadnego zdjęcia. Ani dokumentu z jej nazwiskiem. Ani... nic. To tak, jakby w tym domu nikt nigdy nie mieszkał.

– Całe życie spędziła sama z tym kundlem, który mi roznosi sierść po całym domu – rzekła Úrsula, wskazując na Niebę chrapiącą na dywanie. – Wiesz, co myślę? Jutro zajrzę na chwilę do piekarni. A nuż uda się nam wyciągnąć coś z Cati. Ci Majorkanie, zamknięci w sobie jak szyjka butelki...

Usiadły na obszernej kanapie w kolorze ziemi naprzeciwko weneckiego okna i nocy, która towarzyszyła im już od wielu godzin. Zjadły kolację bez pośpiechu, rozmawiając o swoim życiu. Úrsula wróciła wspomnieniem do pierwszej nocy w Valldemossie, którą spędziła z mężem, spacerując po miasteczku. Był letni wieczór 1976 roku. Zagubili się w ciemnej uliczce na tyłach klasztoru kartuzów. Całowali się, kiedy rozbrzmiała przepiękna melodia, którą mąż Úrsuli natychmiast rozpoznał: utwór Fryderyka Chopina. I ta magiczna chwila, gdy muzyka towarzyszyła ich pocałunkom, kazała obojgu uwierzyć, że los dał im znak. Valldemossa miała być miejscem, gdzie Úrsula i jej mąż razem się zestarzeją. Ze smutnym uśmiechem mówiła o rozczarowaniach, jakie życie niesie, bo kiedy wreszcie przeszli na emeryturę i zdecydowali się przenieść do Valldemossy na stałe, Günter, tak miał na imię jej mąż, nagle zmarł. I została tu sama, czekając na śmierć w miejscu, w którym mieli spędzić razem ostatnie lata życia.

Úrsula miała różne sposoby ucinania rozmowy, tym razem wstała i podeszła do regału. Wydawało się niemożliwe znaleźć cokolwiek w zabałaganionej i przeładowanej biblioteczce.

– Muszę wreszcie uporządkować te półki. Są tu setki partytur mojego męża.

Udało się. Wyjęła książkę, której szukała. Na okładce widniał tytuł: *Zima na Majorce*. Podała ją Marinie.

– Ta książka nie jest wiele warta. Ale daję ci ją jako ciekawostkę. Została napisana przez kochankę Chopina, kiedy przebywali tu w tysiąc osiemset trzydziestym ósmym roku. Ta baba była stuknięta, to pewne. Nazywała się Amantine Dupin, ale podpisywała się George Sand. W książce miesza z błotem Majorkanów. Z błotem... Przeczytaj. Trudno ci będzie uwierzyć.

Marina przyjrzała się okładce z surowym wizerunkiem pisarki.

– Ale wiesz, co jest najciekawsze? – mówiła dalej Úrsula. – Została wydana tylko tu, na Majorce. Tylko tu nadal ją wznawiają co roku. Po angielsku, hiszpańsku i niemiecku, a przecież ona ich obsmarowuje, jak tylko może. – Wypiła łyk wina.

– Teraz ty opowiedz mi o swoim życiu, Marino. Jak stare próchno zaczniesz gadać, to nie przestanie.

Ta wiekowa intelektualistka, której zmarszczki wydawały się Marinie coraz piękniejsze, a oczy coraz jaśniejsze, podobała się jej z każdą chwilą bardziej. Úrsula miała pełen zadowolenia uśmiech cechujący kobietę, która dobrze przeżyła życie, postępując jak trzeba, lojalna wobec siebie i innych.

Marina rzuciła kilka szczegółów, nie rozwodząc się zbyt, jak to miała

w zwyczaju. Úrsula była stara i mądra; wyczuła nutę smutku i domyśliła się, że nie powinna o nic pytać. Wstała, znów podeszła do regału i wybrała płytę.

Kiedy to robiła, Marina pomyślała, że jej życie potoczyłoby się inaczej, gdyby jej matką była ta kobieta. Całkiem inaczej. Córka Úrsuli czuła się pewnie szczęśliwa, że właśnie ta kobieta dała jej życie.

Starsza pani położyła płytę na gramofonie. Igła opadła. Siedziały przed wielkim oknem, przy kominku i smakując ostatnie krople białego wina, wsłuchały się w *Nokturn b-moll* Fryderyka Chopina.

\* \* \*

Marina zdjęła maszynkę do kawy z kuchenki. Na blacie leżały zakupy, które zrobiła poprzedniego dnia w miasteczku, w małym sklepie spożywczym, płacąc pierwszymi pieniędzmi zarobionymi jako piekarka: kawa, herbata, pomidory, jabłka, brązowy cukier. Spojrzała na zegarek i zeszła do pomieszczenia, gdzie piekły chleb.

Catalina wkładała metalowe łopaty do pieca, poruszając płonące polana.

– Nie miałybyście kawki dla starej sąsiadki z Buenos Aires? – spytała Úrsula, zaglądając przez drzwi.

– *Bon dia* – powitały ją unisono Marina i Catalina.

– Właśnie zrobiłam. – Marina uśmiechnęła się porozumiewawczo.

Úrsula usiadła na jednym z wiklinowych krzeseł stojących po prawej stronie lady. Niebla podeszła do niej i się położyła. Marina zaczęła rozmowę, tak jak sobie wcześniej obmyśliła, mówiąc o przysmaku pieczonym przez Lolę każdego ranka, który większość mieszkańców miała zwyczaj moczyć w mleku i kawie. – Wczoraj ofiarowałam się...

– Nie mamy wystarczająco dużo rąk, jeżeli chcemy upiec trzysta bochenków na potrzeby miasteczka. A na dodatek cytryny, mak... Owszem, w lecie Lola zbierała go na polach. Ale teraz trzeba by jechać do Palmy. Kto pojedzie po mak?

– Ja mogę pojechać.

Catalina uniosła brwi. Widać było, że z jakiegoś powodu nie chce kontynuować zwyczaju Loli, która co rano wypiekała ten cytrynowy chlebek z makiem.

– *No té cap sentit, collons*. To nie ma sensu, do diabła... bo to był prezent Loli dla klientów. Nigdy nie chciała za to zapłaty. Ile razy pokłóciłyśmy się przez ten cholerny biszkopt.

– To dużo o niej mówi – odparła Marina.

– Bardzo dziękuję, że otworzyłaś piekarnię, Marino, ale tak naprawdę... przykro mi, ale... muszę być z tobą szczerą, jesteś bardzo powolna, nie ma na to rady. Lola robiła cytrynowy chleb, niemniej pomagała mi też przy wypieku *pa moreno*... bo upiec trzysta bochenków to dużo. Oczywiście albo mi pomagasz, albo będziemy musiały

zatrudnić kogoś, ale *el pa tants de doblers no dóna...* to znaczy: na chlebie nie zarabia się tyle, żeby dobrze żyć. Lola i ja, tak, ale dla kogoś więcej. No i zatrudnić kogoś, to nie jest...

– Wiecie co? – przerwała Úrsula, która przysłuchiwała się uważnie obu kobietom.

– Lekarz kazał mi gimnastykować palce z powodu artretyzmu, a mnie się nigdy nie chce. Myślę, że wyrabianie ciasta dobrze mi zrobi.

Catalina spojrzała zaskoczona na starą Argentyнкę.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Úrsulo? – spytała.

– Brakuje wam rąk do pracy, czyż nie? Jestem już stara i potrzebuję odpoczynku, ale jeśli chcecie, mogę wam rano pomagać. Za zapłatę wystarczy bochenek chleba.

– Mnie to odpowiada – powiedziała Marina, patrząc na Catalinę, która zmarszczyła brwi.

– Ale co ty wygadujesz, Úrsulo? W ogóle cię nie rozumiem.

– No nie wygłupiaj się. Daję ci moje ręce, Cati. Są do kitu, wiem... ale to lepsze niż nic.

– Ale ja cię dalej nie rozumiem. *No ho entenc.* Nie rozumiem – powtórzyła Catalina, patrząc na Marinę.

– Wydaje mi się, że tramontana szkodzi ludziom na głowę – stwierdziła Úrsula, kierując wzrok na Marinę. – Przecież nie chcę od was zapłaty... i zarobicie więcej – nalegała.

– *Quins orgues, els alemanys.* Ale mają organy, ci Niemcy – podsumowała Catalina, otwierając drzwiczki pieca.

– Argentyнка, Cati, Argentyнка...

Úrsula i Marina wymieniły szybkie spojrzenia. Wszystko szło zgodnie z ukartowanym poprzedniego dnia planem. Úrsula powiedziała Marinie z tym swoim charakterystycznym poczuciem humoru, że spędza czas, czytając po raz enty ulubione powieści, a kiedy się żegnały, stwierdziła: „Wiesz co? Przyjdę jutro na dłużej. Pomogę ci. Obudziłaś moją ciekawość. Cóż mogę powiedzieć... w życiu umierającej staruszki odłożenie na później sześciu godzin codziennej lektury absolutnie nic nie zmienia”.

Tak właśnie myślała ta osiemdziesięcioletnia Niemka wychowana w Argentynie. Lecz życie czasem zaskakuje. I godziny spędzone na wyrabianiu chleba z tymi dwiema kobietami miały zmienić jej życie, te lata, które jeszcze jej pozostały.

\* \* \*

Anna odłożyła słuchawkę, oparła łokieć na komodzie od teściowej i wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. Po raz pierwszy w życiu skłamała mężowi. (Bezpośrednio mężowi nie, tylko automatycznej sekretarce męża). Wymyśliła kolację w pizzerii w Palmie z Mariną, podczas której miała przekonać siostrę, aby zmieniła

decyzję o sprzedaży młyna. Wbiegła po schodach po dwa stopnie naraz i weszła do sypialni. Zdjęła skarpetki, dżinsy, bluzkę, podkoszulek, biustonosz i weszła w majtkach do toalety. Usiadła na marmurowej półce obok umywalki, zgięła nogi w kolanach i postawiła na niej stopy. Ze zniszczonej saszetki wyjęła maszynkę do depilacji i włączyła ją. Dawniej tymi rzeczami zajmowała się jej kosmetyczka, ale odkąd Armando dawał mniej pieniędzy na prowadzenie domu, zrezygnowała z comiesięcznych odwiedzin w gabinecie kosmetycznym i wszystko robiła sama.

Przesuwała maszynką po wewnętrznej stronie nogi, a w jej umyśle pojawiały się kolejne pytania: Co ty robisz, Anno? Co ty kombinujesz? Masz zamiar pokazywać nogi Antoniowi? Nie, jasne, że nie pokażę mu nóg – odpowiedziała sobie sama – co za głupota. To chyba normalne, że się depiluję, prawda? Nie robiłam tego od prawie pięciu miesięcy. Już najwyższy czas. Kiedy zobaczyła swoje gładkie nogi, zdenerwowała się. To zwykłe spotkanie z byłym chłopakiem, uspokój się. Nie robisz nic złego. Tyle że było to spotkanie z jedynym byłym chłopakiem, jakiego miała. Bo w życiu Anny istnieli tylko Antonio i Armando.

Nie znosiła depilować się maszynką pod pachami. Nabrała powietrza i patrząc na siebie w lustrze, zaczęła się golić. Po depilacji puściła gorącą wodę i stanęła pod prysznicem. Namydliła się szamponem rumiankowym. Lubiła zapach szamponu dla dzieci i używała go od zawsze. Może Antonio rozpozna ten zapach. Przystaniesz, Anno? Co za głupoty przychodzą ci do głowy. Jeszcze odżywka na końcówki. Wyszła spod prysznica i się wytarła.

Zbliżyła twarz do lustra i uśmiechnęła się szeroko, żeby sprawdzić kurze łapki. Tak, zdecydowanie, botoks zadziałał. Przyjrzała się sobie całkiem nagiem. Spodobało jej się to, co zobaczyła, mimo swoich prawie pięćdziesięciu lat. Ale piersi po raz pierwszy wydały jej się za duże, a silikonowe implanty w rozmiarze 440cc, które sobie wszczepiła przed pięcioma laty, wręcz śmieszne. Wiedziała, że nie byłyby w guście rybaka z jej młodości. Antoniowi na pewno by się nie spodobały... „Przestań, przestań, przestań, przestań, Anno. Przestań myśleć o takich rzeczach”, powiedziała do siebie na głos.

Najgorsze, że nie zrobiła tych piersi dla siebie, tylko żeby jej narcystyczny mąż czasem na nią spojrział. Dotykając piersi, pomyślała o Armandzie. Nie pożądała go już. Od lat się nie dotykali i było jej to obojętne. Co więcej, odpowiadało jej, że on nie nalega. Praktycznie nie miała życia seksualnego. Praktycznie nie miała, nie, w ogóle nie miała. Anna potrzebowała tylko, aby Armando ją przytulił, chciała czuć się bezpieczna, doceniona i kochana. Żeby czasem powiedział „kocham cię”. Od lat jej tego nie mówił. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz ją objął. Nigdy nie przyznałaby się nikomu, ale od czterech lat nie miała stosunków seksualnych z Armandem.

Prawda jest taka, że poza Cucą jej przyjaciółki z jachtklubu właściwie nie sypiały z mężami. Xesca, najbardziej wyluzowana z nich wszystkich, podczas którejś kolacji

niemal bezalkoholowej – te kobiety z wyższych sfer nie musiały się upijać, aby sobie opowiadać intymne sekrety – wyznała:

– Ja, szczerze mówiąc, pozwalam, bo to tak uszczęśliwia biedaka, aby raz na miesiąc wsadził mi go na pięć minut.

Wybuchnęły śmiechem. Cuca stanowiła wyjątek potwierdzający regułę, ale stosunki seksualne reszty pozostawiały dużo do życzenia.

Anna, porównując się z nimi, uważała, że jej brak apetytu seksualnego jest całkiem normalny. Tak mają wszystkie mężatki, spokojnie, przekonywała się. Jednak istniała drobna różnica między nią a jej przyjaciółkami z jachtklubu. One spacerowały co weekend ze swoimi mężami, trzymając za rękę swoje dzieci, jak normalne rodziny. Anna zaś spędzała weekendy sama w towarzystwie swojej pulchnej córki, usprawiedliwiając swoją samotność panamskimi inwestycjami Armanda. Oczywiście mężowie jej przyjaciółek chwalili majorkańskiego przedsiębiorcę robiącego majątek za granicą. Natomiast przyjaciółki jej współczuły. „Na co jej te miliony, skoro i tak jest całkiem sama”, szeptały.

Za to miesiące letnie były święte w rodzinie García Vega. Armando zawsze spędzał lipiec i sierpień z żoną i córką w Hiszpanii, w towarzystwie każdego przedstawiciela elity, który zechciał popływać na jego trzydziestometrowym jachcie. Anna wchodziła na pokład jachtu opalona, w kosztownym pareo, ładna, szczupła, afiszując się z Flavio Briatorem i pulchną córką, dumna, że jest z rodziną. Lubiła tę pocztówkę, na której ukazywali się światu we trójkę podczas letnich miesięcy. Ale w 2005 roku Armando oświadczył jej, że całe lato będzie zmuszony spędzić w Panamie, pracując. Wyjedzie w czerwcu i wróci we wrześniu. Anna zaproponowała, żeby pojechali do Panamy we trójkę, bo Anita miała wakacje. Ale on natychmiast się wymigał, twierdząc, że Ameryka Łacińska nie jest bezpiecznym miejscem dla dziesięcioletniej dziewczynki.

Anna i Anita spędziły same te cztery miesiące. Armando dzwonił rzadko i jak zwykle mianował srokę swoją zastępczynią. Jak zwykle pytał o korepetycje córki, która oblała matematykę, religię i nauki przyrodnicze, a egzaminy miała we wrześniu. „Poza tym reszta w porządku, Anno?”. „Tak”, odpowiadała. Ale co to była ta reszta? Gdy pierwszy raz odważyła się powiedzieć, że czuje się samotna, przerwał jej.

„Niczego ci nie brakuje. Masz kartę kredytową i możesz mieć wszystko, na co masz ochotę... Zadzwoń do mojej matki, jeśli czujesz się samotna. Nie narzekaj, Anno, bo to ja jestem sam”.

Był cynikiem. Taki już się urodził, a raczej sroka tak go wychowała.

Przez te cztery miesiące Anna usiłowała znaleźć oparcie w przyjaciółkach z klubu i znalazła je. Właściciele jachtów lubią zapraszać gości... Bo co to za zabawa pływać samemu na jachcie wartym trzy miliony euro? Poza tym przez te miesiące nawiązała bliską znajomość z Cucą. Przyjaciółka zachowywała się impertynencko i bardzo się od Anny różniła, ale jedno było pewne – potrafiła ją rozśmieszać. Cuca poradziła jej, aby



porzuciła tę pozę świętoszkowatej panienki, którą tak lubiła przybierać. W przeciwnym razie mąż ją w końcu rzuci. (Cuca, mimo że nikt jej tego nigdy nie powiedział, była przekonana, że mężczyzna taki jak Armando, niezmiennie roztaczający wokół siebie aurę triumfu, miał w Panamie kilka kochanek. Jednak nie przyszło jej do głowy, że ten idiota ślepo zakocha się w jednej z nich). Cuca postawiła sprawę jasno: najpierw seks, a potem przyjdą całuski i przytulania i te miłe rzeczy, które tak się podobają kobietom (ona sama nie uważała się za kobietę w tym względzie).

– Mężczyźni potrzebują się pieprzyć, Anno. Nie zapominaj o tym. Jeżeli nie pieprzy się z tobą, to będzie pieprzył się z inną.

Być może miała rację i Anna rzeczywiście powinna zmusić się od czasu do czasu do uprawiania seksu z Armandem, mimo że jej nie podniecał. Nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka używa zawsze słowa „pieprzyć”. Było wulgarnie, typowe dla osób bez klasy, pospolite, a przecież tak ładnie brzmiało „kochać się”...

Zdawała sobie sprawę, że częściowo była odpowiedzialna za brak seksu w ich związku. Ona pierwsza go odrzuciła. Dziesięć lat uprawiała miłość wyłącznie, aby począć Anitę. Podczas karmienia jej libido spadło do zera. Potem tłumaczyła się źle zrośniętym nacięciem krocza, zmęczeniem i bólem głowy. On też zbyt mocno nie nalegał. A tak w ogóle to Armando był mało romantyczny (choć na początku ich małżeństwa było inaczej) ani nie próbował jej uwodzić. Poza tym raz w miesiącu przeprowadzał się za ocean, aby spotkać się ze swoją pazerną kochanką i pieprzyć się do bladego świtu, pobudzany gramem kokainy.

– Myśl o kimś innym, kiedy będziecie się kochali – powiedziała Cuca z porozumiewawczym uśmiechem. – Zamknij oczy. Nawet się nie zorientuje. Ja myślę o pewnym adwokacie, przyjacielu męża, bo mnie bardzo podnieca – zakończyła, mrugając do Anny. (Cuca miała szczęście, bo tak samo podniecał ją tantryczny hochsztapler pachnący paczuli, jak i pozbawiony skrupułów adwokat w ciuchach od Armaniego, pachnący Issey Miyake).

Anna popatrzyła na rozmówczynię, jakby ta była z Marsa. Cuca dotknęła jej dwóch pustych worków, które dawniej były jędrnymi piersiami.

– Kiedy wraca Armando?

– Za dwa miesiące – odpowiedziała Anna.

– A więc zrób mu niespodziankę na powitanie.

Anna dała się przekonać i wszczepiła sobie tę niespodziankę. Czteryście czterdzieści mililitrów silikonu w każdej piersi. Pozwoliła chirurgowi zrobić nacięcia, aby wprowadzić tę przezroczystą masę, dzięki której miała odzyskać męża. Było to trudniejsze, niż myślała. Nikt jej nie powiedział o okresie pooperacyjnym. O piersiach tak opuchniętych, że sięgały brody. O ranach na otoczkach sutkowych. Spędziła miesiąc, wyjąc z bólu, pod opieką Imeldy, która zmieniała jej opatrunki, przemywając sutki jodyną, i podawała dwa ibuprofeny dziennie.

Ale prawdą jest, że po dwóch miesiącach puste worki zmieniły się w dwie sterczące w drobnym cieple twarde kule.

Pod koniec września wrócił Armando. Pojechała po niego na lotnisko. Tego samego rana zrobiła sobie na tę okazję zabieg keratyną i kupiła nowe kosmetyki do makijażu. Miała głęboki dekolt... Przed wyjściem na lotnisko spojrzała w lustro z zadowoleniem. Anita, jakżeby inaczej, towarzyszyła jej ubrana w dres. Armando wyszedł z bramki prowadzącej z pokładu samolotu i pocałował ją przelotnie w usta... „Jak tam, Anno?”. Nic nie zauważył.

Zjedli kolację we trójkę i położyli Anitę. Armando zszedł na dół do salonu i położył się na szezlongu pokrytym skórą lamparta.

Wziął pilota do ręki i zaczął zmieniać programy. Tymczasem na górnym piętrze Anna przygotowywała się w sypialni, aby kochać się z mężem. Włożyła nocną koszulkę na ramiączkach, z zielonego jedwabiu, którą kupiła w ekskluzywnym sklepie w centrum Palmy. Znowu spojrzała w lustro i uśmiechnęła się, widząc, jak ładnie wygląda. Otworzyła drzwi sypialni i zawołała go. Odpowiedział z ociąganiem.

– Wejdz, proszę, na górę – nalegała.

Przyszedł niechętnie do sypialni. Anna czekała na niego, siedząc na brzegu łóżka. Cienkie ramiączko zsunęło się z ramienia. Uśmiechnęła się wstydliwie; miała wrażenie, że obnaża się przed nim po raz pierwszy.

Zatrzymał się w drzwiach zaskoczony.

Anna wstała i łagodnie podeszła do niego. Opuściła drugie ramiączko koszulki i pokazała mu swoje piersi.

– Podobają ci się? – spytała nieśmiało.

Spojrzał na te kuszące piersi.

– Anno, co ty z sobą zrobiłaś? – powiedział, ujmując dłońmi piersi, które zdawały się nie należeć do jego skromnej żony.

Zsunął z niej koszulkę, która upadła na podłogę. Anna stała przed nim naga. Znowu spojrział na jej zoperowane piersi.

– Tak... podobają mi się – odpowiedział, macając je.

Tak. Podobały mu się, i to bardzo. Dotknął ich wargami i zaczął ssać sutek, gryząc lekko. Anna, wbrew temu, co sobie wyobrażała, spięła się, bo przypomniawszy sobie skalpel tnący jej sutek. Armando nadal miał na sobie ubranie, w którym przyleciał z Panamy. Szybko pocałował swoją nagą żonę w usta.

– Poczekaj na mnie sekundę.

Wszedł do łazienki. Karta kredytowa i działka kokainy. Wyszedł. Rozpiął suwak spodni.

Wrócił do żony, która czekała na niego, leżąc na łóżku i nie potrafiąc ukryć swojej prawdziwej natury nieśmiałej dziewczyny, którą zawsze była i będzie.

– Nadal jesteś niezła, Anno.

Uśmiechnęła się nieśmiało. Osiągnęła swój cel. Zamknęła oczy i delikatnie pocałowała męża w usta, głaszcząc jednocześnie jego plecy. Armando odwrócił ją gwałtownym ruchem, tak aby leżała plecami do niego.

– Zrób pozycję pieska – szepnął jej do ucha.

Nie drgnęła, bo nie rozumiała jego słów.

– Na kolanach, kochanie...

Posłuchała. Uklękła na łóżku i Armando popchnął ją, pochylając jej ciało do przodu. Pozycja, której nauczył się podczas panamskich nocy, sprawiała, że czuł się przepotężny. Od razu erekcja. Opuścił szybko spodnie, które spadły na buty na podłodze. Wyjął sztywny członek ze slipów Calvina Kleina i uklękł za nią. Zanim w nią wszedł, położył dłonie na jej pupie i ścisnął. Rozsunął jej pośladki, patrząc na swój członek przygotowany do natarcia. Lubił patrzeć, jak rośnie... Popatrzył i wszedł. Nie cackając się, wszedł w żonę. Anna poczuła, jakby nóż przecinał ją na pół. Krzyknęła z bólu, ale on odebrał ten jęk jako oznakę przyjemności i jeszcze bardziej się podniecił. Popatrzył na swój penis, taki twardy.

Przyśpieszył. Obserwował, jak jego członek wchodzi i wychodzi z ciała żony. Milczała. Władza. Dominacja. Przygryzł wargę. Minuta. Dwie. Trzy, wchodząc i wychodząc. „Trochę szybciej, Armandzie”, powiedział do siebie. Kokaina pozwalała mu wytrzymać dłużej. Uwielbiał to oczekiwanie, które dawał mu narkotyk. Przyśpieszył, słysząc własne przerywane pomruki rozkoszy. Nabierał prędkości. Widział Annę tak kruchą, oddającą mu się całkowicie, nagą pod nim, odwróconą plecami. Nie patrzyła na niego. Chwyliła mocno koc przykrywający łóżko. Zacisnęła pięści. Czuła tylko ból.

Armandowi zawsze podobało się szczupłe i kruche ciało żony, tak jak podobało się chłopakom z jachtklubu, ale to on zdobył nieśmiałą i delikatną blondyneczkę, której wszyscy pragnęli. No proszę, ta krucha i nieśmiała dziewczynka z klubu. Kto by pomyślał, że zachowuje się jak kurwa, dając z siebie wszystko. Tak, Armando zawsze był dumny z tego, że to małe kobiece ciało nigdy nie spróbowało innego penisa.

Jego samego zadziwiła prędkość, z jaką wchodził w ciało Anny, które tyle razy penetrował w pozycji na misjonarza. Żona podniecała go bardziej niż kiedykolwiek. Przestał przytrzymywać jej pośladki. Otwartą dłonią, tak jak to lubiła Panamka, dał lekkiego klapsa Annie. Wydała z siebie dziwny dźwięk. Lubi to, stwierdził, przyzymkając oczy, aby sobie przypomnieć zdanie swojej panamskiej kochanki, które wypowiedziała niedawno, w tej samej pozycji. „Ale lubię, jak mnie pieprzysz od tyłu... tylko nie spuść się teraz, mój ty jurny tatuśku”. To zdanie go podniecało... i myśl o niej też. Brakowało już niewiele do orgazmu. Armando nie był z tych, co kończą pierwsi, oczywiście najpierw damy. Dać przyjemność kobiecie to cecha triumfatorów.

– Popieść się – rozkazał.

Udała, że jest mu posłuszna, i włożyła rękę między swoje szczupłe uda, symulując

odpowiednie dźwięki. Armando sapnął z rozkoszy, słysząc, jak żona jęczy, i nadal pieprzył ją jak nigdy przez wszystkie lata małżeństwa. Przymknął oczy. Jeszcze jeden lekki klaps. Jego członek jak kij bejsbolowy. Na ułamki sekundy przed orgazmem przyjrzał mu się z dumą. Znow położył ręce na pośladkach żony. Rozchylił je. Podniósł prawą dłoń. Ostatni klaps i wszedł z furją. Spuścił się jak świnia. Po policzku Anny spłynęła łza.

\* \* \*

Nie wyłączył silnika motocykla ani nie zdjął kasku. Podniósł osłonę i uśmiechnął się do niej.

– Pojedziemy dość daleko – odezwał się, zdejmując z ramienia kask dla niej.

Anna splotła włosy w warkocz nisko na karku, tak jak to zawsze robiła po wyjściu ze szkoły, kiedy po nią przyjeżdżał. Włożył jej kask na głowę, a ona bezwiednie wyciągnęła szyję, wiedząc, że Antonio ją uprzedzi, zapinając pasek pod brodą. Tak jak trzydzieści lat temu.

– Anno, jesteś wciąż taka sama – powiedział z lekkim uśmiechem, patrząc na jej cienki płaszcz z wielbłądziej wełny.

Zdjął skórzaną kurtkę motocyklisty i zrobił gest, żeby ją okryć.

– Nie trzeba, Antonio. Nie martw się o mnie.

Mimo to narzucił kurtkę na jej ramiona, a ona schowała się w nią, tak jak wiele razy wcześniej. Poczula jego ciepło i spodobało się jej to, choć nie chciała się do tego przed sobą przyznać.

Wsiadła na motocykl i chwyciła się siodełka z tyłu. Antonio ruszył powoli. Musieli wydostać się z centrum Palmy.

Czarne kawasaki oddaliło się, sunąc dyskretnie między samochodami, aż wjechało na MA-11. Dodał gazu. Lubił pęd motocykla. Anna dobrze o tym wiedziała. Przypomniła sobie kilka kłótni, które mieli w młodości, zawsze z powodu tej przeklętej maszyny.

– Do licha, gnaj, jeśli chcesz, ale beze mnie, Antonio. Ja się boję – mówiła nadąsana, gdy już zsiadła.

– No bo jesteś taka drobniutka, że zapominam, że za mną siedzisz. Przytul się do moich pleców, żebyś nie zapomniał – odpowiadał przekornie, całując ją, ale i tak za każdym razem narażał ich na niebezpieczeństwo.

Co za obsesja z tą prędkością. Mało tego, to kawasaki było o wiele szybsze od rieju, na które wsiadali, mając siedemnaście lat. On też się nie zmienił, pomyślała. Nadal trzymała się siodełka, a on, zdając sobie z tego sprawę, przyśpieszył. Czując rosnącą prędkość, uśmiechnęła się. Nie musiała widzieć jego twarzy, aby domyślić się, że przypominał sobie ich motocyklowe dyskusje sprzed trzydziestu lat. Doskonale

wiedziała, co powinna zrobić, żeby zwolnił. I zrobiła to. Pochyliła się ku jego plecóm, tak jak kiedyś, odwróciła głowę na bok i objęła go ramionami w pasie. On uśmiechnął się do siebie i zmniejszył prędkość.

Od: mathiaschneider@gmail.com

Data: Luty 8, 2010 (3 godziny wcześniej)

Do: marinavega@gmail.com

Marino, muszę przestać. Odpocząć. Nie wyobrażasz sobie, jak wyniszczający jest pobyt tutaj. Czerwony Krzyż doliczył się już czterdziestu pięciu tysięcy zabitych. Piętnastu pracowników ONZ nadal jest zaginionych. Szukają ich pod gruzami. Ciała leżą na ulicach jedne na drugich. Brakuje rąk do pracy. Może chodzi o to, że cię tu nie ma i dlatego wszystko wydaje mi się trudniejsze. Nie wiem. Wczoraj wieczorem wracaliśmy na piechotę do obozu Siegfrieda. Natknęliśmy się na człowieka w naszym wieku, płakał. Był sam. Ludzie dużo tutaj płaczą. Ale ten mężczyzna w moim wieku... zrobiło mi się go tak bardzo żal... tak bardzo. Mówił po kreolsku i trochę po hiszpańsku, więc udało mi się porozumieć z nim moim łamanym hiszpańskim. Ruiny za nami to był jego dom, a jego żona i dziecko najprawdopodobniej byli pod nimi. Nie mógł przestać płakać. Objął nas, a my zabraliśmy go do punktu Czerwonego Krzyża. Wieczorem to ja, po kilku budweiserach za dużo, wyładowałem, płacząc, na ramieniu Siegfrieda. Oczywiście nazwał mnie pedałem i zrobił mi niecenzuralną propozycję. Udało mu się wywołać pierwszy uśmiech na mojej twarzy tego dnia. À propos, znów zakochał się bez pamięci w miejscowym pielęgniarzu. Prawie nie spałem tej nocy. I sporo nad tym rozmyślałem. Dużo. Piszę szybko, mamy najwyżej dziesięć minut połączenia... Marino, wiem, że kilka razy rozmawialiśmy o tym. Ale tym razem mówię poważnie. Chcę mieć z tobą dom, własne cztery ściany. Potrzebuję tego. Potrzebuję miejsca, gdzie mógłbym się zatrzymać. Odpocząć. Zapomnieć o tym dziwnym świecie, w którym żyjemy. Od pięciu lat po nim krążyśmy. I chcę nadal pracować dla organizacji, to jasne. Nie widzę siebie w żadnej innej pracy. Ale chcę móc wrócić do własnego domu. Nie chcę wracać do domu rodziców, mimo że są fantastycznymi ludźmi. Chcę, abyśmy mieli własny dom. Nie wiem, dlaczego cię posłuchałem... uciekł nam sprzed nosa apartament w Prenzlauer Berg. Marino, wiem, że nie chcesz przyjechać na Haiti, i jeśli to zrobisz, to tylko dla mnie. Ale może na mnie poczekaasz? W czerwcu będę już przy tobie i moglibyśmy spędzić razem ze dwa miesiące w tym domu, który odziedziczyłaś, i w końcu zdecydować się, gdzie poszukamy miejsca dla siebie. Potrzebuję i chcę mieć jakieś miejsce. Miejsce z tobą. Chcę miejsca z tobą na zawsze.

T'estim

Mathias

\* \* \*

Do: marinavega@gmail.com

Data: Luty 8, 2010

Do: mathiaschneider@gmail.com

Mathiasie, zadzwoń do mnie z telefonu Thuraya [11](#). Nie wiem, o której jesteś w obozie bazie. Moja sąsiadka z Valldemossa jest Niemką, ma na imię Úrsula, zadzwoń do mnie na jej numer. Jestem na miejscu co rano, od piątej do trzeciej po południu, i wieczorem od ósmej.  
Jej telefon + 34 971 22 95 03

Kliknęła wyslij, bez pożegnania.

Zajrzała do małego i przytulnego saloniku w Petit Hotel de Valldemossa. Popatrzyła na Gabriela klęczącego przed kominkiem. Wyjmował polana sosny i migdałowca z wiklinowego kosza i układał je ostrożnie na palenisku z rozpałką z drobnych gałązek oliwnych. Wsunął kawałek starej gazety pod spód. Wyjął pudełko zapalek z kieszeni

swoich sztruksowych spodni. Zapalił zapałkę i podłożył pod gałązki. Najpierw rozpałała się sosna, potem migdałowiec. Ręcznym miechem rozniecił ogień. Jak każdego popołudnia usiadł przy kominku przed weneckim oknem swego domu, aby dopełnić codziennego rytuału, podziwiając, jak zimowe słońce chowa się za pasmem górskim Tramontana.

– Jesteś szczęśliwa?

– Och, nie wiem, co ci odpowiedzieć.

Anna upiła łyk białego wina.

Fale uderzały o brzeg kilka metrów od małej restauracji w Sóller, którą wybrał Antonio. Surowe wnętrza, stare obrusy w czerwono-białą kratkę. Świeże ryby i dobrze schłodzone białe wino z wyspy. Miejsce na kolację dla rybaków smakoszy.

– A ty? Jesteś szczęśliwy?

– Odbijasz piłeczkę – uśmiechnął się Antonio. – Patrząc wstecz, mogę powiedzieć, że robiłem zawsze, co chciałem. Zwiedziłem świat. Mam córkę. Teraz wracam do korzeni, przynajmniej tak mi się wydaje. Tak. – Zrobił przerwę. – Jestem szczęśliwy, a przynajmniej jestem spokojny. A to dużo, jak się ma pięćdziesiątkę na karku.

Wziął kieliszek wina i upił łyk, po czym odstawił kieliszek na stół.

– Dlaczego nie odpowiadałaś na moje listy? – spytał, patrząc jej w oczy.

Anna zaczerwieniła się i odłożyła sztucce na talerz.

– Jakie listy, Antonio? – zapytała, zniżając głos.

– Pisałem do ciebie raz w tygodniu. Co tydzień, Anno. Przez trzy miesiące. Nie mów, że ich nie dostałaś. Najpierw pocztówki, które kupowałem w każdym porcie, gdzie się zatrzymywaliśmy, zanim przepłynęliśmy Atlantycką, a potem listy. Na które nigdy nie odpowiedziałaś.

– Nigdy nic nie dostałam, Antonio. Przysięgam – zapewniła go z gwałtowną szczerością.

– Ulica Albenya, 33, Son Vida. Lata minęły, a ja nadal pamiętam.

Anna przytaknęła. To był adres jej domu. Domu babci Nerei, potem rodziców. Domu, w którym nadal mieszkała z mężem i córką. Nie ruszała się poza te cztery ściany.

– Nigdy nie dostałam żadnego listu. Przysięgam... Czułam się taka bezsilna. Nie wiedziałam, gdzie do ciebie napisać. Uwierz mi, proszę.

Spuściła wzrok, przypominając sobie rozrywający ból, jaki czuła tamtego roku po wyjeździe Antonia. Nie wiedziała, co się z nim dzieje.

– Gdzie miałam do ciebie pisać? Przejeżdżałam z ojcem w pobliżu S'Estaca, ale nie odważyłam się poprosić, żeby się zatrzymał. Mogłam zapytać twoich rodziców, ale sądziłam, że są mną rozczarowani. Nie wiem...

Antonio wciąż milczał, nie dowierzając jej. Była to w końcu historia niemożliwej do spełnienia miłości biednego, zakochanego rybaka do dziewczyny z dobrego domu.

A ponieważ odpowiedź od Anny nigdy nie nadeszła, przekonał sam siebie, że to był powód zerwania.

– To moja matka, jestem tego pewna – powiedziała Anna z urazą w głosie, patrząc w stronę czarnego morza, które rozciągało się przed nią. – Nie wierzę, aby ojciec mógł zrobić coś podobnego.

Nie było sensu dochodzić teraz, kto trzydzieści lat temu ukrył te listy. Intuicja jej nie zawiodła, to matka ukrywała listy. Ana de Villalonga miała jasność co do przyszłości Anny. I prosty rybak był o mile od tego, co zaplanowała dla córki.

– Byłam tchórzem – przyznała Anna szczerze, usprawiedliwiając matkę. Szczerze wobec siebie i wobec niego. Bo tylko ona ponosiła winę za to, że nie wsiadła wtedy na statek i w ten sposób zerwała ich znajomość na zawsze.

– A ja egoistą – odparł nieoczekiwanie dla niej Antonio. Doszedł kiedyś do tego wniosku po długich rozmyślaniach.

– Dlaczego tak mówisz?

– To było moje marzenie, Anno. To ja chciałem poznać świat, a jednocześnie bałem się zrobić to sam. Byłaś wtedy zakochana we mnie, więc udało mi się namówić cię... Tak naprawdę wiedziałem, że nie będziesz szczęśliwa... Cóż, miałem tylko dwadzieścia lat i nie przyszło mi do głowy, że możesz być nieszczęśliwa, i oczywiście byłem na ciebie zły, ale z czasem człowiek więcej rozumie.

Antonio napełnił kieliszek Anny, a potem swój i kontynuował:

– Kiedy wsiadłem na żaglowiec, serce mnie tak bolało, że cię znienawidziłem. – Był zawstydzony, wypowiadając te słowa, ale mówił dalej. – Na holowniku nie powiedziałem ci wszystkiego. Bardzo się bałem na statku. Bardzo, Anno. Nie mieliśmy szczęścia. Na Wyspach Zielonego Przylądka czekaliśmy na żaglowcu, aż warunki meteorologiczne się poprawią. Czekaliśmy piętnaście dni, zanim wypłynęliśmy w morze. – Westchnął, wspominając podróż. – Przysięgam, myślałem, że umrę, i właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że byłem egoistą, że znienawidziłabyś mnie za to, że cię pociągnąłem za sobą. Dwa i pół tygodnia pośrodku nicości. Pośrodku gładkiego oceanu, bez najłżejszego powiewu wiatru. W ciągu dwóch tygodni przepłynęliśmy czterdzieści mil. Ludzie myślą, że na Atlantyku niebezpieczne są sztormy. Nie, najgorsza jest cisza, brak wiatru. Myślałem, że tam umrzemy. Kończyło się nam jedzenie i woda. Na dodatek żona Anglika histeryzowała. Wyrzucała mu, że znalazła się tam z jego powodu, że on ją do tego nakłonił. A ja pośród tej kłótni, na łodzi długości sześciu metrów. No i jeszcze dwóch marynarzy z Wysp Zielonego Przylądka. Czułem się samotny, bo mówili między sobą po portugalsku i prawie cały czas nie zwracali na mnie uwagi.

Wypił łyk wina.

– To nie wszystko. Nagle rozpiętał się sztorm. – Znowu przerwał na sekundę, wspominając ten koszmar. – Piętnastometrowe fale, jakich w życiu nie widziałem.

Została ze mnie skóra i kości. Ale później, kiedy dotarliśmy do Dominikany, wszystko poszło dość łatwo. W porcie wisiały ogłoszenia marynarzy, którzy szukali współlokatorów, i tak zrobiłem. Życie jest tam raczej tanie. Przez półtora roku pracowałem na statkach turystycznych, mając bazę na Dominikanie. Pisałem do ciebie i pisałem...

– Naprawdę, Antonio... nigdy nie dostałam od ciebie żadnego listu.

– Nawet zaoszczędziłem pieniądze na bilet na samolot dla ciebie, żebyś przyleciała w odwiedziny. I cierpliwie czekałem na twoje listy przez rok. Któregoś dnia otwarto zakład fryzjerski na parterze mojego domu. Poszedłem się ostrzyc i skończyłem w ramionach fryzjerki. W końcu ożeniłem się z nią. – Uśmiechnął się z lekkim smutkiem. – Życie jest dziwne, prawda?

Patrzyli na siebie przez chwilę z czułością, żalem, nostalgią, niepewnością. Być może odnajdywali w sobie ślad tłęcej się w nich nadal miłości.

– Napisanie pięciu linijek zajmowało mi dwa dni, a kiedy skończyłem i czytałem list jeszcze raz, brzmiał tak... – uśmiechnął się do siebie i wzruszył ramionami – infantylnie, że darłem kartkę i zaczynałem od nowa. – Znów się uśmiechnął. – Nie wyobrażasz sobie, ile mnie kosztowało napisanie tych pięciu linijek. Któregoś dnia pomyślałem, że łatwiej było przepłynąć Atlantyk niż pisać.

Ich oczy się spotkały. Milczeli, usiłując wyobrazić sobie życie, którego nie zaznali.

\* \* \*

– Marino! – zawołała Úrsula z ulicy.

Marina wyjrzała przez okno sypialni.

– Mathias przy telefonie.

Nie zamykając okna, zbiegła po schodach, przeszła przez piekarnię i wyszła na dwór. Úrsula już czekała w progu. Gestem zaprosiła ją do środka. W salonie Marina podniosła słuchawkę telefonu stojącego na stoliku obok zepsutej maszyny do pisania. Úrsula uśmiechnęła się i wzięła Nieblę na spacer. Zamknęła drzwi, zostawiając nową sąsiadkę samą.

Głos Mathiasa zawsze działał na Marinę jak balsam. I wzajemnie.

– Jak się masz, kochanie?

To były jego pierwsze słowa. Powiedział je po hiszpańsku. Był zawsze taki czuły i nigdy nie szczędził Marinie słów miłości! Pomyślała, że to pewnie tradycja niemieckiego romantyzmu odziedziczona po Goethem. Możliwe też, że kiedy wymawia się takie słowo jak „kochanie” w obcym języku, ma się wrażenie, że traci swój ładunek emocjonalny. Myliła się. Mathias wypowiadał „kocham cię” po hiszpańsku, bo słowa te wydawały mu się ładniejsze, uważał, że lepiej brzmią niż *Ich liebe dich*. Mówił je ze szczerością i silnym ładunkiem emocjonalnym. Marina lubiła słuchać, z jaką



lekkością je wypowiada, bo jej samej nigdy się to nie udawało.

– Dobrze. Wszystko w porządku – odpowiedziała. – A ty jak się czujesz?

Ona naprawdę kochała, jak każda kobieta, ale rzadko wyrażała to słowami. O wiele łatwiej było jej pożegnać się, mówiąc jednym ciągiem *loveyou*, niż wyraźnie wypowiedzieć *te quiero* lub o wiele mocniej *te amo*. Nie przypominała sobie, aby w ciągu czterdziestu pięciu lat życia kiedykolwiek wymówiła je w macierzystym języku.

Słuchała opowieści Mathiasa o horrorze, którego codziennie był świadkiem. Ponad milion ludzi bez dachu nad głową. Linie telefoniczne przeciążone. Dzwoniąc przez Thurayę, mieli zaledwie kilka minut na rozmowę.

– Marino, nie mogę długo rozmawiać. Na początku czerwca mogę być u ciebie. Powiedz, co o tym sądzisz? Czekaj na mnie. Byłbym szczęśliwy, gdybym był teraz przy tobie... żeby móc spokojnie porozmawiać... Już idę, daj mi jeszcze dwie minuty! – krzyknął do Siegfrieda, który machał do niego z jeepa. – Przyjechali po mnie. Niech będzie, jak chcesz. Marino, znam cię, wiem, że nie chcesz przyjechać na Haiti. Czekaj na mnie. Przyjadę do Hiszpanii. Słucham?

– Dobrze. Tak. Czekam na ciebie tutaj – odpowiedziała bez zastanowienia.

– Nie słyszę, Marino.

– Tak, poczekam. Może w ten sposób, mając więcej czasu, uda mi się dowiedzieć czegoś więcej o...

Połączenie przerwano. Stała ze słuchawką przy uchu, słysząc tylko ciągły sygnał.

Zaniepokojona wróciła do domu. Weszła do piekarni i poszła prosto na drugie piętro. Przyjrzała się pomieszczeniu, które było jednocześnie salonem i kuchnią. Wydało jej się bardziej ponure i zimne niż w poprzednich dniach. Kanapa bardziej zniszczona. Wysłużona komoda bardziej brudna. Spojrzała na podłogę z kamienia pod swoimi stopami, tak inną niż skrzypiący przy każdym kroku drewniany parkiet z żyłkami w kolorze miodu w przytulnym domu sąsiadki.

Kamienne fasady obu domów były takie same. Rozkład pokoi również. Świetliki i poszerzone okna u sąsiadki rozświetlały dom. Tymczasem dom Marii Dolores był ponury.

Weszła do sypialni. Afrykańska tkanina dodawała jej trochę osobowości. Uniosła ciężkie, żelazne łóżko i przesunęła je tak, aby móc podziwiać góry i morze w oddali, gdy tylko otworzy oczy. Spojrzała na drewniane belki nad głową, biegnące w dół pod skosem dachu. Zdjęła buty i usiadła na łóżku. Przyciągnęła kolana do piersi i objęła rękami.

Porywy wiatru uderzały w okiennice. I raz jeszcze, z niezrozumiałej dla siebie przyczyny, poczuła, że ta sypialnia o zniszczonych ścianach otula ją i chroni.

\* \* \*

Usłyszała wołającą ją Anitę. Otworzyła jedno oko i natychmiast poczuła ból głowy po białym winie wypitym poprzedniego wieczoru. Popatrzyła na budzik na nocnym stoliku. Wpół do dziewiątej! Spróbowała nie robić hałasu, żeby nie obudzić Armanda. Choć biorąc pod uwagę dawkę tranxilium, które zażywał od kilku tygodni, było mało prawdopodobne, że ją usłyszy.

Wyszła z sypialni w koszuli nocnej i wychyliła się przez poręcz schodów.

– Zaspałam, kochanie. Daj mi kilka minut.

– Ja pierdziele, mamó! Czekam na ciebie w samochodzie.

Anna wróciła do sypialni i spojrzała na Armanda, który z otwartymi ustami wydawał urywane westchnienia. Pomyślała, jak trudno mu sobie poradzić z utratą władzy. Ona nie odbierała ich sytuacji tak dramatycznie. Oboje lubili pieniądze. Kto ich nie lubi? Oczywiście tęskniła za zakupami w modnych sklepach, jak to robiła przed laty, kiedy nie musiała zwracać uwagi na ceny. Za prześlicznymi sukienkami Cortany, młodej majorkańskiej projektantki, która osobiście dobierała jej kreacje. Za tym, że zawsze najlepiej się prezentowała na wszystkich przyjęciach w jachtklubie. Przestała też kupować puder Shiseido i włoskie buty. No i oczywiście będzie tęskniła za sierpniem, kiedy spędzała czas na opalaniu się na ich trzydziestometrowym jachcie. Miała jednak świadomość, że wciąż mieszkają w dzielnicy Son Vida, w rezydencji z przepięknymi widokami na zatokę, w domu, który na szczęście był zapisany na nią i na Marinę. Nadal potrafiła cieszyć się słońcem wschodzącym codziennie nad wodami Morza Śródziemnego, z którym związane było całe jej życie. I to się nigdy nie zmieni, niezależnie od tego, co przyniesie los.

Tymczasem Armando stawał się innym człowiekiem. Jednego dnia, naładowany i butny, wychodził z domu z postanowieniem, że rozwiąże sytuację finansową, w jakiej się znaleźli, a innym razem snuł się po domu w szlafroku, zaciągając się marlboro i zmieniając kanały telewizyjne. Powłóczył nogami, idąc do toalety. Któregoś ranka Anna zauważyła, jak rozchyła szlafrok i drapie się w krocze. Poprzedniego dnia sam przyciął sobie siwe kosmyki na głowie. Przypomniała sobie biblijną opowieść, którą czytała im nauczycielka literatury w San Cayetano. Historię Samsona i Dalili. Armando, podobnie jak Samson, przestał być tym władczy, podziwianym przez wszystkich mężczyzną. Teraz przypominał tego pokonanego, błagającego o łaskę Samsona. Annie zrobiło się żal męża. Mimo wszystko mu współczuła. Lecz nie była świadoma, że tak jak w tej biblijnej opowieści na życiu Armanda również zaważyła kobieta.

\* \* \*

– Gdybyście mi kupili skuter, nie musiałabym wstawać – odezwała się Anita, nastawiając radio w bmw.

– Podali już stopnie?

– Czy mam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić sobie używany? To moje pieniądze. To pieniądze, które dostałam na Boże Narodzenie. Pieniądze od babci.

Pierwsze, co udało jej się znaleźć, to *Party in the USA* Miley Cyrus.

– Nie znoszę tej baby – powiedziała, ignorując pytanie matki.

Poszukała innej stacji. Wiadomości po majorkańsku, reggaeton, muzyka klasyczna... Anita głośno zakląła i zgasiła radio.

– Jak stopnie, córeczko?

– W ogóle nie rozumiem, co to za paranoja z tym skuterem. Jeżeli będę jeździć ostrożnie, to nie będzie niebezpieczny. W piętnaście minut byłabym w szkole.

– Zdałaś matematykę?

– W piętnaście minut, mam, i nie musiałabyś robić za mojego szofera przez cały dzień.

– Kiedy ja to bardzo lubię – odparła Anna, trąbiąc na samochód, który ją ryzykownie wyprzedził.

– Ale ja już jestem za duża, żebyś mnie wozila do szkoły, rozumiesz?

– Skuter jest niebezpieczny, córeczko.

– Jest niebezpieczny, jeśli gnasz jak wariatka i jesteś nieostrożna.

Anna westchnęła. Nie miała ochoty na kolejną dyskusję. Boże, jak się ta moja córka wyraża... Lepiej nic nie powiem, bo znów będzie awantura, pomyślała, gryząc się w porę w język.

– Zaliczyłam hiszpański, biologię, religię, łacinę i sztukę. – Po czym na jednym wydechu, patrząc przez okno, dokończyła: – Fizyka, chemia i matma oblane.

– No nie – odezwała się Anna, bez gniewu, ale trochę zdesperowana ocenami córki.

Spojrzała na Anitę, która nadal patrzyła niewidzącym wzrokiem przez okno. Była dziwną nastolatką, ale przywiązywała wagę do stopni. Nie, nie chodziło o stopnie. Wystarczało jej zaliczenie. Nie chciała się męczyć z przerabianiem od nowa tego samego materiału, no i nie miała zamiaru powtarzać klasy.

– Nie możemy dalej płacić za korepetycje. Nie wiem, co zrobimy. Porozmawiam z twoją wychowawczynią.

– Nie! Z nikim nie rozmawiaj.

Anita opuściła szybę.

– Kurwa, po co ja mam wiedzieć, co to jest równanie kwadratowe albo pierwiastek kwadratowy. No, mam, czy wam, dorosłym, są potrzebne do czegoś w życiu te pieprzone pierwiastki kwadratowe?

Anna spojrzała na córkę, która czekała na jej odpowiedź. Te przekleństwa to stanowczo za dużo. W każdym zdaniu jedno. Sama rzadko używała wulgarnych słów. Chyba że w sytuacjach ekstremalnych, takich jak ta z rozładowanym akumulatorem na szosie.

– Hmm... o ile wiem, to nie. Moi znajomi nie używają ich na co dzień. Ale ktoś na pewno tak, jak sędzę. Do czegoś służą, i bardzo cię proszę, uważaj na język.

– A po co, do cholery, mam wkuwać pieprzoną tablicę Mendelejewa?

– Ci z NASA – odezwała się Anna.

Anita spojrzała na matkę.

– Co takiego? – spytała, nie rozumiejąc.

– Że ci z NASA pewnie używają pierwiastków kwadratowych – powiedziała poważnie Anna.

– Ci z NASA – powtórzyła Anita, której trudno było uwierzyć w głupotę matki.

– Wydaje mi się, że astronauta też... Masz mapy wszechświata...

– No nie, mam, jestem pewna, że jarasz skręty po kryjomu.

– Co ty wygadujesz, córeczko. Gdybym ja tak powiedziała do swojej matki, nie wiem, co by mi zrobiła.

Fakt, że Anna nie podniosła głosu, speszył Anitę. Mimo że wśród rówieśników była całkiem samotna, to jednak nie była głucha. I czasem mimochodem słyszała, co mówiły koleżanki o ordynarnych kłótniach z matkami. Natomiast jej matka podnosiła głos bardzo rzadko, i to Anitę dezorientowało.

– Mogę spróbować pomóc ci w matmie – powiedziała Anna, niezbyt pewna tego, co mówi, bo sama była fatalną uczennicą. Też nigdy nie rozumiała, do czego służyły te wszystkie równania, którymi zapisane były tablice w San Cayetano.

– Ty? – spytała córka. – Przecież ty masz kłopoty nawet z rachunkiem z supermarketu.

Wjechały na ulicę, przy której znajdowała się szkoła. Anita zobaczyła niektóre koleżanki, jak idą roześmiane w stronę budynku. Zwróciła uwagę na ich przesadnie krótkie spódniczki i nieświadomie zasłoniła swoje kolana futbolisty spódnicą od mundurka. Nienawidziła tego pretensjonalnego stroju dla pań z dobrych domów, który musiała nosić od trzeciego roku życia.

– Jeśli chcesz wiedzieć, dostałam bardzo dobry z niemieckiego i celujący z angielskiego – powiedziała, otwierając drzwi.

Anna uśmiechnęła się, parkując kilka metrów od wejścia do szkoły.

– Bardzo dobrze, córeczko. Moje gratulacje – powiedziała, uśmiechając się szczerze. – Widzisz, jak chcesz, to możesz.

– Wiesz, w czym rzecz, mam?

W tym momencie kilka koleżanek z klasy przeszło w odległości paru metrów od bmw. Żadna się nie zatrzymała, aby poczekać na Anitę. Dziewczyna śledziła je przez chwilę wzrokiem i znów spojrzała na matkę.

– Jedyne, co mnie interesuje... to nauczyć się języka, żeby wyjechać z tej skały, gdzie się urodziłam.

Anna przyjrzała się córce. Po raz pierwszy w życiu zdała sobie sprawę, że patrzy na

nią inaczej. W krótkim czasie ponownie usłyszała od córki, że chce wyjechać z wyspy, uciec na zawsze. Być może spotkanie z Antoniem sprawiło, że Anna inaczej odebrała słowa Anity. Tym razem nie zobaczyła w niej rozszoszczonej dziewczyny. Nie zobaczyła zbuntowanej nastolatki. Ujrzała kobietę wyrażającą swoje pragnienie. Młodą kobietę, która była sobą, a nie swoją matką. Pomyślała, że gdyby Anita mogła wsiąść w tej właśnie chwili na „Lorda Blacka”, aby przepłynąć Atlantyk, zrobiłaby to z zamkniętymi oczami. Nie wahając się ani sekundy. Nie byłaby tak tchórzliwa jak kiedyś ona sama. Uświadomiła sobie, że jej córka nie tylko fizycznie, ale i psychicznie była kobietą zupełnie inną niż ona. Czy naprawdę знаła Anitę? Znała ją jako córkę, ale czy znała ją jako kobietę?

Widząc, jak koleżanki z klasy Anity przechodzą, ignorując jej córkę, uświadomiła sobie odwagę swojego dziecka. Być może nadszedł moment, aby postrzegać ją jako piętnastoletnią kobietę z jej własnymi pragnieniami i tęsknotami. Kobietę, której decyzje należało szanować, a nie tylko ją kochać i chronić, jak to czyniła do tej pory. Tak, już kobietę, która chciała wyjechać z wyspy.

– Jeżeli mi obiecasz, że będziesz ostrożna... Ja nie mam pieniędzy, córeczko, ale możemy kupić jakiś skuter za twoje oszczędności.

– Serio? – spytała Anita, nie dowierzając.

– Ale bardzo ostrożna.

– Mamo... Spróbuję zaliczyć biologię... Kiedy nauczyciel tłumaczy mi to w domu, rozumiem, ale jak przychodzi egzamin, dostaję cztery na dziesięć. – Wzruszyła ramionami, sama zastanawiając się, dlaczego tak się dzieje.

– Wiem, córeczko. Wiem, że się uczysz. No dobrze, idź już. Zaraz będzie dzwonek.

Anita przytrzymała drzwi i delikatnie je zamknęła. Oddaliła się w kierunku szkoły. Anna czekała zawsze, aż córka przejdzie przez bramę. Nie obawiała się, że zwagaruje, chciała się upewnić, że jest bezpieczna. W drzwiach wejściowych Anita, po raz pierwszy, odkąd weszła w wiek dorostania, odwróciła się do matki, podniosła rękę na pożegnanie i uśmiechnęła się lekko.

\* \* \*

Anna wyjęła z torebki nokię i usiadła na szezlongu. Usłyszała, jak mąż spuszcza wodę w toalecie obok sypialni. Trochę niepewnie wcisnęła klawisz menu, następnie kontakty. Poszukała numeru Antonia. Wcisnęła przycisk wiadomość i napisała:

Cześć, Antonio! Bardzo było miło wczoraj wieczorem. Ale uważam, że to ja powinnam zapłacić. Piszę do ciebie, bo moja córka chce kupić skuter. Nie za drogi, używany. Może masz jakiegoś klienta w warsztacie, który chce sprzedać swój. Dziękuję... Buziak.

Wróciła do początku wiadomości i skasowała wykrzyknik. Zbyt infantylne.

Przeczytała wiadomość. Doszła do końca i skasowała wielokropek. Dawała do zrozumienia coś, czego nie powinna. Ponownie przeczytała wiadomość. Słowo „buziak” było niepotrzebne. Po prostu „dziękuję”. Lekko dotknęła kciukiem przycisku wysyłania. Z powrotem napisała „buziak”. Zwykle dziękuję to takie chłodne zakończenie. Buziak jest w porządku. Znów wstawiła wielokropek. Zastanawiała się przez kilka sekund i w końcu napisała „Do zobaczenia wkrótce”. Westchnęła i skasowała. Napisała „Ściskam”. Zbyt mocne. Skasowała. Pomyślała, że lepiej dodać literę i do słowa „buziak”. Napisała „buziaki”. Skasowała i. Lepiej samo buziak. Wielokropek też nic nie mówi. Bez wielokropka.

Usłyszała, że mąż wychodzi z sypialni. Wcisnęła przycisk wysyłania. Co w końcu napisała? Buziaki, buziak czy ściskam? Jeszcze raz przeczytała wiadomość. Buziaki.

Schowała komórkę do kieszeni spodni i ukradkiem zerknęła na schody. Zadzwoił telefon. Czyżby Antonio odebrał już wiadomość? Anna wyjęła komórkę. Na ekranie widniało imię Antonia. Ponownie spojrzała w stronę schodów. Nie widać wroga na horyzoncie. Uspokój się, Anno, nic się nie dzieje, to tylko telefon od mechanika. Czy ktoś się pojawi, czy nie, to bez znaczenia, pomyślała, usiłując przekonać samą siebie, choć serce zabiło jej mocniej.

– Cześć, Antonio – odezwała się Anna, ustawiając precyzyjnie ton swojego głosu na neutralne „tunicsięniedzieje”.

Weszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

– Cześć, Anno. Przeczytałem twoją wiadomość. Mam dwóch klientów, którzy chcą sprzedać skuter. To dziesięcioletnia yamaha, chcą pięćset euro, i vespino, może mieć ze dwadzieścia lat... sprzedadzą za trzysta euro.

– O, jak dobrze. Znasz ich osobiście? Można im zaufać?

– Tak, tak. To klienci warsztatu. Nie martw się o to. Gdyby byli niepewni, nawet bym ci o nich nie wspomniał.

– No to świetnie, powiem córce i zobaczymy, jak to zorganizować.

– W porządku. Zadzwońisz do mnie? – spytał Antonio.

– Tak, zadzwonię. Córka wychodzi ze szkoły o piątej, spytam ją i oddzwonię.

– W porządku.

Milczeli przez chwilę. Żadne nie miało ochoty się rozłączyć. Najmniejszej ochoty.

– No to dobrze. Życzę ci miłego dnia – powiedziała Anna.

– Ja tobie też, Anno. Mnie również było wczoraj bardzo miło.

Oboje pragnęli kolejnego spotkania. Żadne z nich nie odważyło się o tym powiedzieć. Czekali w milczeniu.

– No to dobrze – powiedziała Anna. – Zadzwońisz później, żeby się konkretnie umówić.

– Marina! – zdziwiła się Laura.

– Cześć, Lauro. Jak się masz?

– Dobrze. A ty? Pytali mnie dziś w kadrach, czy coś o tobie wiem.

– Właśnie dlatego dzwonię. Zostanę tu do września. Przekaż im, że rezygnuję ze stanowiska w Etiopii... na razie – wyjaśniła, nie do końca przekonana.

Opowiedziała Laurze o tym, co wydarzyło się w ciągu ostatnich tygodni. Jak wszystko przybrało nieoczekiwany obrót. Laura, jak zwykle, czytając między wierszami, zauważyła nutę entuzjazmu w sposobie, w jaki Marina mówiła o tym kamiennym domu pośród gór Tramontana. Być może przyjaciółka, tak jak jej poradziła, w końcu wracała do korzeni.

– Miałam jechać z małą do Aldehuela del Rincón, w Sorii, na wieś do moich rodziców – powiedziała Laura. – Po prostu potrzebuję zmiany otoczenia.

– Przyjedź do mnie, Lauro. Proszę cię. W tym domu jest wystarczająco dużo miejsca.

– Będę na twoje urodziny. Dobrze?! Zostaniemy z małą ze dwa tygodnie... Ale się cieszę! Marino, już mi daje znak ten nowy z logistyki, bardzo łysy i bardzo gruby, ale wiesz, działa na mnie... Muszę iść na zebranie. Muszę cię zostawić.

– Nie zostawiaj mnie tak – błagała Marina. – Opowiedz mi...

– Opowiem ci na spokojnie. Kocham cię, przyjaciółeczko.

– Czekam na ciebie w sierpniu. Buziak – odpowiedziała swojej najlepszej przyjaciółce jak zwykle powściągliwa, choć czuła Marina.

\* \* \*

Tego samego dnia, zanim słońce skryło się w morzu, Anita miała skuter. Gdy tylko Anna odebrała ją ze szkoły, powiedziała córce o dwóch pojazdach, które znalazła dzięki mechanikowi z Palmy, ale kazała sobie obiecać, że razem usiądą do matematyki, fizyki i chemii. Za to vespino za trzysta euro Anita poszła na wszystko. Za trochę więcej wolności.

Pojechały do domu. Anita poszła do swojej sypialni i wzięła połowę oszczędności. Anna zadzwoniła do Antonia, czekając chwilę, aż odbierze. Dał jej numer telefonu i adres człowieka, który sprzedawał vespino.

Rozmowa trwała krótko, bo Anna była w towarzystwie córki, Antonio zaś swojego szefa.

W kwadrans dojechały na miejsce, a dwadzieścia minut później Anita jechała już za matką po drogach Majorki. Gdzie, u diabła, jej córka nauczyła się prowadzić skuter? Westchnęła... Cóż, było jasne, że niektóre rzeczy Anita przed nią ukrywała. Ale czy ona sama nie ukrywała absolutnie wszystkiego przed swoją matką?

Spokojnie, Anno. Zaufaj córce. Staje się kobietą.

Tego wieczoru zjadły kolację we dwie w kuchni. Nie pamiętała już, od jak dawna tego nie robiły. Imeldy nie było. Kiedy miała wolne, czasem zostawała na noc u kuzynki. Podczas kolacji Anita mówiła o Filipince z empatią, na którą Anna nie zdobyła się nigdy przez te wszystkie lata.

– Wyobrazasz sobie, mamó, że mnie zostawiasz tutaj z babcią, a sama wyjeżdżasz do... Rosji, żeby opiekować się cudzą córką?

Annę zaskoczyło to pytanie i się zamyśliła. Spróbowała sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby cztery lata po narodzinach córki była zmuszona zostawić ją z teściową. Dostała gęziej skórki.

– To tym kobietom z Azji należałoby rozłożyć czerwony chodnik, kiedy wysiadają z samolotu – powiedziała, przeglądając leżące na kuchennym stole pismo „Hola!” z poprzedniego miesiąca, w którym ogłaszano najlepsze kreacje na galę Oscarów 2010 roku.

Z rozmowy o Imeldzie, którą prawdopodobnie będzie musiała teraz zwolnić, przerzuciły się na ich ciężką sytuację finansową.

– Twojemu ojcu nigdy nie przyszło do głowy, że Marina nie będzie chciała sprzedać... Mnie też nie, prawdę powiedziawszy. Te pieniądze wyciągnęłyby nas z ruiny, w jakiej się znaleźliśmy. Ale ten młyn i nasz dom jest tak jej, jak i mój.

– Ten dom też jest jej?

– Tak, córeczko. Nasz ojciec zostawił dom nam obu. Wszystko należy do niej i do mnie, dlatego niewiele możemy zrobić, aby sprzedać młyn.

– W takim razie niech dom będzie dla ciebie, a ten w Valldemossie dla niej. I wtedy możesz sprzedać dom. Przecież jest za duży dla nas trojga.

– Co ty mówisz, córeczko! To dom mojej babci, mojej matki, mojego ojca. W przyszłości będzie twój.

– Mamó, wiem, że nie traktujesz poważnie tego, co mówię, ale ja nie zostanę na Majorce. To dla mnie całkiem jasne. Zróbcie co, to uważacie za najlepsze.

Jej córka miała sprecyzowane plany na przyszłość! Spojrzała na nią niemal z podziwem. Ona w wieku czternastu lat nie miała nawet odwagi samodzielnie oddychać, ukryta pod spódnicą matki. Ubierała się w sukienki, które jej kupowała matka. Jadła to, co matka ugotowała. Pachniała wodą kolońską matki i to matka co wieczór szcztokowała jej włosy. To prawda, że czasy były inne, ale jak odmienna była relacja, którą ona ma ze swoją córką.

– Nie żal ci opuszczać ten dom?

– Mnie? Ani trochę – odpowiedziała, wkładając talerz do zlewu.

Anna czuła się bezpiecznie w tych czterech ścianach, nawet wiedząc, że nie są synonimem szczęścia, ale na tym etapie życia... było jej wszystko jedno. Nie. Anna nie chciała pozbyć się rodzinnego domu. Nie widziała siebie w żadnym innym miejscu. To był jej dom. Jej szklana kula.



W tym momencie usłyszały, że otwierają się drzwi wejściowe.

Spojrzały na siebie. Armando, odkąd nie doszło do sprzedaży młyna, stał się człowiekiem nieprzewidywalnym. Mógł wejść i przywitać się spokojnie. Mógł być w złym humorze. Tego wieczoru w ogóle się nie pokazał. Poszedł na piętro, prosto do sypialni.

– Nie wiem, jak to wytrzymujesz, mamó.



Anna przeczytała zadania egzaminacyjne córki, jakby to były hieroglify.

– A więc – powiedziała, biorąc ołówek i kartkę papieru – jeżeli prostokąt ma jeden bok dwa razy dłuższy od drugiego...

Narysowała prostokąt. Anita zrobiła to samo w swoim zeszyte.

– ...i dłuższy zwiększył się dwa razy...

Przeczytała to zdanie bardzo powoli po raz drugi. Narysowała prostokąt z podstawą dwa razy dłuższą. Wzięła kartkę do ręki.

– Jesteś pewna, że trzeba zastosować tę formułę?

– Taka całkiem pewna to nie – odpowiedziała Anita, odgryzając kęs grzanki z szynką serrano.

Przeczytała zadanie od nowa. Narysowała. Znów je przeczytała. W ten sposób minęło prawie czterdzieści pięć minut i nie udało się im rozwiązać żadnego zadania.

– Ja pierdolę wszystkie równania drugiego stopnia i pierwiastki kwadratowe.

– Ten język, kochanie, proszę cię.

– Spróbujmy jeszcze raz.

Zaczęły od nowa. Kiedy miały już za sobą kilka nieudanych prób, komórka Anny zadzwiała, informując o przychodzącej wiadomości. Dyskretnie spojrzała na ekran: Antonio. Wstała z krzesła. Serce jej biło jak szalone, kiedy czytała:

Maria del Mar Bonet będzie miała niedługo koncert... Byłbym szczęśliwy, gdybyś ze mną poszła.

\* \* \*

Walizki Imeldy stały w drzwiach wejściowych. Po czternastu latach służby rodzina García Vega zrezygnowała z jej usług. Z Anitą pożegnała się przed wyjściem dziewczyny do szkoły. A teraz czekała, siedząc w kuchni z oczami pełnymi łez. Żał jej było wyjeżdżać z Hiszpanii, przede wszystkim ze względu na panią. Polubiły się, choć istniał między nimi dystans wynikający z hierarchii i zwracały się do siebie w trzeciej osobie. Służąca i pracodawczyni dotrzymywały sobie towarzystwa przez długie czternaście lat.

Były zawsze razem: przy wychowywaniu Anity, podczas nieobecności Armanda, gdy któraś z nich zachorowała. Już w drzwiach Imelda przypomniała sobie ostry bronchit, z powodu którego przeleżała trzy tygodnie, a pani opiekowała się nią jak siostrą. Pojechała z nią do lekarza. Z własnej kieszeni zapłaciła za lekarstwa. Pozwoliła jej zadzwonić z domu do Manili, aby mogła porozmawiać z córką, i nie musiała jechać do miasta, do rozmównicy.

Imelda mogłaby poszukać pracy w innym domu, lecz zdecydowała się wrócić do Manili. Skończyła już pięćdziesiąt pięć lat i pragnęła wreszcie mieć przy sobie córkę, której w rzeczywistości prawie nie znała, choć dała jej lepszą edukację, niż

dziewczynka z przedmieść Manili mogłaby kiedykolwiek otrzymać. Nagrodą za poświęcenie, jakim było rozstanie z czteroletnią córką, była radosna perspektywa ujrzenia jej teraz, gdy po raz pierwszy przekroczy próg budynku mieszczącego wydział pielęgniarstwa na prestiżowym uniwersytecie City College w Manili, na którym sama marzyła studiować.

Państwo byli jej winni trzy pensje, ale obiecali zrobić przelew, jak tylko będą mogli. Miała do nich zaufanie. Przez te wszystkie lata nigdy nie zalegali z zapłatą.

O pierwszej wyruszał prom do Barcelony, stamtąd miała pojechać na lotnisko El Prat, skąd wreszcie, i tym razem na zawsze, miała powrócić do domu.

\* \* \*

Bmw przyśpieszyło, oddalając się od nabrzeża Peraires. Przez czternaście lat miała tę samą służącą. Czuła żal, patrząc, jak odjeżdża ta Filipinka, z którą dzieliła ważny etap swojego życia. Cuca, Xesca i pozostałe zmieniały pomoc domową co cztery lata. Mówiły, że po pewnym czasie służące przestają się starać, robią się leniwe i roszczeniowe. W dodatku na wyspie pojawiły się młode Ekwadorki, które pracowały za stawki o połowę niższe, bo nie miały papierów, więc zatrudnianie ich było bardziej opłacalne. Ale Anna nigdy nie chciała zwolnić Imeldy. Wolała wyrobić jej dokumenty i opłacać ubezpieczenie społeczne, co oczywiście oznaczało większe koszty. Nie miało to jednak dla niej znaczenia, bo chciała, aby Imelda była przy niej i jej rodzinie. To prawda, że już nie wycierała kurzu z tą samą dokładnością co w pierwszych latach, a szyby weneckiego okna myła od przypadku do przypadku. Raz przyłapała ją nawet, jak podbierała drobne Armandowi, ale Anna przymykała na wszystko oczy. Dla niej ta cicha Azjatka była już częścią rodziny, przyzwyczała się do jej obecności w domu. Do jej towarzystwa. Do jej szczerego i niewinnego uśmiechu. Pomyślała, ile czasu będzie musiała teraz poświęcać na sprzątanie domu o powierzchni pięciuset metrów kwadratowych. Ani ona, ani Anita nie stanowiły problemu. Anita była niezależna, sama codziennie sprzątała swój pokój, prała swoje rzeczy i nauczyła się gotować. Przyzwyczała się szybko. Kłopot był z Armandem. W życiu nie umył nawet talerza. Z domu matki przeszedł do domu prowadzonego przez Annę i Filipinkę. Pomyślała o stosach ubrań, które tak starannie prasowała Imelda.

W tym domu prasowało się dosłownie wszystko, ubrania łącznie z bielizną, prześcieradła i ręczniki. Ogarnęło ją ogromne znużenie na samą myśl o tym i o plastikowych pojemnikach z jedzeniem, które znów będą przyjeżdżać od sroki.

Jechała do Valldemossa. Nie zawiadomiła Mariny, że przyjedzie. Ale miała ochotę ją zobaczyć. Cuca, Xesca i te z klubu umówiły się na obiad. Ale jej się nie chciało, zresztą nie miała pieniędzy. Miała natomiast ochotę spotkać się z młodszą siostrą. Może jej opowie o Antoniu... Co za głupota, pomyślała. Nic się między nimi nie

wydarzyło. Chciała zobaczyć Marinę, tylko tyle. Może ją poprosi, aby pomogła Anicie w tej nieszczęsnej matematyce. Zaparkowała przy wjeździe do miasteczka i poszła w kierunku piekarni. Zeszła w dół do ulicy de la Rosa. Zobaczyła stary młyn i trzy kobiety siedzące na drewnianej ławce w zimowym słońcu, siwego psa leżącego u ich stóp. W jednej z nich już z daleka rozpoznała siostrę.

– Przepraszam, nie przeszkadzam? Widzę, że akurat jecie – odezwała się Anna, zbliżając się do kobiet.

– Nie, nie przeszkadzasz. To moja siostra – wyjaśniła Marina Catalinie i Úrsuli. – Czy coś się stało?

– Nic ważnego. Anita i jej oblane egzaminy. Gdybyś miała czas... Zależałoby mi, żebyś jej pomogła... Potem ci wytłumaczę.

– *Seu amb noltros, que on mengem tres mengem quatre.* Usiądź z nami, tam gdzie je troje, posili się i czwarty. Rozumiesz po majorkańsku, prawda? – spytała Catalina, podając jej pulchną ręką zabrudzoną sobrasadą i przedstawiając się.

– Miło mi – powiedziała Úrsula, wyciągając rękę do Anny. – Przepraszam, że nie wstaję, ale sama widzisz, jaka jestem zgrzybiała.

Tomeu, jak co roku o tej porze, po świniobiciu, które odbywało się dwa razy do roku w gospodarstwie jego żony, przyniósł im pikantne sobrasady. I właśnie były zajęte smarowaniem tą smakowitą kiełbasą ciemnego chleba, który upiekły rankiem.

Dyskutowały, usiłując dojść, jaki błąd popełniły przy swojej pierwszej próbie upieczenia cytrynowego chleba z makiem. Wyszła im niejadalna, za słodka klucha, którą musiały wyrzucić. Anna i Marina przypomniały sobie, że babcia Nerea poza cytryną i makiem dodawała inne składniki do biszkoptu, raz migdały, innym razem wanilię albo cynamon.

Catalina wyjaśniła, że Lola była kobietą bardzo uporządkowaną, tak w życiu, jak i naturalnie w zawodzie – i jeśli miało być sto gramów cukru, to było sto gramów, ani grama więcej czy mniej. Musiały robić wszystko dokładnie według przepisu Loli. Marina nadstawiła uszu.

– Lola była kobietą uporządkowaną?

Catalina przytaknęła.

– Nawet za bardzo. Zanim zabrała się do wyrabiania chleba lub ukręcenia biszkoptu, układała w rzędzie wszystkie składniki przed sobą na stole. Patrzyła na nie przez chwilę. Nie można było niczego dotknąć. Nie wolno mi było powiedzieć ani słowa. – Catalina zrobiła zabawną minę. – *Per coure pa se necessita temps, amor i silenci.* Do wypieku chleba trzeba czasu, miłości i ciszy. To było jej ulubione zdanie. Ja czasem się z niej śmiałam. Dwie godziny, od piątej do siódmej rano, spędzała w absolutnej ciszy z rękami w mące. Dla Loli wyrabianie ciasta było – Catalina pomyślała chwilę – jak religia.

Skrzyżowała ręce na brzuchu. Czowała, że mówi za dużo, ale tęskniła za Lolą. Tyle lat

razem przy gorącym piecu w Can Molí. Spojrzała w niebo i w myślach zwróciła się do zmarłej przyjaciółki: *Xerro massa, Lola. Però estigues tranquila, que no parlo més.* Za dużo gadam, ale nie martw się, już nic więcej nie powiem.

Marina pytała dalej. Bałagan i zaniedbanie, które zastała pierwszego dnia, kiedy weszła do domu Loli, nie pasowały do opisu Cataliny. Ale Catalina wywinęła się sprytnie, plotkując o sekretach mieszkańców małego miasteczka. Opowiedziała o platonicznej miłości proboszcza do pewnej wdowy. O okropnej żonie Tomeu, która z wiecznie zgorzkniałą miną myła ładę w barze. Catalina i Lola od dawna miały z nią na pieńku z powodu kłótni, której przyczyny nie chciała im wyjawić. O strasznej łuszczycy fryzjerki, która obcinała włosy całemu miasteczku, o groźnej grypie, która zaatakowała osiemdziesiąt procent mieszkańców Valldemossy w 2008 roku, i o problemach spowodowanych brakiem lekarza na miejscu. Otwarty był tylko jeden punkt ambulatoryjny, we wtorki i czwartki, od dziewiątej do drugiej, i oczywiście przyjmowano wyłącznie pacjentów z lekkimi schorzeniami. W razie poważniejszego problemu trzeba było jechać do szpitali w Palmie.

– Jestem lekarką. Gdybyście któregoś dnia mnie potrzebowali...

– *Ets metge tu?* Jesteś lekarką? – spytała zaskoczona Catalina. – Ani się waż powiedzieć w miasteczku, że jesteś lekarką, bo nie dadzą ci spokoju przez cały dzień – ostrzegła, chuchając na swoje okulary i wycierając je fartuchem.

Úrsula zrobiła dla wszystkich kawę i plotkowały dalej, aż słońce schowało się za chmurami i zimno położyło kres temu przyjemnemu, zaimprovizowanemu piknikowi.

Wreszcie siostry zostały w piekarni same. Weszły na górę do sypialni. Na razie było to najbardziej przytulne miejsce w domu.

– Jak się masz? – spytała Anna pierwsza.

– Gdyby ktoś mi powiedział pięć miesięcy temu, że będę wyrabiała chleb, nie uwierzyłabym.

Uśmiechnęły się.

– Anno, miałam zamiar do ciebie zadzwonić – mówiła dalej Marina. – Zdecydowałam się zostać do końca sierpnia. Przyjedzie mój partner i...

Anna odruchowo przygryzła dolną wargę, przerażona konsekwencjami decyzji Mariny.

– Marino, przecież mówiłaś o początku marca. Teraz o sierpniu. Znaleźliśmy innego Niemca zainteresowanego kupnem – przesunęła dłońmi po twarzy. – Armando się wścieknie.

Marina rzuciła surowe spojrzenie siostrze. Anna doskonale wiedziała, co myśli Marina. Ale żadna z nich nie chciała poruszać tego tematu.

– Wczoraj moja córka, chyba bardziej bystra niż ja, zasugerowała, żebyś ty zachowała to miejsce dla siebie, a my dom. U nas sprawy źle się mają, Marino. Potrzebujemy pieniędzy.

Marina przełknęła ślinę. Propozycja była rozsądna, ale nie wiedzieć czemu jej nie odpowiadała. Dom w dzielnicy Son Vida należał również do niej. Dom dzieciństwa. Dom, do którego tak bardzo chciała wrócić, kiedy była nastolatką. Te ściany, w których nie mieszkała od trzydziestu lat, stanowiły część jej przeszłości.

Trwały w milczeniu. Dla żadnej z nich takie rozwiązanie nie było przekonujące.

– Może tak... To ma sens – odpowiedziała cicho Marina. – Możemy dokonać podziału majątku. Ale co zamierzasz? Sprzedać dom?

– Nie wiem. Ale jeżeli naprawdę będziemy potrzebowali pieniędzy... Chce mi się płakać na samą myśl. Babcia Nerea go kupiła. Kiedy?

– W latach trzydziestych.

– Być może jest to rozwiązanie, aby wyjść z ruiny. Sama nie wiem.

– Anno, to twój dom. Twoje pieniądze. Ambicja twojego męża doprowadziła go do utraty wszystkiego. Doprowadziła jego. Nie ciebie.

– Zajęli nam dom w Magaluf. Sprzedaliśmy jacht. Nie rozumiem, co się stało w Panamie. Oszukali go.

– To jego problem. Podpiszę, jeżeli ty naprawdę tego chcesz. Lecz jeśli sprzedasz dom, zostaniecie bez niczego. Jeśli to zrobię, to tylko dlatego, że ty mnie o to prosisz. Zrobię to dla ciebie, Anno. Nie dla twojego męża. Nie z powodu jego ruiny finansowej.

Przespacerowały się do wjazdu do miasteczka, Niebla podążała za nimi. Anna wzięła Marinę pod rękę. Na chwilę oparła głowę na jej ramieniu. Marina spojrzała na starszą siostrę, czuła jak zawsze, i uśmiechnęła się do niej. Stara suka wsunęła się między nie i mało brakowało, by się przewróciły. Marina zaczynała lubić tę głupią, starą psinę. Podeszły do samochodu.

– Anno, spytaj Armanda, czy coś stąd zabrał. To on tu był. Dziwne, że nic nie znalazłam, ani zdjęć, ani rachunków, ani żadnych listów. W domu zastałam bałagan, wszystko porozrzucane po podłodze...

– Zrobię to – odparła Anna niezbyt pewnie, wiedząc, że mąż odpowie tak, jak mu będzie wygodnie.

– I powiedz mu też, że chcę pismo, które María Dolores napisała do notariusza.

Armando bez skrępowań doprowadził do tego, że w ciągu jednego tygodnia Curro przygotował akt notarialny podziału majątku obu sióstr. Dom, w którym mieszkali, był z pewnością wart dwa razy tyle, co dom w Valldemossie.

I tak oto w obecności tego podłego człowieka, którego siostra wybrała na męża, Marina z bólem serca zrzekła się domu swojego dzieciństwa, stając się jedyną właścicielką całego majątku Maríi Dolores Molí.

\* \* \*

*Ja, niżej podpisana, María Dolores Molí Carmona,  
niniejszym oświadczam swoją wolę sporządzenia testamentu,  
w którym ustanawiam spadkobiercami całego mojego majątku  
Marinę Vega de Villalonga i Anę Vega de Villalonga.*

*María Dolores Molí Carmona*

*Palma de Mallorca, dnia 10 stycznia 1984 r.*

Marina odłożyła kartkę na łóżko. Wysunęła szufladę nocnego stolika, wzięła notes, otworzyła go i wyjęła przepis na cytrynowy chlebek z makiem. Położyła kartki obok siebie. Testament i przepis napisane dzieciennym charakterem przez tę samą osobę. Zatem to zmarła piekarka spisała przepis, o którym Marina dotąd sądziła, że został wymyślony przez jej babcię.

Przeczytała wszystko jeszcze raz. Nazwisko Molí było często spotykanym nazwiskiem na Majorce. Jednakże drugi człon, Carmona, był typowy dla południa Hiszpanii. Przypomniała sobie, że w prowincji Sewilla jest gmina o tej nazwie. Może matka Loli była Andaluzijką.

Dalej czytała z uwagą króciutki, zawierający tylko kilka linijek dokument.

Zdziwiła się, że jej imię znalazło się przed imieniem siostry. Całe życie była małą Mariną, tą drugą, wymienianą zawsze na drugim miejscu. Anna i Marina to, Anna i Marina tamto. W San Cayetano, na lekcjach religii, robót ręcznych, kiedy wołała je ich matka, ojciec czy babka. Może to drobiazg, ale zwrócił jej uwagę.

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty? – Jeszcze raz przeczytała na głos datę.

María Dolores zmarła w styczniu 2010 roku w wieku sześćdziesięciu trzech lat. Jeśli sporządziła testament w 1984 roku, to miała wtedy trzydzieści siedem lat. W 1984 roku Marina miała dziewiętnaście, a Anna dwadzieścia jeden lat.

– Dlaczego zostawiłaś nam to wszystko dwadzieścia sześć lat przed śmiercią? Co cię z nami łączy, Lolu? – powiedziała do siebie Marina, spoglądając przez okno na morze.



Úrsula i Marina czytały uważnie pożółkłą kartkę z przepisem na cytrynowy chlebek z makiem, który poprzedniego dnia spróbowały upiec.

– Wiesz, nadal jestem przekonana, że to sprawa drożdży. Potrzebny nam jest proszek do pieczenia. Na tych drożdżach ciasto za słabo rośnie.

– Myślę, że za długo było w piecu... i przesadziłyśmy z cukrem – odparła Marina.

– *Avui us ajudaré una mica*. Dziś wam trochę pomogę, bo biedne kury Tomeu nie są winne temu, że nie umiecie liczyć – stwierdziła Catalina.

W milczeniu zabrały się we trzy do przygotowywania tego skomplikowanego przepisu. Úrsula ścierała na tarce skórkę z cytryn, podczas gdy Catalina ubijała jajka, Marina natomiast przesiewała mąkę i łączyła z drożdżami. Powoli wymieszały składniki, a kiedy ciasto było już gładkie, każda wzięła garstkę maku i sypnęły nim jednocześnie, patrząc, jak nasionka spadają na ciasto. Tak jak to robiła Lola, tak jakby to był prawdziwy rytuał.

Marina przerwała milczenie.

– Lola spisała testament, mając trzydzieści siedem lat... Wiedziałaś o tym, Cati?

Kobieta westchnęła i zmarszczyła brwi.

– Dlaczego nie dasz Loli spoczywać w spokoju? – spytała, nie odważywszy się spojrzeć Marinie w oczy.

Marina nie spodziewała się tak bezpośrednich i twardych słów. Poprzedniego dnia Catalina mówiła o Loli całkiem swobodnie.

– Na moim miejscu też byś tak zrobiła – odpowiedziała Marina pojednawczo.

– Tak, Cati. Pomyśl tylko, że coś podobnego przydarzyłoby się tobie. Nie każdego dnia spada z nieba dom taki jak ten – poparła Marinę Úrsula.

Catalina spojrzała na Marinę i ucięła temat:

– Ja zawsze dotrzymuję słowa. – Wzięła ścierkę i wyszła.

Úrsula spojrzała na Marinę i wzruszyła ramionami. Było jasne, że ta kobieta zbyt wiele im nie pomoże, choć z jej ostatnich słów wynikało, że coś wie. Wstawiły ciasto do pieca i wyjęły piętnaście minut wcześniej niż poprzedniego dnia. Prezentowało się dobrze, spróbowały i wydało im się pyszne.

Od drzwi wejściowych dobiegł ich głos proboszcza.

– *Bon dia, Pare Jesús*. Dzień dobry, ojczyście Jesúsie – powiedziała Catalina, podając mu *pa moreno* i kawałek cytrynowego chlebka.

W tym momencie weszła wdowa i tak jak co rano oboje się zaczerwienili. Proboszcz wymknął się ze słowami *Adéu, fins demà*. Do widzenia, do jutra. Zaraz potem pojawił się Tomeu, który jak zwykle wziął pięćdziesiąt chlebów do kanapek i do serwowanych w swoim barze tanich obiadów, no i oczywiście przysługujący mu jak dawniej kawałek cytrynowego chlebka. Jako trzecia zawitała fryzjerka z pięciorgiem dzieci. Dla nich był bochenek chleba i po kawałeczku cytrynowego chlebka. Zajadali go w drodze do szkoły w Sóller. Ledwo wyszły dzieci, pojawił się

policjant, który przymykał oczy na nieprzepisową liczbę pasażerów w renault 4 fryzjerki, w zamian za co ona, raz na trzy miesiące, strzygła go za darmo.

Również od Cataliny fryzjerka nie brała zapłaty za obcinanie włosów raz w roku, bo sama płaciła dwadzieścia centymów mniej za *pan moreno*. (To decyzja, którą Lola i Catalina podjęły, wiedząc, że biedna kobieta nie wiąże końca z końcem, choć jej poczciwy mąż, zawodowy kierowca ciężarówki, spędza więcej czasu na europejskich szosach niż w swoim małym miasteczku, w domu razem z dziećmi).

O wpół do dziewiątej przyszedł markotny burmistrz, szeroko ziewając, i opowiadał o swoich koszmarnych problemach ze snem. Za nim pojawili się nadskakujący mu urzędnicy ratusza, którzy korzystając z okazji, dogadali się między sobą co do dni wolnych na Wielkanoc. A także szereg Catalin, wielu Tomeu... I tak mieszkańcy Valldemosy przychodzili jeden za drugim, aż do pierwszej w południe, kiedy ruch klientów malał.

Co ciekawe, mimo że byli wdzięczni za to, że znów mogą cieszyć się smakiem cytrynowego chlebka, wszyscy mieli drobne zastrzeżenia. Bo ten Loli smakował inaczej, był trochę słodszy albo miał mniej skórki cytrynowej, a więcej maku, więcej mąki lub o jedno jajko mniej...

Piekarki ustaliły codzienny rozkład godzin pracy. O piątej rano we trzy będą przygotowywać pierwszy wypiek. Úrsula miała im pomagać do jedenastej. Catalina musiała kończyć pracę o pierwszej. Przeprosiła je za to. Próbowwała namówić któregoś ze swoich ośmiu braci, aby w ciągu tego tygodnia, kiedy Marina i Úrsula stawiały pierwsze kroki w zawodzie, chodził do starej matki podać jej obiad, ale żaden nie miał czasu. Catalina postanowiła, że nigdy więcej żadnego o to nie poprosi, obrzuciwszy uprzednio przekleństwami swoje pieprzone szwagierki, okropnych bratanków i pantoflarzy, jakimi okazali się bracia. W tej sytuacji Marina musiała zostać sama, aby obsłużyć klientów do drugiej po południu.

Piekarnia miała być otwarta o dawnych godzinach. W zimie od poniedziałku do niedzieli, od siódmej do drugiej. W lecie od wtorku do niedzieli, od siódmej do dziewiątej.

Pierwszego dnia, kiedy dzwon na wieży kościelnej wybił pierwszą, Catalina poszła do domu i Marina została sama za ladą Can Molí. Nie mogła powstrzymać uśmiechu zadowolenia.

\* \* \*

Do piekarni wszedł listonosz, jak zawsze bez wyrazu, wręczył jej przesyłkę, pożegnał się oschle i wyszedł. Marina dostała pismo z działu rejestru nieruchomości. Właśnie miała je otworzyć, gdy zajrzał Gabriel z dwoma plastikowymi kubkami z parującą kawą.

– Dzień dobry, Marino... mówiłem ci... trudno jest trafić do tego miasteczka, ale jeśli już raz się w nim znajdziesz, to nie wyjedziesz – przywitał się z uśmiechem.

Podał jej kawę, którą kupił w barze Tomeu. Spotkał po drodze Catalinę, to ona powiedziała mu, że Marina po raz pierwszy została sama za ladą.

– No, chodź. Poopalamy się, dopóki nie przyjdzie następny klient – odezwał się, wypijając łyk.

Wyszli i usiedli na ławeczce pod ścianą piekarni. Niebla jak zwykle leżała na dworze, tuż przy drzwiach.

– Nie tęsknisz za aktywnym życiem?

Marina zastanowiła się przez chwilę.

– Prawdę powiedziawszy, trochę tak. Ale wiesz co? Chyba dobrze mi robi to zwolnienie tempa.

– Tak, jest taki moment w życiu, gdy sobie uświadamiasz, że już za długo pędzisz przed siebie – odparł Gabriel.

– Nie wiem, czy już jestem na tym etapie. Chyba nie – powiedziała szczerze. – Jeszcze mam ochotę pobiec dalej... Przyjechałam tu, żeby się dowiedzieć, dlaczego dostałam ten prezent.

– To dobry prezent – powiedział Gabriel, patrząc na wznoszący się przed nim okazały młyn. – Było szkoda, że nikt się nim nie zajmie i nie odnowi.

Gawędzili o swoim życiu. Marina dowiedziała się, że dwaj synowie Gabriela studiuje w Madrycie na Uniwersytecie Complutense i że nie chcą słyszeć o wyspie. „Wrócą, kiedy przestaną gnać przed siebie”, stwierdził z przekonaniem. Ona mówiła o swoim towarzyszu życia, pracy, siostrze. I sama, nie wiedząc jak, na koniec powiedziała mu o przyjściu na świat Naomi.

\* \* \*

Marina rzuciła ostatni kawałek *pa moreno amb oli*, ciemnego chleba z oliwą, w miarę sprawnej Niebli, która chwyciła go w locie. Oszołomiona, jeszcze raz przeczytała nazwisko swojej babki na dokumencie z rejestru nieruchomości. Dziesięć procent tego domu należało kiedyś do jej babki? Wydało się to bardzo dziwne. Dlaczego nigdy nie słyszały o piekarni w Valldemossie? I dlaczego tych dziesięciu procent, kiedy babka zmarła, nie dziedziczył jej syn Néstor?

Westchnęła i na mgnienie oka przeniosła się myślami do kuchni w Son Vida, gdzie każdego popołudnia babcia Nerea zagniała chleb razem z nią i jej siostrą. Ale... Dlaczego im nie powiedziała, że ma piekarnię? Dlaczego nigdy nie przywiozła ich do Valldemossy?



Zeszła po schodach z dokumentem w ręce. Niebla szła za nią. Skierowała się do ratusza. Weszła do środka. Niebla została na dworze, czekając przy drzwiach. Marina zwróciła się do urzędnika, który właśnie przeglądał gazetę, i po piętnastu minutach siedziała już w gabinecie burmistrza.

– Słucham, Marino. W czym mogę ci pomóc?

Pokazała mu pismo z działu rejestru.

– Szukam odpowiedzi, panie burmistrzu.

– Proszę cię, mów mi Tomeu.

– Chodzi o nazwisko na dole, pod nazwiskiem Marii Dolores, należy do mojej babci... Nie miałam o tym pojęcia. Może w urzędzie jest historia posiadłości? Mogę zresztą wrócić do działu rejestru nieruchomości. Ale żeby zaoszczędzić na czasie, może pan zechciałby mi pomóc. Interesuje mnie każda informacja, jaką mógłby pan uzyskać, kim byli pierwsi nabywcy... więcej informacji. Cokolwiek.

– Tak, oczywiście, mogę ci pomóc. Jednak zabierze mi to kilka tygodni. Urzędniczka zajmująca się archiwum jest na zwolnieniu lekarskim. Nie wiem, co się dzieje z tymi urzędnikami w Valldemossie, ciągle chorują...

\* \* \*

Podczas tygodni oczekiwania Marina pracowała codziennie w piekarni, każdego dnia ucząc się czegoś więcej o sztuce wypieku dobrego chleba. Oprócz tego odkryła przyjemność samotnych spacerów ze starą suką, o której można już było powiedzieć, że należy do niej. W trakcie jednej z takich wędrówek przypomniała sobie, jak niezadowolony proboszcz zarzucił Catalinie, że nie udało jej się powtórzyć dawnego smaku cytrynowego chlebka. W rzeczywistości wszyscy mieszkańcy tak uważali. Ani Úrsula, ani Catalina, ani Marina nie potrafiły w ciągu tych trzydziestu spędzonych razem dni odtworzyć niepowtarzalnego smaku biszkoptu, do którego Lola wszystkich przyzwyczaiła. W żaden sposób nie udawało się im uzyskać tego słodkiego, delikatnego smaku i puszystej konsystencji, choć tak bardzo starały się stosować do przepisu zapisanego na pożółkłej kartce papieru znalezionej w kuchni. Na dodatek każdy mieszkaniak miasteczka już po pierwszym kęsie wyrażał swoją opinię: szybko wyjęłyście ciasto z pieca, dodałyście za dużo maku, za mało maku, za mało mąki, za dużo mąki, za dużo cytryny...

Jak bardzo w ciągu jednego miesiąca zmieniło się życie Mariny... Lolule, nie wyjadę stąd, dopóki się nie dowiem, dlaczego ofiarowałaś mi swoje życie. Swój dom. I tych wszystkich serdecznych ludzi, których zawsze miałaś przy sobie.

\* \* \*

W drugim tygodniu marca wyspę nawiedziła niespodziewana śnieżycą, okrywając piasek białym płaszczem, który wraz z błękitem morza tworzył niezwyklej pejzaż, zwabiając wszystkich na plażę w kurtkach i zimowych butach.

Pięcioro dzieci fryzjerki ulepiło bałwana na tle morza. Miał nawet nos z marchewki.

Pewnego popołudnia, kiedy nadal padał śnieg, w drzwiach piekarni ukazała się wystraszona najstarsza córka fryzjerki.

– Mój najmłodszy braciszek przeziębził się wczoraj i jest bardzo chory. Mama też jest chora i leży w łóżku, pyta, czy może pani na chwilę do nas przyjść.

Marina wbiegła po schodach po dwa stopnie. Wzięła stare słuchawki lekarskie ojca z szafki w sypialni. Zbiegła szybko na dół i wyszła z dziewczynką z piekarni.

Dom znajdował się na uliczce prowadzącej do ulicy de la Rosa. Drzwi wejściowe były uchylone. Trzej synowie fryzjerki, w wieku czterech, sześciu i ośmiu lat, leżeli w piżamach na kanapie blisko telewizora, pochłonięci japońskimi kreskówkami z katalońskim dubbingiem. Marina z dziewczynką poszły do sypialni na pierwszym piętrze. Fryzjerka właśnie podawała butelkę z ciepłym mlekiem małemu chłopcu o łzawiących oczach, który był przykryty kilkoma kocami.

Marina usiadła przy dziecku i dotknęła jego czoła. Było bardzo gorące.

– Masz termometr?

– Ma duży katar – wyjaśniła fryzjerka – i mówi, że mu zimno, jest rozpalony. Dałam mu paracetamol i środek wykrztuśny, który mi zapisał doktor Hidalgo... ale temperatura nie spada. Może powinnam pojechać z nim do Palmy.

Najstarsza córka natychmiast wyjęła termometr z szuflady, strząsnęła go i podała pani doktor, która go włożyła pod pachę małemu, po czym wzięła dłoń matki i przycisnęła nią ramię chłopca.

Rozpięła mu piżamę. Nie zaprotestował.

Ośluchała chłopca. Płuca były wypełnione śluzem. Wyjęła termometr. Czterdzieści jeden stopni.

– Pomóż mi go rozebrać – zwróciła się do fryzjerki. – Idź napełnić wannę zimną wodą – poleciła jej córce.

Marina i fryzjerka rozebrały malca, który sprawiał wrażenie półprzytomnego i nie wydawał z siebie żadnego dźwięku.

– Czy wiesz, że się sobie nie przedstawiłyśmy? Mam na imię Marina.

– A ja Catalina – odparła fryzjerka.

No tak, mogłam się tego spodziewać, pomyślała Marina, biorąc szybko synka fryzjerki na ręce. Na Majorce są same Cataliny.

– A jak ma na imię twój synek?

– Tomeu.

Marina weszła do łazienki i szybkim ruchem, nim mały się zorientował, zanurzyła go

w wannie. Wpadł w panikę, czując lodowatą wodę, i zaczął kopać. Rozpłakał się, głośno wzywając mamę.

Marina wyjęła go z wody, też cała zmoczona, owinęła w ręcznik i oddała matce. Mały nie chciał nawet patrzeć na piekarkę lekarkę. Marina poleciła najstarszej córce fryzjerki, aby zmieniła dziecku pościel i ubrała je w czystą piżamę.

Chłopczyk nadal płakał, więc matka wsunęła mu do buzi smoczek butelki z ciepłym mlekiem.

– Nie dawaj mu mleka, bo powoduje wydzielanie śluzu.

– Jak to?

– Pediatra ci tego nie powiedział?

– No nie. Odwrotnie. Zalecił ciepłe mleko z miodem. Dawałam wszystkim dzieciom...

Każdy lekarz ma swoje teorie i oczywiście każdy uważa, że jego sposób leczenia jest najlepszy. Od dzieciństwa słyszała o mleku z miodem na przeziębienie. Jej pewnie też dawano. Marina miała coś, na co niewielu z jej kolegów lekarzy mogło liczyć, a mianowicie doświadczenie uzyskane dzięki wykonywaniu zawodu na pięciu kontynentach. Widziała, jak chińscy lekarze leczą naparami z kwiatu lotosu, jak południowoamerykańscy szamani potrafią ulżyć chorym, podając nazywany lianą duszy napój ayahuasca. Bardzo dobrze знаła tradycyjną medycynę afrykańską, w której stosowano kapary, chleb świętojański, korzenie baobabu... i jednocześnie była świadoma nadużywania na Zachodzie leków propagowanych przez amerykańskie firmy farmaceutyczne.

– Herbata. Masz zieloną herbatę? – spytała.

– Mam dać dziecku herbatę? Nie mam herbaty, ale mogę mu dać kawę.

– Nie, nie kawę. Powiedziałam herbatę.

– Nie mam.

– To gorącą wodę. Zagotuj wodę, ostudź do temperatury odpowiedniej do picia i daj mu przez słomkę. Woda pomoże usuwać śluz z nosa i ułatwi zrobienie kupki.

Nauczyła się tego od mnichów tybetańskich, których poznała w Chinach.

Najstarsza córka (nawiasem mówiąc, też Catalina) przyniosła czystą pościel i świeżą piżamę. Fryzjerka, sceptyczna co do zaleceń lekarki piekarki, poszła zagotować wodę. Weszła do kuchni, karcąc przedtem synów siedzących blisko telewizora, nadal pochłoniętych oglądaniem przygód japońskiego chłopca o zbyt okrągłych oczach, który właśnie przebijał dzidą serce zielonego olbrzyma wypływającego żywe dzieci.

– W tej chwili wyłączcie telewizor! Siedzicie przed nim już ponad dwie godziny. Oczy powiększą się wam do kwadratu – powiedziała, napełniając garnek wodą z kranu.

Oczywiście jej nie posłuchali. Wątpiła nawet, czy usłyszeli, co powiedziała.

Na piętrze dziewięcioletnia dziewczynka ubierała najmłodszego braciszka, który przestał płakać i przyglądał się nieufnie Marinie poprawiającej prześcieradło w łóżeczku. Chłopczyk chwycił siostrę za szyję w obawie, że znów zostanie oddany lekarce. Dziewczynka położyła go do łóżeczka i przykryła gorą koców, które wzięła z krzesła.

– Przykryj go tylko prześcieradłem. W przeciwnym razie gorączka ponownie podskoczy.

Marina podniosła ramię dziecka i włożyła mu termometr pod pachę. Chłopczyk znów się rozpłakał.

– Ja tylko chcę ci pomóc – tłumaczyła łagodnie.

– Zimna woda nie – przestraszył się chłopiec.

– Zimnej wody już nie będzie, ale pozwól mi zmierzyć ci temperaturę.

Gorączka spadła do trzydziestu ośmiu stopni. Matka przyszła z butelką gorącej wody i usiadła obok syna.

– Nie musisz wszystkiego wypić – powiedziała lekarka do chłopca, a zwracając się do matki, zaleciła: – Dużo wody. Jeśli gorączka znów się podniesie, przyjdź po mnie. Przecieraj mu czoło szmatką maczaną w zimnej wodzie i poczekajmy. Jeśli temperatura wzrośnie, zawiozę was do szpitala. Odstaw mleko, podawaj mu tylko wodę.

Chłopiec wypił wszystko, jakby czuł, że jego organizm tego potrzebuje. Marina pogłaskała go po policzku.

– Jutro wrócę i jeśli twoja mama mi powie, że wypijeś sześć szklanek, to przyniosę ci kawałek cytrynowego chlebka.

Wyjmując smoczek butelki z buzi, chłopiec odpowiedział:

– Dobrze. Tylko chlebek cytrynowy jak kiedyś. Jak Loli.

\* \* \*

To, że synek fryzjerki został szybko wyleczony z ostrego bronchitu przez piekarkę, wywołało wielkie poruszenie w miasteczku.

Ponadto Marina zaleciła fryzjerce stosowanie aloesu na łuszczycę, na którą kobieta cierpiała. I aloes, rosnący tu i ówdzie na wyspie, w cudowny sposób zadziałał. Tak więc fryzjerka przekazywała każdej swojej klientce mądre rady lekarki piekarki, podnosząc ją niemal do rangi czarodziejki.

Mieszkańcy Valldemossy chodzili teraz do Can Molí po *pa moreno*, po kawałek cytrynowego chlebka i po poradę na dolegliwości.

Aby ulżyć burmistrzowi w jego problemach z zasypianiem, Marina zaleciła mu jedzenie na kolację sałaty z oliwą z oliwek dobrej jakości, bez *pa moreno* ani wędlin, i popijanie potrawy herbatką z kwiatów maku.

Matce Cataliny, której z powodu złego krążenia puchły nogi, kazała włożyć dwie



poduszki pod materac w nogach łóżka. Sprezentowała jej chodaki Birkenstock, aby trzy razy dziennie wychodziła na spacer, bo staruszka jak większość ludzi w podeszłym wieku na Majorce używała skórzanych sznurowanych butów ortopedycznych, które tylko zniechęcały do chodzenia i powodowały odciski. W swoich nowych niemieckich butach wreszcie wyszła z domu. Widząc ją, starsze kobiety poprosiły bliskich o sprawienie im takich chodaków... i po tygodniu robiły wspólne krótkie spacer, trzymając się pod rękę.

Tomeu Marina zapisała tymianek na dnę moczanową, sok z cytryny słodzony stewią, aby obniżyć poziom kwasu moczowego we krwi, i oczywiście zabroniła mu objadać się codziennie sobrasadą. A kierowcy autobusu zaleciła napar z liści eukaliptusa na cukrzycę.

Wszystkie drobne zmiany w sposobie odżywiania, które sugerowała mieszkańcom, przynosiły efekty już po tygodniu. Burmistrzowi polepszył się humor dzięki ośmiu godzinom, które przesypiał za sprawą herbatek. U Tomeu nastąpiła niewielka poprawa dzięki śniadaniom z tymiankiem, ale przyznał, że jest uzależniony od sobrasady, a śniadanie bez sobrasady to nie śniadanie... więc kulał przez resztę życia. Natomiast wiejskie dzieci grające na placu odkryły, że o wiele mniej boli, jeśli przemyć w piekarni zakrwawione kolana wodą z mydłem zamiast wodą utlenioną, którą ich matki polewały zranienia. Przy każdej poradzie Marina korzystała z okazji, aby pytać o Lolę. Ale jak na Majorkańczyków przystało, wszyscy byli oszczędni w słowach. Nie udało jej się wyciągnąć nic nowego. Była zwyczajna. *Molt treballadora*. Bardzo pracowita. Zawsze uśmiechnięta. Najlepsza piekarka w górach Tramontana.

– *Tenia uns ulls negres, uns ulls que te tornaven boig*. Miała takie czarne oczy, które doprowadzały cię do szaleństwa – odważył się wyznać Tomeu.

Marina nie spodziewała się, że swoimi poradami medycznymi urazi miejscowego lekarza, który przyjeżdżał raz w tygodniu do Valledemossy. Pewnego dnia, usłyszawszy od fryzjerki, że doktor Hidalgo zaleca podawanie pięciu miligramów paracetamolu w zastrzyku przy gorączce trzydzieści siedem i dwie kreski, skomentowała: „Gorączka jest dobra dla twojego dziecka”. Kiedy fryzjerka powtórzyła jej słowa doktorowi, określił piekarkę jako „kiepską znachorkę”.

Dowiedziawszy się o ziołach i dziwnych smarowidłach, które zalecała piekarka, doktor ostrzegł burmistrza, że naraża na niebezpieczeństwo życie mieszkańców Valldemossy. I albo sytuacja wróci do normy, albo on poprosi o przeniesienie ambulatorium. To byłby duży kłopot, bo Hidalgo przyjmował w Valldemossie od dziesięciu lat, znał daty szczepień dzieci, historie choroby wszystkich mieszkańców i wypisywał recepty. Poza tym oczywiście istniały choroby, których Marina nie byłaby w stanie zdiagnozować w polowych warunkach.

Burmistrz nie odważył się przyznać lekarzowi, że Marina zaleciła mu herbatkę z kwiatów maku, dzięki której co noc znajdował się w siódmym niebie, i obiecał jak

najszybciej rozwiązać problem.

Tego samego ranka poszedł do piekarni i już z *pa moreno* pod pachą ze spuszczoną głową spytał Marinę, czy może z nim na chwilę wyjść, aby porozmawiać. Marina pomyślała, że burmistrz przyniósł dokument, o który go prosiła.

– Po pierwsze, chciałem ci powiedzieć, że ta urzędniczka ciągle jest na zwolnieniu. Teraz twierdzi, że ma katar, zrzuca winę na śnieg...

– Nadal masz problem z bezsennością?

– Nie, skąd – odrzekł, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy. – Kto by pomyślał, że polny kwiat, który rośnie tuż pod moim domem, odmieni moje życie.

Umilkli. Po chwili burmistrz odchrząknął.

– Jak ci to powiedzieć... – zastanawiał się, pocierając rękami kark. – No więc... – Marina uniosła brwi w oczekiwaniu.

– No więc – powtórzył nerwowo. – Chodzi o to, że doktor Hidalgo poczuł się urażony.

– Z jakiego powodu?

– Nie spodobało mu się, że leczysz nas ziołami. Uważa, że jest to sprzeczne z zaleceniami, które daje pacjentom.

– Porozmawiam z nim. Nie przejmuj się.

– Znasz go?

– Nie. Ale nie martw się. Sama mu się przedstawię.

– Jest wybuchowy.

– Ale ja nie – odparła z uśmiechem Marina.

Dziesięć minut później, poprosiwszy Úrsulę, aby ją zastąpiła, pojawiła się w ambulatorium w Valldemossie. Miała zamiar przeprosić i jeśli naprawdę byłby to problem, obiecać, że przestanie udzielać porad klientom piekarni. Zastukała do drzwi.

– Proszę! – powiedział doktor.

Weszła do gabinetu.

Można zapomnieć o studentach, których się znało na uniwersytecie, o kolegach z pracy, znajomych poznanych w dorosłym życiu podczas jakiejś kolacji u przyjaciół, ale nigdy, przenigdy nie zapomina się tych, z którymi dzieliło się dzieciństwo. Z jakiegoś powodu mózg dziecka jest zdolny zapamiętać tych, którzy go otaczali w pierwszym okresie życia. I tak Marina, mimo że nigdy potem nie spotkała tego tyczkowatego i niezgrabnego chłopca o pryszczatej twarzy, który kiedyś pod jednym z młynów w Palmie odegrał rolę Don Kichota, rozpoznała go natychmiast w chwili, gdy stanęła w progu gabinetu lekarskiego.

– Miguel?

– Marina?

– Ileż to czasu minęło? – odezwał się zaskoczony, wstając na jej widok.

– Trzydzieści jeden lat... mniej więcej – odpowiedziała, podchodząc do niego.

Ucałowali się w oba policzki. Doktor ucieszył się ze spotkania koleżanki z dzieciństwa. Wziął ją za rękę.

– Jesteś taka jak dawniej – rzekł ze szczerym uśmiechem.

– Miguel, jak mogę wyglądać tak samo?

– Mnie nie został ani jeden włos na głowie – stwierdził, wskazując z zabawnym grymasem na swoją łysinę.

Obserwowali się przez kilka sekund. Oboje byli wzruszeni.

– No dobrze, opowiadaj. Co u ciebie słyhać? Mieszkasz tu? Ostatnia wiadomość, jaką mieliśmy o tobie, to że wyjechałaś do jakiegoś amerykańskiego superinternatu.

Marina przytaknęła.

– Cała klasa ci zazdrościła. Dziewczyny dałyby wszystko, byleby tylko pojechać z tobą. Zwłaszcza Cuca, która za wszelką cenę usiłowała namówić do tego swoich rodziców. Pamiętasz Cucę?

– Tak. Nadal przyjaźni się z moją siostrą.

– Twoją siostrę, owszem, czasem widywałem. Mówiła mi, że studiowałaś w Szkole Medycznej Perelmana. – Zrobił gest wyrażający podziw, wiedział, że to jedna z najbardziej prestiżowych uczelni medycznych na świecie i że dostawali się tam najlepsi.

Wszyscy w San Cayetano wiedzieli, że Marinę czeka błyskotliwa przyszłość. Z tą jej spokojną naturą, skromnością mimo świadectw z wyróżnieniem. Nie zwracała na siebie uwagi, ale zawsze była pierwsza w klasie.

– Tak się cieszę, że cię widzę. No dobrze, Marino, ale mów... bo wyobrażam sobie, że nie przysłałaś, żeby się tylko ze mną przywitać. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Marina spuściła na chwilę wzrok. Wolałaby, żeby ten miejscowy lekarz był kimś anonimowym, a nie kolegą, z którym spędziła jedenaście lat szkolnego życia. Spojrzała mu w oczy i wzruszając ramionami, powiedziała do niego z uśmiechem:

– Jestem tą kiepską znachorką.

\* \* \*

Lewanter, sirocco i auster,  
wschodnio-zachodni wiatr, ponente i mistral,  
gregale i tramontana.  
Oto osiem wiatrów świata...

Kobieta żeglarka patrzy zawsze,  
skąd wiatr wieje,  
czy ze wschodu, czy z zachodu,  
dobra pogoda zawsze się do niej śmieje...

Rozległy się ostatnie słowa tej starej żeglarskiej piosenki, którą tyle razy śpiewali razem, dzieląc się słuchawkami walkmana, na jednej z plaż Majorki.

Tak jak nie zapomina się twarzy osób spotkanych w młodości, nie zapomina się też piosenek wtedy słuchanych. Antonio zbliżył dłoń do dłoni Anny i nieśmiało ją musnął. Anna dotknęła palcem dłoni Antonia, zachęcając go tym gestem, aby wziął ją za rękę, i z oczyma utkwionymi w scenę towarzyszyli Marii del Mar Bonet, każdemu jej słowu, gdy śpiewała ostatnie strofy piosenki.

Kto się zakocha, nigdy się nie znuży,  
jeśli żyje wiarą,  
że po wysokiej fali  
zawsze nadchodzi cisza.

\* \* \*

Burmistrz przyniósł jej w końcu dokument dotyczący historii posiadłości. Widniała w nim informacja, że młyn został wybudowany w 1492 roku, a cztery lata później zbudowano dom, w którym mieściła się piekarnia. Dokument stwierdzał, że piekarnia i młyn od początku istnienia pozostawały w rękach rodziny Molí. Fakt, iż dziesięć procent nieruchomości należało do Nerei Vegi, wydawał się pozbawiony sensu.

– Do głowy przychodzi mi jedynie to, że kiedy Lola odziedziczyła spadek, nie była w stanie zapłacić podatku, który na Majorce wynosi właśnie około dziesięciu procent, i poprosiła o pieniądze twoją babcię.

Być może... Tylko Nerea i Lola znały prawdę i oczywiście Catalina, która nie zamierzała puścić pary z ust.

Marina nadal dyskretnie wypytywała mieszkańców Valldemossy. Wdowa ją zaskoczyła, mówiąc, że Lola była tancerką tradycyjnego tańca majorkańskiego, *ball de bot*. Kiedy kobieta owdowiała, Lola uparła się, aby nauczyć ją tańczyć, bo twierdziła, że taniec i śpiew przynoszą ulgę w cierpieniu. Ponieważ przyjaciółki często się do siebie upodabniają, Marina kojarzyła wygląd krótkowzrocznej i grubej piekarki Cataliny z wyglądem Loli. Ale myśl o Catalinie podskakującej w kręgu mężczyzn i kobiet z rękami wzniesionymi do góry nie przekonywała jej. Pozostali mieszkańcy krążyli wokół tematu, powtarzając to, co już wiedziała: że była radosna i bardzo pracowita, że była najlepszą piekarką na Balearach. Nic, co mogłoby jej pomóc odkryć, co się za tym wszystkim kryje.

– *No la deixaràs en pau, eh?* – burknęła któregoś ranka Catalina.

– Nie, Catalino. Nie zostawię jej w spokoju – odpowiedziała Marina, która już prawie wszystko rozumiała.

– Opiekowała się twoją babką Nereą. Kiedy miała piętnaście lat, zaczęła pracować w domu państwa Vega de Vilallonga. W twoim domu.

– Co w tym złego, że Lola opiekowała się moją babką? Dlaczego do tej pory ukrywałaś to przede mną, Catalino? Moja babcia musiała bardzo kochać Lolę.

Zapłaciła podatek od spadku za tę nieruchomości. To było dużo pieniędzy.

– Kochały się czy się nie kochały, ja tam nie wiem. Powiedziałam ci już wszystko, co wiem – zakończyła Catalina, biorąc tacę z ciemnym chlebem i stawiając ją na ladzie. – A teraz bardzo cię proszę, przestań już szperać.

I tak mijały dni na wyrabianiu ciasta rano, a po południu na niekończących się spacerach po masywie Tramontana w towarzystwie suki.

Marina miała ścisły umysł i dotychczas przeczytała tylko lektury szkolne i podręczniki z zakresu jej specjalizacji medycznej, a teraz odkryła smak lektury. Úrsuli udało się wprowadzić ją powoli w świat książek, pożyczając jej dzieła swoich mistrzyń, tych, od których sama kiedyś wiele się nauczyła i uczyła się nadal. Najpierw *Jane Eyre* Charlotte Brontë, *Kochanek* Marguerite Duras, *Dom duchów* Isabel Allende, *Przepiórki w płatkach róży* Laury Esquivel, i jeszcze jedna, o której wiedziała, że zachwyci Marinę: *Mujer en guerra*<sup>12</sup> Marui Torres.

Zatem miesiące w górach upływały im na pieczeniu chleba i lekturze. Między tymi trzema samotnymi kobietami zawiązywała się serdeczna przyjaźń.

Pewnego popołudnia, wkrótce po rozmowie z burmistrzem, Marina zadzwoniła do Anny, aby ją poinformować o swoim nowym odkryciu, czyli dziesięciu procentach należących do babci. Lecz siostra, jak zwykle, nie przywiązywała dużej wagi do usłyszanej wiadomości. Zanim odłożyła słuchawkę, obiecała wpaść w ciągu tygodnia do Valldemossy z Anitą. Być może mogłyby rozpocząć korepetycje z matematyki i chemii.

\* \* \*

Anna i Antonio wymienili kilka SMS-ów. On delikatnie nalegał na kolejne spotkanie. Ona, tłumiąc najgłębsze pragnienia, odpowiadała ciepło, być może nieco bardziej odważnie niż powinna. Ale nic ponadto, była mężatką, a Majorka to bardzo mała wyspa.

Anita potraktowała poważnie prywatne lekcje z Mariną. Zaczynał się ostatni semestr i gdyby jej się udało zaliczyć rok bez poprawek, byłyby to jej pierwsze wakacje od czterech lat, które spędziłaby bez odrabiania lekcji, nie otwierając książek i nie rozwiązując zadań. Choć zdawało się to prawie niemożliwe, napawało ją nadzieją, więc uczciwie przyłożyła się do nauki. Poza tym nowy członek rodziny spodobał się Anicie od pierwszego dnia, kiedy się ujrzały. Marina zrobiła coś, co sprawiło, że siostrzenica od razu spojrzała na nią inaczej. Była jedyną osobą na świecie, która zwracała się do niej oficjalnym imieniem, a nie tym głupim określeniem, jakim nazywali ją przez całe życie rodzice, nauczyciele, koleżanki z klasy, ekipa pływacka, babcia od strony ojca i przyjaciółki matki z jachtklubu. Nie znosiła zwracania się do niej jak do słodkiej i bezbronnej dziewczynki.

Pewnej soboty, kiedy jak zwykle nie miała co robić, pojechała na vespino do Valldemossy. Marina zdziwiła się, widząc ją u siebie o dziewiątej rano. Anicie potrzebne było spokojne miejsce, w którym mogłaby się uczyć cały dzień. Obiecała nie przeszkadzać i poszła na piętro. I tak, podczas gdy Catalina, Úrsula i Marina wyrabiały ciasto, ona zagłębiała się w zawilosci działań na ułamkach oraz obliczanie powierzchni figur i brył geometrycznych, które nie miały się jej do niczego w życiu przydać, choć były tak ważne dla raportu PISA.

Soboty mijaly jedna za druga. Po południu ciotka i siostrzenica wychodziły na spacer z Nieblą. Anita słuchała opowieści Mariny o jej pasjonującej pracy dla Lekarzy bez Granic i ogarniał ją coraz większy podziw dla ciotki. Natomiast Marina zrozumiała, że jej siostrzenica pragnie poczuć się wolna, wyfrunąć, opuścić ten kawałek ziemi, na którym się urodziła, tę skałę, aby móc być sobą. I tak, stopniowo, w niewymuszony sposób odzyskały stracony przez te czternaście lat kontakt.

Którejś soboty pod koniec maja Anna zdecydowała się towarzyszyć Anicie do piekarni, aby podziękować siostrze za pomoc ofiarowaną córce. Była tu z Anitą tylko za pierwszym razem, bo później córka wolała jeździć sama. Piekarnia stawała się jej przestrzenią. Anna zrozumiała to i uszanowała. Anicie nie spodobał się ten pomysł, twierdziła, że matka będzie je rozpraszać, a mają wiele zagadnień do rozwiązania. Upierała się, że pojedzie sama.

Mimo że stosunki między nimi się poprawiły, Anita nadal była nieprzewidywalna. Czasami jadła kolację z matką, mówiąc niewiele, ale spokojnie. Innym razem, jeśli tylko usłyszała słowo nie, trzaskała drzwiami i zamykała się w swoim pokoju albo jeszcze gorzej, wsiadała na vespino i znikwała na kilka godzin. Ach, te rozbuchane hormony.

– Zostanę tylko godzinę, Anito, kochanie. Zaraz potem odjadę.

Warknąwszy „ja pierdzielę, mamó”, Anita wsiadła na skuter, a matka pojechała za nią bmw.

– Jak się cieszę, że cię widzę, Anno – powiedziała Marina, widząc wchodzącą do piekarni siostrę. – Ale gdzie ty idziesz?

Anna objęła Marinę na powitanie. Anita wzięła z lady kawałek cytrynowego chlebka z lady i w złym humorze poszła do mieszkania na górę. Po zachowaniu siostrzenicy Marina domyśliła się, że się pokłóciła o coś z matką. Udały się za dziewczyną. Anita przygotowała kawę. Anna rozejrzała się po pomieszczeniu, równie bezosobowym jak za pierwszym razem, kiedy tu była, ze zniszczoną kanapą, kredensem pełnym rupieci... Zdziwiła się, że Marina w ogóle go nie urządziła, choćby stawiając jakiś ozdobny drobiazg. Mieszkała w tym domu od prawie czterech miesięcy.

Poczekają, aż kawa w maszynie się zaparzy. Anna zaproponowała, żeby wypić ją na ławeczce przed piekarnią, by nie przeszkadzać Anicie. Siostry wyszły na dwór.

Anna przeprosiła, że nie wpadała do Valldemossy, ale wiedziała, że Anita woli

przyjeżdżać sama. Czuła się dzięki temu bardziej niezależna, więc matka uszanowała jej wolę.

Opowiedziała siostrze też, niemal z dumą, o starciu z Armandem, kiedy oświadczyła mu, że odmawia sprzedaży domu w Son Vida. Zebrała się na odwagę po raz pierwszy, odkąd byli małżeństwem. Faktem jest, że Curro powiedział im, że sprzedaż rezydencji nie jest dobrym interesem. Spłaciliby tylko część długu i musieliby wynająć jakieś mieszkanie. Zapisany na Annę, a nie na Armanda dom był bezpieczny. Nie było ryzyka, że zostanie skonfiskowany. Anna wyznała Marinie, że Armando miał w szwajcarskim banku niewielką sumę pieniędzy zarobionych na czarno. I że co miesiąc trochę podejmuje na bieżące wydatki. Aby uniknąć zgłaszania ich w urzędzie celnym, jak tego wymaga prawo hiszpańskie, przywoził tylko dziesięć tysięcy w gotówce. Wpadł w taką paranoję, że latał do Genewy różnymi liniami, byle tylko nie wzbudzać podejrzeń na lotniskach. Poza tym, aby nie rzucić się w oczy, uparł się, że ona też ma z nim podróżować. Kupił już dla niej bilet na czerwiec.

– Żebyście tylko obydwójce nie skończyli w więzieniu – zaniepokoiła się Marina.

O to Anna się nie martwiła. Znaczna część majorkańskiej elity miała konta w HSBC w Genewie. Wielokrotnie podróżowali z Cucą, Currem, Xescą i jej mężem i w każdej podróży spotykali polityków i przedsiębiorców z całej Hiszpanii. Do Szwajcarii wszyscy jeździli po to samo.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze, Marino? Widzieć, jak mój mąż przestaje być zadufanym w sobie narcyzem, a staje się niknącym w oczach ludzkim wrakiem. Na początku jadł i tył, a teraz pali z nerwów, chudnie i się starzeje.

– Nigdy nie zrozumiem, dlaczego nadal z nim jesteś.

– Teraz nie zostawię go samego na lodzie. Poza tym za co bym się utrzymała? – dokończyła z rezygnacją.

Marina westchnęła. Nigdy jej nie zrozumie.

Weszły z powrotem na piętro, gdzie Anita nadal zgłębiała tablicę Mendelejewa.

– Wszystko zaliczysz, Ano, zobaczysz – powiedziała Marina, siadając przy niej. Anna usiadła naprzeciwko córki.

– Tak, Anito, wszystko zaliczysz. Jestem tego pewna. Nigdy tyle się nie uczyła – pochwaliła ją z dumą, wyciągając rękę, aby pogłaskać córkę po policzku.

Czując pieśczość matki, Anita gwałtownie odsunęła twarz. Marina udała, że nie zauważyła tego wrogiego gestu, który choć nieznaczny, wydał jej się okrutny. Anna, upokorzona, spuściła wzrok. Była przyzwyczajona do tych wyrazów lekceważenia, choć zupełnie nie rozumiała zachowań nastolatków. Niezależnie od liczby przeczytanych artykułów na temat huśtawki hormonalnej typowej dla wieku Anity, charakter córki wydawał jej się trudny.

– Zostawiam was. Uczcie się wytrwale – powiedziała, wstając.

Kiedy zniknęła za drzwiami, ciotka i siostrzenica spojrzały na siebie. Nie

potrzebowały słów. Anita zauważyła rozczarowanie w oczach Mariny, która nie spodziewała się po niej tak raniącego zachowania wobec matki. Dziewczyna nie zdawała sobie sprawy, jakie ma szczęście, że Anna jest tak opiekuńczą, dobrą, oddaną i kochającą matką. Owszem, to prawda, jest trochę głupiutka i trochę naiwna, ale jest dobrą matką.

– Ano, w mojej obecności nigdy więcej nie waż się zachowywać tak okrutnie wobec matki. Nie w moim domu.

\* \* \*

Była w miasteczku kobieta, z którą Marina nigdy nie zamieniła słowa: Josefa, żona Tomeu. Spędzała dni w barze, podając razem z mężem śniadania i obiady, a po południu *carajillo*, małą czarną kawę zmieszaną z brandy, whisky lub rumem, serwowaną emerytom grającym w domino. Podczas czterech miesięcy, które Marina spędziła w Valldemossie, Josefa ani razu nie przyszła do piekarni. Przypomniała sobie, że przy jakiejś okazji Catalina wspomniała o niej z pogardą, ale jak zwykle nie chciała nic wyjaśnić. Marina spotkała się z Josefą raz w sklepie spożywczym. Kobieta przyjrzała się jej wtedy z pewną arogancją, nie przedstawiając się. Sądząc po sposobie, w jaki potraktowała ekspedientkę, wydała się Marinie oschła. Była prawdopodobnie w tym samym wieku co Catalina. Marina wiedziała, że Tomeu ma zwyczaj robić sobie godzinną sjestę, więc któregoś dnia, przypuszczając, że kobieta będzie sama w barze, postanowiła tam wpaść. Nie było ani jednego klienta. Josefa wycierała stoły. Marina usiadła przy barze.

– Mogę prosić o kawę?

Josefa bez słowa podeszła do ekspresu. Zrobiła kawę i jej podała.

– Nazywam się Marina.

– Josefa – odpowiedziała niechętnie kobieta. – Cukier?

– Tak. Poproszę.

Podała jej jedną saszetkę z cukrem. Marina otworzyła torebkę i wsypała cukier do filiżanki. Wzięła łyżeczkę i zamieszała kawę, zastanawiając się, w jaki sposób rozpocząć rozmowę.

– Pani... znała Lolę?

Josefa spojrzała jej w oczy nieufnie.

– To bardzo małe miasteczko – odparła, biorąc ścierkę do ręki. – Tak, oczywiście, znałam Lolę.

Wycierała kontuar. Marina upiła łyk i czekała. Nauczyła się tego od Laury. Poczekać, aż rozmówca zacznie mówić pierwszy.

– Każda świnia spotka swego świętego Marcina [13](#).

Marina zakrztusiła się, prychając kawą.



– Josefo... ale... Jak może pani coś takiego mówić? To, co pani powiedziała, jest brutalne – zganiła ją, biorąc serwetkę i przykładając do ust.

– Chcesz się dowiedzieć, kim była, tak? – odpowiedziała twardo tamta. – Bezczelna obca <sup>14</sup>, na dodatek puszczalska.

Josefa podniosła wzrok znad ścierki i spojrzała na Marinę.

– Wie pani, co myślę? Że bylibyśmy spokojniejsi, gdyby zamknęła piekarnię. Chciała pożyczyć pieniądze od Tomeu. Nie pozwoliłam mu nic jej dać. Kto wie, jak je w końcu zdobyła.

– *Què has de dir tu! Xerres massa, Josefa. Calla, collons. No saps res.* O czym ty mówisz! Za dużo gadasz, Josefo. Siedź cicho, kurwa. Nic nie wiesz – odezwał się gniewnie Tomeu, wchodząc tylnymi drzwiami.

– *A mi no em cridis, Tomeu. Jo només dic lo que me demanen.* A ty na mnie nie krzycz, Tomeu. Odpowiadam tylko na pytanie – obruszyła się i zniknęła za drzwiami, którymi wszedł mąż.

Oszołomiona Marina zapłaciła, wyszła z baru i wróciła do domu. Ta informacja nie pasowała do obrazu Loli, jaki sobie stworzyła.

Poszła do piekarni. Úrsula czekała, siedząc na ławeczce.

– Wreszcie uporządkowałam półki. Mam coś dla ciebie – powiedziała, zapraszając ją gestem, aby usiadła obok niej, i podała jej czasopismo.

Marina usiadła na ławce. Wzięła do ręki gazetę.

Na okładce azjatycka modelka, napisy po japońsku. Catalina wspominała o czasopiśmie kilka miesięcy temu. Marina otworzyła je pośpiesznie. Przewracała niecierpliwie strony, szukając twarzy Marii Dolores Molí. Znalazła zdjęcie, na którym Catalina ugniatała ciasto. Obok niej stała kobieta o pełnych kształtach, ładna, o smagłej cerze, mocno zbudowana: Lola. Przyjrzała się jej uważnie. W milczeniu. Domyśliła się, że na tym zdjęciu mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Miała bardzo czarne włosy, upięte w niski kok. Bujne kształty. Była ubrana w bluzkę z głębokim dekoltem ukazującym obfite piersi. Przenikliwe czarne oczy podkreślone czarną kreską i tuszem do rzęs. Była piękna urodą typową dla swojej rasy. Trochę cygańską. Południową.

Marina przyjrzała się uważnie jej twarzy. Wyrobiła sobie o niej tak błędne wyobrażenie. Tomeu już o tym wspomniał: „*Teníá uns ulls negres que te tornaven boig.* Miała takie czarne oczy, które doprowadzały cię do szaleństwa”. Kiedy przybliżyła zdjęcie do oczu, zwróciła uwagę na uśmiech.

Niewątpliwie była to kobieta, którą w przeszłości nazywano piękną Lolą.

## PLEMIĘ LUB SŁODKIE TOSTY ŚWIĘTEJ TERESY

### SŁODKIE TOSTY ŚWIĘTEJ TERESY

#### SKŁADNIKI

długa bułka z poprzedniego dnia  
½ kieliszka czerwonego wina  
1l mleka  
2 laski cynamonu  
3 jajka  
3 łyżki cukru  
oliwa z oliwek z pierwszego tłoczenia

#### PRZYGOTOWANIE

Zagotuj mleko z cynamonem i cukrem, następnie wyjmij laski cynamonu i wlej czerwone wino. Pokrój bułkę na kromki o grubości centymetra. Zamocz w ostudzonym mleku. Roztrzep jajka i obtocz kromki bułki. Na koniec usmaż na oliwie.

\* \* \*

Od: mathiaschneider@gmail.com

Data: Maj 30, 2010 (dzień temu)

do: marinavega@gmail.com

Mam bilet powrotny do Hiszpanii. Ląduję 15 czerwca. Siegfried mówi, że jeśli pozwolisz mu nocować w twoim młynie, to przyjedzie na wyspę na twoje urodziny. Zostanę na Majorce do września, już powiadomiłem o tym Lekarzy bez Granic. Nie wiem, jak odbudują to miejsce, robota na lata... opowiem ci wszystko po powrocie. Ograniczone połączenie jak zawsze.

Mam ochotę spać na twojej piersi.

Mathias

\* \* \*

Samolot Mathiasa lądował o dziesiątej wieczorem. Naga Marina popatrzyła na siebie w lustrze szafy. Rozpuszczone włosy sięgały jej do pośladków. Samała podcięła jej końcówki w Etiopii kilka dni przed narodzinami Naomi. Przyjrzała się nogom, pachom... Wyglądała jak hipiska z Woodstock. Wiedziała, że Mathiasowi było wszystko jedno, no i oczywiście widywał ją już w gorszym stanie. Zaplotła włosy, podskoczyła, wciągnąjąc dzinsy, i pobiegła do fryzjera.

Fryzjerka, widząc ją w swoim zakładzie, bardzo się ucieszyła.

– Sekundę – powiedziała, otwierając notes.

Zadzwoiła do policjanta, który był umówiony na strzyżenie, i przesunęła wizytę. Znow zjrzała do notesu i zadzwoniła do wdowy, aby odwołać farbę.

– Ależ miałam ochotę zabrać się za ten gąszcz – wyznała Marinie, okrywając ją różową pelerynką.

Umyła jej włosy szamponem o owocowym zapachu. Obcięła końcówki. Wydepilowała ją od góry do dołu (chciała zrobić jej depilację brazylijską, ale Marina kategorycznie odmówiła). Namówiła ją na regulację brwi. Marina w życiu tego nie robiła, ale wydało jej się, że nie wypada oponować, i wyraziła zgodę. Chciała ją umalować, ale na to Marina już nie pozwoliła.

– No co ty, kobieto, twojemu mężowi na pewno się spodoba. Manolo uwielbia, kiedy się maluję. Podnieca go, kiedy używam karminowej szminki do ust, i to jak! Do paznokci w tym samym kolorze... – dodała, mrugając do Mariny.

Ale Manolo, jej kochany kierowca i ojciec ich pięciorga dzieci, nie miał nic wspólnego z Mathiasem.

Fryzjerka wzięła lakier do paznokci w kolorze *rouge noir* i potrząsnęła buteleczką.

– Przynajmniej paznokcie.

Marina grzecznie odpowiedziała, że piekarka nie powinna malować paznokci, ale widząc entuzjazm kobiety, pozwoliła polakierować sobie paznokcie u nóg.

– Włosy rozpuszczone.

– Niski warkocz jak zawsze.

Fryzjerka nie chciała żadnej zapłaty.

Na ulicy Marina minęła się z Gabrielem, który wyszedł na poszukiwanie grupy Japończyków mających zatrzymać się w jego hotelu i teraz z nimi wracał.

– *You should make a photo now* – powiedział, wskazując na nią. – *This is the typical beautiful woman from Spain*. Powinniście zrobić teraz zdjęcie. To typowa piękność z Hiszpanii.

Marina zrobiła sympatyczną minę, co Japończycy wykorzystali i uchwycili ją w obiektywie.

\* \* \*

Kochali się powoli, w skupieniu. Mathias znał ciało Mariny tak dobrze jak własne. Pieścił ją bez pośpiechu, czekając cierpliwie, aż wspólnie osiągną orgazm. Ona nadal miała zamknięte oczy, oddając się rozkoszy, wreszcie po tylu miesiącach. Przysunął usta do jej warg i szepnął cichutko: „Kocham cię”.

*Ich liebe dich auch, Mathias.*

Prawie dwadzieścia cztery godziny lotu z Ameryki Łacińskiej z przesiadką

w Miami, Frankfurtie i Madrycie. Wreszcie przytulił się do piersi ukochanej i zasnął.

\* \* \*

Wystarczyło mu otworzyć okiennice, aby zakochać się w Majorce. Marina jak zwykle wstała o piątej rano. Ubrała się po cichutku, aby go nie obudzić, i zeszła do piekarni wyrabiać chleb.

Mathias wstał o drugiej po południu. Podszedł w półmroku do okna i otworzywszy okiennicę, odkrył piękno majorkańskiego krajobrazu, spokojne słońce lata, bryzę łagodnie wiejącą od morza, zieleń gór... I nieustający, powracający w czerwcu śpiew cykad. Po raz pierwszy w tym roku nie musiał się śpieszyć. Usiadł na zewnętrznym parapecie, coraz bardziej ulegając urokowi wyspy. Mimo woli przeniósł się myślami na Haiti. Powrót na Zachód był dla niego zawsze synonimem pokoju i wypoczynku, ale nie potrafił raptownie odciąć się od tego, co za sobą zostawił.

Pomyślał o tysiącach ludzi, którzy latami będą próbowali przeżyć w tym dziwnym świecie.

Rozejrzał się po sypialni, gdzie spędzili noc: żółtawe ściany, stare meble. Poprzedniej nocy obejrzał kuchnię, która była też salonikiem, ponurym i zimnym. Torby z ubraniami zmarłej piekarki nadal stały w pokoju obok... Cała Marina.

Ubrał się i szedł do piekarni. Marina była na zapleczu sama, mieszała mąkę z wodą. Odwrócona plecami, nie zauważyła, kiedy wszedł. Zbliżył się i ją objął. Odwróciła głowę i nie przestając wyrabiać ciasta, pocałowała go. Mathias przykrył jej dłonie swoimi.

- Marino, to miejsce jest... cudowne – powiedział, całując ją w policzek.
- Ciasto trzeba wyrabiać knykciami.
- Pokaż mi.

Wyrabiali razem ciasto w milczeniu. On przesunął palce między dłońmi Mariny, zanurzając je w mące i wodzie. Zaczął całować jej policzki, szyję, ramiona... jeszcze trochę wyrabiali ciasto... z przymkniętymi oczami... poddając się chwili.

Włożyli polana dębu ostrolistnego i migdałowca do pieca. Marina zapaliła zapałkę i włożyła do środka. Po pięciu minutach ogień buzował. Widok rozpalonego pieca robi zawsze duże wrażenie za pierwszym razem, Mathias patrzył jak urzeczony, podczas gdy Marina przygotowywała cytrynowy chlebek.

– Przyszło mi do głowy – odezwał się – że muszę zająć się czymś przez ten czas. Nie wyobrażam sobie, żebym chodził codziennie na plażę, leżał i nic nie robił.

Miał rację. Kiedy jeździli do Berlina do domu swoich rodziców, Mathias od razu znajdował sobie coś do roboty, musiał czymś się zająć, reperowaniem tostera, likwidowaniem korników w starym meblu matki, montowaniem z bratem mebli kupionych do nowego domu, do którego brat przeniósł się po rozstaniu z żoną, a nawet

składaniem klocków Lego z bratankiem. Byle tylko coś robić. Ale nigdy nie widziała go siedzącego przed telewizorem, z książką na kanapie. Nie wyobrażała sobie jednak, że mógłby odmówić sobie wylegiwania się na którejś z majorkańskich plaż, tak jak to zwykli robić jego rodacy w różnych zakątkach wyspy.

– Możesz nam pomagać w piekarni. Wkrótce wyspa zapełni się turystami i będziemy musiały piec dwa razy więcej chleba niż dotychczas.

– Wiesz, o czym pomyślałam? Że jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to mogę przygotować dom na przyjazd Laury i Siegfrieda. Co ty na to?

– Mathiasie, możesz robić, co chcesz – odparła, całując go w usta.

Włożyli *pa moreno* i cytrynowy chlebek do pieca i Mathias zaczął planować zmiany, jakie można by wprowadzić w domu. Uznał, że pomieszczenia za kuchnią nie wykorzystywano jak należy; w tym miejscu mogli urządzić studio albo dodatkową sypialnię, przenosząc niezbędne rzeczy do kredensu w kuchni, pełnego rupieci, które nie nadawały się do niczego. A nawet można by wyrzucić kredens, bo zajmował za dużo miejsca. Pomalowane na biało ściany wyglądałyby ładnie przy drewnianych belkach...

Wszedł Tomeu odebrać popołudniowy chleb.

– *Bon dia*.

Marina przedstawiła Mathiasa.

– Catalina już mi mówiła, że przyjeżdża twój mąż – powiedział Tomeu.

– To mój partner – odpowiedziała Marina.

– Co to znaczy partner? Pracujecie razem?

– Tak, to też. *És el meu novio, sí*. To mój chłopak.

– Ach, więc nie jesteście małżeństwem.

– Nie, nie jesteśmy małżeństwem.

Tomeu klepnął Mathiasa kilka razy po plecach, mocno, lecz po przyjacielsku, i podnosząc głos, powiedział:

– No dobrze, młody człowieku... witaj w Valldemossie.

(Tomeu, podobnie jak Catalina, należał do tych, którzy uważają, że jeżeli będziesz mówić po hiszpańsku głośno i wyraźnie do cudzoziemców, to cię zrozumieją).

Do piekarni weszła fryzjerka, powodowana pewnie ludzką ciekawością.

– No proszę... no proszę! – wykrzyknęła, patrząc ukradkiem na Mathiasa. – To jest twój mąż? Nie rozumie po hiszpańsku, prawda?

– Niewiele – odparła Marina.

– Ale przystojniak! – szepnęła fryzjerka.

Sympatyczna kobieta podeszła do Mathiasa i przedstawiła się, również podnosząc głos o trzy tony. Znow zwróciła się do Mariny.

– Wyobraź sobie Manolę obok takiego mężczyzny. Przewyższa go co najmniej o dwie głowy. Chyba ta fama o *latin lover* jest przesadzona.

Marina się uśmiechnęła. Znow musiała wyjaśnić, że nie są małżeństwem. Podobnie podczas odwiedzin burmistrza, ale za czwartym razem, wiedząc, że na wsi nie jest przyjęte życie bez ślubu, przestali się tłumaczyć i w końcu potwierdzali, że są mężem i żoną.

– Mathiasie, idę na chwilę do sypialni. Możesz tu zostać, w razie gdyby wszedł klient? Ciemny chleb kosztuje jedno euro. Ten biszkopt tutaj jest prezentem od firmy dla stałych klientów.

Poszła na górę, aby się przebrać. Czuła, że zbliża się ten męczący tydzień, przez który wszystkie kobiety na świecie muszą przejść raz w miesiącu. Przy jakiejś okazji, w obozie dla uchodźców w Sudanie, przy czterdziestu czterech stopniach gorąca, czując ból poprzedzający menstruację, obliczyła, że kobiety mają w przybliżeniu tysiąc dziewięćset dwadzieścia dni okresu w ciągu życia, i wydało jej się to absurdalne.

Mathias usiadł na taborecie, czekając na klientów. Po chwili pojawił się proboszcz.

– *Bon dia*.

– *Bon dia* – odpowiedział Mathias.

– Ty być mąż Mariny?

(Proboszcz należał do tych, którzy uważają, że jeżeli mówisz o trzy tony głośniej i łamanym hiszpańskim, to zagranicznik zrozumie).

Mathias wyszedł z za lady.

– Tak, ja być mąż Mariny – odparł, ściskając rękę księdza. – Bardzo mi miło, proszę pana.

– Ja chcieć *pa moreno* i kawałek cytrynowego chlebka.

Mathias chwycił szczypcami kawałek biszkoptu i zawinął w papier. Podał proboszczowi, który pożegnał się uprzejmie. Ledwo wziął ciasto, natychmiast, jak to miał w zwyczaju, odgryzł kęs. Nie zdążył jeszcze wyjść z piekarni, kiedy nie dowierzając wrażeniu, które odebrały jego kubki smakowe, odwrócił się w stronę Mathiasa.

– Mniam, mniam...

Ugryzł kolejny kęs. Żuł powoli, mlaszcząc z zadowolenia i uśmiechając się do Mathiasa, który ze zdumienia otworzył szeroko oczy na widok hiszpańskiego księdza wydającego z siebie przedziwne dźwięki.

– Tak, tym razem tak – wymamrotał sam do siebie i podsumował na głos: – To prawdziwy smak cytrynowego chlebka z makiem.

Wyszedł bez pożegnania. Marina zeszła na dół.

– Dziwny facet z tego proboszcza, prawda? – spytał Mathias.

– Jest zakochany w pewnej wdowie.

Wyszli na dwór i usiedli na ławeczce przy ścianie. Niebla u ich stóp podniosła się, machając ogonem w oczekiwaniu na pierwsze pieszczoty nowego lokatora domu. Mathias popatrzył na żonę, potem na góry i morze w oddali. Objął ją ramieniem. Ona

wzięła go za rękę, a on przyjrzał się jej dłoni i podniósł ją do ust. „Tak bardzo za tobą tęskniłem”.

Donośny głos jej siostrzenicy przerwał ten intymny moment. Zbliżała się w towarzystwie Anny. Podbiegła do ciotki. Marina, nieco zaskoczona, wstała i Anita rzuciła się jej na szyję.

– Ciociu, wszystko zaliczyłam! Na dostateczne, ale wszystko.

Stojąca za nią Anna powiedziała cichutko: „Dziękuję”.

– To twoja zasługa, Ano. Ja ci tylko pomogłam zrozumieć.

– Nie, ciociu. Bez ciebie nie dałabym rady. Bardzo ci dziękuję.

Anita popatrzyła na matkę i uśmiechnęła się do niej. Zrobiła to bardziej na pokaz, ze względu na Marinę, niż z uczuciem. Ale jednak. Podeszła do Anny i ją objęła. Nie robiła tego od lat.

\* \* \*

Mathias usiadł na tylnym siedzeniu vespino za Anitą i wyruszyli do Alcampo, do działu dla majsterkowiczów po materiały, które miały pomóc zmienić ciemny dom odziedziczony przez żonę w bardziej przytulne miejsce. Farby, kuwety, wałki malarskie, taśma, pędzle okrągłe i płaskie, szpachla gipsowa. Obie siostry zostały w piekarni.

– Chcę ci coś pokazać. Chodźmy na górę.

Weszły do sypialni. Anna usiadła na łóżku. Marina otworzyła szufladę w stoliku nocnym i wyjęła japońskie czasopismo.

– To ona.

Anna przyjrzała się jej uważnie.

– Kiedy zaczęła pracować w domu taty i mamy, miała piętnaście lat. Gdybym dokładnie wiedziała, ile czasu pracowała w domu... ale Catalina nie chce mi tego powiedzieć – mówiła dalej, podchodząc do siostry, aby Anna mogła obejrzeć zdjęcie.

– Czy jej twarz nic ci nie mówi? Bo mnie... coś mi przypomina.

– W życiu jej nie widziałam – odparła Anna.

Oglądały zdjęcie, kiedy zadzwoniła komórka Anny. Oddała gazetę Marinie, która wpatrywała się w twarz zmarłej piekarki.

Anna otworzyła torebkę i wyjęła telefon. Na ekranie pojawiło się imię Antonia. Przeczytała wiadomość.

Zatrudnili mnie Arabowie, płynę do Grecji. Nie będzie mnie w lipcu i sierpniu. We wrześniu, kiedy wrócę, nie chcę już więcej wiadomości komórkowych, Anno, przyjadę po ciebie...

Dlaczego zwykły SMS, kilkanaście słów, potrafił tak ją poruszyć? Każda wiadomość od Antonia powodowała wrażenie, jakby coś przenikało jej ciało,

wypełniając je kropelkami przyjemności. Najpierw odczuwała to w piersi, potem w dole brzucha... przecież to były tylko słowa. Odetchnęła, usiłując powstrzymać doznania ogarniające całe jej ciało, zła na siebie za ten brak kontroli.

– Anno, czy dobrze się czujesz?

\* \* \*

– Trzeba zadzwonić do dostawcy mąki. Kończy się. W lecie musimy podwoić liczbę worków – odezwała się Catalina.

– A gdzie trzeba zadzwonić?

– Lola trzymała w swoim stoliku nocnym bordową teczkę, bardzo starą, z telefonami wszystkich dostawców.

– Nigdy nie widziałam żadnej teczki. Żadnego dokumentu. Nic tam nie było – odparła Marina.

– To musi być w kredensie.

– W kredensie też nic nie było.

– Może twój mąż ją wyrzucił, tyle wypełnia tych toreb na śmieci.

– Jeszcze nic nie wyrzuciliśmy. Wszystko jest zapakowane w torby i stoi w pokoju za kuchnią, ale tam nie było żadnej teczki.

Marina była pewna, że w domu nie było ani starych bordowych teczek, ani notesów z telefonami, ani notatników, zdjęć, rachunków. Ale nie miała zamiaru zmarnować okazji, aby się czegokolwiek, choćby drobiazgu, dowiedzieć.

– Chodź, razem sprawdzimy – powiedziała, wspinając się po schodach.

Catalina poszła za nią. Znalazły się na pierwszym piętrze. Niebła podeszła do piekarki, machając ogonem. Mathias mył w zlewie filiżanki po śniadaniu.

– *Ay, quins records*. Ach, ile wspomnień – odezwała się Catalina z nostalgią, wzdychając na widok kuchni swojej przyjaciółki.

– *Bon dia, Cati* – odezwał się Mathias po majorkańsku.

– *Bon dia, Mathias*. Ty spać dziś dobrze, co? Dobrze się śpi w Valldemossie, no nie, chłopie?! – krzyknęła Catalina.

– Tak. Chłop spać bardzo dobry dziś – odpowiedział Mathias, biorąc miotłę.

– Patrz no, ale zdolni są ci Niemcy – dodała Catalina, kierując wzrok na Marinę. – Jak gdyby nigdy nic, no, no... Z druciakiem, szczotką, płynem do naczyń. Jakby to była najzwyklejsza rzecz w świecie.

Mathias spojrział na Marinę w oczekiwaniu na tłumaczenie. Słów „zdolny” i „druciak” jeszcze nie znał. Marina zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć, że to nic ważnego.

– Miotła może jeszcze coś mężczyznom z Majorki mówi, tak... ale druciak – dodała Catalina, otwierając szufladę w kredensie. – Tu trzymała rachunki – powiedziała,



zaglądając do pustej szuflady.

– Nic tu nie było. Już ci mówiłam. Tylko nieposkładane serwetki.

Catalina, zaskoczona, poszła za Mariną do sypialni.

Wysunęła szufladę w stoliku. W środku leżały słuchawki lekarskie i notes.

– Tu trzymała teczkę.

– Było coś więcej?

Catalina uniosła brwi. Marina znów próbowała ją podejść. Co za uparta kobieta.

– Trzymała tu mały album ze zdjęciami rodzinnymi i zdjęcia ze święta Błogosławionej <sup>15</sup>. Była jedną z głównych tancerek na uroczystości i ci z komitetu organizacyjnego zawsze jej robili zdjęcia.

Catalina milczała kilka sekund, zamyślona.

– Też nie rozumiem, dlaczego to wszystko zniknęło. Dlaczego Lola odeszła tak szybko, bez ostrzeżenia. Nie spodziewała się śmierci. Pożegnałam się z nią i czuła się dobrze. Następnego dnia Niebla przyszła pod drzwi mojego domu, szcękając. Przybiegliśmy czym prędzej i zastaliśmy ją pogodną, z zamkniętymi oczami. I wszystko wyglądało tak samo. No cóż, ktoś tu musiał się dostać. Zapytaj swoją siostrę. Zresztą wszystko jedno. Mam w domu telefon dostawcy. Zadzwonię do niego dziś po południu.

Zeszły na parter. Mathias wynosił na dwór worki ze śmieciami.

Catalina zobaczyła cienki czerwony sweter, który jej przyjaciółka wkładała w letnie wieczory, kiedy zbłąkana tramontana nawiedzała czasem Valldemosę.

– Mogę go sobie wziąć? – spytała, wyjmując sweter z worka na śmieci.

– Weź, co chcesz, Cati.

Nic więcej nie chciała. Stała, patrząc z żalem, jak Mathias oddala się ulicą z siedmioma workami pełnymi garnków, patelni, rupieci, bluzek, spódnic, espadryli... z workami pełnymi życia Loli.

\* \* \*

Marina i Mathias pojechali do Ikei, aby kupić rozkładaną kanapę, szafę i dwie lampy do pokoju, w którym miały spać Laura i jej córka. I jeszcze tatami dla Siegfrieda.

Mathias zabrał się natychmiast do roboty, stosując się do instrukcji. Sześć godzin później, po wielokrotnym zmieszaniu z błotem Szwedów, udało mu się zmontować szafę i kanapę w pokoiku gościnnym.

– Jestem wykończony – stwierdził, padając na kanapę o jedenastej w nocy.

– Bo nie przerwałes nawet na chwilę. Prawdę mówiąc, nie wiem, Mathiasie, czy warto tak dokładnie remontować dom.

– Nie mogliśmy pozwolić, żeby spały w takim nieodmalowanym pokoju i bez przyzwoitego łóżka. Poza tym teraz korzystniej sprzedasz dom.

– Masz rację – odparła Marina.

– Dobrze się tu człowiek czuje – stwierdził Mathias, biorąc ją za rękę.

– Ja poczułam się tu dobrze od pierwszego dnia. Jak tylko wysiadłam z taksówki. To miasteczko ma w sobie coś niesamowitego. Wiesz? Zastanawiam się, co mogło się stać z tą teczką. Jestem pewna, że to Armando ją zabrał.

– Kiedy przyjedzie Siegfried, możemy go trochę postraszyć – powiedział z kpiącym uśmiechem, robiąc z siebie twardziela. – Jak się mówi po hiszpańsku *ashloch*?

– Skurwiel – przetłumaczyła Marina automatycznie. – Wiem, że jest coś więcej. I on to musi wiedzieć. Te ściany kryją coś, co mi umyka. To jasne, że Lola potrzebowała pieniędzy, żeby zapłacić podatek od spadku. Poprosiła Tomeu, domyśliłam się ze słów jego żony, że prosiła więcej osób w Valldemossie. Aż dotarła do mojej babci. Chociaż to dziwne.

– Nie ma nic dziwnego w tym, że kobieta taka jak twoja babka, z pieniędzmi, pomogła swojej pielęgniarce. Albo swojej opiekunce, czy kim tam była. Są milionerzy, którzy wydziedziczają swoich spadkobierców, aby oddać wszystko Lekarzom bez Granic, prawda? Albo zostawiają pieniądze słodkiej Latynosce, która się nimi opiekowała w ostatnich latach ich życia. Nerea pomogła Loli. Poza tym nie dała jej pieniędzy w prezencie. Nerea została współwłaścicielką.

Marina nie odpowiedziała. Ale było dla niej jasne, że musi stawić czoło szwagrowi i sprawdzić, czy zabrał coś z domu. Ona sama.

– Prawdą jest – kontynuował Mathias – że ta dobra kobieta zrobiła ci cudowny prezent. Już po dwóch dniach w tym miejscu mogę zrozumieć, dlaczego Niemcy skolonizowali waszą wyspę. To dobre miejsce na emeryturę.

Marina się roześmiała. Mathias odwrócił się do niej i pocałował ją w usta. Pogłaskał ją po twarzy i znów pocałował. Między pocałunkami i pieścizkami zażartowała, że wyobraża sobie, jak Mathias i Siegfried sprawiają lanie Flavio Briatoremu. Roześmiał się razem z nią i znów ją pocałował, zdjął gumkę z jej warkocza.

– Zaraz, zaraz... czy ty nie byłeś wykończony?

\* \* \*

Pierwszy tydzień lipca. Majorkę zalała fala turystów. Po południu schodzili z plaży, ospale spacerowali po ulicach Valldemossy, klapiąc klapkami, kupując wyroby rzemieślnicze, figurki tancerzy flamenco *Made in China*, likiery robione na majorkańskich ziołach, bransoletki utkane z nici i popielniczki z napisami *Passion for Mallorca*. Nie zapominając o obowiązkowej wizycie w klasztorze kartuzów, gniazdku miłosnym Fryderyka Chopina i jego aroganckiej francuskiej pisarki, ani o ostatnim miejscu postoju: piekarni Can Molí. Mathias zrobił kilka ławek z bali i tam siadali,

delektując się *cocq* z ziemniaków lub sałatką *trepó*, a czasami kawałeczkiem cytrynowego chlebka z makiem, jeżeli Catalina akurat miała ochotę ich poczęstować. Niestety ku rozczarowaniu Mariny proboszcz i reszta mieszkańców znów skarżyli się na smak biszkoptu.

W Can Molí brakowało rąk do pracy, więc Marina spytała siostrzenicę, czy chciałaby trochę zarobić. Następnego dnia dziewczyna stanęła w drzwiach piekarni punktualnie o piątej rano. Úrsula, ucząc ją, jak wyrabiać chleb, opowiadała jej o Pippie, swojej piętnastoletniej wnuczce, która nazajutrz miała wylądować na wyspie i też pomagać w piekarni.

– Chyba będą się dobrze razem bawiły – oświadczyła sędziwa Argentynka. – Przypadną sobie do gustu.

Anita wiedziała, że nikomu się nie podoba, więc nie wykazała najmniejszego zainteresowania.

Następnego dnia, tak jak zapowiedziała Úrsula, przybyła druga pomocnica – Pippa, ruda amazonka, której włosy zakrywały całe plecy, masywna, metr osiemdziesiąt wzrostu, z tym samym czystym spojrzeniem co u jej babci.

– *Hi ha molta feina avui, jove.* Jest dziś dużo pracy, dziewczyno – powiedziała Catalina, podnosząc głos i podając jej fartuch.

– Ana, może wytłumaczysz Pippie, na czym to polega? – zwróciła się Úrsula do Anity. – No właśnie... Tak. W ten sposób ty będziesz ćwiczyła niemiecki, a ona hiszpański.

Pippa popatrzyła na Anitę i zaraz potem na babcię. Zrozumiała to, co babcia powiedziała hiszpańskiej nastolatce, i widząc, że ta nie przejawia żadnego entuzjazmu, poprosiła:

– *Oma, bitte. Lass sie in Ruhe.* Babciu, proszę cię, zostaw ją w spokoju.

– *Oma* znaczy babcia, prawda? – spytała Anita.

Pippa, patrząc na Anitę, przytaknęła z uśmiechem.

– Weź skrobak i rób to co ja. *Mach wie ich mache* – powiedziała Anita, krojąc ciasto i formując kulki rękami.

Pippa, słysząc tę hiszpańsko-niemiecką mieszankę w ustach krzepkiej dziewczyny w tym samym wieku co ona, uśmiechnęła się i zaczęła ją naśladować. I od tego momentu przez całe lato już nie zwracała uwagi na babcię. Takie dziwne są właśnie nastolatki. Wystarczy, że im coś zaproponuje dorosły, nieuprzejmie odmówią. A jeśli to samo zaproponuje inna nastolatka, w większości przypadków wyda im się to genialnym pomysłem.

\* \* \*

W powietrzu unosił się zapach papierosów. Story były zasłonięte, aby chronić wnętrze

przed promieniami słońca. Prawie nie było wiatru. Dom jej dzieciństwa wydawał się jeszcze bardziej ciemny niż zwykle. Marina weszła za Anną do środka.

– Co się stało, Marino? Dlaczego przyjechałaś, nie zawiadamiając? Dlaczego chcesz rozmawiać z Armandem? Jest na górze. Powiem mu, żeby zszedł – zaproponowała drżącym głosem Anna, obawiając się najgorszego po ich spotkaniu.

– Tak, proszę cię.

Anna weszła szybko po schodach, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania. Dlaczego do niej nie zadzwoniła przed przyjazdem?

Marina usiadła na kanapie. Nie chciała zawiadomić siostry, bo wolała go zaskoczyć i przyrzeć się jego reakcji. Rozejrzała się po salonie, znów rozpoznając przeładowaną dekorację rokoko swojej matki. Jej siostra była niewątpliwie nieodrodną córką Any de Aróstico... tyle że w łagodnej wersji. Na gzymsie kominka nadal stało zdjęcie Anny, która w pozie à la Lady Di przyjmowała pocałunek od swojego młodego triumfatora. Spojrzała na komodę, na zimną podłogę z marmuru. Pomyślała, że dobrze zrobiła, oddając swoją część Annie, ten dom nie miał już z nią nic wspólnego.

Armando zszedł ciężko po schodach, zaciągając się marlboro. Marina wstała. Siostra uprzedziła ją, że mąż niknie w oczach, ale widząc go, odniosła wrażenie, że w ciągu kilku miesięcy postarzał się o dziesięć lat. Anna, niewidoczna, szła za nim.

– Cześć, Marino.

– Cześć, Armandzie.

Żadne z nich nie okazało chęci, aby się pocałować.

– Jestem zajęty, o co chodzi? – powiedział, nie zapraszając jej, aby usiadła.

– Ty pierwszy wszedłeś do domu, prawda?

Armando przytaknął bez słowa.

– Czy ktoś jeszcze tam wchodził?

– Ja. Następnego dnia – odpowiedziała Anna niepewnie.

– Wiem, że była tam teczka z rachunkami i kilka albumów ze zdjęciami.

– Ja nic nie wzięłam. Już mówiłem Annie – oświadczył kategorycznie.

– Na pewno?

Armando znów przytaknął bez słowa. Marina poczuła ucisk w piersi. Zaczerwieniła się, wiedziała, że musi mu stawić czoło. Zebrała się na odwagę i postanowiła być bezpośrednia.

– Kłamiesz, Armandzie.

Dobrze znała spojrzenie szwagra. W kilka sekund jego źrenice zapalały gniewem.

– Kiedy ci się mówi nie, to znaczy nie. Wiesz, co ci jest, Marino? Uważasz, że jesteś bardzo mądra. Pani doktor wyuczona w Ameryce, ale tak naprawdę, moja droga, po prostu jesteś żaloszna, nie masz własnego życia. Wysłali cię daleko, już kiedy miałas czternaście lat... żebyś nie przeszkadzała. Przeszkadzasz, Marino. – Uśmiechnął się lekko i wycedził: – Nawet twoja własna matka nie mogła cię znieść.

Był to cios poniżej pasa, Marina nie spodziewała się go ani nie potrafiła go odeprzeć. Czowała, że oczy jej wilgotnieją, a tymczasem szwagier patrzył na nią wyzywająco. Z całej siły próbowała powstrzymać łzy. Tym razem jej niewidoczna siostra zareagowała. Po raz pierwszy w ciągu dwudziestu lat małżeństwa.

– Armandzie, jak możesz być tak okrutny?

– Nie wtrącaj się.

– Owszem, będę się wtrącać. Jeżeli coś wzięłeś, to bardzo cię proszę, oddaj. Wszystko w tamtym domu należy do niej.

– Dajcie mi święty spokój – powiedział z pogardą, odwrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

\* \* \*

Marina nie chciała dokładnie powtarzać Mathiasowi słów szwagra, ograniczyła się do minimum. On jednak, widząc jej niepokój, domyślił się, że nie była to przyjemna rozmowa. Rzucił po niemiecku kilka przekleństw pod adresem człowieka, którego w życiu nie widział i miał nadzieję, że nigdy nie spotka. Poradził Marinie, żeby przestała szukać odpowiedzi. Jeżeli po siedmiu miesiącach poszukiwań jej się to nie udało, lepiej przestać roztrząsać tę sprawę.

– Lola chciała odwdziaczyć się twojej babci za to, że pożyczyła jej pieniądze. A ponieważ twoja babcia zmarła, to wszystko zostawiła wam. I już. Marino, kochanie, ta historia staje się twoją obsesją. Zapomnij o tym.

Úrsula zawołała ich z ulicy. Mathias stanął w oknie. Dzwoniła Anna. Marina wyszła niechętnie. Jej starsza siostra rozplakała się, załamana, prosząc o wybaczenie. Po raz kolejny.

\* \* \*

Przyjechała Laura z córką i rozgościły się w nowej sypialni. Kilka godzin po ich przyjeździe piątka dzieci fryzjerki zabrała dziewczynkę do ogrodów wokół klasztoru, gdzie bawili się codziennie przez cały sierpień w chowanego, w wojnę na baloniki napełnione wodą albo w gry zespołowe.

Siegfried wynajął jeepa na lotnisku w Palmie i pojawił się w Valldemossie jak Indiana Jones, w skórzanej czapeczce z piórką, gotów do odnalezienia ukrytych plaż Majorki. Niewiele ich pozostało, ale je odkryli. Dobre paelle, dobre wino, Morze Śródziemne i słońce, nic więcej nie było trzeba tej rodzinie, którą tworzyli przyjaciele Mariny.

Pewnego sierpniowego poranka Anna wsiadła na vespino ze swoją córką. Bmw znów było w warsztacie. Po przyjeździe do piekarni Anita poszła z Pippą na zaplecze,

a Anna weszła na górę do Mariny.

Wchodząc, dostrzegła malowniczą grupę przyjaciół młodszej siostry, tak bardzo różniących się od jej własnych. Mathias, tym razem bez brody, z mokrą głową, wystrojony w afrykańskie pareo sięgające mu do kostek, z nagim torsem, gładził włosy Mariny. Oboje śmiali się i rozmawiali po angielsku z tą swoją ekstrawagancką rodziną: Laurą i jakimś niechlujnym blondynem w koszmarnej czapce z dzieckiem na kolanach, jego córką, jak przypuszczała. Dziewczynka miała bardzo jasne włosy, buzię wysmarowaną nutellą i dwa zbyt wysoko zawiązane kucyki. Blondyn był zajęty malowaniem jej paznokci różowym lakierem, który dostała od córki fryzjerki. W kącie leżała zmordowana upałem Niebla. Jak różne były ich losy. W tym kamiennym domku zagubionym wśród gór wszystko zdawało się pełne życia. Niewiele kilometrów dalej, w jej rezydencji z marmuru, wszystko zdawało się martwe.

Niebla zaszczeakała. Ujrawszy siostrę, Marina podniosła się z uśmiechem. Przedstawiła ją swoim przyjaciołom. Już kończyli śniadanie. Córka Laury chciała koniecznie iść na plażę. Wyruszyli więc wszyscy jeepem nad zatokę Es Trenc, zostawiając siostry same.

– Jak się masz?

– Wyrabiam przez cały dzień chleb, a resztę czasu spędzam z tymi hałaśliwymi przyjaciółmi.

– Tak bardzo mi przykro z powodu...

Marina przerwała jej. Nie miała ochoty wracać do epizodu ze szwagrem.

– Daj spokój, Anno. Proszę cię, odpuśćmy sobie.

– Tak. Przepraszam.

Anna obejrzała dom. Zmienił się. Zapełnił. Taki wesoły. Przez otwarte okiennice wpadała przyjemna bryza. Jeszcze jedna tkanina afrykańska, przywieziona przez Laurę, przykrywała kanapę. Na blacie w kuchni leżały dziecięce książki i kolorowe kredki, obok cztery pary butów, numer czterdziesty szósty, tytoń...

– Dom wygląda coraz ładniej.

– Tak sądzisz? – nie do końca wierząc słowom siostry, Marina rozejrzała się po zabałaganionym saloniku-kuchni.

– Marino, przyjechałam, żeby ci jeszcze raz podziękować.

Marina usiadła obok siostry.

– Nie musisz mi za nic dziękować.

– Może ci się to wydać głupotą, ale Anita tak bardzo się zmieniła, odkąd tu przyjeżdża. Jej charakter, sposób ubierania się. Nie wiem, co jej powiedziałaś...

– Anno, ja tylko słuchałam. Nic więcej.

– Poprosiła mnie, żebym ją zabrała do swojej fryzjerki i poszła z nią na zakupy. Rok temu było to nie do pomyślenia. Teraz, odkąd tu przyjeżdża, ubiera się bardziej kobieco. No – uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami – trochę.

– To nie dzięki mnie – odparła Marina, wskazując na swój praktyczny strój, który zawsze nosiła, pracując dla organizacji: bermudy i biała koszulka.

Anna roześmiała się. Mimo to mówiła prawdę. Jej córka się zmieniała. Nadal chodziła w luźnych spodniach od dresu z Alcampo, kryjących mocne uda, i nadal wbijała się w sportowe biustonosze, które całkowicie spłaszczają jej tak znieawidzone piersi. Ale teraz, zamiast za dużych koszulek pod szyję, wkładała trochę bardziej kobiece topy na ramiączkach. Poza tym tego lata dojrzała w lustrze swoje przesłiczne oczy w kolorze orzechów laskowych odziedziczone po dziadku, które miała też matka i ciotka Marina. Wtedy odsunęła grzywkę z czoła i po raz pierwszy w życiu pomyślała, że ładnie wygląda.

– Moje przyjaciółki z jachtklubu, Cuca i cała reszta, mówią, że ich córki wstają w porze obiadu i w głowie mają tylko wieczorne wyjścia, no i ciągle domagają się pieniędzy. Córka Cuki w zeszłym tygodniu zapadła w śpiączkę alkoholową, a przecież wygląda tak niewinnie. Skończyło się szpitalem.

Anna patrzyła w ziemię. Niełatwo jej było się otworzyć.

– Anita zawsze była dziwolągiem. Takim... babochłopem. Kiedyś usłyszałam, że tak ją przezywają za moimi plecami. A teraz, po raz pierwszy, odkąd wychowuję córkę, mogę powiedzieć z dumą przyjaciółkom, że Anita z własnej woli pracuje od poniedziałku do niedzieli i że od roku nie bierze ode mnie ani grosza. Słuchają tego niemal z zazdrością.

Anna spojrzała na siostrę czule i mówiła dalej:

– A wszystko dzięki tobie.

Marina wzięła ją za rękę.

– Jesteś wspaniałą matką i twoja córka jest tak wspaniała jak ty. Naprawdę nic takiego nie zrobiłam.

– Proszę cię, jeżeli tylko mogę coś dla ciebie zrobić... powiedz mi, Marino.

– Tak, tak... Chodźmy – odpowiedziała i wstała, nie puszczać ręki siostry. – Chcę, żebyś zobaczyła, jak to wszystko działa. To ty miałaś zostać piekarką, nie ja. Już nasza babcia mówiła, że się do tego świetnie nadajesz.

Weszły na zaplecze, gdzie pracowały Úrsula, Pippa, Cati i Anita, wyrabiając ciasto, ledwo żywe w tym upale. Termometr wskazywał trzydzieści dziewięć stopni, polana z drzewa oliwnego wewnątrz pieca zdawały się palić intensywniej niż zwykle.

Úrsula kłóciła się z wnuczką, oczywiście po niemiecku, nikt więc nic nie rozumiał, choć wszystkie domyślały się, że codzienna koegzystencja tych dwóch rudych kobiet z charakterem, które dzieliło prawie siedemdziesiąt lat, nie zawsze była łatwa. A teraz mieszkają razem już od ponad miesiąca.

– Anno, zostaniesz dziś, żeby nam pomóc? – nieoczekiwanie spytała Úrsula.

– Hm... przyjechałam popatrzeć – odpowiedziała zaskoczona Anna.

– Co tam patrzeć. Do roboty! – zakrzyknęła Úrsula, mrugając do niej okiem.

Doskonale znała tę przerwana przez los historię siostrzanej miłości, która tak samo ciążyła Marinie, jak i jej siostrze. Być może właśnie tego dnia coś naprawdę zacznie się zmieniać... choć w tej chwili Úrsula najbardziej potrzebowała tego, aby jej nieposkromiona wnuczka zesza jej z oczu.

– Wiecie co? Wy dwie, idźcie sobie na plażę. Mamy zastępczynię – zwróciła się do Anity i do Pippy. – Daję wam obu dzień wolny. Bo wiecie co? Mam was po dziurki w nosie.

– Mnie do tego nie mieszaj – odpowiedziała Anita, żartobliwie naśladowując jej argentyński akcent.

– Tak, ciebie też to dotyczy. Jazda stąd, obie, no już!

Anita zdjęła fartuch i przełożyła go matce przez głowę, po czym szybko wyszła za koleżanką.

Weszły do domu Úrsuli i poszły na górę do sypialni Pippy. Przypominała dżunglę pełną ubrań porzucanych po podłodze, pustych szklanek i komiksów. Przyczyna kłótni z babcią stała się dla Anity jasna. Włożyły kostiumy kąpielowe. Pippa podniosła wszystkie ubrania z podłogi i zrobiła z nich wielki kłęb.

– Otworzysz szafę, Ano?

Bez chwili namysłu wpakowała kłęb do szafy. Babcia będzie zadowolona, nie widząc ubrań na podłodze. Wzięła pięć szklanek po wodzie i wyszły. Zanim zamknęła drzwi, rozejrzała się po pokoju, trochę bardziej ogarniętym. Na podłodze nadal leżały komiksy, więc jednym kopnięciem wepchnęła je pod łóżko.

– Gotowe, idziemy!

Jak każdego popołudnia po wyjściu z piekarni, mając jeszcze mąkę na rękach, wsiadły na vespino i ruszyły ku wolności. Na poszukiwanie plaż. Wspinając się na skały. Chowając się pośród nich. Często wyśmiewały się z pretensjonalnych nastolatek, które flirtowały z chłopakami, zalotnie rozczesując włosy palcami. A one słuchały Patty Smith, Janis Joplin, Niny Simone... Spędzały całe godziny nad morzem. Pippa przez dwa miesiące próbowała nauczyć się pływać motylkiem. Anita uczyła ją cierpliwie: „Ręce, nogi, oddech, zanurzenie, zamach, rzut ciała do przodu”, powtarzała. Pippa podtapiała się wśród śmiechów, ponawiając próby. Tak, przede wszystkim się śmiały. Był to bez troski śmiech, którego Anita dotąd nie znała. Z upływem dni budziło się w niej dziwne uczucie do tej rudowłosej dziewczyny. Jednocześnie przestała uciekać od lustra i zauważyła, że troszkę bardziej się sobie podoba. Niemniej, mimo świetnego samopoczucia, nocami, sama w swoim pokoju, czuła się zdezorientowana. Leżała w łóżku z rękami pod głową zamiast poduszki, zastanawiając się, czy było to takie samo uczucie, jakiego doświadczały w stosunku do siebie jej koleżanki z San Cayetano. Piękne uczucie połączone z pragnieniem przebywania u boku Pippy przez cały dzień.

Tej nocy Anita zawiozła przyjaciółkę na dziewiczą plażę, zagubioną na



południowym krańcu gór Tramontana. Prawie czterdzieści pięć minut wędrowały, zanim dotarły do zatoczki En Basset, ukrytego zakątka osłoniętego przez zbocza urwisk, znanego tylko mieszkańcom Majorki. Było już po jedenastej. Pusta plaża. Pippa zdjęła ubranie i kostium kąpielowy i nago pobiegła do morza. Anita przyglądała się jej. Trochę się wstydziła, ale było ciemno, więc też zdjęła kostium i pobiegła w stronę wody. Pippa zanurzała się niczym syrena, długie miedziane włosy zasłaniały piersi... Piękny widok.

Nagle wstała, woda sięgała jej do pasa. Spojrzała w niebo i zatańczyła nago, bawiąc się z morzem. Anita patrzyła na nią, zanurzona w wodzie.

– Ach, gdybym mogła mieszkać tu przez cały rok. W zimie tak bardzo tęsknię za tym rajem!

– Gdybyś tu mieszkała... możesz być pewna, że byś tak nie mówiła.

– Ale czego ci tu brak? Słońce, morze, pyszne jedzenie, ten krajobraz – dziwiła się Pippa, patrząc na majestatyczne urwisko nad nimi.

– Nienawidzę tej wyspy. Gdybym mogła jutro wyjechać, tobym wyjechała.

– Czego ci tu brak? – powtórzyła Pippa, wiedząc, jaką niechęć czuje jej przyjaciółka do własnego kraju.

– Nie wiem... może chodzi o tutejszych ludzi. Chyba tak. Wszyscy wydają mi się tacy sami. Skrojeni według tej samej miary. Małomiasteczkowi, tyle że z pieniędzmi – prychnęła. – Nadęte snoby.

– Osiemdziesiąt tysięcy ludzi? Naprawdę?

Anita uśmiechnęła się lekko. Lubiła uogólniać.

– Przypuszczam, że trzeba tu mieszkać cały rok, żeby zrozumieć. Czuję się tu jak naznaczona. Dziwoląg. Inna.

– Ale co w tym złego, że jest się innym, Ano? Dobrze jest być innym.

– W Niemczech może tak. Ale na tej kurewskiej skale nie.

Rozmowa odbywała się jak zwykle po angielsku, niemiecku i hiszpańsku. Miały już własny kod, którym doskonale się porozumiewały. Pippa podeszła do Anity i czując jej smutek, wzięła ją za rękę i pociągnęła za sobą, żeby wyszły z wody. Anita wstała nieśmiało, ze spuszczonego wzrokiem. Odczuła swoją nagość. Po raz pierwszy stała nago w obecności drugiej osoby.

– Mogłabyś mnie odwiedzić w Heidelbergu. To przepiękne miasto i nie jest tak zimno jak w innych częściach Niemiec.

– Jasne.

– Nie mów mi, że przyjedziesz, a potem nie dotrzymasz słowa.

– Przyjadę. Obiecuję.

– Jest taka tawerna, nazywa się Cave 54. Wszyscy są tam nietypowi, więc będziesz się dobrze czuć. To piwnica studentów i różnych ekscentryków, jest dobra muzyka. Wiem, że cię zachwyci. Mam koleżankę, która podrabia dowody. Bo trzeba mieć

osiemnaście lat, żeby wejść. Ja taki mam. Załatwię też dla ciebie, chcesz?

Szły na brzeg, planując wszystko, co będą mogły robić podczas tej przyszłej podróży na południe Niemiec.

Usiadły na kamienistej plaży. Pippa objęła kolana rękami i Anita zrobiła to samo. Milczały, samotne we dwie, w świetle księżyca, przy monotonnym ruchu fal.

Biorąc znów przyjaciółkę za rękę, Pippa położyła się na kamyczkach. Anita podobnie. Rudowłosa dziewczyna przysunęła się do Anity. Spojrzały na siebie nieśmiało. Pippa odgarnęła jej włosy do tyłu. Anita poczuła, że przebiega ją dreszcz. Pippa przysunęła się jeszcze bliżej i niepewnie zbliżyła usta do jej ust. Odsunęła się od niej na chwilę i zobaczyła, że Anita, rozluźniona, przymyka oczy i spokojnie oddycha. Pocałowała ją, i jeszcze raz, a wtedy Anita rozwarła wargi i ich języki dotknęły się nieśmiało. Rude włosy Pippy rozsypały się na piersiach przyjaciółki i tak, czując, jak łagodne, malutkie fale zatoczki uderzają lekko o ich niewinne ciała, powolutku oddały się miłości.

\* \* \*

- Moja córka spędza z nią cały dzień. A teraz ty.
- A to ma dla ciebie jakieś znaczenie?
- Otóż ma. Jesteście moją rodziną. Nie jej.
- Całe życie jesteśmy same, Armandzie.
- No i znów ta sama piosenka. Nie chcę, żebyś tam jechała.
- Jej przyjaciele zorganizowali kolację. To jej urodziny.
- Jestem zaproszony?
- Ty chcesz po prostu wywołać kłótnię.
- I Anita też jedzie?
- Tak, Ana też jedzie. Już tam jest.
- Jaja sobie robicie.

\* \* \*

Kiedy zaszło słońce, Mathias i Siegfried wynieśli na dwór stół z piekarni. Anita i Pippa rozłożyły na nim ogromny obrus z białego lnu. Anna postawiła dwa wazon-y z wielkimi makami. Tego samego popołudnia zebrała je na polu pszenicy, które rozciągało się po obu stronach szosy prowadzącej do Valldemossy. Na tym samym polu, przez które biegła z siostrą ponad trzydzieści lat temu, podczas gdy ojciec je fotografował.

– *Quants som, vint, trenta?* Ile nas jest, dwadzieścioro, trzydzieścioro? – Catalina i wdowa zastanawiały się, rozkładając sztućce.

Tomeu, pokłóciwszy się z żoną, która oczywiście nie została zaproszona przez Catalinę, zajął się grillem i węglem. Úrsuli zależało na przyrządzeniu pieczeni, bo nie robiła jej od lat, zajęła się więc mięsem. Doctor Hidalgo z żoną, też była uczennicą San Cayetano, przygotowali *tumbet*, typowe majorkańskie danie z pokrojonych w cienkie plastry warzyw ułożonych warstwami i zapieczonych z sosem pomidorowym. W sam raz do pieczeni. Proboszcz obiecał zaskoczyć deserem. Burmistrz przyszedł z gitarą i tutejszymi ziołami. Fryzjerka, jej pięcioro dzieci i mąż, który wreszcie mógł zostawić ciężarówkę w garażu na trzy tygodnie, przynieśli, żeby nie sprawić kłopotu, danie z makaronu dla dzieci. Gabriel i Isabel postawili wino, dużo wina, za dużo wina.

Wszyscy ubrali się odświętnie. Catalina była w szerokiej, letniej spódnicy i czerwonym rozpinanym sweterku przyjaciółki, zbyt opiętym. Úrsula, jak zawsze elegancka, w prostej, czarnej sukience, z małymi kolczykami ze szmaragdów w uszach. Mathias i Siegfried tylko w dżinsach i białych koszulkach. Anita włożyła ubranie Pippy. Mężczyźni z Majorki bermudy i białe koszule.

Marina wychyliła się z okna sypialni. Zapadła już noc i pomarańczowe latarnie oświetlały ulicę. W milczeniu obserwowała przyjaciół i sąsiadów. Tomeu dyskutował z Úrsulą, która chciała położyć podroby na grill. Siegfried i Mathias usiłowali porozumieć się, gestykułując, z burmistrzem i Gabrielem. Catalina, Isabel i wdowa siedziały na krzesłach, przyglądając się, jak dzieci malują kostki bruku ulicznego kolorową kredą, którą ojciec przywiózł im z Holandii. Pippa i Anita, śmiejąc się, przeglądały telefon komórkowy. Fryzjerka trzymała rękę Laury, oglądając jej paznokcie, i kręciła głową. Marina uśmiechnęła się do siebie.

– A ty co na siebie włożysz? – spytała Anna, stając w drzwiach sypialni.

Marina się odwróciła.

– Ja... Nic nie mam. To, co zawsze – odparła.

Nigdy nie przywiązywała wagi do ubioru.

– No to popatrz. Twoja siostrzyczka, która cię dobrze zna, wstąpiła dziś rano do Zary.

– Ależ, Anno. Nie trzeba było...

Anna otworzyła torbę, którą trzymała w ręce, i wyjęła długą, czerwoną sukienkę o prostym kroju. Była stonowana i ładna. Marina zdziwiła się wyborem siostry. To nie był jej styl. Nie pamiętała, żeby miała na sobie sukienkę od uroczystości wręczenia dyplomów w Szkole Medycznej Perelmana. Kiedy musiała wyglądać elegancko, czyli podczas świąt Bożego Narodzenia u rodziców Mathiasa, wkładała czarne spodnie i białą koszulę.

– Zaufaj mi – powiedziała Anna, widząc wyraz twarzy siostry.

Marina rozebrała się, nie będąc przekonana do stroju, który miała włożyć. Ubrała się i spojrzała na siebie. Anna uśmiechnęła się, widząc ją w tej sukience. Marina

otworzyła szafę i zobaczyła swoje odbicie w lustrze. Poczuła się inna.

– Usiądź – poprosiła Anna, stawiając wiklinowe krzesło przed lustrem. Marina posłuchała, nie przestając się sobie przyglądać. Anna otworzyła torebkę i wyjęła kosmetyczkę.

– Same oczy.

– Wiem, uparciuchu.

Zrobiła jej dolną i górną kreskę i nałożyła tusz na rzęsy. Stanęła za nią, tak że obie widziały się w lustrze. Rozplotła jej warkocz. Dziś rozpuszczone włosy, Marino. Wyjęła szczotkę z kosmetyczki i uczesała ją starannie. Bez pośpiechu.

Marina przyglądała się odbiciu w lustrze swojej prawie pięćdziesięcioletniej siostry, która czesała ją, jak w dzieciństwie... i kiedy palce Anny zaplątały się w jej włosach, mimo woli się wzruszyła.

Wyszła z piekarni. Długie, czarne włosy dotykały jej smagłej skóry, podkreślonej czerwienią sukni.

Na jej widok goście zamilkli. Mathiasowi wydała się jeszcze bardziej kobieca niż zwykle. Czterdziestosześcioletnia Marina promieniała wewnętrzną i zewnętrzną urodą. Była po prostu piękną kobietą.

Świętowali długo w noc, prawdziwy festiwal żeberek, podrobów, kotletów i kiełbas, wszystko pyszne i w nadmiarze, a do tego wino z majorkańskich winogron. Dzieci skończyły pierwsze i zdjawszy koszulki, bawiły się, malując sobie twarze i ciała kolorową kredą, wspomagane przez Pippę i Anitę. Proboszcz, którego Úrsula strategicznie posadziła przy wdowie, nieśmiało chwalił jej styl w tańcu *ball de bot*. Laure i fryzjerkę pochłoneły kwestie trójjęzyczności w szkołach i społeczne protesty nauczycieli Zielonej Fali przeciwko cięciom na edukację. Siegfried i burmistrz debatowali – no bo jeśli Rafa Nadal, to przecież Boris Becker, a jeśli Michael Schumacher, to chyba Fernando Alonso... Pod uważnym spojrzeniem Gabriela Mathias rysował na serwetce zarys młyna. Isabel nieustannie napełniała kieliszki winem...

Po kolacji proboszcz polecił wszystkim, aby usiedli, i razem z Cataliną wszedł do piekarni. Chciał osobiście zająć się deserem przyrządzonym na bazie bułki, mleka, wina i cynamonu. Bo był to przysmak, który jego biedna matka, też młodo owdowiała, przygotowywała mu co niedzielę, wykorzystując suche pieczywo z całego tygodnia. Wetknęli z Cataliną czterdzieści sześć świeczek w czterdzieści sześć tostów *torrija* i wrócili na dwór, śpiewając *Sto lat*. Goście przyłączyli się do ich śpiewu, Marina pomyślała życzenie, zdmuchnęła świeczki, a wtedy proboszcz, tak jak to zaplanował, rozdał swój specjał gościom, jakby to była hostia. Błogosławił każdego po kolei, dziękując za tę rodzinę przyjaciół, którą dobry Bóg mu ofiarował, choć się o to nie modlił.

Úrsula poprosiła Tomeu, aby otworzył butelkę szampana, i kilka razy zastukała widelcem w kieliszek. Goście umilkli.

– Chcę wznieść toast za Marinę – powiedziała, podnosząc się z krzesła. – Za to, że nas tu wszystkich połączyłaś tego lata, na tej ulicy, w tej wyspiarskiej miejscinie. Muszę ci powiedzieć, droga przyjaciółko, że znajomość z tobą jest prawdziwą przyjemnością i bardzo się cieszę, że Lola zostawiła to miejsce właśnie tobie. Mówię ci to z całą szczerością, do jakiej może być zdolna stara, osiemdziesięcioletnia „Argentynko-Niemka” z Buenos Aires.

Marina uśmiechnęła się, słuchając serdecznych słów sąsiadki, a tymczasem goście tręcali się lekko kieliszkami, prosząc, aby zabrała głos.

Ciągle jeszcze nie pokonała wrodzonej nieśmiałości, ale jednak wstała.

– Chciałabym wznieść toast za Lolę – uniosła swój kieliszek szampana i mówiła dalej: – bo przecież to ona sprawiła, że dziś wszyscy tu jesteśmy. Ofiarowała mi swój dom, swoją piekarnię... swoich przyjaciół. – Uśmiechnęła się, patrząc w kierunku majorkańskiej części stołu. – Swoje życie... Dzięki Loli odzyskałam też moją siostrę, Annę, i moją siostrzenicę. – Uniosła kieliszek w ich stronę.

Oczy Anny zwilgotniały, siostrzenica się zaczerwieniła.

– I dziękuję też Loli za to, że spędzam cudowne lato, jakiego nigdy dotąd nie przeżyłam. Z moimi dobrymi przyjaciółmi Siegfriedem i Laurą. – Potem spojrzała na Mathiasa i dokończyła: – I z moim mężem.

Kiedy tręcali się kieliszkami, Catalina niespodziewanie się rozplakała.

– *Ai, Catalina, com l'enyores.* Ach, Catalino, jak za nią tęsknisz.

– *I tu, Tomeu, què, tu l'enyores més que ningú. Brindem, que no vull plorar.* A ty, Tomeu, co, ty za nią tęsknisz bardziej niż ktokolwiek inny. Wznieśmy toast, nie chcę płakać – odpowiedziała, zdejmując okulary i ocierając łzy spływające po policzkach.

– Marina, a to dla ciebie – odezwał się Tomeu z baru. Dopił piąty kieliszek wina i dodał głośniejszym głosem, zwracając się do burmistrza Tomeu: – *Tomeu, fota-li a la guitarra. Ja saps quina.* Tomeu, zagraj na gitarze. Wiesz co.

Burmistrz uderzył w struny, podstroił instrument i rozległy się pierwsze dźwięki starej habanery, którą wszyscy obecni Majorkanie natychmiast rozpoznali. Tomeu wziął pod rękę przyjaciółkę Catalinę, która właśnie ocierała łzy serwetką.

– *Començo jo i seguiu la tornada!* Zaczynam ja, a wy przyłączycie się do refrenu! – krzyknął i odchrząknąwszy, czekał, ośmielony pięcioma kieliszkami wina, aż gitara pozwoli mu się włączyć:

Po roku, nie widząc lądu,  
bo wojna mi nie pozwoliła,  
wplynąłem do portu, gdzie była ta,  
którą me serce wielbiło.  
Kiedy plażą... idzie piękna Lola,  
chlubiąc się długim warkoczem,  
marynarze zmysły tracą,  
a nawet pilot okrętu kurs.

Fryzjerka, jej mąż, Cati, Úrsula, proboszcz, jego umiłowana wdowa, Anna, Anita, Gabriel i Isabel przyłączyli się do Tomeu, aby odśpiewać tę starą żeglarską piosenkę. Siegfried, z czerwonym makiem za uchem, klaskał w dłonie, usiłując złapać rytm, z córką Laury na kolanach.

Ach, co za radość poczułem,  
gdy chusteczką mi z plaży machała,  
a gdy podeszła i rzuciła się w me ramiona,  
ze szczęścia umrzeć chciałem.  
Moja ty piękna Lolu, cóż ja tu robię bez ciebie...

Wszyscy roześmiali się na to ostatnie zdanie wymyślone przez Tomeu. I piosenka rozbrzmiała na nowo. Pięcioro majorkańskich dzieci spalonych słońcem i wybrudzonych kredą podbiegło do burmistrza jak małe małpki, tańcząc do dźwięku jego gitary.

Marina uśmiechała się, wdzięczna za tak nieoczekiwane urodziny. Wydawało jej się niemożliwe, że te wszystkie rozśpiewane postaci pojawiły się w jej życiu dopiero siedem miesięcy temu. W chwili kiedy ta myśl przemknęła jej przez głowę, Mathias objął ją ramieniem, przysunął się bliżej i szepnął jej do ucha:

– Chcę należeć do tego klanu.

\* \* \*

<i>Hiszpański</i>	<i>Niemiecki</i>	<i>Majorkański</i>
<i>Druciak</i>	<i>Topferatzler</i>	<i>Fregall</i>
<i>Drań</i>	<i>Arschloch</i>	<i>Cabró</i>
<i>Obcy</i>	<i>Fremder</i>	<i>Foraster</i>
<i>Cudzoziemiec</i>	<i>Ausländer</i>	<i>Estranjer</i>
<i>Uścisk</i>	<i>Unarmung</i>	<i>Abraçada</i>
<i>Cytryna</i>	<i>Zitronen</i>	<i>Llimona</i>
<i>Mak</i>	<i>Mohn</i>	<i>Rosella</i>
<i>Toast</i>	<i>Toast</i>	<i>Brindis</i>
<i>Wino</i>	<i>Wein</i>	<i>Vi</i>
<i>Piosenka żeglarska</i>	<i>Seemannslied</i>	<i>Canço marinera</i>
<i>Miasteczko</i>	<i>Lud Dorf</i>	<i>Volk Poble</i>
<i>Teśknota/Teśkanie</i>	<i>Sehnsucht</i>	
	<i>vermissen</i>	<i>enyorança</i>
<i>Plemię</i>	<i>Stamm</i>	<i>Tribu</i>

- Marino, musimy podjąć decyzję.
- Przecież wiesz, dokąd chcę pojechać, Mathiasie.
- Ja nie chcę wracać do Etiopii.
- Wiem. Jednak muszę pożegnać się z tym krajem. Jest trzymiesięczny wakat w ramach projektu matka-dziecko w stolicy.
- Dowiadywałaś się beze mnie – w głosie Mathiasa zabrzmiało rozczarowanie.
- Laura powiedziała mi przed wyjazdem.
- Potrzebują współpracowników do projektu w Pakistanie.
- Ty też sprawdziłeś to beze mnie – odpowiedziała łagodnie.

Mathias westchnął. Już wielokrotnie przeprowadzali tę rozmowę. Marina uświadamiała sobie, że podobnie jak ona Mathias wykonuje swój zawód z powołaniem, całym sobą oddając się pracy. Ale mając trzydzieści pięć lat, nadal czuł potrzebę zobaczenia, poznania, dotknięcia świata. Ich związek opierał się na miłości i wzajemnym szacunku. On zgodził się pozostać z nią w Etiopii przez trzy lata. Być może teraz to ona powinna ustąpić. Popatrzyła na niego i w milczeniu pogłaskała go po policzku, zdając sobie sprawę, że te dziesięć lat różnicy wieku chyba zaczynają im ciążyć.

– Trzy miesiące, Mathiasie. Do grudnia. Muszę pożegnać się z Etiopią. Wyjechałam przekonana, że po tygodniu wrócę. Czuję, że muszę zamknąć tamten etap.

Mathias milczał.

– Na Boże Narodzenie lecimy do Berlina i wybieramy inny projekt – dodała.

– Trzy miesiące – odpowiedział Mathias z powagą.

Przysunęła się do niego, pocałowała go w usta i położyła głowę na jego piersi.

– Zdecydowałaś, co zrobisz z domem? – spytał.

– Naprawdę zamieszkałbyś tu?

– Już ci wczoraj mówiłem, że tak. Podoba mi się to miasteczko, Majorka, ludzie – odpowiedział, choć bez zbytniego entuzjazmu.

– Jeśli go sprzedamy, będziemy mogli kupić ogromne mieszkanie na poddaszu w Prenzlauer Berg.

– Nie przypominaj mi tego, Marino, ech... Wypuściliśmy z rąk cudowne mieszkanie.

Rzeczywiście niewiele brakowało, a kupiliby mieszkanie na poddaszu w tej dzielnicy berlińskiej, która ich tak zauroczyła. Mathias od dawna o tym marzył. O swoim domu. O miejscu dla nich dwojga. Któregoś roku rodzice Mathiasa wyjechali na sierpień do Tajlandii, a oni zainstalowali się na miesiąc w Berlinie. Spędzili tam spokojne tygodnie, ciesząc się prywatnością, której do tej pory nie zaznali. Jak jeszcze jedna para berlińczyków wtopili się w ten ciepły miesiąc, podczas którego mieszkańcy Berlina przemierzają ogromne parki na starych rowerach, spędzając czas w Biergarten, letnich ogródkach na brzegach rzeki wijącej się serpentyną przez miasto. Umawiali się prawie codziennie z przyjaciółmi z liceum, do którego chodził Mathias, i z jego byłymi

kolegami z akademii medycznej. W niektóre noce zostawali w domu i jedli kolację na tarasie. Prawie co noc się kochali, bez pośpiechu, pochłonięci sobą. Kiedy indziej wychodzili wieczorem z bratem Mathiasa i jego nową dziewczyną, Turczynką, posłuchać muzyki w malutkich barach pokrytych graffiti, rozrzuconych po tym wielkim mieście. Gdy wracali do Afryki, podczas lotu do Addis Abeby, Marina powiedziała Mathiasowi, że Berlin ją zachwyił, na co odparł: „Jeśli chcesz, możemy tam kupić mieszkanie, na nasze wspólne życie, na zawsze”. Marina uśmiechnęła się lekko. Pomyślała, że być może warto. Jej przystań, jej ognisko domowe. Mogła stworzyć z Mathiasem w Berlinie dom, którego nigdy nie miała. Po przyjeździe do Afryki w pierwszą wolną niedzielę usiedli do komputera w siedzibie organizacji i przeglądali portale nieruchomości.

Obejrzeni setki zdjęć, aż znaleźli mieszkanie na poddaszu w dzielnicy Prenzlauer Berg i poprosili brata Mathiasa, aby je obejrzał. Był to przestronny, wysoki apartament z wielkimi oknami. Mathias natychmiast powiedział tak, ale Marina pohamowała się przy tej pierwszej próbie znalezienia domu. Później pojawiły się jeszcze dwa mieszkania. Nie tak ładne jak pierwsze, ale też wydały się interesujące. Marina miała zastrzeżenia do obu. Obejrzeni nawet studio w dzielnicy Born, w Barcelonie, wyszukane przez Laurę. Też nie. I tak, powoli, romantyczny pomysł znalezienia czterech własnych ścian gdzieś na świecie zaczął się rozwiewać.

– Sprzedam czy nie sprzedam, chcę porządnie załatwić kwestię piekarni. Być może znalazłby się sposób sprzedania posiadłości z zachowaniem stanowiska Cati. W każdym razie do grudnia sama nie da rady ze wszystkim. Moja siostrzenica wraca do szkoły w przyszłym tygodniu. Úrsula mówi, że dalej będzie przychodziła co rano, choć artretyzm z dnia na dzień coraz bardziej daje się jej we znaki.

– A Anna?

– Anna w życiu nie pracowała. Czy ja wiem? Choć, co prawda, moja babcia zawsze jej powtarzała, że byłaby świetną piekarką. Mogę ją spytać.

– Przyszło mi coś do głowy. Dlaczego nie zaproponować moim rodzicom, żeby zamiast urządzać Boże Narodzenie przy dwudziestu stopniach poniżej zera, przyjechali tutaj?

– Jak uważasz. Ale czy zechcą?

– Będą zachwyceni możliwością ucieczki przed mrozem. Może mój brat też by przyjechał. À propos, jego turecka dziewczyna jest w ciąży. Nie rozumiem go. Przecież ledwo daje sobie radę z jednym dzieckiem.

Mathias zgasił światło w sypialni, zamknął oczy i objął Marinę w talii.

– Naprawdę mógłbyś mieszkać tu całe życie? – spytała. – Pomyśl, że jeśli to sprzedamy, możemy kupić coś mniejszego, tu, na miejscu i mieszkanie w Berlinie. Dwa miliony euro to dużo. – Marina zamilkła w nadziei, że Mathias coś odpowie, ale on się nie odezwał. – Tak naprawdę nie jestem do końca pewna tego, co mówię.



– Otóż to, kochanie, otóż to – odparł z pewnym ociąganiem. – Lepiej dojdź ze sobą do ładu, a wtedy zadecydujemy.

Te pełne wątpliwości słowa kryły nierozwiązany problem istniejący w ich związku. Kilka lat wcześniej, piętnaście minut po tym, jak wycofali się z kupna studia w dzielnicy Born w Barcelonie, Mathias spytał Laureę, korzystając z chwilowej nieobecności Mariny, dlaczego widziała wady we wszystkich mieszkaniach, jakie oglądali. Jakby nie chciała ich wspólnego domu. Domu dla nich obojga. Na co Laura, próbując mu pomóc zrozumieć jego partnerkę, odpowiedziała:

– Kiedy cię wyrzucają z twojego domu w wieku czternastu lat, przez resztę życia szukasz miejsca, które ci ukradli. Miejsca, które już nie istnieje.

## MOJE ŻYCIE BEZ CIEBIE I KAWAŁEK CHLEBA

### PROSTY CHLEB BEZ WYRABIANIA

#### SKŁADNIKI

500 g mąki pszennej

300 ml wody

5 g suchych drożdży

3 g soli

10 ml oliwy z oliwek

#### PRZYGOTOWANIE

Włóż wszystkie składniki do naczynia. Dobrze je wymieszaj drewnianą łyżką. Przykryj ściereczką i zostaw na całą noc. Jeżeli po odkryciu ciasta zobaczysz, że jest zbyt rzadkie, dodaj mąki na oko, aż uzyskasz właściwą konsystencję. Składaj ciasto kilka razy i nadaj mu pożądaną kształt. Rozgrzej piekarnik do temperatury 220°C i wstaw ciasto na 40 minut. Wyjmij je. Odwróć chleb i znów wstaw do piekarnika na 10 minut. Kiedy wyjmiesz chleb, popukaj go lekko. Jeśli usłyszysz pusty odgłos, to znaczy, że jest upieczony.

\* \* \*

Kaleb czekał na nich na lotnisku. Kiedy tylko ich zobaczył, rzucił się ku nim z otwartymi ramionami. Bardzo lubił Marinę i Mathiasa i zawsze miał dla nich miłe słowa. Nie pozwolił, aby Marina niosła swój plecak, od razu zdjął go z jej ramion. Poszli do samochodu. Natychmiast zdał im relację. Aritz i Ona wrócili do Mundaki, a Manolo i pretensjonalna Francuzka przez trzy miesiące dzielili ten sam pokój w mieszkaniu organizacji. Samala została babcią po raz dziesiąty... Marina przyglądała się hałaśliwej Addis Abebie przez zakurzone okno jeepa. Kolorowemu krajobrazowi, który tak dobrze знаła. Tę samą trasę odbyła dziewięć miesięcy wcześniej z niemowlęciem na ręku. Co słychać u Naomi? Być może miała szczęście i znalazła opiekę w ramionach adopcyjnej matki. A może nie.

\* \* \*

– *Arribes tard*. Spóźniłaś się – odezwała się Catalina, wkładając zapałkę między polana migdałowca.

Anna spojrzała na zegarek, wskazywał piątą trzydzieści jeden. Tylko jedną minutę. Nic nie powiedziała i włożyła fartuch. Trudno było przekonać Armanda, aby pozwolił

jej pracować z Cataliną wyłącznie dlatego, że piekarnia należała do Mariny. Zagroził, że nie da jej miesięcznej kwoty potrzebnej na prowadzenie domu, którą i tak już ograniczył do pięciuset euro. Jeżeli zacznie zarabiać, to on nie będzie miał powodu, żeby jej dawać pieniądze. Anna znów zebrała się na odwagę. „Armandzie, rób, co uważasz za stosowne. Wszystko mi jedno. Jednak nie mam zamiaru latać już więcej do Szwajcarii”. Powiedziawszy te słowa, prawie pięćdziesięcioletnia Anna wyszła z domu do swojej pierwszej pracy.

– Cati, zwolnij trochę – powiedziała Úrsula, wchodząc na zaplecze piekarni.

To samo, co zawsze, wyrabiać, pozostawiać do rośnięcia i piec.

Był wrzesień, do piekarni powracał spokój oraz zimowe godziny otwarcia: od ósmej rano do drugiej. Dzwon na wieży kościelnej wybił pierwszą.

– Jesteś pewna, że możesz zostać sama? – spytała Annę niezadowolona Catalina.

– Catalino, zaufaj mi, kobieto. Ta robota nie jest aż tak trudna.

Wyszła, przeklinając po majorkańsku. Wołała Marinę. No, ale co zrobić.

Zostawszy sama, Anna nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

Nie zastanawiała się zbyt nad spoczywającą na niej po raz pierwszy w życiu odpowiedzialnością zawodową, lecz zauważyła, że dobrze się z tym czuje. Tak po prostu. Starannie wyczyściła wnętrze pieca, jak ją nauczyła Catalina. Kiedy sprzątnęła zaplecze, wyszła odpocząć na ławce przed domem. Niebła, jak zawsze, wylegiwała się w słońcu. Úrsula znów ją wzięła do siebie. Suka wstała i oparła pysk o ławkę. Anna popatrzyła na stare zwierzę, wiecznie zaślinione, i z lekkim obrzydzeniem podrapała ją za uchem.

\* \* \*

Marina nie pamiętała już, jak szybko mijają dni w Afryce. Praca jest tak intensywna, że człowiek wpada w stan, w którym godziny mijają jak sekundy. Potrafiła przyjąć dziennie sto kobiet i dzieci. Choć dzień pracy wynosił dziewięć godzin, nie umiała pójść do domu, nie przyjąwszy wszystkich oczekujących. Niektóre kobiety czekały po sześć godzin bez jednej skargi, a ich dzieci dokazywały dookoła. I znów nastały noce, podczas których mało spała, rozmyślając, jak zaradzić chorobom swoich kochanych Etiopczyków.

Po siedmiu dniach nadeszła niedziela, jej pierwszy dzień odpoczynku.

\* \* \*

– Czy to jest droga prowadząca do sierocińca? – spytała Marina, patrząc na pola porośnięte zbożem, które, jak jej się zdawało, widziała dziewięć miesięcy temu.

– Tak, chyba tak.

– Może Naomi jeszcze tam jest.

– Chodźmy tam, jeśli chcesz.

Po pięciu minutach marszu znaleźli różowy zrujnowany budynek, w którym zostawili dziewczynkę. Podeszli do drzwi wejściowych. Były uchylone, jak poprzednim razem.

Marina zastukała i zajrzała.

– *Ĕndemĕn aderu* – powiedziała głoŝno.

Natychmiast pojawiła siĕ kobieta o dobrodusznym spojrzeniu. Trzymała noworodka, ktorego wlaŝnie karmiła butelk.

– Dzień dobry – odpowiedzia Etiopka po angielsku.

Marina j rozpozna.

– Pamiĕta nas pani?

Kobieta przygldaa siĕ im przez chwilĕ w milczeniu. Niewielu biaych przyjezdzao do sierocinca. Rodzice adoptujcy odbierali dzieci w pastwowym domach opieki.

– Tak, pamiĕtam. Przywiezliŝcie Naomi, prawda?

– Tak.

Noworodek siĕ rozpaka.

– Nadal tu jest?

– Tak. Tam gdzie j zostawias. W tym samym ozeczku. Idzcie j zobaczy. Ja sprobujĕ uspic t ma, przywiezli j dzisiaj.

Marina i Mathias poszli wskim korytarzem. W pomieszczeniach kilka opiekunek karmio sieroty butelk.

Podchodzc do ozeczka, Marina nieŝwiadomie zapragna, ŝeby Naomi j rozpoznaa.

Dziewczynka siedziaa, zaciskajc piastki na ŝelaznych prętach, wpatrzona w drzwi wejŝciowe, przez ktore wpadao ŝwiato.

– Witaj, ŝliczna – powiedziaa do niej agodnie Marina.

Naomi nie podniosa wzroku ani nie drgna. Dalej wpatrywaa siĕ we wpadajce drzwiami promienie soneczne. Marina wyciagna rĕce i wyjĕa j z ozeczka.

– Witaj, Naomi – powtorzya miĕkko.

Dziewczynka objĕa nozkami taliĕ Mariny. Bya cichutka, nie wydawaa ŝadnego gosu. Nie patrzya na ni.

– *Hallo, schones Madchen*. Witaj, ŝliczna dziewczynko – powiedzia Mathias, gaszczac j po policzku.

Kaŝde z nich mowio do niej w swoim jĕzyku, tak jak to robili, kiedy maa po raz pierwszy pojawia siĕ w ich ŝyciu. Ale Naomi zdawaa siĕ nie reagowac na ŝadne z ich sow. Nie patrzya na nich. ŝadnego gestu. Nic.

Przechodzc za nimi, opiekunka spytaa:

– Chcesz j nakarmic?

– O, tak. Bardzo.

Kobieta podała jej jedną z czterech butelek, które trzymała.

– Mogę nakarmić ją na dworze?

Wyszli i usiedli na żelaznej ławce przed domem.

Naomi otworzyła buzię w oczekiwaniu na niewielką porcję mleka, która jej przysługiwała każdego ranka. Nawet na sekundę jej wzrok nie napotkał wzroku Mariny. Nie spojrzała na nią, nawet wtedy, gdy Marina włożyła jej smoczek do buzi. Piła mleko powolutku, nauczyła się robić to bez pośpiechu. Potrzebowała nie tylko pokarmu, ale również tych kilku minut dziennie, podczas których czuła dotyk innej ludzkiej istoty. Nieświadomie nauczyła się ssać powoli, bo do następnego karmienia czekały na nią tylko pręty łóżeczka.

– Naomi – szepnęła cicho Marina.

– To dziwne, że nie reaguje. Może nie słyszy? – zaniepokoił się Mathias.

Owszem, słyszała. Jej zachowanie nie było dziwne. Nikt nie patrzył na te dzieci i one na nikogo nie patrzyły. Ich opiekunki nie mogły im poświęcić czasu, którego te maleństwa potrzebowały. Karmiły je butelką, bo była to konieczność życiowa, ale brakowało im czasu i czułości, które są niezbędne każdemu dla normalnego rozwoju.

– Pospaceruję z nią trochę. Nie masz nic przeciwko temu, że pójdę sama? – spytała Mathiasa.

Wstała i przytuliła małą do piersi. Poklepała ją lekko po plecach, żeby jej się odbiło, i poszła drogą, którą przyjechali. Wędrowały we dwie. Na pewno mała nigdy nie oddaliła się tak daleko od sierocińca. Marina poczuła, jak Naomi opiera główkę na jej ramieniu, i szła dalej aż do pola porośniętego zbożem. Zatrzymała się i przypomniała sobie słowa Laury: „Dzieci, nawet tuż po porodzie, powinny słyszeć łagodny głos dorosłej osoby. Przyzwyczajają się do tego dźwięku i słuchanie tego samego tonu codziennie daje im poczucie bezpieczeństwa i komfortu. Trzeba do nich mówić”.

– Wiesz, Naomi, tam gdzie się urodziłam, na Majorce, też mamy pola zbóż, takie jak to przed nami, ale nie rośnie tam *teff*, tylko pszenica, a czasem wśród pszenicy rosną cudne czerwone, polne kwiaty, w bardzo intensywnym kolorze. Nazywają się maki.

Naomi się poruszyła, wyglądało na to, że chce zmienić pozycję. Oparła ją sobie na biodrze, a mała znów objęła Marinę nóżkami w pasie. Lecz nie chciała podarować jej spojrzenia.

– Naomi, spójrz na mnie, mała, proszę cię.

Pomyślała, że może dziecko się boi. Ale nie wyglądało na wystraszone. Ach, gdyby mogła się dowiedzieć, co czuje ta dziewięćmiesięczna dziewczynka, która wydawała jej się najsmutniejszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby jej powiedzieć. Wypełniało ją jedynie ogromne poczucie żalu. Zapadał zmierzch, mała zasnęła, być może lepiej będzie zostawić ją uspioną

w łóżeczku. Marina szła powoli i tak jak to robiła w pierwszych dniach życia dziewczynki na pustyni Afaru, zaśpiewała jej cicho do ucha:

*A la nanita nana, lulaj, dziecinko, lulaj...  
małe błogosławione oczka na szczęście już zamykasz.  
A la nanita nana nanita....*

I wtedy Naomi podniosła główkę i spojrzała na Marinę, rozpoznając melodię, którą słyszała tuż po urodzeniu. Jej brązowe oczka przepełnił żal i tak jak się tego nauczyła w ciągu tych dziewięciu miesięcy życia, bezgłośnie zapłakała.

\* \* \*

W poniedziałek Anna przyjechała o piątej piętnaście. Otworzyła drzwi piekarni i poszła na zaplecze. Dziś to ona włoży do pieca gałęzie drzewa oliwnego i polana migdałowca. Rozpaliła piec. Catalina przyszła punktualnie o piątej trzydzieści. Zdziwiła się, że wszystko jest przygotowane, ale nic nie powiedziała. Anna uśmiechnęła się miło i pozdrowiwszy przyjaźnie tę mrukliwą kobietę, zabrała się do wyrabiania ciasta – był to drugi tydzień jej pracy. Znała już imiona mieszkańców miasteczka, proboszcza, burmistrza, fryzjerki i jej pięciorga dzieci. Tęsknili za Mariną i jej mądrymi radami, które, jak zapewniali, poprawiły zdrowie wszystkich w górach Tramontana. I jak zawsze Anna poczuła się dumna, że jest siostrą kobiety, którą wszyscy tak chwalą.

O pierwszej Catalina poszła do domu. Niebła weszła na zaplecze, gdy tylko spostrzegła, że Catalina oddała się uliczką w dół. Anna dała jej kawałek suchego chleba i z czułością w głosie kazała jej wyjść. Zdążyły się już zaprzyjaźnić. Anna zabrała się do sprzątnięcia. Usłyszała odgłos zamykających się drzwi. Zdziwiła się. Wytarła w fartuch ubrudzone mąką ręce i wyszła, aby sprawdzić, kto to był. Gdy go zobaczyła, zapomniała na chwilę o trzydziestu latach, podczas których utracili się nawzajem.

Antonio podszedł do niej, ujął jej twarz w swoje silne dłonie i nie czekając na przyzwolenie, gwałtownie ją pocałował. Posadził ją na stole i zdjął jej fartuch.

– Antonio, ja...

– Cicho – rozkazał ściszym głosem, rozpinając jej stanik.

Całowali się namiętnie. Antonio przestał na chwilę, aby odnaleźć pożądanie w oczach Anny. Ona spuściła nieśmiało wzrok, nie wiedząc, jak zareagować. Przymknęła oczy i poddała się jego pocałunkom, pozwalając, aby to on decydował. Ona nie miała odwagi. Całował ją w szyję, potem w ramiona, językiem pieścił jej piersi, czując, jak jej małe sutki powoli nabrzmiewają, tak jak wtedy, kiedy po raz pierwszy ich dotykał. Uśmiechnął się tylko na widok zoperowanego biustu. Poczuł, jak

mu twardnieje członek, ale nadal czekał. Anna była podniecona, czuła, że serce bije jej jak szalone. Antonio pieścił jej uda, jednocześnie podnosząc jej coraz wyżej spódnicę. Popchnął ją lekko na stół zasypyany mąką i ostrożnie unióś nogi kochanki. Nie zdjął jej majtek, tylko ją dotykał. Anna cicho pojękiwała z zamkniętymi oczami. Wiedziała, że on na nią patrzy, i ogarniało ją dziwne uczucie przyjemności i wstydu, choć tak bardzo pragnęła się zapomnieć. Poczuła, że tym razem pożądanie ogarnia ją i przenika do głębi. Antonio całował jej kolana, przesuwając powoli językiem wzdłuż wewnętrznej strony jej ud aż do łona. Językiem i palcami bawił się jej majtkami, podniecając ją coraz bardziej.

Przerywał na chwilę, nie śpiesząc się. Wtedy ona przestawała jęczeć, a on zaczynał od nowa... jeszcze raz i jeszcze. Anna prężyła się z rozkoszy.

– A ty? – spytała nieśmiało.

Antonio nie odpowiedział, tylko zsunął jej majtki. Językiem poczuł wilgoć, która domagała się więcej. Zaczął ją całować i usłyszał jęk zapowiadający zbliżający się wybuch ekstazy. Podniósł się i po raz pierwszy zobaczył ją całą nagą. Rozpiął spodnie, przysunął ciało Anny do swojego członka i z pożądaniem powstrzymywanym przez całe życie w nią wtargnął. Anna jęczała w upojeniu. Uniosła się na rękach, aby usiąść i objąć tego mężczyznę, którego kiedyś tak bardzo kochała. Poczuła, że jej miłość do niego powraca.

– Tak bardzo pragnąłem tej chwili – szepnął jej do ucha, przesuwając dłońmi po jej plecach.

– Anno, proszę cię, spójrz na mnie.

Popatrzyła na niego, a on znów w nią wszedł, tym razem delikatnie.

– Nigdy cię nie zapomniałem, Anno.

Spuściła wzrok. On przybliżył dłonie do jej twarzy, pogłaskał ją i pocałował.

– Spójrz na mnie. Nigdy, Anno.

– Ja też nie...

Pocałował ją, nie dając jej dokończyć. Pożądali się przez tyle lat, ale czekali na siebie cierpliwie, bo żadne z nich nie przypuszczało, że ich miłość skończy się tak nagle. Jedno i drugie zastanawiało się czasem, w miarę nieubłagania mijających lat, czy będzie im dane znów się spotkać. Było to dla nich nierealne marzenie. Być może Anna... bardziej niż Antonio. Choć on, kiedy czasem wracał na wyspę, wyobrażał sobie, jakby wyglądało ich ponowne spotkanie. To nie brak miłości ich rozdzielił, lecz przeznaczenie.

Antonio był coraz bardziej podniecony. Zamknął oczy i spróbował poczekać na Annę, ale nie był w stanie i obejmując ją mocno, skończył. Czując ostatnie sekundy rozkoszy, wysunął się z niej i całował ją w usta, w szyję, ponownie położył ją delikatnie na stole. Obsypując ją pieszczotami i pocałunkami, schodził coraz niżej.

\* \* \*

– Nie zostawię jej tutaj, Mathiasie. Nie mogę. Nie spałam całą noc. Nie mogę.

– Ależ, Marino, uspokój się. Co ty mówisz? – odpowiedział wyrwany ze snu Mathias, przecierając oczy i spoglądając na zegarek.

Marina usiadła przy nim z kubkiem gorącej herbaty w ręce. Była piąta rano. Czekwała do tej pory, aby go obudzić.

– Ja... – westchnęła – nigdy nie czułam potrzeby macierzyństwa. Czasem o tym mówiliśmy. Nigdy, Mathiasie, a mam czterdzieści sześć lat. Ale czuję, że to dziecko jest częścią mnie. Czuję się winna, że przeze mnie przyszło na ten gówniany świat, w którym żyjemy.

Mathias usiadł, nie chcąc tego słuchać.

– Nie mów tak.

– Ale to prawda. Jakie życie ją czeka? Wczoraj najchętniej zostałabym z nią całą noc... przywiozłabym ją tutaj. Kiedy zostawiłam ją śpiącą w łóżeczku, poczułam się okropnie! Lepiej by jej było, gdyby martwa leżała w ramionach matki. Ile tysięcy sierot jest w tym kraju? Ile jeszcze będzie? Tak trudno temu zapobiec? Nie zostawię jej tutaj.

– Ale... Marino, co masz zamiar zrobić?

– Nie wiem, Mathiasie... Zaadoptować ją.

– Zaadoptować? – powtórzył z niepokojem w głosie.

Wytrzymała jego wzrok.

– Tak.

Mathias wstał. Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Nie rozumiem tego, co mówisz. Nie wiem, co ci odpowiedzieć.

– Ale ja nie chcę, żebyś coś mówił.

– Tak, ale jesteśmy razem, Marino. A ty z dnia na dzień proponujesz mi nagle coś, czego nie chcę.

Popatrzył na Marinę. Znał ją tak dobrze, że wiedział, jak bardzo potrzebuje, aby ją objął, choć mu tego nie mówiła, i objął ją, mimo że zupełnie się nie zgadzał z tym, co mówiła.

Kiedy poczuła opiekuńcze ramiona Mathiasa, puściły jej nerwy i wybuchnęła płaczem.

– Przecież widzieliśmy tysiące dzieci w gorszych warunkach. Co ci jest? – odezwał się, ocierając jej łzy.

– Możliwe, że w gorszych, ale nie były tak samotne. Nie wiem, co mi jest, Mathiasie. Może... sama nie wiem.

Nie odważyła się wyznać mu prawdy. Wstydziła się, czuła się egoistką, przypominając sobie swoją samotność, gdy była nastolatką. Płakała wtedy cicho, osiem tysięcy kilometrów od rodziny. To prawda, rozstanie z nimi na zawsze rozerwało jej



duşę, ale przynajmniej pierwsze czternaście lat jej życia wypełniły pieśczoty babci, uściski ojca i obecność siostry. Zdawała sobie sprawę, że zabrakło jej matczynej miłości, ale mimo to niewidzialny bagaż, który zawsze zabierała ze sobą w sercu do wszystkich krajów, nadal był pełen wspomnień lat spędzonych u boku tych trzech istot. I sama myślała, że dziewczynka, której pomogła przyjść na świat, z jej winy nie będzie miała nic, nawet tych czternastu lat schronienia, łamała jej serce.

Codziennie, aż do nadejścia grudnia, jeździła nakarmić ją przed snem. Dzień pracy zaczynała o siódmej rano, o czwartej po południu zawoził ją tam Kaleb. Mieszkał w pobliżu sierocińca. Otrzymałszy zezwolenie od urzędnika zarządzającego ośrodkiem – którego spotkała tam tylko trzy razy w ciągu trzech miesięcy – dogadała się z opiekunkami zachwyconymi dodatkową parą rąk do pracy. Pomoc tego tyczkowatego urzędnika w średnim wieku, dumnego i dobrze wychowanego, oznaczała ułatwienia dla europejskiej lekarki pomagającej popołudniami. Wy tłumaczył Marinie procedurę adopcji, którą powinna przeprowadzić. Było to skomplikowane w przypadku Europejki, gdyż musiała załatwiać wszystkie formalności z Hiszpanii. Mathias towarzyszył jej w niedziele, nie traktując zbyt poważnie tych zamiarów.

Po dwóch dniach Naomi rozpoznawała już Marinę i szukała jej wzrokiem, gdy usłyszała jej głos. Po tygodniu, pomagając sobie rączkami, podnosiła się w łóżeczku i poruszała nóżkami, aby ją wzięła na ręce, natomiast po trzech tygodniach płakała, kiedy ją znów kładła. Wówczas Marina musiała wziąć ją znów na ręce i iść z nią na spacer drogą w kierunku pól.

\* \* \*

Kochankowie. Ukrycie tego związku było łatwe. Mieli dom nad piekarnią, bo Marina mówiła, że nie wróci do końca grudnia. Antonio wychodził codziennie z warsztatu za minutę drugą i w kasku na głowie, wciskając gaz do dechy, kwadrans po drugiej był już w Valldemossie, powitawszy uprzednio miejscowego policjanta, który też był zapalonym motocyklistą i przymykał oczy na jego zbyt szybką jazdę. W tym miasteczku mandaty dostawały zagraniczniki. I już. Anna czekała z gotowym obiadem. Siadali do stołu, jeśli tak chciał Antonio, oczywiście. Bo Antonio nadal był takim byczkiem jak w wieku dziewiętnastu lat. Tak. Był lubieżny, ale w ten podniecający sposób. Należał do mężczyzn, którzy, kiedy sobie jesz spokojnie jabłko na deser, bez dania racji wkładają ci rękę za dekolt, dotykają piersi, podnoszą cię z krzesła i rozgniatają ci usta pocałunkami, popychają cię na ścianę, brutalnie zdzierają ci majtki i nabijają cię na pal. Nie zapominając o tobie, oczywiście. Robią wszystko, aby ten dziki seks podniecał cię tak samo jak ich. Mniej więcej tak jak to zrobił z Anną pierwszego dnia na stole zasypanym mąką, tyle że zwiększając z dnia na dzień intensywność doznań. Stłukli dwa talerze, butelkę wina i mało brakowało, a poszłoby też okno.

Nie trudno było oszukać Armanda. Anna powiedziała mu, że zostaje dłużej w piekarni, żeby przygotować ciasto do wypieku na następny dzień, że proces wyrastania jest ważny i musi dopilnować, aby ciasto odpowiednio urosło. Armandowi było już wszystko jedno.

Wrzesień, październik, listopad, grudzień... były to najprawdziwsze, najzabawniejsze, najbardziej namiętne miesiące w całym życiu Anny.

Dwudziestego drugiego grudnia wracali Marina i Mathias.

– Co teraz, Anno? Nie zobaczę cię przez miesiąc? Jak spędzisz sylwestra? Będiesz jadła winogrona z twoim mężulkiem, jak gdyby nigdy nic, i będziecie sobie składać życzenia szczęśliwego Nowego Roku? – spytał Antonio. – Wkurwia mnie to, Anno.

Nie odpowiedziała. Unikali tematu i spędzali czas w tym domu, jakby byli parą.

– Sypiasz z nim?

Anna się zachnęła. Właśnie skończyli się kochać. To nie był moment na zadawanie takich pytań. Podniosła się i spojrzała na niego.

– Nie, Antonio. Nie sypiam ze swoim mężem. Już ci to mówiłam. Nigdy – powiedziała szczerze, patrząc mu w oczy, w których po raz pierwszy dostrzegła niepewność.

Nie kłamała, nie sypiała z Armandem. Była ta nieszczęsna próba, która trwała zaledwie kilka miesięcy, ale Anna, wbrew swoim oczekiwaniom, zamiast poczuć się mu bliższa, zaczęła czuć odrazę. Nigdy więcej.

– Od lat z nim nie sypiam. Proszę cię, uwierz mi.

Antonio wierzył, ale w miarę jak ich związek stawał się silniejszy, sam fakt, że jej mąż sypiał w tym samym łóżku co ona, przeszkadzał mu.

– Chcę... chcę być z tobą, Anno. Zawsze.

Leżeli w milczeniu. Pragnęła tego tak bardzo jak on. Lecz co miała zrobić? Nie chodziło tylko o Armanda. Była Anita z tym swoim poszukiwaniem własnej tożsamości. Odkąd zaczęła się szkoła, córka znów stała się ponura i samotna. Jednego dnia była w dobrym humorze, drugiego się wściekała, raz się izolowała, innym razem była bardziej przystępna albo nagle wszystkim wymyślała.

– Co ja mam zrobić, Antonio? Wyrzucić męża z domu, teraz kiedy nie ma się gdzie podziać? Zamieszkaż z nami?

– Zamieszkaż ze mną w S'Estaca. Wiem, że domek jest mały i zawilgocony... ale nam to wystarczy.

– A moja córka? Jest już dużą dziewczyną, przewyższa mnie o głowę. Nie zamieszka z nami. Nie zechce.

– Wiem tylko, że nie mam ochoty dalej ukrywać naszego związku. Nie chcę. Nie jesteśmy w takim wieku, żeby żyć w ten sposób, ani ty, ani ja. I jeszcze jedno, musisz nauczyć się być sobą. Nauczyć się podejmować decyzje. Przestać się bać tego, co powiedzą inni. Chrzań to, co myślą twoje przyjaciółki z jachtklubu – powiedział

stanowczo, twardym tonem.

Anna nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zdawała sobie sprawę, że Antonio ma rację, od wczesnego dzieciństwa nauczyła się zachowywać pozory.

– Przepraszam, nie chciałem tego tak powiedzieć – dodał, przysuwając się do niej i całując ją w usta. – Tylko o tym pomyśl, proszę cię. Rozumiem, że to, co ci proponuję, nie jest dla ciebie łatwe, i wiem, że zbliżają się święta, że trzeba spędzić je z rodziną. Ja też muszę zobaczyć kuzynów, ich dzieci, wujów, będą obiady i kolacje, i prezenty, jak u wszystkich. Gdyby moja córka tu była, też bym chciał spędzić z nią święta, ale... – powiedział i znów ją pocałował – choć marzenie o wspólnym życiu jest trudne do spełnienia, dobrze to wiem... zacznijmy od spędzenia końca roku razem w S'Estaca, na dorocznej uroczystości z moimi przyjaciółmi i sąsiadami. I śpijmy po raz pierwszy razem, w moim domu, nie śpiesząc się, nie kryjąc. Następnego dnia zbierzemy się wszyscy w porcie dookoła brasero i zjemy świeżo złowione sardynki. W końcu na to zasługujemy, Anno, nie sądzisz?

\* \* \*

– Cuca i Curro organizują przyjęcie sylwestrowe u siebie – oświadczył Armando 25 grudnia podczas obiadu bożonarodzeniowego, odkrawając kawałek indyka.

Anna nie odpowiedziała. Zresztą Armando nie oczekiwał odpowiedzi. Po prostu pójdą.

– Spakowałaś walizkę? – spytała Anitę.

– Tak – odparła córka z uśmiechem. – Tato, potrzebuję trochę pieniędzy.

– Nie mam – powiedział, nie patrząc na nią.

– Ja trochę mam. Nie martw się – włączyła się Anna.

– Zobacz, tyle podróżowaliśmy z twoim ojcem, ale w Niemczech nigdy nie byliśmy.

– Pippa mówi, że Heidelberg jest jednym z najładniejszych miast w kraju.

– Jestem z ciebie dumna. Ja w twoim wieku nie miałam odwagi wyjść poza róg domu – rzekła Anna, głaszcząc córkę po głowie. – Jak ci dobrze w tym nowym uczesaniu.

\* \* \*

Po wejściu do sypialni w domu w Valldemossie Marina postawiła oprawione w ramkę zdjęcie, które Kaleb zrobił im trojgu. Mathias otaczający ją ramieniem, a ona z Naomi na ręce.

Dwudziestego szóstego grudnia ojciec i matka Mathiasa, jego brat z ciężarną narzeczoną i syn z pierwszego związku przylecieli na Majorkę z Berlina. Mieli pozostać w Valldemossie do szóstego stycznia. Rodzice Mathiasa zamieszkali w hotelu

Gabriela i Isabel, a jego brat z narzeczoną i synem w pokoju za kuchnią zamienionym na sypialnię.

Grudzień był łagodny, słońce świeciło codziennie, temperatury nie spadały poniżej dwunastu stopni. Rodzina Mathiasa miała ogromną ochotę wziąć udział w tradycyjnym hiszpańskim powitaniu Nowego Roku. Na początku planowali zostać w domu, ale Marina pomyślała, że będzie o wiele zabawniej pójść do baru Tomeu, aby wraz z innymi mieszkańcami zebrać się przed telewizorem i pośpiesznie połknąć dwanaście winogron w takt dwunastu uderzeń zegara na placu Puerta del Sol w Madrycie, obwieszczających północ. A poprzedzające tę chwilę minuty spędzą tak jak wszystkie hiszpańskie rodziny: trzeba obrać winogrona, ech, nie trzeba, ja wolę ze skórka... To najdroższa reklama w roku... Już za piętnaście dwunasta, nie, jeszcze nie... Cicho, dzieci, do cholery, bo przegapimy uderzenia zegara.

Najlepiej jest spędzić trzydziesty pierwszy grudnia z przyjaciółmi albo oczywiście z prawdziwą miłością swojego życia.

I nadszedł ten dzień. Przyjęcie u Cuki i Curra.

Armando wiazał krawat. Anna włożyła dopasowaną, czarną sukienkę bez pleców, którą kupiła u Cortany – miała już kilka lat, ale nadal wyglądała jak nowa i dobrze na niej leżała. Weszła do łazienki. Zamknęła drzwi, spojrzała w lustro i wzięła głęboki oddech. Antonio będzie na nią czekał za godzinę w pobliżu ronda, skąd mieli pojechać do S'Estaca.

Nie odważyła się powiedzieć mężowi, że nie weźmie udziału w przyjęciu u przyjaciół. Myślała, że lepiej będzie zrobić to w ostatniej chwili. Przez cały poprzedni tydzień zastanawiała się nad setkami kłamstw, które mogłaby powiedzieć mężowi, aż znalazła najlepsze.

– Anno, chodź już, bo się spóźnimy – powiedział, pukając do drzwi łazienki.

Odwróciła się, czując, że serce zaczyna jej bić szybciej. Przemilczanie romansu to jedno, ale kłamstwo w żywe oczy to co innego. Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do męża z przymusem. Armando wziął kluczyki do samochodu i wyszli z sypialni. Zeszli po schodach. Armando gasił światła. Wzięli płaszcze i narzucili je na ramiona.

– Lepiej weźmiemy twój samochód. Na każdym rogu będą kontrole.

– Armando.

Spojrzał na żonę.

– Nie jadę.

– Jak to nie jedziesz? Nie jedziesz dokąd?

– Nie jadę na przyjęcie Cuki i Curra.

– Co ty wygadujesz? – spytał pogardliwie.

– Spędzę sylwestra z moją siostrą w Valldemossie.

– Co?

– Tak. Zaprosiła mnie... możesz jechać ze mną, jeśli chcesz – powiedziała

niepewnie, spuszczać wzrok.

Armando zaśmiał się sarkastycznie.

– Nie gadaj głupstw i wsiadaj do samochodu.

– Wiedziałam, że będziesz zły. Zaprosiła mnie wczoraj. Dlatego nic ci wcześniej nie mówiłam.

– Słuchaj, idziesz na przyjęcie, a po toaście pojedziesz sobie, gdzie ci się żywnie podoba – odpowiedział, podnosząc głos.

– Przykro mi, ale nie – odparła cicho.

– Anno, bardzo cię proszę, wsiadaj do samochodu – rozkazał.

Otworzył drzwi auta, jednak ona nie ruszyła się z miejsca.

– Wsiadaj, Anno.

– Dobrze. Ale wyjdę po toaście, więc bierzemy dwa samochody – zgodziła się, wyjmując z torebki kluczyki do bmw.

– Bierzemy oba samochody, ale dopiero potem okaże się, czy pojedziesz – powiedział, wsiadając do swojego samochodu i trzaskając drzwiami.

Anna wsiadła do swojego auta. Zdenerwowana jechała za mężem, czując do siebie nienawiść. Dotarli do rezydencji Cuki i Curra. Ponad dwadzieścia samochodów parkowało już w ogrodzie. Fasadę domu ozdabiał czerwony świetlny napis: „Happy New Year”.

Armando zaparkował i wysiadł. Anna zatrzymała się za nim. Zgasiła światła. Obserwowała, jak wita się z Xescą i jej mężem, którym towarzyszył nauczyciel jogi Cuki oraz jego nowa dziewczyna, młoda, wąła cudzoziemka ubrana w pomarańczowe sari, którą chyba już poznała.

Anna wyciągnęła rękę do stacyjki z zamiarem wyjęcia kluczyków. Pomyślała, że Antonio już na nią czeka w pobliżu ronda. Była na siebie wściekła. Wyrzucała sobie, że jest ciągle tak samo tchórzliwa, jak była przez całe życie. Znów spojrzała na męża. Ze sztucznym uśmiechem gestykułował, usiłując ukryć stan napięcia, o którym oczywiście wszyscy wiedzieli. Armando i Xesca gestem zachęcili Annę, aby wysiadła z samochodu. I wtedy nagle zdała sobie sprawę z fałszywości uśmiechu męża i z cynizmu kryjącego się w geście przyjaciółki.

„W końcu na to zasługujemy, Anno, nie sądzisz?”, zadźwięczały jej w głowie słowa Antonia.

Włączyła wsteczny bieg. Westchnęła i dodała gazu. Koła zabuksowały, skrzyła kierownicę i wyjechała z rezydencji przyjaciół. Antonio czekał od kwadransa. Przyśpieszyła, ile tylko mogła, aż dotarła na plac España. Ujrzała go siedzącego na motocyklu, spoglądał na zegarek. Dała mu znać klaksonem. Podniósł się z uśmiechem. Zaparkowała bmw za motocyklem. Nie gasząc światła, wysiadła z samochodu i zostawiając otwarte drzwi, rzuciła mu się na szyję. Tym razem to ona obsypała go pocałunkami, nie przejmując się, że ktoś może ich zobaczyć.

\* \* \*

– Marino, nie chcę być ojcem. Przykro mi. A tym bardziej dziecka, które nie jest moje – wyrzucił z siebie. – Wiesz, czuję się jak idiota, będąc szczerym, bo wiem, że nie mówimy o tobie, mówimy o Naomi. Ale muszę być z tobą szczerzy. Nie chcę. Nie chcę. Przykro mi.

Marina zadzwoniła do Instytutu Spraw Socjalnych na Majorce, aby dowiedzieć się, jaka jest procedura adopcji międzynarodowej. Podała swoje nazwisko, aby zapisano ją na pierwszą rozmowę informacyjną, która miała się odbyć w połowie stycznia w Palmie.

– Co mam zrobić, zostać tu, na Majorce, i pójść z tobą na rozmowę? Nie będę się z tym dobrze czuł. Nie. Lubię nasze obecne życie, Marino. Lubię swój zawód. Widzę tu sprzeczność z prawidłowym wychowywaniem dziecka. Czy naprawdę wszystko jest już dla ciebie jasne? Zostawisz Lekarzy bez Granic.

Marina przytaknęła. Całkowicie jasne. Podejmując tę decyzję, czuła się pewniej niż kiedykolwiek w życiu. Pewne też było to, że w tej chwili, zamiast spędzać święta na Majorce z przyjaciółmi z Valldemossy i rodziną Mathiasa, wolałaby znajdować się przy Naomi, w tamtym biednym sierocińcu.

Był to pierwszy kryzys w ich związku, trudny do rozwiązania. Tworzyli zgrany zespół. Kochali się. Szanowali. Ale życie wystawiło ich na pierwszą próbę. Po wielu rozmowach zdecydowali, że będą razem, lecz Mathias powróci do zawodu jako współpracownik organizacji pozarządowej, a Marina, jako samotna matka, rozpocznie formalności związane z adopcją tej etiopskiej dziewczynki, która zawdzięczała jej życie.

\* \* \*

Anna otworzyła oczy. Antonio nadal spał, nie przeszkadzało mu ani poranne słońce zagładające do skromnego domku, ani huk fal rozbijających się blisko domu. Przyglądała mu się... zakochana.

Jej torebka leżała na podłodze. Wyjęła komórkę, którą wcześniej wyciszyła. Od męża ani słowa, tylko wiadomość od Anity: „Szczęśliwego Nowego Roku, mamó. Dziękuję, że mi pozwoliłaś pojechać do Niemiec. Uwielbiam ten kraj. Bardzo cię kocham”.

„Bardzo cię kocham”, napisała córka. Nigdy dotąd nie słyszała od niej tych słów; w pierwszym dniu roku dostała cudowny prezent.

Antonio objął ją ramionami.

– Już mi nigdy stąd nie uciekniesz – zagroził jej czule, całując ją po plecach znów podniecony.

– Dziś rządę ja – powiedziała z czułością Anna, odwracając się w jego stronę i całując go w usta. – Dziś zrobimy to powoli, bo tak też lubię.

I tego pierwszego dnia 2011 roku kochali się powoli, pragnąc się nawzajem, tuląc, patrząc sobie w oczy, a ich uczucie z każdą sekundą rosło. Przysięgli sobie wieczną miłość.

Lecz życie nie jest takie, jak tego chcemy, tylko takie, jakie jest. A czasami może być okrutne. To właśnie tego dnia Antonio, pieszcząc piersi Anny, znalazł ziarno śmierci, która zabrała ją rok później.

\* \* \*

Spotkanie informacyjne odbywało się w Instytucie Spraw Socjalnych znajdującym się w tym samym budynku co dział rejestru nieruchomości. Marina weszła zdecydowanym krokiem z dowodem osobistym w ręce i podała go temu samemu strażnikowi z głupawym wyrazem twarzy.

W niewielkim holu oczekiwało nijakie małżeństwo i samotna, tęga kobieta, tak smutna, że wręcz emanowała żalostí. Marina przywitała się krótko. W odpowiedzi usłyszała szmer zbiorowego powitania, ale odpowiadający na pozdrowienie unikali jej wzroku.

Pojawiła się urzędniczka, która przedstawiła się zwięźle i zaprowadziła ich do małej, funkcjonalnej salki z dziesięcioma pojedynczymi pulpitami ustawionymi w kręgu, z białą tablicą, biurkiem i projektorem.

Miała na imię Marta. Była psychologiem i pedagogiem. Od dziesięciu lat pracowała w IMAS, majorkańskim Instytucie Spraw Socjalnych, jako osoba odpowiedzialna za sprawy adopcji. Będzie im towarzyszyć w tym, co, jak uprzedziła w pierwszej minucie swojego wystąpienia, miało być bardzo długą procedurą.

Prelekcję, którą zamierzała wygłosić, powtarzała już prawdopodobnie po raz setny, odkąd została zatrudniona w ratuszu w Palmie. Jasno i zwięźle przedstawiła temat. Podeszła do tablicy, wzięła mazak i napisała:

- *Adopcja międzynarodowa*
- *Adopcja krajowa*
- *Adopcja z zielonym biletem (dzieci specjalnej troski)*

Wytłumaczyła, że są to trzy bardzo różne procedury adopcji, i zapytała ich, jakim rodzajem adopcji są zainteresowani. Nijakie małżeństwo chciało zaadoptować niemowlę za granicą, najlepiej w Chinach, wyjaśniła kobieta. Samotna kobieta oświadczyła, że nie przeszkadza jej przysposobienie dziecka specjalnej troski i że zaadoptowałyby dziecko z zielonym biletem. Marina, nie informując o swojej relacji

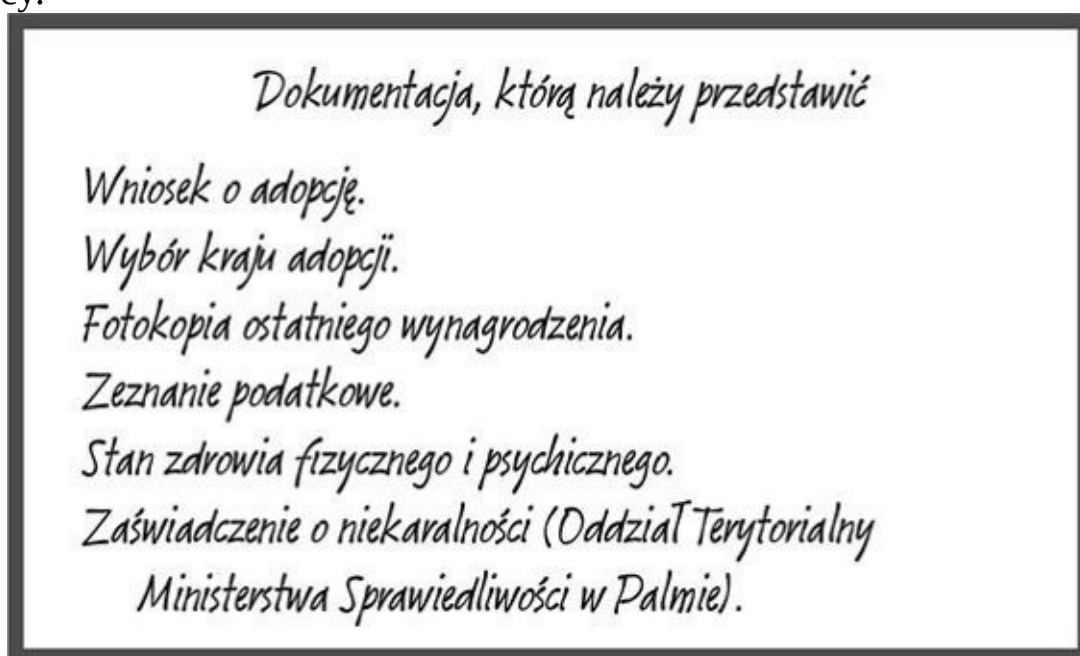
z Naomi, oświadczyła, że chciałyby adoptować dziecko z Etiopii.

– Jeżeli jesteście pewni, że chcecie adoptować w Etiopii lub w Chinach, wpiszcie tylko ten kraj. Ale macie też możliwość wyboru dwóch krajów. Radzę wam wskazać dwa kraje adopcji.

Spojrzała na mężatkę i kontynuowała:

– Rząd chiński boryka się z problemem pokolenia bez kobiet. Chodzi o dziewczynki, które były masowo adoptowane dziesięć lat temu, więc nie jest to już tak łatwe jak dawniej.

Marta poświęciła trochę czasu na omówienie kilku z dwudziestu czterech krajów, z którymi Hiszpania miała umowę o adopcji. Procedura adopcji chińskiego dziecka bardzo się różniła od procedur adopcji dziecka etiopskiego. Wzięła mazak i napisała na tablicy:



Kiedy postawiła ostatnią kropkę, obecni w sali nie kryli zaskoczenia. Nikt jednak nie odważył się pytać; czekali na wyjaśnienia pani psycholog.

Kobieta wyjaśniła po kolei punkty napisane na tablicy. Poinformowała o minimalnych wymogach co do sytuacji finansowej, jakie ustalił rząd hiszpański, aby zezwolić na adopcję: pary bezdzietne musiały zarabiać netto dwadzieścia cztery tysiące euro netto rocznie; pary z jednym dzieckiem – dwadzieścia osiem tysięcy; z dwojgiem dzieci – trzydzieści dwa tysiące; rodziny monoparentalne – osiemnaście tysięcy euro. Marina spełniała warunki. Odetchnęła z ulgą.

Należało wykonać badania ogólnego stanu zdrowia psychicznego i fizycznego. Aby uzyskać zaświadczenie o niekaralności, należało zwrócić się do Oddziału Terytorialnego Ministerstwa Sprawiedliwości i poprosić o formularz 790. Nikt o nic nie pytał. Będą posłuszni i kropka. Skoro trzeba zaświadczyć, że nie jest się przestępcą, to się to robi.



– Kiedy otrzymam od was całą dokumentację, zaczniemy grupowy kurs dla rodziców adoptujących. Potem przejdziemy do szkolenia zindywidualizowanego i przeprowadzimy ostatni wywiad w domu, w którym zamieszka dziecko. Po zakończeniu kursu zostanie wydane świadectwo przydatności do roli rodzica. Cała procedura trwa około dziewięciu miesięcy.

Marta napiła się wody z plastikowej butelki.

– Jeżeli zespół psychospołeczny uzna, że kwalifikujecie się do adopcji... – zawahała się na chwilę, wiedząc, że słowa, które teraz wypowie, będą bardzo bolesne dla czterech siedzących przed nią osób. – Kiedy otrzymacie już świadectwo przydatności... będziecie musieli poczekać od dwóch do dziewięciu lat, aby mieć wasze dziecko w domu.

Marina poczuła mocne ukłucie w serce. Nie spojrzała na żadną z osób, ale była pewna, że wszystkich ogarnął w tym momencie ogromny niepokój. Dwa do dziewięciu lat? To nie miało żadnego sensu. Jeśli miałyby szczęście, Naomi przyjechałaby na Majorkę w 2014 roku. Co przez ten czas będzie się działo z dziewczynką w tym nędznym sierocińcu? Do ukłucia w serce dołączył się żal.

– Muszę być szczerą. Nie mogę was oszukiwać – powiedziała uprzejmie.

Rozdała wszystkim brązowe koperty.

– Znajdziecie tu wniosek i wykaz pozostałych dokumentów, które będą potrzebne jeszcze przed uruchomieniem procedury adopcji.

Za minutę czwarta pożegnała się i szybko wyszła. Za dwadzieścia minut jej biologiczna córka miała wyjść z przedszkola. Pośpiesznie weszła do windy, tak niefortunnie, że wpadła na wychodzącego właśnie strażnika w pomarańczowej kamizelce, który z głupawym wyrazem twarzy popijał kawę z plastikowego kubka. Kawa chlusnęła na kostium Marty, a ona, spojrzawszy na bluzkę i na strażnika morderczym wzrokiem, powiedziała, nie podnosząc głosu:

– *Tu ets imbécil o què? Has vist quina taca m'has fet.* Zgłupiałeś czy co? Widzisz, jaką plamę mi zrobiłeś!

\* \* \*

Usiadła na łóżku i oparła się o poduszki. Otworzyła brązową kopertę i wyjęła z niej stos kartek. W nagłówku pierwszej widniał napis:

## WNIOSEK O ADOPCJĘ MIĘDZYNARODOWĄ

Kraj 1 \_\_\_\_\_

Kraj 2 \_\_\_\_\_

Przypomniała sobie, co powiedziała Marta: „Radzę wam wskazać dwa kraje adopcji”.

Na następnej stronie wymieniono w kolejności alfabetycznej dwadzieścia sześć krajów, z którymi rząd hiszpański podpisał umowę o adopcji: Boliwia, Bułgaria, Brazylia, Chiny, Ekwador, Etiopia, Filipiny, Honduras, Indie, Kazachstan, Kolumbia, Madagaskar, Mali, Meksyk, Nikaragua, Peru, Polska, Republika Dominikańska, Rumunia, Rosja, Salwador, Senegal, Sri Lanka, Tajlandia, Wietnam, Wybrzeże Kości Słoniowej.

Sprawdziła wymagania każdego kraju. Nie wszystkie zezwalały na adopcję samotnym matkom. Jako rodzina monoparentalna mogła adoptować w Rosji, Chinach i Peru. Przerwała czytanie listy. Bo po co? Ona chciała tylko być matką dziewczynki, której pomogła przyjść na świat.

Wzięła długopis i napisała:

## WNIOSEK O ADOPCJĘ MIĘDZYNARODOWĄ

Kraj 1 Etiopia

Kraj 2 X

Na ostatniej kartce wyszczególniono kwoty, które należało przekazać krajom pochodzenia dzieci. Aby zaadoptować dziecko rosyjskie, należało zapłacić rządowi rosyjskiemu trzydzieści tysięcy euro. Za dziecko chińskie – pięć tysięcy. Kraje latynoamerykańskie oscyływały między siedmioma a dziewięcioma tysiącami euro. Marina miała zapłacić Etiopii dziesięć tysięcy. „Tanie-drogie”, te dwa przymiotniki, które zadźwięczały jej w głowie, uznała za nieprzyzwoite, ale tak czy inaczej, twarda rzeczywistość dowodziła, że adopcja rosyjskiego dziecka była trzy razy droższa niż

etiopskiego i sześć razy droższa niż chińskiego.

Skończyła wpisywać dane i włożyła z powrotem kartki do brązowej koperty. Otworzyła szufladę nocnego stolika i położyła ją na notesie i stetoskopie.

Wyciągnęła się na łóżku i przykryła wełnianymi kocami Loli, zgasiła lampkę na stoliku i popatrzyła w okno. Księżyc przesłoniła na chwilę pierzasta chmura. „Od trzech do dziewięciu lat”. A tak łatwo byłoby wsiąść do samolotu do Addis Abeby i za trzy dni trzymać Naomi w ramionach.

\* \* \*

Płytką kompresyjną docisnęła prawą pierś. Silikonowa proteza zaciemniała obraz gruczołu piersiowego. Pielęgniarka podniosła płytkę. Ułożyła ponownie pierś, naciągając ją, jakby chciała wyrwać ją z ciała Anny, i płytka kompresyjna znów się opuściła. Anna poczuła ból.

– Proszę wstrzymać powietrze.

\* \* \*

Marina weszła do Oddziału Terytorialnego Ministerstwa Sprawiedliwości w Palmie. Ośmiu urzędników wpatrzonych w ekrany komputerów uderzało w klawiatury. Tylko jeden właśnie przyjmował klienta. Marina podeszła do policjanta siedzącego za kontuarem.

– Dzień dobry. Przyszłam prosić – bezwiednie ściszyła głos – o zaświadczenie o niekaralności.

– Poproszę pani dowód osobisty.

Marina wyjęła dowód z torebki i podała.

Policjant wystukał coś na klawiaturze komputera. Poczekał i wyjął z dyspensera numerek.

– Proszę poczekać w sali.

Usiadła w poczekalni. Nie minęła chwila, a jej numer wyświetlił się na ekranie. Usiadła przed urzędniczką, której opowiedziała w skrócie swoją historię. Kobieta napisała coś w komputerze i przeczytała w milczeniu.

– Mam tu podane, że mieszkała pani piętnaście lat w Stanach Zjednoczonych.

– Tak.

– A więc musi pani zwrócić się do ambasady amerykańskiej w Madrycie i poprosić o przesłanie nam informacji o pani niekaralności w tamtym okresie. Stąd nie możemy tego zrobić.

\* \* \*

Była sama na zapleczu i usuwała ostatnie ślady mąki. Czuła irytację i złość, naszała ją myśl, że te formalności to absurd. Musiała pojechać do Madrytu. Procedura adopcji jeszcze się nie zaczęła, a już traciła cierpliwość. Do czego służyły te wszystkie dokumenty, których od niej żądano? Nie tylko zaświadczenie o niekaralności, ale i badanie zdrowia psychicznego, któremu miała się poddać, historia chorób, które przeszła, stan konta w euro. Czy pytali o to wszystko spodziewające się dziecka matki? Jako ginekolog mogła zapewnić, że nie raz przyjmowała porody kobiet całkowicie nieprzygotowanych do macierzyństwa. Była to ingerencja w jej intymność; nie była na to gotowa. Nie wyobrażała sobie, do jakiego stopnia Instytut do Spraw Socjalnych wtargnie w jej prywatność, aby zapewnić bezpieczne życie Naomi.

– Jest tu ktoś? – usłyszała od drzwi wejściowych.

– Anna? – odpowiedziała Marina, rozpoznając głos siostry.

Rozmawiały przez telefon drugiego stycznia. Anna zadzwoniła do domu Úrsuli, aby złożyć siostrze życzenia noworoczne. Przez pół godziny opowiadały sobie, co u nich słyhać. Ale tym razem to Marina nie przestawała mówić o swoim przyszłym macierzyństwie i ewentualnych planach urzędzenia się na Majorce.

Anna weszła na zaplecze. Marina podeszła i pocałowała siostrę.

– Anita wróciła?

– Tak. Już planuje, że pojedzie do Berlina na całe lato uczyć się niemieckiego. Wróciła z jakimiś dziwnymi pomysłami, że... chce zostać didżejem i że w Niemczech można studiować realizację dźwięku. Cały dzień mówiła tylko o tym. – Anna uniosła brwi i kontynuowała: – Wyobrażasz sobie, że odważyłybyśmy się powiedzieć mamie, że chcemy studiować, aby zostać didżejami?

– Nie, nie wyobrażam sobie – odrzekła Marina, zauważając, że siostra mówi szybko i dużo.

– Dobrze się czujesz?

– Możemy pójść na górę i porozmawiać?

Anna z przyjemnością znów znalazła się w saloniku. Usiadły na kanapie.

– Opowiadaj – poprosiła zaniepokojona Marina.

Anna wyjęła z torebki klisze badania mammograficznego. Marina rozpoznała je i poczuła, jak ogarnia ją zdenerwowanie.

– Pojutrze robią mi biopsję.

Marina wzięła klisze do ręki i od razu zauważyła biały guz.

– To może być torbiel. Spokojnie. Poczekaj na wyniki – powiedziała.

Spojrzała na starszą siostrę. Zrozumiała, co się kryło za jej słowami, Anna nie musiała nic tłumaczyć... „Jeżeli coś mi będzie, proszę cię, zaopiekuj się mną”. Zawsze tak było. Takie właśnie role odgrywały w tej siostrzanej relacji.

– Może to nic groźnego, Anno. Spokojnie. Poczekaj, co się okaże.

– *Hello!* – w piekarni rozległ się męski głos. Marina spojrzała na zegarek.

– Pięć po drugiej. Nie musimy go obsługiwać.

– *Hello!!! Anyone there? Loula!!! Cata!!!* Tzes, cześć. *Are you there? Loula!!! Cata!!!*

– Chodźmy. Nie ma o czym więcej mówić. Ja go obsłużę. Tęsknię do zawodu piekarki. Zagraniczniki zawsze mnie rozśmieszają.

– No to przychodź dalej, Anno. Nigdy nie mówiłam, żebyś nie przychodziła.

Wstały. Marina objęła siostrę ramieniem.

– Jestem z tobą, czegokolwiek byś potrzebowała. Ale nie martw się, dopóki nie dostaniesz wyników.

– Dziękuję, Marino. – Anna spuściła wzrok.

– *Hello!!! Anyone there? Maruja Doloures!!! Catalaina!!! Houla, houla. Are you there?... Hello!!!*

– Upierdliwy Amerykaniec ze Wschodniego Wybrzeża – stwierdziła Marina, rozpoznając akcent klienta.

Lecz gdy ujrzały Amerykanina, zaniemówiły, zdumione, oszołomione, zaszokowane. Obie jednocześnie się zaczerwieniły.

– Tzes, miłe panie, ja szuka Loula i Catalaina. Nie pracuje tu panie już? – spytał główny bohater *Nagiego instynktu*.

Minęło kilka sekund, zanim zareagowały, bo w tej chwili siostry Vega de Vilallonga miały w głowie obraz tego gościa pożerającego wzrokiem seksowną Sharon Stone, siedzącą w sali przesłuchań na policji i rozchylającą uda.

Anna przełknęła ślinę i na moment zapomniała o mammografii.

– María Dolores nie żyje – odezwała się Marina.

– *I am sorry* – powiedział zaskoczony. – Ja nic nie wiedzieć. Loula była młoda. Jesteście córki Louli? Córki Cataliny?

– Nie, nie jesteśmy ich córkami.

Anna nadal była pod wrażeniem erotycznego mitu swojej młodości. Cała wyspa wiedziała, że Michael Douglas z Diandrą, swoją pierwszą żoną, mieli zwyczaj spędzać wakacje w majorkańskiej rezydencji w S'Estaca. Cała wyspa dowiedziała się o ich polubownym rozwodzie, o pojawieniu się Catherine w życiu Michaela, o jej zazdrości i o zakończeniu dobrych stosunków Michaela ze swoją byłą (co za głupota to dzielenie się letnim domem z byłą żoną). Anna знаła wszystkie plotki, jednak prawie żadnemu Majorkaninowi nie udało się zobaczyć aktora. Nie wiadomo, jak to robił, ale potrafił pozostać niewidocznym podczas miesięcy pobytu w S'Estaca.

– Czym możemy panu służyć? – zebrała się na odwagę Anna.

– Ja chcę *pa moreno...* ja klient i przyjaciel Lola, i trochę chleba *lemon and...* cytrynowy i... Jak się mówi *poppy seeds*? *Oh, yeah...* mak, poproszę – odpowiedział Michael.

Anna chwyciła szczypcę, odwróciła się i wzięła z tacy bochenek *pa moreno*. Marina

wzięła kawałek cytrynowego chlebka. Wymieniły spojrzenia za plecami Michaela, a Anna wyciągnęła język i z miną ni to głupkowatą, ni to sympatyczną się oblizała.

Marina uśmiechnęła się. Odwróciły się do niego i podały mu zawinięte w papier pieczywo.

Michael położył należne dwa euro na ladzie, rozwinął cytrynowy chlebek z makiem i odgryzł kęs. Przeżuwał powoli, szukając smaku zapamiętanego z każdych wakacji spędzanych na Majorce. Patrzący na niego wyczekująco.

– Smak chlebek *lemon* nie być taki sam – stwierdził, odgryzając drugi kęs biszkoptu.

Rzucił im uwodzicielski uśmiech i już w drzwiach, przypomniawszy sobie zdanie swojego kolegi Arnolda Schwarzeneggera w *Terminatorze 2*, rzucił:

– *Hasta la vista, babies.*

\* \* \*

Spróbowała załatwić, żeby ambasada wysłała jej pocztą potrzebne dokumenty, ale jej się to nie udało. Tydzień później poleciała do Madrytu i wylądowała na Barajas, udała się do ambasady na umówioną wizytę z sekretarzem ambasadora. Cały miesiąc stracony w oczekiwaniu na przekłete zaświadczenie amerykańskie potwierdzające, że Marina nie była karana. Przez ten miesiąc zebrała, poza wyciągiem z banku, w którym figurowały roczne dochody i ostatnia pensja, zaświadczenie o posiadanym majątku potwierdzające, że jest właścicielką młyna zbożowego, domu w Valldemossie i lokalu handlowego (piekarni), oraz ostatnie zeznanie podatkowe. Zrobiła badania lekarskie w państwowej przychodni zdrowia i odbyła wizytę w Son Dureta u psychiatry wskazanego przez IMAS, aby zaświadczył, że jest osobą zrównoważoną psychicznie.

Po miesiącu udało jej się zebrać wszystkie dokumenty. Włożyła je do tej samej brązowej koperty, którą otrzymała od urzędniczki podczas spotkania pierwszego dnia, i zaniósła do Consell Balear, siedziby rządu Balearów.

Teraz pozostało tylko czekać.

Od: marinavega@gmail.com

Data: Styczeń 27, 2011

Do: mathiaschneider@gmail.com

Cześć, Mathiasie

Piszę na komputerze w domu! W zeszłym tygodniu pojechałam z żoną Gabriela do śródmieścia i kupiliśmy wielki komputer stacjonarny, a dziś rano przyszli ci z Telefoniki... + (34) 971 456723. Proszę cię, zadzwoń, jak tylko będziesz mógł.

Jak się czujesz? Opowiedz mi o projekcie w Palestynie. Czy Ona i Aritz nadal są z tobą? Tu wszystko bez zmian. A to *pa moreno*, a to cytryny, a to mak... Úrsula i nasze spacerki. Niebla coraz mniej widzi, wczoraj bidula wpadła na latarnię, chyba muszę z nią pojechać do weterynarza.

Nie wiem, czemu, Mathiasie... Czuję, że jesteś ode mnie daleko. Dalej niż kiedykolwiek. Czas dłuży mi się w nieskończoność na myśl, że muszę na ciebie czekać aż do lipca.

I love you

\* \* \*

Anna usiadła i spoglądała na morze. Był zachód słońca. Siedziała sama. Niecałą godzinę temu onkolog potwierdziła złe wyniki biopsji. Silny wiatr zwiewał jej włosy na twarz. Odgarnęła je za uszy. Przeszedł ją dreszcz. Otuliła się kardiganem i zapatrzyła w fale, które tworzył wiatr na powierzchni morza.

Zadzwoniła komórka. Włożyła rękę do torebki, wyjęła telefon i przeczytała imię Antonia na ekranie. Nie odebrała.

W myślach ujrzała swoją piętnastoletnią córkę. Wyobraziła sobie, jak wyglądałoby codzienne życie Armanda i Anity bez niej. Ujrzała ich jedzących kolację ze spuszczonej głowami, prawie się do siebie nieodzywających. Pomyślała, że teściowa w końcu zamieszka w jej domu i będą co noc jedli kolację we troje. Ten wymyślony obraz napełnił ją niepokojem. Wystarczająco długo znosiła teściową i nie zgodzi się, żeby była przy jej córce. Nie może do tego dopuścić.

Przyszło jej do głowy, że jest jeszcze gorsza możliwość. A jeśli Armando po jej śmierci zdecyduje się sprzedać dom, aby zmniejszyć, jak tego pragnął, część długu? Wynajęliby mieszkanie? Nie, Armando nie przeniósłby się z nastoletnią córką do mieszkania. Nie wiedziałby, do czego się najpierw zabrać. Ta opcja odpadała. Było jasne, że jeśli Armando kiedykolwiek sprzeda dom, Anita zamieszka u babki, a on czort wie gdzie... Albo zamieszkaliby w końcu razem w domu teściowej. Była coraz bardziej niespokojna, myśląc o przyszłości córki. Odetchnęła głęboko. Raka można wyleczyć, Anno. Wyluzuj. Weź oddech. Poczekaj.

Na co czekać, Anno? Aż umrzesz? Żyłas życiem, które wybrali za ciebie inni. Życiem, którego chciała dla ciebie twoja matka, Ana de Vilallonga. Życiem, którego chciał twój mąż, Armando García. Życiem, którego chciała twoja teściowa. Jaką decyzję, tak naprawdę, podjęłaś sama?

Podczas tego karania się za to wszystko, czego nie zrobiła, mając prawie pięćdziesiąt lat i raka, który jej odbierał życie, wreszcie zrozumiała, co powinna zrobić.

\* \* \*

– Szanuję pochodzenie adoptowanego dziecka. Rodzinę, z której pochodzi. Kulturę jego kraju. Szanuję rasę – powtarzała jak litanie Marta.

Marina westchnęła, słuchając urzędniczki.

– Naszym priorytetem są dzieci, a nie wy. Adopcja nie może oznaczać wypełnienia pustki w waszym życiu. Wiem, że wszyscy pragniecie być rodzicami, ale na pierwszym

miejscu jest dziecko, które potrzebuje odpowiedniej rodziny i ma wyrosnąć na zdrowego człowieka.

Marta napiła się kawy z plastikowego kubka. Niewiele spała tej nocy. Jej córka miała ostre zapalenie oskrzeli.

– Choćby nie wiem co się wydarzyło, są waszymi dziećmi na resztę życia. Na całe życie – powtórzyła kategorycznie. – A mimo to zwracają nam dzieci. Częściej, niż myślicie – dodała, usprawiedliwiając ton swojego głosu. – Choćby nie wiem co się wydarzyło, to wasze dziecko, więc musimy być pewni, że potraficie się nim opiekować.

Cztery osoby słuchały ni to urażone, ni to zirytowane. Żadna z nich nie wierzyła, że mogłaby oddać dziecko. Marta, jakby czytając w ich myślach, mówiła dalej:

– Czasem miałoby się ochotę oddać rodzzonego nastolatka, ale się nie oddaje... więc zaadoptowanego też nie. A jednak to się zdarza. Zwłaszcza kiedy dzieci są w wieku dojrzewania. Przyprawiają nas je tutaj, do tego budynku. Ostatnim razem adopcyjny ojciec usprawiedliwiał się: „Bo daliście mi złe”, a my daliśmy mu dziecko mające wówczas trzy lata. To rosyjski chłopiec, teraz mieszka w domu dziecka. To ja wystawiłam tej parze świadectwo przydatności.

Marina odniosła wrażenie, że psycholożka chciała ich przestraszyć tu, w tej zimnej sali IMAS-u, spowodować, aby zwątpili w swoje szlachetne pragnienie. Każde zdanie tej kobiety w jakiś sposób raniło.

Po prelekcji wyświetliła film dokumentalny, w którym dorośli, kiedyś zaadoptowani, opowiadali o własnych przeżyciach związanych z procesem adopcji. Większość bez problemu mówiła o swojej kondycji dzieci adoptowanych. Inni zarzucali rodzicom dosyć obojętny stosunek do ich krajów pochodzenia. Marina z zainteresowaniem wysłuchiwała relacji wszystkich bohaterów filmu. W szczególności jej uwagę zwróciła pewna niechęć rozmówców wobec faktu, że musieli czuć się dożgonnie wdzięczni rodzicom za to, że zostali przez nich zaadoptowani. Wszyscy odczuwali ten ciężar. Jedna z adoptowanych kobiet podsumowała: „Czy dzieci biologiczne też czują wdzięczność za to, że ich rodzice opiekowali się nimi? Czy muszą im codziennie, po wsze czasy, dziękować za to, że dali im życie?”.

Wysłała ze spotkania z naręczem książek wystarczających na cały rok. Napisane przez kobiety z całego świata, matki adoptujące, które przeszły procedurę i opisały swoje doświadczenia, a także przez dorosłych adoptowanych. Marinę zainteresował komiks zatytułowany *Piel color miel* <sup>16</sup>. Była to autobiografia rysownika, Koreańczyka z Korei Południowej zaadoptowanego przez belgijską rodzinę w latach siedemdziesiątych. Marina przeczytała książkę w jedną noc. Pierwszy komiks, który kupiła w życiu. Nigdy nie sądziła, że książka w formie rysunków jest w stanie tak bardzo ją poruszyć. Była piąta rano. Zgasiła światło i przypomniała sobie słowa Laury, kiedy ta położyła jej rękę na swoim brzuchu wiele lat temu: „Potrafisz kochać dziecko.



Nigdy w to nie wątp”.

\* \* \*

– Za kilka tygodni zaczynam chemioterapię – powiedziała pewnym głosem Anna do Cuki.

– Jak to? – spytała zaskoczona przyjaciółka.

– Mam raka piersi – poinformowała zimno.

Cuca chwyciła ją odruchowo za rękę.

– Nie proszę cię o współczucie, tylko o pomoc.

– Oczywiście, Anno. Pomogę ci, w czym tylko zechcesz – odpowiedziała pośpiesznie Cuca.

– Muszę sprzedać dom. Znaleźć kupca. Najlepszego, i wiem, że twój mąż wie, jak się to robi.

– Ale... Anno... co na to powie Armando?

– To, co powie Armando, jest mi w tym momencie całkiem obojętne. I proszę cię, żebyś mu nie mówiła o naszej rozmowie. To sprawa między tobą a mną. Dobrze?

– Dobrze.

– Spójrz mi w oczy i powiedz, że potrafisz dochować tajemnicy.

– Daję ci słowo – odrzekła szczerze Cuca. – Ale... gdzie masz zamiar mieszkać i...?

– Za pieniądze, które dostanę, kupię mieszkanie, osiemdziesiąt metrów, nie potrzebuję więcej, w centrum Palmy. Jasne i z widokiem na morze. Trzypokojowe. To, co zostanie po kupnie mieszkania, wpłacę do banku na konto córki, do którego będzie upoważniona tylko moja siostra, do ukończenia przez Anitę osiemnastu lat. Powiedz mi, czego potrzebuje Curro.

Cuca była wstrząśnięta, musiała przetrwać informacje usłyszane od przyjaciółki, którą znała od blisko czterdziestu lat, a która w tej chwili wydała jej się najbardziej opanowaną i zorganizowaną kobietą, jaką kiedykolwiek znała.

– Zdjęcia domu i wycena banku. Masz to?

– Dziś wyślę ci zdjęcia. Ale papiery są na pewno w sejfie Armanda.

– Nie przejmuj się. Curro musi mieć kopie. Poszukam u niego w gabinecie.

– Nie zacznę chemioterapii, dopóki nie sprzedam domu i nie będę miała mieszkania dla córki i dla siebie. Nie wiem, czy mogę uważać cię za przyjaciółkę, Cuco... ale teraz potrzebuję twojej pomocy. Zrób to dla mnie, w imię naszej długoletniej znajomości.

– Anno, pomogę ci we wszystkim, czego będziesz potrzebowała. Możesz na mnie liczyć. Tylko... proszę cię, nie denerwuj się, rak piersi jest uleczalny.

Anna wstała z krzesła w barze, w którym się spotkały, położyła na stoliku pięć euro

za napoje i odpowiedziała:

– Mam nadzieję.

Do: marinavega@gmail.com

Data: Luty 15, 2011

Do: mathiaschneider@gmail.com

Cześć, Mathiasie

Nie wiem, czy przeczytałeś mój e-mail. Laura mówi, że połączenie z Palestyną jest bardzo trudne, ale że u was wszystko w porządku. Proszę cię, napisz do mnie albo zadzwoń przez Thurayę. Muszę wiedzieć, co się z tobą dzieje.

Pod koniec marca kończy się szkolenie. Będę miała dwa tygodnie, zanim zaczną się indywidualne rozmowy z psycholożką. Polecę do Etiopii zobaczyć Naomi.

Zawsze kochająca

Marina

Cuca stanęła na wysokości zadania. Podeszła do sprawy bardzo osobiście i użyła wszystkich kontaktów męża, aby znaleźć najlepszego kupca. Curro wiedział o kilku Niemcach, którzy mogli być zainteresowani, ale Cuca mierzyła wysoko i zrezygnowała z niemieckiego rynku, na którym kupujący już się nauczyli targować, i skoncentrowała się na rynku rosyjskim. Nie minęły dwa tygodnie, jak znalazła niejakiego Dmitrija Bułgakowa, który figurował na osiemdziesiątym drugim miejscu listy „Forbesa”. Poza tym, że kupił jedną z europejskich drużyn piłki nożnej, zarabiał miliony na wątpliwej jakości produkcie farmaceutycznym. Żona Dmitrija miała przylecieć na wyspę, aby obejrzeć dom, i gdyby jej się spodobał, wpłaciłaby od razu zaliczkę.

Cuca była specyficzną przyjaciółką, ale jednak nią była.

Teraz czekał Annę następny krok: rozmowa z mężem. Anita stała już w drzwiach i wybierała się do szkoły, kiedy Anna objęła ją i powiedziała, jak bardzo jest z niej dumna. Córka spojrzała na matkę ze zdziwieniem, włożyła kask, wsiadła na vespino i ruszyła. Anna patrzyła na oddalającą się Anitę, a gdy ta zniknęła, zamknęła za sobą drzwi. Rozejrzała się po swoim domu – swojej szklanej kuli. Westchnęła. Rozmowa, która ją czekała, nie była łatwa.

Opróżniła popielniczkę pełną petów po wypalonych nerwowo papierosach. Rozsunęła zasłony, aby wpadło słońce. Popatrzyła na siebie i Armanda na ślubnym zdjęciu, jakby patrzyła na nieznajomych.

Usłyszała, że mąż schodzi po schodach. Odwróciła się w jego stronę.

– Witam – powiedział Armando chłodno.

– Dzień dobry. Czy mógłbyś przyjść tu na chwilę? Musimy porozmawiać.

– Zrobię sobie kawę.

Zniknął w kuchni. Anna usiadła na kanapie i czekając, aż wróci, myślała z lękiem, co za chwilę nastąpi. Musi mówić zwięźle i bez owijania w bawełnę. Pojawił się Armando, pijąc kawę z malutkiej filiżanki. Usiadł obok niej na kanapie.

– Słucham cię – odezwał się, zapalając marlboro. – Dlaczego rozsunęłaś zasłony?

Wpada słońce.

Anna nabrała powietrza i wyrzuciła z siebie:

– Chcę rozwodu.

– Słucham?

– Chcę rozwodu, Armandzie – powtórzyła ciszej.

Armando uśmiechnął się ironicznie. Minęła chwila, nim odpowiedział.

– Wszystkie jesteście takie same. Władza. Do tego wszystko się sprowadza. Kiedy mężczyzna przestaje mieć władzę, już nic nie jest wart.

– Co ty mówisz? – przerwała mu.

– Co mówię? Prawdę. Kiedy macie dobre hotele, dobre jedzenie, przejażdżki jachtem, kartę kredytową, mowy nie ma o rozwodzie. A teraz, kiedy wszystko straciłem i nie mam gdzie się podziać, wynocha. Tak, wszystkie jesteście takie same – powiedział do siebie, przypominając sobie młodą panamską kochankę, która oskubała go do ostatniego euro, a wtedy bezceremonialnie wykopała. – Wszystkie takie same. – I szeptem dokończył: – Kurwy.

– Armandzie, nasz związek skończył się wiele lat temu.

– No to posłuchaj, moja kochana, ja rozwodu nie chcę – odparł z wściekłością.

– Nie możesz się sprzeciwić.

– Owszem, mogę. Jeśli chcesz wojny, będziesz ją miała. Nie pójdzie ci tak łatwo. To nasze wspólne miejsce zamieszkania. Jest tak samo twoje, jak i moje – oświadczył, rozgniatając niedopałek w popielniczce. Wstał, uznawszy rozmowę za skończoną.

Nie dając żonie dojść do słowa, ruszył w stronę schodów. Rozwścieczona Anna patrzyła za nim z kanapy.

– Armandzie.

– Daj mi spokój.

– Proszę cię, spójrz na mnie.

Odwrócił się do żony, patrząc na nią z pogardą. Nie znosiła tego spojrzenia, które tak dobrze знаła. Wiedziała, że chodzi mu o to, żeby się poczuła malutka. Nie oczekując od niego ani odrobiny współczucia, z powagą powiedziała:

– Mam raka.

\* \* \*

– Co za idiotka z ciebie – powiedziała Imelda surowo, kiedy wysiadła na lotnisku Ninoy Aquino w Manili i ujrzała wystający brzuch córki.

Córka ukrywała przed nią ciążę. Nie dlatego, że miała zostać samotną matką. Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży, wzięła dyskretny ślub z młodym człowiekiem, którego kochała, ojcem swojego dziecka. Był obwoźnym sprzedawcą; spędzał popołudnia, rozwożąc na rowerze bułeczki *pan de sal* po dzielnicach Manili.

Nie po to Imelda poświęciła czternaście lat na pracę w Hiszpanii. Nie. Nie po to, aby nadal żyć w tym szambie, gdzie się urodziły. W tym osiedlu ruder z azbestu i plastiku, gdzie mieszkali ludzie spoza nawiasu społeczeństwa. Imelda miała lepsze plany dla córki. Marzyła o życiu z dala od dzielnicy, z której pochodziła cała jej rodzina. Poświęciła macierzyństwo, aby móc zobaczyć córkę na uniwersytecie w Manili, jak staje się kobietą, którą ona nie miała szansy zostać.

Lecz życie nie jest takie, jak chcemy, żeby było, tylko takie, jakie jest. Były to plany Imeldy, a nie plany córki. Zakochała się w tym dobrodusznym sprzedawcy bułeczek i wystarczało jej życie, jakie miała. Istniało jednak coś, co dla córki Imeldy było oczywiste i za co powinna być matce wdzięczna: nigdy nie porzuci córki, którą nosiła pod sercem, tak jak to zrobiła Imelda. Bo w odczuciu córki Imeldy matka ją porzuciła. Dlatego wolała żywić córeczkę bułkami *pan de sal* i surowymi jajkami przez całe życie niż zostawić czteroletnie dziecko bez właściwej opieki, bo nawet opieka własnej babki nie zastąpi matki.

Imelda klęczała na brzegu rzeki Pasig, piorąc ubranka swojej przyszłej wnuczki. Ubranka, które nosiła jej córka, kiedy była niemowlęciem, przechowywane w plastikowym pudełku w domku z cegły i azbestu, gdzie mieszkali. Nie było jej łatwo przyzwyczać się od nowa do życia na Filipinach. Nie chodziło tylko o wygody, które straciła. W domu swoich państwa miała własny pokój, łazienkę z gorącą wodą, telewizor, własną przestrzeń. Teraz mieszkała w jednym pokoju z matką. Córka z mężem zajmowali drugi pokój. Niestety bardzo szybko Imelda zdała sobie sprawę, że córka wcale jej nie potrzebuje. Zostawiła czteroletnie dziecko. Wróciła po czternastu latach. Czego się spodziewała? Córka z niczym się do niej nie zwracała, zawsze prosiła o radę babcię, która ją wychowała. Czasem Imelda czuła, że przeszkadza.

Spojrzała na zegarek, który sobie kupiła u Pakistańczyka na Majorce. Wzięła pod uwagę, że w Hiszpanii było sześć godzin wcześniej. W tym momencie pani powinna być sama w domu. Do tej pory państwo nie zapłacili jej trzech zaległych pensji. Ze dwa razy rozmawiała z panem Armandem, który obiecywał zrobić przelew, ale minął już prawie rok, a jeszcze tego nie zrobił. Oby to pani Anna odebrała telefon.

Wyjęła ubranka, rozwiesiła je na sznurze wiszącym na ścianie domu i poszła do Kawali Manila Bar znajdującego się w centrum dzielnicy. Tam przychodziły listy dla wszystkich sąsiadów i można było telefonować.

- Proszę pani!
- Imelda?!
- Jak się pani czuje, proszę pani?
- Dobrze, Imeldo, a ty?
- Bardzo dobrze, proszę pani. Nie mogę długo rozmawiać, to drogo kosztuje.
- Słucham, Imeldo.
- Pani mąż jeszcze mi nie zapłacił.

– Jak to? Mnie powiedział, że zapłacił.

Podczas ostatniej podróży do Szwajcarii miał zamiar nadać przekaz pocztowy do Manili, podejmując pieniądze z HSBC.

– Zajmę się tym, Imeldo. Przepraszam.

– Tak, bardzo panią proszę. Moja wnuczka urodzi się w tym miesiącu. Chciałabym, żeby urodziła się w szpitalu, a nie w domu. Poza tym ultrasonografia kosztuje tysiąc dolarów, proszę pani.

– Proszę się nie martwić. Jeszcze dziś to zrobię.

– Dziękuję pani.

– Nie ma za co, Imeldo. Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku.

Nie wiadomo dlaczego Anna poczuła, że głos jej się załamuje. Miała ochotę rozpłakać się przy tej Azjatce, która przez tyle lat dotrzymywała jej towarzystwa.

– Dbaj o siebie, Imeldo – powiedziała drżącym głosem na pożegnanie.

– Pani też, proszę pani... Proszę pani!

– Słucham.

Sama nie wiedziała, dlaczego wypowiedziała te słowa, ale tkwiły one w jej podświadomości od powrotu do rodzinnego miasta, od pierwszych miesięcy.

– Gdyby pani słyszała o jakiejś znajomej, która potrzebowałaby pomocy domowej na stałe, to proszę do mnie zadzwonić. Moja córka już jest dorosła. I ma tu dobrą opiekę.

\* \* \*

Anna pojechała po Antonia do S'Estaca. Przez cały tydzień nie odpowiadała na jego telefony. „Zadzwoń, jak tylko będę mogła”, napisała mu SMS. Kiedy otworzyła drzwi, chwycił ją w ramiona zdesperowany.

– Więcej mi tego nie rób, Anno. Nie rób mi tego – powiedział, nie zwalniając uścisku, a z oczu popłynęły mu łzy.

– Przykro mi – odpowiedziała. – Ale nie płacz, głuptasie – dodała, ocierając mu łzy.

– A ja myślałam, że nie umiesz płakać.

Antonio roześmiał się i przeprosił. Sam nie spodziewał się takiej reakcji na widok tej kobiety, którą znów pokochał, tak jak w młodości.

– I nie uśmiercaj mnie jeszcze, bo może się wyleczę.

– Jasne, że się wyleczysz. Tylko że od siedmiu dni nic o tobie nie wiedziałem. Nie rób mi tego więcej.

Anna pocałowała go w usta, jednocześnie myśląc: Jak to przyjemnie, kiedy mężczyzna kocha naprawdę.

– Zabierz mnie na spacer motocyklem. Do najładniejszego miejsca. Gdzie zechcesz...

Wsiedli na motocykl. Postanowili nie wkładać kasków, aby nacieszyć się wiatrem, słońcem, morzem, jadąc powoli serpentynami wzdłuż wybrzeża. Anna przytuliła się do Antonia i objęła go ramionami.

Dotarli do klifu Sa Foradada, tego samego, na którym siedzieli przed trzydziestoma laty, wędrując palcem po mapie. Zsiedli z motocykla i wzięli się za ręce. Oboje wiedzieli, gdzie chcą usiąść. Ruszyli przed siebie, aż dotarli do najbardziej odległego krańca klifu, do urwiska. Tylko oni. Usiedli na urwisku wpadającym do morza z nogami zwieszonymi w dół. Anna głaskała go po dłoni, bawiąc się jego palcami. On objął ją i całował po włosach. Oparła głowę na jego ramieniu.

– W przyszłe lato, kiedy będę już zdrowa, chciałabym, jeśli zechcesz, pojechać z tobą w podróż. Na miesiąc. Sami.

– Naprawdę? – zdziwił się.

– Tak. Naprawdę. Możemy pojechać na Dominikanę. Odwiedzimy twoją córkę, a potem wyruszymy sami, żeby zwiedzić wyspę... i przeskoczyć na Kubę. Mam taką ochotę poznać Kubę.

– Tylko żebyś się potem nie wycofała. Wiesz, że traktuję te sprawy poważnie.

– Nie. Przysięgam, że tym razem nie...

Antonio przerwał jej pocałunkiem.

– Jeszcze tylko jedno – rzekła.

– Widzisz, już się zaczynają warunki.

– Ja polecę samolotem. Jeśli ty chcesz płynąć statkiem, poczekam na ciebie na miejscu.

– Zobaczymy, może będzie lepiej, jeśli polecę miesiąc wcześniej, wtedy będziemy mieli pieniądze na nasze wydatki.

Całował ją raz po raz, ciągle wyznając jej miłość.

Siedzieli ponad godzinę nad morzem. Antonio opisywał z entuzjazmem miejsca, które mieli zwiedzić: plażę Bayahibe, plażę Macao, Zatokę Orłów...

Kiedy zapadła noc, wrócili do domu Antonia. Anna nie musiała nic mówić, kochał się z nią tak, jak lubiła, powoli, patrząc jej w oczy, po raz ostatni.

Od: mathiaschneider@gmail.com

Data: Luty 17, 2011

Do: marinavega@gmail.com

Cześć, Marino

Nie mogłem przeczytać twoich e-maili. Przepraszam. Był atak sił izraelskich. Thuraya często się zawiesza i nie pozwala na połączenie dłuższe niż trzydzieści sekund.

Jestem zdezorientowany, Marino. Tęsknię za tobą, ale też czuję, że jesteś daleko ode mnie. To była decyzja, którą podjęłaś jednostronnie. Wiem, że omówiliśmy całą sprawę i zdecydowaliśmy, że ty zaadoptujesz sama, ale nadal będziemy parą. Jednak kiedy tu przyjechałem, uświadomiłem sobie, że nie jestem tego pewny, Marino. Bo tęsknię za tobą i chcę, żebyś brała udział w projektach ze mną. I żebyśmy nadal pracowali razem, tak jak do tej pory. A nie widując się trzy razy do roku. Proszę cię, zastanów się dobrze. W czerwcu będę na Majorce i porozmawiamy o tym

spokojnie.  
Dbaj o siebie  
Mathias

„Dbaj o siebie”. Nie spodobały jej się te słowa.

Nie odpowiedziawszy, wyłączyła komputer i poszła na górę do sypialni. Położyła się na łóżku i wzięła zdjęcie, które im zrobił Kaleb w sierocińcu kilka dni przed powrotem. Opuszkami palców dotknęła szkła na wysokości twarzy Mathiasa, a potem Naomi.

\* \* \*

Genetyka adoptowanego dziecka, niepewność co do chorób typowych dla tego nieznanego kodu genetycznego, psychiczne konsekwencje opuszczenia, problemy związane z wczesną więzią uczuciową, rezyliencja, nabyte negatywne nawyki, ADHD, impulsywność, niska samoocena, trudności z integracją w środowiskach zinstytucjonalizowanych, dezorientacja i poczucie rodziców adopcyjnych, że sytuacja ich przerasta, konflikty w związku etc. etc. Pod koniec marca, kiedy intensywne grupowe szkolenie przyszłych rodzin adopcyjnych dobiegło końca, wszystkim pękały głowy.

Czworo przyszłych rodziców adopcyjnych zjeżdżało razem windą w IMAS-ie. Jedyńy wśród nich mężczyzna odważył się odezwać: „Nie wiem, jak wy, ale ja na widok tej pani psycholog mam pietra”.

Marina pietra nie miała, chciała tylko jak najszybciej wyjść ze schludnego rządowego budynku i polecieć do chaotycznej stolicy Etiopii.

\* \* \*

Kaleb zawiózł ją prosto do sierocińca. Jak tylko weszła, zobaczyła Naomi w żelaznym łóżeczku, ze wzrokiem utkwionym w to samo miejsce co zawsze, w słońce wpadające przez drzwi sierocińca.

– Wybacz mi, kochanie... Wybacz mi – powiedziała do dziecka Marina, biorąc ją na rękę. – Przez dwa tygodnie nie ruszę się stąd.

Miała już umówione spotkanie z etiopskim urzędnikiem. Z Naomi na kolanach usiadła u niego w gabinecie. Ledwo mówił po angielsku, ale Kaleb pomógł im się porozumieć. Urzędnik poinformował ją, że świadectwo przydatności musi złożyć w Ministerstwie Spraw Kobiet w Addis Abebie, a kopię dostarczyć jemu. Następnie będzie musiała zatrudnić etiopskiego adwokata, aby ją reprezentował podczas rozprawy, która odbędzie się za kilka miesięcy.

– Ale czy nie oddadzą jej innej rodzinie?

– Nie. To ja podpisuję adopcje międzynarodowe. Wszystko przechodzi przez moje ręce.

Marina powiedziała mu, że zna etiopskich adwokatów, którzy prowadzą wszelkie sprawy Lekarzy bez Granic, ale urzędnik zaproponował jej prawników wyspecjalizowanych w kwestiach adopcji międzynarodowych. Wiedziała, jak się załatwia sprawy w kraju afrykańskim, więc bez wahania zaakceptowała adwokata poleconego przez urzędnika.

Zamieszkała w praktycznym dwugwiazdkowym hotelu w pobliżu sierocińca. Wstawiała codziennie o siódmej rano, żeby nakarmić Naomi, i zostawała z nią przez cały dzień. Wraz z upływem dni ta długa procedura adopcji, której musiała się podporządkować, wydawała jej się coraz bardziej bezsensowna.

Czternaście dni minęło szybko. Kaleb miał ją zabrać bezpośrednio z sierocińca. Jej samolot startował o dziewiątej wieczorem. Zostawi Naomi śpiącą w łóżeczku i pojedą na lotnisko. Pocałowała dziewczynkę w policzek, serce jej pękało z żalu, że musi ją opuścić w ten sposób. Naomi będzie na nią czekać następnego dnia, a miną miesiące, zanim Marina wróci.

Wsiadła do samochodu, czując głęboki smutek. Kaleb zamknął drzwi jeepa. W tym momencie urzędnik zastukał w okno. Kaleb wysiadł. Urzędnik pożegnał się z Mariną po angielsku i zwrócił się po amharsku do Kaleba, który wysłuchał go uważnie i odpowiedział. Marina nie rozumiała ani słowa z tego, o czym ci dwaj Etiopczycy mówili, ale z tonu głosu domyśliła się, że się kłócili. Kaleb pytał o coś gniewnie, a urzędnik odpowiadał stanowczo i twardo. Pożegnali się. Kaleb włożył bez słowa kluczyk do stacyjki z jeszcze poważniejszym wyrazem twarzy niż zwykle. Przyśpieszył.

– Coś się stało?

Zawstydzony, nie patrząc jej w oczy, odpowiedział:

– Chce dziesięć tysięcy euro.

\* \* \*

Rosjanka zachwyciła się rokokowym wystrojem rezydencji. Zamierzała położyć dywan ze skóry lamparta, pasujący do szezlongu, i postawić wielkie, dziwaczne rzeźby, które zostaną przywiezione ciężarówką z Moskwy.

Był tylko jeden przedmiot, który Anna chciała zabrać z domu. Kufer ojca. Dla siostry. Wiedziała, że Marina jest przywiązana do tego starego grata pełnego wspomnień. Sprawi jej przyjemność, że będzie go miała u siebie w Valldemossie. Korzystając z wyjazdu Armanda do Szwajcarii, zadzwoniła do Antonia, który natychmiast pożyczył furgonetkę od kolegi i podjechał pod okazały dom Anny. We dwoje załadowali kufer i bez zapowiedzi pojawili się w piekarni.

Marina pakowała cytrynowy chlebek. Jeden dla wdowy, drugi dla proboszcza, bo



od jej urodzin codziennie rano przychodzili razem po pieczywo.

– Anna!

– Cześć, Marino.

Proboszcz i wdowa wyszli, komentując:

– *Massa llimona? Si, massa.* Za dużo cytryny? Tak, za dużo.

– Pamiętasz Antonia? – spytała Anna. – Z S'Estaca.

Marina natychmiast go poznała.

– Jasne, że pamiętam. Jak się masz? Poznaliśmy się ze trzydzieści lat temu.

Pierwszego stycznia, prawda?

– Nie zmieniałaś się – przywitał się Antonio, całując ją w oba policzki.

– Chodź. – Anna wzięła siostrę za rękę i wyszła z piekarni.

Antonio otworzył bagażnik furgonetki.

– Gdzie go mamy wstawić?

To dziwne, jak może do głębi poruszyć widok zwykłego przedmiotu. Nie otwierając go, Marina zobaczyła w wyobraźni bransoletkę z muszelek, rozgwiazdę z zatoczki Ratjada, metalową skrzynkę z nieostrymi zdjęciami z jej dzieciństwa... Poczowała radość i nostalgię, widząc znów ten stary kufer ukochanego ojca.

– Będzie ładnie wyglądał w mojej sypialni, w nogach łóżka – powiedziała, obejmując siostrę ramieniem i szepcząc jej podziękowania do ucha.

Był bardzo ciężki i za szeroki, aby go wnieść po schodach. Antonio musiał zadzwonić po swojego kolegę motocyklistę, miejscowego policjanta, żeby mu pomógł. Policjant pożyczył wózek w barze Tomeu i postawiwszy na nim pionowo kufer, udało się im wnieść go na drugie piętro.

Gdy już stanął na górze, Anna poprosiła Antonia, aby ją zostawił sam na sam z Mariną. Poszli więc z policjantem do baru napić się piwa z Tomeu.

– A więc już po wszystkim, sprzedałaś go? – spytała Marina.

Anna przytaknęła i spuściła wzrok.

– To nowotwór złośliwy, ma pięć centymetrów. Trzeba go zmniejszyć.

– Anno, od kiedy to wiesz?!

– Od miesiąca... ale wiedziałam, że chcesz polecieć do Etiopii do tej dziewczynki, i nie chciałam ci w tym przeszkodzić.

– Anno, powinnaś była powiedzieć mi to od razu.

– Myślisz, że wyzdrowieję?

– Jasne – odparła, obejmując siostrę, i ze ściśniętym sercem pomyślała, że ich matka zmarła na tę samą chorobę.

\* \* \*

Anna wyszła z baru i pojechała po Antonia do baru Tomeu. Miała ochotę się przejść,

więc podjechali furgonetką na plażę Es Trenc. Zdjęli buty i spacerowali boso po płycznach, bawiąc się krystaliczną wodą tej rajskiej plaży na południu wyspy. Antonio mówił spokojnie. To oczywiste, że będzie przy niej podczas tego całego procesu. W weekendy, kiedy Anita pojedzie do ojca, on będzie prznosił się do niej, do jej nowego mieszkania. Anna słuchała, nie przeciwstawiając się tym planom. Przytakiwała bez słowa, przerażona tym, co ją czeka.

Tego wieczoru weszła do pokoju córki. Wytłumaczyła jej delikatnie, nie dramatyzując, że wykryto u niej guz w piersi i należy go usunąć. Nie używała słowa „rak”, ale Anita odczytała prawdę między wierszami. Matka powiedziała jej o rozwodzie i o tym, że pozostawia Anicie możliwość wyboru, z kim chce zamieszkać. Na razie Armando miał się przenieść do swojej matki. Ona sama znalazła już nabywcę na dom i poszuka mieszkania w centrum Palmy. Anita objęła ją szczerze, z całych sił. Oczywiście, że zamieszka z nią.

Przez cały tydzień Anita opuszczała pierwsze lekcje (religia) i razem z matką oglądały mieszkania. Obejrzały osiem, aż weszły do mieszkania na poddaszu z widokiem na morze w dzielnicy La Llotja. Na suficie były drewniane belki, światło odbijało się od świeżo pomalowanych na biało ścian. Spojrzały na siebie i zdecydowały się bez słowa. W weekend pojechały do Ikei w poszukiwaniu mebli. Anita, która po powrocie z Niemiec ciągle oglądała seriale, poprosiła matkę o dobry telewizor plazmowy i nowe DVD. Po trzech dniach ich nowy dom był urządony. Anita uparła się, że sama zmontuje meble, bo pomagała Mathiasowi przy montażu mebli do sypialni w Valldemossie. Gdy wreszcie przykryła kanapę białą narzutą i ustawiła ją pod ścianą, padła na nią wyczerpana. Anna usiadła obok.

Ich nowy dom... wielka zmiana. Siedziały w milczeniu, każda zatopiona w myślach. Anna zamknęła swoją szklaną kulę. Dom swego życia. Już do niej nie należał. Westchnęła. Nie czuła bólu, czasami zapominała nawet, że ma raka. Dopiero miesiąc temu poznała diagnozę. Ujęła rękę córki.

– Anito. – Natychmiast się poprawiła: – Ano, muszę jeszcze coś zrobić i jesteś mi do tego potrzebna.

Córka odwróciła się do matki.

– Chodź – powiedziała Anna i wstała, nie puszczając ręki Anity.

Weszły do łazienki. Z plastikowej torebki wyjęła kartonowe pudełko. Anita obserwowała, jak odrywa paznokciem przezroczystą taśmę oklejającą pudełko, nie bardzo rozumiejąc, o co matka ją prosi.

– Co to jest, mamó?

Anna otworzyła pudełko, włożyła rękę do środka i wyjęła męską maszynkę do strzyżenia włosów. Spojrzała z lękiem na córkę. Anita zrozumiała, o co ją prosi. Zauważyła, że podając jej maszynkę, Anna blednie. Wiedziała, jak kokieteryjna potrafi być jej matka i jaki ból, prawie poniżenie, musi odczuwać na samą myśl o ogoleniu

głowy.

Anna wzięła maszynkę do ręki i ją włączyła. Dźwięk silniczka zabrzmiał w ich głowach jak odgłos wiertarki. Popatrzyła w lustro i poczuła panikę. Anita wyjęła maszynkę z jej rąk i objęła matkę.

– Co za pieprzony los, córeczko – szepnęła Anna, opierając się o Anitę.

– Damy sobie radę, mamó. Pomogę ci.

Spojrzała na matkę i otarła jej palcami łzę spływającą po policzku.

– Ty to zrób, córeczko – poprosiła Anna, nabierając powietrza.

Usiadła na taborecie przed lustrem. Spojrzała na podłogę i westchnęła. Nie chciała patrzeć na siebie. Zamknęła oczy. Próbowwała oddychać, powstrzymując łzy.

Anita popatrzyła na matkę, tak szczupłą, bardziej kruchą niż kiedykolwiek, powstrzymującą płacz, a potem na obracające się ostrza. Wsłuchiwała się w głuchy dźwięk.

– No już, córeczko – zachęciła ją Anna, siląc się na uśmiech.

– No to już – odpowiedziała Anita, patrząc w lustro.

Oparła maszynkę o swoje czoło i docisnąwszy, przesunęła ją po głowie aż do karku.

– Anito, co robisz?! – wykrzyknęła osłupiała Anna, widząc, jak włosy córki spadają na podłogę.

Dziewczyna uśmiechnęła się do lustra i znów przeciągnęła maszynką po głowie. Zawsze miała ochotę się ogolić.

– Jutro snobki z San Cayetano zgłupieją – odezwała się, mrugając do matki, która nie mogła uwierzyć w ten akt barbarzyństwa, którego dokonywała na sobie jej córka. – Zobaczysz, jak w przyszłym roku Miley Cyrus się ogoli, zaraz zacznie się moda.

\* \* \*

Poczuła nagły skurcz w brzuchu. Żółć podeszła jej do gardła i zwymiotowała, choć prawie nic nie miała w żołądku. Powinna była posłuchać onkolożki i przyjść z kimś. Ale nie chciała. Pięćdziesiąt lat uzależnienia od innych zupełnie jej wystarczyło. Usiadła na betonowej podmurówce metalowego ogrodzenia parkingu przy szpitalu. Wyjęła telefon z torebki i wyszukała numer Antonia.

Odebrał prawie natychmiast.

– Anno. Cześć, moja dziewczynko. Dobrze poszło? Wychodzę z pracy wcześniej. Najpóźniej za dwie godziny będę u ciebie w domu.

– Antonio, nie chcę, żebyś przyjeżdżał.

– Jak to?

– Nie chcę, żebyś mnie widział w tym stanie. Wyglądam...

– Wszystko mi jedno, jak wyglądasz.

– Proszę, Antonio, proszę cię o to.

– Będę przy tobie, Anno, i jest mi wszystko jedno, co powiesz! – powiedział podniesionym głosem.

– Wstydzę się. – Poczuka spływającą po jej policzku łzę. – Jestem... łyśa. Pozwól mi to zrobić, kochanie moje, na swój sposób. Proszę... Kocham cię. Kocham cię, Antonio, i chcę zacząć z tobą życie, na zawsze. Ale nie tak. Pozwól mi, że będę sama podczas leczenia. Sześć miesięcy. Poczekał na mnie sześć miesięcy. Proszę cię. Zadzwoń do ciebie, jak tylko będę mogła. Kocham cię bardziej niż własne życie.

\* \* \*

Imelda ujrzała swoją panią w zielonej chustce na głowie, z ziemistą twarzą i jeszcze szczuplejszą niż kiedykolwiek.

Zrobiło jej się żal Anny i ją objęła. Nigdy przedtem tego nie robiła.

– Proszę się nie martwić, proszę pani, potrafię się panią zaopiekować.

Poszła do kuchni przygotować herbatę.

Anna usiadła na kanapie i zadzwoniła do Mariny. Siostra znów zrobiła jej wymówkę, że nie pozwala jej ze sobą pójść. Po raz kolejny nalegała. Chciała przyjeżdżać każdego popołudnia po zamknięciu piekarni, ale Anna odmówiła. Chciała zaoszczędzić Marinie tej gorzkiej pigułki i nie miała zamiaru robić z niej swojej pielęgniarki przez następne sześć miesięcy. Nie chciała być ciężarem dla nikogo. Ani dla męża, ani dla Antonia, ani dla córki, ani dla przyjaciółek, ani dla siostry. Chciała przejść przez ten koszmar sama. Niezależna od nikogo poza Imeldą, której płaciła za opiekę.

– Przyjedź w niedzielę na obiad – zaproponowała Marinie. – Będzie Anita, Imelda ma dzień wolny. Możemy spokojnie posiedzieć we trzy w moim nowym domu. Nie chcę, żebyś się mną opiekowała, Marino, chcę tylko, żebyśmy znów były siostrami.

W niedzielę matka z córką upiekły baraninę i przygotowały sałatkę ziemniaczaną, którą Pippa nauczyła robić Anitę. Na pytanie siostry: „Jak się czujesz?”, Anna odpowiedziała: „Dobrze”, choć miała już trochę dość mówienia o swoim zdrowiu.

– Opowiedz nam o tej afrykańskiej dziewczynce, która będzie twoją córką.

– Jeśli będzie twoją córką, to moją kuzynką – uśmiechnęła się Anita.

– No jasne – odrzekła Marina. – Będziecie rodziną.

Zwierzyła się im ze swoich kłopotów. Powiedziała, że ma dość czekania. Dość rozmów z Martą, psychologką, której w ogóle nie zna, a do której zawsze musi się uśmiechać uprzejmie, bo to od niej zależało, czy dostanie świadectwo przydatności. Doprowadziła nawet kiedyś Marinę do tego, że ta zwątpiła w swoją zdolność bycia matką. A może jest na świecie inna kobieta, lepsza dla tej osieroconej dziewczynki.

– Marino, będziesz cudowną matką. Nigdy w to nie wątp.

Skończyły obiad i usiadły na kanapie, popijając filipińską herbatę, którą Imelda

przygotowała przed wyjściem. Anna zdjęła chustkę. Jeśli miała ją na sobie dłużej niż dwie godziny, zaczynała ją swędzieć głowa. Marina spojrzała na siostrę i zabolęło ją serce.

Wzięła torebkę i wyjęła plastikowy woreczek z zielonymi liśćmi. Otworzyła go. Siostrzenica obserwowała ją uważnie.

– Ależ, ciociu, przecież to...

– Marihuana – odpowiedziała, wyjmując z woreczka jeden pączek.

Anna spojrzała na siostrę, nie rozumiejąc, co zamierza zrobić.

– Skąd to masz? – spytała Anita, nie wierząc własnym oczom.

– Znajomy kierowca ciężarówki z Valldemossy dostaje ją z Amsterdamu.

Przyniosłam też inhalator.

– Ciociu, palisz jointy?

– Powstrzyma wymioty i mdłości, Anno – rzekła do siostry Marina.

Anna nie odpowiedziała.

– Zaufaj mi.

– Ja też mogę zapalić? – spytała Anita mimochodem.

– Nie. Ty nie – odparły jednocześnie matka i ciotka.

\* \* \*

Marzec, kwiecień, maj i czerwiec... trudne miesiące dla obu sióstr. Dla Anny, oczywiście, z powodu wyniszczającego fizycznie procesu, któremu była poddawana. Marihuana zapobiegała wymiotom, ale Anna straciła brwi i rzęsy. Paznokcie u rąk pociemniały, a kilka paznokci u nóg się odwarstwiło. Wszędzie kandydoza. Waga spadła do czterdziestu dziewięciu kilogramów. Antonio ciągle nalegał i dzwonił. Prowadzili długie rozmowy przez telefon, ale Anna nie zgodziła się, aby ją zobaczył. Nie w tym stanie.

Przez te wszystkie miesiące Marina kontynuowała szkolenie dla rodziców adopcyjnych. Marta wykonywała swoją pracę, podkreślając, jak cudowna może być adopcja, a jednocześnie omawiała najbardziej ekstremalne przypadki nieudanych adopcji. Marina miała wrażenie, że podczas każdego spotkania doprowadzano ją do granicy wytrzymałości, aby była pewna podjętej przez siebie decyzji. Na każdej sesji Marta powtarzała, że grupa psychologów IMAS-u czuwa wyłącznie nad bezpieczeństwem dziecka. To zdanie rozbrzmiewało w głowie Mariny jak zbyt często słyszana litania. Podczas jednego ze spotkań opowiedziała o tym, jak pomogła Naomi przyjść na świat i jak bardzo czuła się z nią związana.

Naomi nadal czekała na nią w żelaznym łóżeczku, a Mathias był całkowicie pochłonięty niesieniem pomocy setkom Palestyńczyków. Dwa razy rozmawiali przez Thurayę, ale połączenie urywało się po minucie, więc zdecydowali się na pisanie e-

maili. Marina opowiadała mu o swoich sąsiadach, o operacji siostry, a on odpowiadał, opisując krzywdy, które spotykały Palestyńczyków. Każde z nich żyło w swoim świecie.

\* \* \*

Marina i Anna widywały się co niedziela. Anita wracała wczesnym popołudniem do domu, mimo że co drugi weekend miała spędzać w domu babci, gdzie mieszkał jej ojciec, odkąd rodzice podpisali papiery rozwodowe.

– Kochanie, proszę cię, przestań nazywać babcię sroką – powiedziała z powagą Anna do córki.

– Przecież to ty wymyśliłaś, Anno – wytknęła jej z uśmiechem Marina.

– Nie. To ty – odparła szybko.

– Skąd, nie pamiętasz? Miałaś na ręce małą Anitę i patrzyłaś na teściową przez okno w pokoju babci Nerei. Spacerowała w pobliżu basenu, wpatrując się w ziemię, w tej swojej czarnej, szerokiej bluzie, którą zawsze nosi, i powiedziałaś...

– No dobrze. Nieważne, kto to był ... – przerwała Marinie, nie chcąc przyznać, że to ona wymyśliła przezwisko. – Córeczko, proszę cię, to twoja babcia, jesteś jej winna szacunek. Proszę cię, przestań ją tak nazywać.

– No dobrze – odrzekła Anita również bardzo poważnie. – Odmawiam pójścia do kruka w przyszłym tygodniu.

Marina dostała ataku śmiechu. Annie też nie udało się powstrzymać i zaczęła się śmiać. Anita przyłączyła się do tego niekontrolowanego wybuchu radości wśród oparów dymu, który Anna wydychała po każdym zaciągnięciu się marihuaną.

Tak więc te niedziele mimo wszystko były przyjemne. Siostry znów zachowywały się jak dawniej, spędzając wspólnie czas przy dobrych filmach, dobrej muzyce i łagodnym zapachu konopi.

\* \* \*

– Czy usunęłaś kiedykolwiek ciążę?

Było to dziesiąte pytanie z listy psycholożki. Siedziała na kanapie w domu Mariny i robiła zapiski w notesie, który trzymała na kolanach. Obok niej siedziała pracownica socjalna, której Marina nigdy nie widziała.

– Tak – odpowiedziała zirytowana, choć nie dała tego po sobie poznać.

– Czy mogę wiedzieć dlaczego?

Nie. Nie musisz. To należy do mojej przeszłości, pomyślała. Ale odpowiem ci, bo nie mam innego wyjścia.

– To było przeszło dziesięć lat temu. Nie uważałam, żeby to był właściwy moment

i właściwa osoba, z którą chciałabym mieć dziecko.

Marta zapisała coś w notesie. Wszystko było ważne podczas tego wywiadu, każdy gest, komunikacja werbalna i niewerbalna... aby przyznać tej kobiecie prawo do macierzyństwa.

– Czy poddawałaś się w ciągu tych lat zapłodnieniu in vitro lub inseminacji?

– Nie.

– I nigdy nie chciałaś mieć biologicznego dziecka?

– Nie.

– Dlaczego?

– Jak wiesz, pracowałam dla organizacji pozarządowej przez dziesięć lat i całkowicie poświęciłam się pracy. Aż dotąd nie pragnęłam zostać matką.

– A dlaczego chcesz teraz?

– Już ci mówiłam o mojej relacji z tą dziewczynką.

– Czy czujesz się winna, że pomogłaś jej przyjść na świat?

Marina odczekała chwilę, zanim odpowiedziała.

– Zrobiłam to, co każdy lekarz w mojej sytuacji by zrobił.

Kobiety zanotowały coś w swoich papierach.

– Czy zrezygnujesz ze swojej pracy dla organizacji pozarządowej na zawsze?

– Jako lekarz na terenach objętych konfliktem, tak. Kiedy przyjedzie moja córka...

– zrobiła pauzę i poprawiła się – Naomi, więcej nie podejmę takiej pracy. Być może w przyszłości będę mogła praktykować jako lekarz na Majorce albo w jakiejś organizacji pozarządowej, która realizuje stałe projekty. Wszystko jedno gdzie na świecie. Na razie – uśmiechnęła się szczerze – dobrze się czuję, pracując jako piekarka, i wystarcza mi na życie.

– A jak masz zamiar to robić, kiedy pojawi się dziecko?

– Piekarnia jest na parterze. Mała będzie mogła ze mną przebywać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Aż pójdzie do szkoły.

– Samotne macierzyństwo jest trudne. Twój rodzice mogliby ci pomóc?

– Moi rodzice nie żyją.

Chcesz wiedzieć o mnie wszystko, Marto? No to do dzieła, pobawmy się. Zaczynamy.

– Mój ojciec zmarł, kiedy miałam siedemnaście lat, w wypadku na *llaüt*. Bardzo ciężko to przeżyłam. Uczyłam się wtedy w Stanach Zjednoczonych i miałam wrócić tego samego roku, żeby pójść tutaj na medycynę, ale kiedy ojciec umarł, zrobiłam to, czego on przed śmiercią dla mnie pragnął: jako stypendystka poszłam na studia na najlepszym uniwersytecie medycyny w Stanach Zjednoczonych. I już tam zostałam. Moja matka zmarła pięć lat później na raka.

– Jakie miałaś stosunki z rodzicami?

– Byłam bardzo związana z ojcem. Z matką miałam trudniejsze relacje.

Pracownica socjalna zanotowała.

– Dlaczego trudniejsze?

Zacznij kłamać, Marino. Nie daj tej kobiecie tego, czego od ciebie żąda. Ma twoje zaświadczenie o niekaralności, zeznanie podatkowe, zna twój majątek, wie, ile pieniędzy masz na koncie, ma wstępny raport psychologiczny, zna twoją grupę krwi i całą historię chorobową. Będiesz wspaniałą matką. Nie kochałaś swojej matki i matka nie kochała ciebie... ale to politycznie niepoprawne. Kłam.

– Relacja z matką była trudniejsza niż z ojcem, ale się kochałyśmy. Bardzo się kochałyśmy. Na pewno bardzo kochacie swoje matki, ale hormony... jak wiadomo – stwierdziła z lekkim uśmiechem.

Kobiety też się uśmiechnęły. To prawda. Kłótnie z matką to klasyka.

– Więc nie masz nikogo – kontynuowała Marta.

– Mam siostrę i siostrzenicę.

Pracownica socjalna zanotowała. Marina nie wspomniała o chorobie Anny i oświadczyła, że siostra zawsze jej pomoże.

– Marino – Marta na sekundę odwróciła wzrok – czujesz, że się starzejesz?

– Nie – odpowiedziała pewnym głosem. Zaczynała nienawidzić tę kobietę.

– Nie sądzisz, że być może wypełniasz pustkę w życiu dzięki tej dziewczynce? Na pewno nie boisz się zestarzeć samotnie?

Marina twardo spojrzała na panią psycholog. Dlaczego zadaje takie pytania? Marina odkryła w swoim sercu nową przestrzeń i mogła obdarzyć uczuciem dziecko potrzebujące matczynej miłości. Czy naprawdę cała ta ingerencja w jej prywatność była konieczna?

– Powiedz mi – nalegała Marta – boisz się, że zestarzejesz się samotnie?

– Nie, Marto. Wcale się nie boję samotnej starości. Od czternastego roku życia jestem sama. Być może wtedy tak, bałam się życia tak daleko od wyspy, gdzie się urodziłam, ale teraz, zapewniam cię, mając czterdzieści sześć lat, w ogóle się nie boję.

– Zrobiła pauzę. – A jeśli mam być szczerą, boję się tylko jednego. Wiem, że siedem tysięcy kilometrów stąd czeka na mnie dziewczynka, i boję się, że mijają dni, miesiące i że ta dziewczynka będzie coraz bardziej smutna, a rana spowodowana opuszczeniem będzie coraz głębsza. Tylko tego się boję.

Obie pracownice IMAS-u notowały, już prawie nie patrząc na siedzącą przed nimi kobietę, która wydała im się najwłaściwszą spośród osób, z jakimi przeprowadzały wywiady w ciągu lat pracy.

– Musimy obejrzeć dom. Możesz nas oprowadzić?

Najpierw pokazała im pokój Naomi. Fryzjerka podarowała Marinie dziecięce łóżeczko, bo jej najmłodszy syn już spał w normalnym łóżku. No i stało tutaj, zbyt pretensjonalne jak na jej gust, przykryte afrykańską tkaniną.

Weszły do sypialni Mariny. Rzuciły okiem. Marta podeszła do nocnego stolika



i wzięła do ręki zdjęcie zrobione przez Kaleba.

– To Naomi?

– Tak – odpowiedziała z uśmiechem.

– A mężczyzna, który ją trzyma?

– Mój partner... mój narzeczony. Będzie tu za miesiąc.

Odprowadziła je aż na dwór. Popatrzyła, jak się oddalają ulicą de la Rosa, i zamknęła za sobą drzwi. Oparła się o nie i odetchnęła głęboko, rozładowując napięcie po tej ostatniej już rozmowie. Za miesiąc dostanie świadectwo przydatności, które otworzy jej drogę do macierzyństwa.

\* \* \*

Guz zmniejszył się o połowę i wykonano mastektomię. Marina zamieszkała w szpitalu, choć Anna twierdziła, że pielęgniarki dobrze się nią opiekują. Imelda przychodziła co rano i przynosiła czyste ubrania. Anita przyjeżdżała codziennie po szkole. Marina, nie zwracając uwagi na protesty starszej siostry, włożyła do plecaka cztery podkoszulki i trochę bielizny, i nie ruszyła się ze szpitala, dopóki siostry nie wypisano do domu. Anna nie chciała rozmawiać z Armandem, który dzwonił wiele razy, a tym bardziej go widzieć. Nie chciała też, aby ją odwiedzały przyjaciółki z jachtklubu.

Ostatniej nocy, kiedy zadzwonił telefon, Marina spojrzała na ekran.

– To Antonio – powiedziała siostrze.

– Nie odbieraj.

– Dlaczego? Dzwonił dziś dwa razy i wczoraj też...

– Bo nie chcę. Już ci mówiłam. Nie chcę, żeby mnie widział w tym stanie.

Marina wcisnęła przycisk odbierz.

– Cześć, Antonio. Operacja się udała. Już ci ją daję.

\* \* \*

To Marina wzięła Mathiasa za rękę w taksówce. Wiedziała, że ona musi zacząć rozmowę.

– Mamy dwa miesiące dla siebie. Kocham cię, Mathiasie.

– Ja też cię kocham, Marino. – Spuścił wzrok. – Ale potrzebuję cię przy mnie. Nie chcę związku na odległość.

Podniosła jego rękę i położyła sobie na karku. Splotła palce z jego palcami i położyła mu głowę na piersi. Za oknem taksówki wiozącej ich do Valldemossy spokój letnich miesięcy na wyspie, cisza, bryza, słońce, pola oliwne, migdałowce, pszenica i maki. Mathias pogłaskał opuszką palca wewnątrz dłoni swojej żony.

Marina wyjęła brudne ubrania z plecaka Mathiasa i włożyła je do niedawno

kupionej pralki. Poszła do sypialni. Usłyszała wodę płynącą z prysznic. Weszła do łazienki. Woda spływała po ciele Mathiasa, miał zamknięte oczy. Rozebrała się i weszła pod prysznic. Stała na palcach i zbliżyła usta do jego ust...

Znów turyści i sześćset chlebów, dwie nastolatki i ich potajemne pocałunki. Laura i jej córka musiały pojechać, wbrew swojej woli, do Aldehueca del Rincón, aby odwiedzić chorą cioteczną babcię, i nie mogły przyjechać na Majorkę. Siegfried poleciał na pilną misję do Republiki Środkowoafrykańskiej. Któregoś popołudnia w połowie lipca Aritz i Ona nadjechali na motocyklu niezapowiedziani i zostali przez tydzień, śpiąc w pokoju za kuchnią. Ale resztę lata Marina i Mathias spędzili we dwoje. Wiele godzin rozmawiali o swoim związku, bo żadne z nich nie wyobrażało sobie życia bez tego drugiego. Łamali sobie głowy, planując, jak pogodzić wspólną pracę z obecnością Naomi w ich życiu. Mathias sądził, że dobrym rozwiązaniem byłoby zamieszkać w Berlinie, gdzie jego matka mogłaby im pomóc w opiece nad dzieckiem, kiedy pracowaliby dla Lekarzy bez Granic. To był niezły pomysł. Poza tym w dzielnicy Prenzlauerberg mieszkał brat Mathiasa z synem z pierwszego małżeństwa, turecką narzeczoną i ich nowo narodzonym dzieckiem. Tej opcji Marina nie odrzucała. Tak czy inaczej, minie dwa do dziewięciu lat, zanim pojawi się Naomi.

Któregoś dnia, w gorące sierpniowe południe, Marina była sama w piekarni. Catalina poszła do matki podać jej obiad. Úrsula z Pippą i Anitą przygotowywały piknik, bo dziewczyny chciały spędzić resztę dnia na plaży, a Mathias poszedł z Nieblą na spacer w góry. Marina wyrabiała ciasto na ciemny chleb, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Wyszła z zaplecza. To ten listonosz bez wyrazu, przychodzący co rano.

– List polecony z Instytutu Spraw Socjalnych dla pani. Proszę tu podpisać – powiedział, kładąc na kopercie pokwitowanie odbioru.

Uśmiechnęła się. Serce przyśpieszyło. Nareszcie. Podeszła do niego, wycierając ręce o fartuch, i podpisała nerwowo. Listonosz oddalił się ulicą de la Rosa. Wbiegła po schodach po dwa stopnie i udała się do sypialni. Rozerwała kopertę. Zawierała chyba ze sto kartek. Skupiła się na stronach pisanych na maszynie. Szybko przeczytała urzędowe formułki i przewracała kartki, nerwowa i szczęśliwa zarazem, aż dotarła do ostatniego zdania, w którym stwierdzano, że Marina Vega de Vilallonga nie jest zdolna do adopcji.

\* \* \*

Dla wielu życie nie jest sprawiedliwe. Marina dobrze o tym wiedziała, widząc, ile krzywdy dotyka na świecie tych najsłabszych. To pismo, to świadectwo przydatności, które trzymała w trzęsących się rękach, było drobną niesprawiedliwością w porównaniu z tym, co w życiu widziała. Była tego świadoma.

A mimo to poczuła wściekłość, ból i smutek, które do tej pory rzadko tak intensywnie odczuwała.

Kartki wypełnione były słowami stanowiącymi wyczerpującą analizę jej osobowości. Świadcstwo określało ją jako kobietę uporządkowaną wewnątrznie, inteligentną, introwertyczną. Głównym powodem wydania negatywnego świadectwa przydatności było to, że w wieku czterdziestu sześciu lat, decydując się na adopcję jako rodzina monoparentalna, pozostawała w związku z mężczyzną, który nie przejawiał zainteresowania tą adopcją. Poza tym wykazywała pewien brak zdecydowania co do swojego życia zawodowego. Wahała się, czy kontynuować pracę jako lekarz w terenie, co uniemożliwiłoby jej opiekę nad małodzieńcem, czy też poświęcić się zawodowi piekarki na Majorce.

Popatrzyła na zdjęcie na stoliku. To zdjęcie zmieniało wszystko. Serce biło jej mocno, nabrała powietrza i wypuściła je powoli. Błądziła wzrokiem pośród gór masywu. Poczuła odrazę do tej psycholożki, państwowej urzędniczki z jej obsesją plam, przez którą ona i Naomi straciły tak wiele czasu w życiu. Nie miała wątpliwości, że to ona odmówiła im prawa do szczęścia.

Znów nabrała powietrza, usiłując zachować spokój i wyciszyć serce, które biło, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi.

Usiadła obok kufra stojącego przy łóżku.

Czuła potrzebę ujrzenia ojca, babci. Chciała schronić się przy nich. Jakby zdjęcia z kufra mogły ulżyć jej cierpieniu. Otworzyła skrzynię. Wyjęła metalowe pudełko.

Pierwsze zdjęcie, które Marina zrobiła: ojciec, z wyrazem szczęścia na twarzy, rozkładał ręce z otwartymi dłońmi, siedząc na swojej ukochanej *Ilaüt*. Na innym babcia Nerea pod drzewkiem cytrynowym. Byłoby jej tak dobrze, gdyby dziś oboje przy niej byli. Utuliliby ją i uspokoili. Powoli przekładała zdjęcia, wpatrując się w każdy szczegół, usiłując nie myśleć o niczym innym, tylko o tych istotach, które żyły w jej sercu.

„Nie nadajesz się na matkę”, powiedział jej wewnętrzny głos, którego nie chciała słuchać. Mogła schronić się w tych starych zdjęciach na kilka minut czy godzin, ale wiedziała, jak ogromne cierpienie ją czeka. Odczuje ten ból jak uderzenia batem, bardzo boleśnie, a pierwsze miesiące będą tak straszne, że całymi dniami nie wstanie z łóżka. Z czasem dojdzie do siebie po tym niesprawiedliwym ciosie i ból zmaleje. Może nawet któregoś dnia zapomni o dziewczynce, którą chciała adoptować. A może nie. Może ta mała Etiopka na zawsze pozostanie w jej myślach.

Do sypialni weszła Niebla. Zbliżyła się do Mariny i polizała ją po ręce. Wszedł Mathias i usiadł obok niej.

– Popatrz, co mi przyszło do głowy – odezwał się, otwierając szufladę w stoliku.

Wziął notes i wyjął ołówek z plecaka. Zaczął szkicować młyn, z którego, jak tłumaczył, stawiając kolejne kreski, miał zamiar zrobić jeszcze jeden dom

w miasteczku.

– Chcę wszystko sprzedać – odpowiedziała.

– Jak to?

– Zwyczajnie – odparła, nie patrząc na niego. – I nie chcę tu zostać. Wróćmy do naszego życia w organizacji.

Mathias przez moment nie rozumiał.

– Przyszło świadec...

– Tak. Nie nadaję się na matkę.

Przysunął się do niej i spróbował ją objąć.

– Zostaw mnie, Mathiasie. Chcę być sama.

Ponownie spróbował otoczyć ją ramionami. Odsunęła się od niego gwałtownie.

– Proszę cię, wyjdź.

– Marino... porozmawiajmy.

– Wyjdź!

\* \* \*

Mathias usiadł na ławce pod ścianą domu. Niebla rozłożyła się u jego stóp. Úrsula skończyła obsługiwać rodzinę otyłych Rosjan i przyłączyła się do niego. Domyśliła się, że coś jest nie tak u jej młodych przyjaciół. Niechcący usłyszała podniesiony głos Mariny.

– Pójdziemy się przejść z Nieblą? – spytała po niemiecku.

– A piekarnia?

– To małe miasteczko. Najwyżej przyjdą później – odpowiedziała, zamykając za sobą drzwi.

Poszli stromą drogą między drzewami oliwnymi i ostrolistnymi dębami. Przodem, niczym przewodnik, szła Niebla. Mathias nie miał ochoty dzielić się z Úrsulą ostatnią wiadomością. Zmuszając się do rozmowy, powiedział, że jego matka była jej wielbicielką, że dosłownie pochłaniała książki Úrsuli. Zadał jej obowiązkowe pytanie, które zadawali wszyscy, mimo jej osiemdziesięciu jeden lat, czy napisze jeszcze jakąś powieść, na co ona po raz kolejny zareagowała kategorycznym nie, bo nie ma już nic do powiedzenia.

I wtedy opowiedzieli sobie o swoim życiu, aż Mathias poczuł potrzebę, by wyznać jej wszystko. Oczywiście Úrsula znała szczegóły procedury adopcji, której poddała się jej przyjaciółka. Wiedziała o tych siedmiu miesiącach wyczekiwania na decyzję, o wtargnięciu w prywatność Mariny, której ta potrafiła bronić przez tyle lat, a którą w tym roku utraciła. Mówili o macierzyństwie, o ojcostwie.

Úrsula wyznała, że gdyby to Günter decydował, pewnie nie mieliby dzieci. Nigdy nie przejawiał zbytniego zainteresowania tym tematem, zawsze pochłonięty swoimi

partyturami: chciał zostać uznanym kompozytorem, choć mu się to nie udało. Jednak doszli do porozumienia i postanowili mieć dziecko. Nie minęło wiele czasu, a Úrsula zaszła w ciążę. Gdy tylko ich córka przyszła na świat, Günter zakochał się w niej bez pamięci. Uwielbiał ją i kochał ponad życie. Mathias mówił o swoim bracie, który po raz drugi został ojcem, nie planując tego, i o tym, że nie najlepiej dawał sobie z tym radę.

Czy istnieje pragnienie ojcostwa? Czy mężczyzna, który zbliża się do czterdziestki lub pięćdziesiątki i nie ma dzieci, cierpi? Czy mężczyźni czują potrzebę posiadania dzieci?

– Moje dotychczasowe doświadczenie nauczyło mnie, choć, naturalnie, mogę się mylić, że wy, mężczyźni, nie czujecie potrzeby posiadania dzieci i sądząc po tym, jak do tej pory postępowałeś wobec tej etiopskiej dziewczynki, ty też jej nie czujesz. Nie wierzę, żebyś kiedykolwiek zdołał zrozumieć ogrom bólu, jaki przeżywa teraz Marina.

Szli kilka sekund w milczeniu. Mathias zastanawiał się nad słowami Úrsuli. Tymczasem ona przygotowywała się do ostatniego strzału.

– Musisz być zadowolony, prawda?

Mathias odebrał to zdanie jak obrazę. Spojrzał na Úrsulę, która mówiła dalej:

– Cóż, tak naprawdę nigdy nie chciałeś zaadoptować Naomi. Teraz jedyne, co ci pozostało, to zachować się jak mężczyzna i przetrzymać to oberwanie chmury.

\* \* \*

Nigdy przedtem nie widział Mariny w takim stanie hysterii.

Miotła się po pokoju. W jednej ręce trzymała japońskie czasopismo, w drugiej starą fotografię. Miała zalaną łzami twarz. Mówiła do siebie na głos. Na podłodze sypialni leżały porzucane zdjęcia z dzieciństwa, umowa kupna-sprzedaży *llaüt*, świadectwo przydatności, przepis, notes...

– Zanim sprzedam to miejsce, chcę się dowiedzieć, kim jesteś, Marío Dolores Molí. I sprawdzę to, bo nie czułabym teraz tego potwornego bólu, gdybyś mi nie ofiarowała młyna, który stał się dla mnie piekłem.

Mathias czekał w progu.

– Mówiłam ci, że muszę być sama. Zostaw mnie.

Mógłby zejść na dół, lecz usiadł bez słowa na łóżku, podczas gdy ona dalej wykrzykiwała w swoim macierzystym języku niezrozumiałe dla niego słowa.

– Widzisz to zdjęcie? – spytała, pokazując mu biało-czarną odbitkę.

Mathias obejrzał zdjęcie. Była na nim Anna, która siedziała na kolanach młodej opiekunki ubranej w mundurek.

– A teraz popatrz na to – pokazała mu zdjęcie Loli w japońskim czasopiśmie.

– Co widzisz? – spytała.

– To ta sama osoba – odpowiedział – tyle że w odstępie przynajmniej trzydziestu lat.

– Proszę cię, przyjrzyj się im dobrze.

Patrzył na oba zdjęcia.

– Kogo ci przypomina ta kobieta? – indagowała.

Nie odważył się wyznać, co sądzi, bo to, co mu przemknęło przez myśl w tym momencie, wydało się tak nieprawdopodobne, że wolał milczeć.

– Nie wiem – odpowiedział cicho.

– Podczas spędzonego tu roku udało mi się odkryć tylko to, że piekarka, która mi zapisała to miejsce, pracowała w domu moich rodziców. Ale niezależnie od faktu, że moja babcia pożyczyła jej pieniądze, nie wierzę, że tylko dlatego ta kobieta zostawiła mi wszystko. Nie wierzę w to. Chcę poznać prawdę.

Wyszła, nie mówiąc, dokąd idzie. Mathias dalej siedział na łóżku. Zebrał zdjęcia i włożył je z powrotem do pudełka po kruchych ciasteczkach. Podniósł świadectwo przydatności i spróbował zrozumieć, co w nim napisano.

Marina wyszła z piekarni. Szła szybko, ocierając łzy, nieobecna. Minęła Gabriela, nie zwracając na niego uwagi. Tomeu przywitał ją z głębi baru, lecz nawet na niego nie spojrzała. Dotarła do domu Cataliny i zastukała kołatką. Kobieta otworzyła.

– Sprzedam piekarnię, Catalino. Jednak zanim to zrobię, chcę, żebyś mi wytłumaczyła, dlaczego Lola zostawiła mi całe swoje życie – powiedziała twardo.

Catalina zauważyła, że Marina płakała, że z trudem powstrzymuje łzy.

– Złożyłam przyrzeczenie jedynej prawdziwej przyjaciółce, jaką miałam, i nie złamię go, Marino. Przykro mi. Kazała mi przysiąc, że nigdy nic nie powiem.

Pokazała jej zdjęcie z japońskiego czasopisma i zdjęcie młodej kobiety.

– Kogo ona ci przypomina?

Catalina spuściła wzrok.

– Marino, zajmij się swoim życiem. Teraz przyjedzie ta afrykańska dziewczynka i...

– Nie przyjedzie... Ta dziewczynka nie przyjedzie.

Catalina nie rozumiała ostatniego zdania, ale Marina wypowiedziała je z takim bólem w głosie, że nie pozostało jej nic innego, jak tylko spróbować pomóc swojej nowej przyjaciółce, zdradzając dawną... Nie miała prawa nic powiedzieć, wiedziała też, że nikt w miasteczku tego nie zrobi, bo nikt nie znał do końca prawdy. Tak lubiane w Valldemossie plotki rozbrzmiały w barze Tomeu od pierwszego dnia, kiedy Marina zjawiała się w miasteczku.

Ale Catalina wiedziała, że tylko jedna osoba powie prawdę Marinie.

– Idź porozmawiać z proboszczem. On ci może pomóc.

Marina odwróciła się i wyszła bez pożegnania. Pobiegła do kościoła. Proboszcz czyścił tabernakulum. Podeszła do niego. Odwrócił się, słysząc jej kroki.

– *Bon dia*, Marino – odezwał się zdziwiony.

Po raz pierwszy weszła do kościoła w Valldemossie.

– *Bon dia, pare.*

Proboszcz zbliżył się do niej i od razu zauważył rozpacz w jej oczach.

– Czy mogę ci w czymś pomóc?

Usiadła naprzeciwko ołtarza. Proboszcz uczynił to samo.

– Od prawie półtora roku mieszkam w tym małym miasteczku. Nie udało mi się dowiedzieć przez ten cały czas, kim była María Dolores Molí, kim była kobieta, którą tak czule nazywacie Lolą. Catalina milczy i Valldemossa milczy. A ja nie rozumiem dlaczego. Księżdz nigdy o to nie pytałam, bo nie sądziłam, że ksiądz może cokolwiek wiedzieć.

– Co trzymasz w ręce, córko?

– To jej dwa zdjęcia.

Proboszcz wziął zdjęcie, na którym Anna siedziała na kolanach młodej Loli. Chodzili razem do szkoły w Valldemossie. On był trzy lata starszy. Popatrzył na zdjęcie z sentymentem. On, tak jak i reszta mieszkańców Valldemossy, domyślił się, kim była Marina, gdy po raz pierwszy zobaczył ją w piekarni.

– Przyjrzyj się jej dobrze, Marino.

Wzięła zdjęcie i przyjrzała mu się z bliska.

– Spójrz na ten uśmiech Loli. Jak się mówi po hiszpańsku *clotets*? Te dołeczki... i kształt oczu. Kogo ci przypominają?

Proboszcz odczekał chwilę i powtórzył.

– Kogo ci przypominają, Marino? Ty wiesz to lepiej niż ktokolwiek inny.

Cicho, ze łzami spływającymi po policzkach, wyszeptała:

– Mnie.

\* \* \*

Catalina biegła aleją Blanquerna i patrząc w niebo, rozmawiała po majorkańsku ze swoją zmarłą przyjaciółką. Gabriel patrzył za nią. Tomeu też się zdziwił. *A les dones, qui les entengui que les compri.* Kto zrozumie kobiety, niech je sobie kupi. Catalina skręciła w ulicę, przy której stał kościół.

– *Mira, Lola, me sap molt de greu i saps que jo d'amiga ho som molt. No t'he traït mai i mira que els pardals de Valldemossa m'ho han demanat. Però no li puc fer això a la teva filla. The vist plorar, dia sí dia també, abocant les teves llàgrimes al maleït pa amb llavors de rosella... Massa llàgrimes vas abocar tu... I ara no és just que les aboqui la teva filla. Na Marina no té cap culpa de res... I saps què, Lola..., que estic fins els orgues de ses mentides, secrets i la mare que vos va a parir a tots.* Słuchaj, Lolu, bardzo mi przykro. Jestem dobrą przyjaciółką. Nigdy cię nie zdradziłam. Chociaż te uparciuchy z Valldemossy tak się dopytywały. Ale twojej córce nie mogę tego

zrobić... Codziennie patrzyłam, jak twoje łzy spadają na ten cholerny cytrynowy chlebek z makiem... Zbyt dużo łez wypłakałaś... To niesprawiedliwe, żeby teraz twoja córka też wypłakiwała sobie oczy. Przecież Marina nie jest niczemu winna... Wiesz, co ci jeszcze powiem, Lolu? Mam po dziurki w nosie tych kłamstw i sekretów, do ciężkiej cholery!

Marina i proboszcz wciąż siedzieli naprzeciw ołtarza.

– Nie wiem, czy dociera do mnie to wszystko, ojciec – odezwała się Marina, nie patrząc na księdza, z oczami utkwionymi w tabernakulum. – Czy musiałam żyć w tym kłamstwie przez czterdzieści sześć lat? Dlaczego nikt nigdy nic mi nie powiedział? Po co było mnie oszukiwać?

Pomyślała o ojcu, o babci Nerei, o burzliwych relacjach z tą okrutną kobietą, którą uważała za matkę. Jak mogli kłamać przez tyle lat? Dlaczego?

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, to jest coś, co sama musisz odkryć. Kłamstwo nigdy nie jest dobre. Tajemnice... Jedno jest pewne: wszyscy tutaj domyślali się, że jesteś córką Loli, ale nikt nie był do końca pewny. Wiedziała tylko Catalina. Zapewniam cię, że pytali ją o to tysiąc razy, ale nigdy nic nie powiedziała. Tak postępuje prawdziwa przyjaciółka. Nie gniewaj się na nią ani na Valldemosę. Wiesz, wszyscy cię tu uwielbiają i od pierwszego dnia uważali cię za jedną ze swoich. Pewnie wszyscy czuli w głębi duszy, że jesteś córką Loli, i dlatego przyjęli cię, jakbyś od zawsze była mieszkanką Valldemosy. To zamknięci ludzie, zapewniam cię. I nie jest łatwo być wśród nich obcym. A ty już należysz do tej wielkiej rodziny w samym sercu Majorki.

Proboszcz przerwał.

– Nic nie da się porównać z tym sekretem, którego potrafiło dochować całe miasteczko. Czy nie wiesz, że kierowca ciężarówki dorabia sobie, sprzedając marihuanę? Czy nie wiesz, że jestem zakochany w pewnej wdowie, za co mógłbym zostać wyrzucony z Kościoła, gdyby to wyszło na jaw? Ty, ja i wszyscy milczymy, żeby, w pewnym sensie, osłaniać jedni drugich. W dobrej wierze... sama wiesz, córko... nie wiem, czy tak jest na całym świecie, bo urodziłem się na tej wyspie i nigdy jej nie opuszczałem, ale w konfesjonale dowiaduję się o wszystkim i mogę cię zapewnić, że w miasteczkach Majorki kłamstwa i sekrety to chleb powszedni.

\* \* \*

Dziewiątego stycznia 1964 roku María Dolores Molí skończyła siedemnaście lat. Bawiła się z siedzącą na jej kolanach córeczką państwa. Od dwóch lat rodzina Vega de Vilallonga zatrudniała ją jako służącą i opiekunkę jasnowłosego, delikatnego dziecka, które rodzice ochrztili imieniem Anna.

Codziennie zamiatała i przecierała na mokro pięćset metrów rezydencji w Son Vida.



Myła wielkie okna, prała i prasowała, ścieliła łóżka, dotrzymywała towarzystwa matce pana, która z nimi mieszkała, i zajmowała się malutką dziewczynką.

Pracowała od poniedziałku do soboty. W niedziele, w swój wolny dzień, wsiadała do autobusu i wracała do Valldemossy, aby pomóc rodzicom w piekarni Can Molí.

Tego pamiętnego dziewiątego stycznia 1964 roku Néstor, w garniturze i z torbą lekarską w ręce, właśnie wrócił do domu. Mieszkały tu jego matka, żona, córka i ta młoda wesoła piastunka o obfitych kształtach, w której się wbrew swej woli zakochał. Wiejska dziewczyna, która ledwie umiała czytać i pisać, ale której słodycz urzekła go od pierwszego dnia, gdy została przyjęta do pracy.

María Dolores ujrzała pana, jak wchodził przez bramę w ogrodzie. Jak zawsze wydał jej się taki elegancki. Taki przystojny. Nie miał nic wspólnego z mężczyzną, z jedynym mężczyzną, z którym mogła go porównywać, czyli z jej ojcem, skromnym, pękatym piekarzem, który nosił na co dzień stare podkoszulki pod białym fartuchem i był pobrudzony od stóp do głów mąką.

María Dolores uśmiechnęła się nieśmiało do Néstora. Nie powinna była zakochać się w panu domu, ale pan też się w niej zakochał, jak sam jej wyznał poprzedniej nocy, kiedy wreszcie mu się oddała.

Néstor szedł przez ogród w ich stronę. Potem usiadł i pocałował córkę w policzek.

– Wszystkiego najlepszego, Marío Dolores.

– Dziękuję. Ale tak jak już panu mówiłam, nie znoszę swojego imienia. Proszę mówić do mnie Lola, proszę pana.

– Jeśli pani przestanie nazywać mnie panem i będzie do mnie mówiła Néstor, obiecuję nazywać panią Lola.

Lola uśmiechnęła się i na jej twarzy pojawiły się słodkie dołeczki. Néstor pogłaskał ją po policzku. Lola, onieśmielona, spuściła wzrok.

– Gdybym mógł, pocałowałbym panią – powiedział cicho, biorąc za rękę swoją młodą kochankę.

– Mam pana córeczkę na kolanach, proszę pana. A jeśli to zrozumie?

Néstor rzucił okiem w stronę domu i upewniwszy się, że żona nie wygląda przez okno, wyjął z torby aparat fotograficzny.

– Musimy coś zrobić, aby uczcić ten dzień. Nie codziennie kończy się siedemnaście lat... Lolu.

Maríi Dolores spodobał się dźwięk imienia Lola w ustach Néstora.

Odszedł na metr od córeczki i od kochanki. Od tych dwóch kobiet tak ważnych w jego życiu.

Ana de Vilallonga odsunęła firankę w oknie sypialni.

Widzieć, słyszeć i milczeć. Słowa matki, jak głucho uderzenie, dotarły do świadomości Any de Vilallonga.

Była kobietą inteligentną. Jej mąż coś czuł do młodej wieśniaczki, która

popołudniami opiekowała się jej córką. Ale ani Ana de Vilallonga, ani Néstor, ani sama Lola nie mogli się spodziewać, że w tym momencie w łonie Loli powstaje nowe życie. Życie, które miało ich na zawsze rozdzielić.

Lola była prostą dziewczyną i nie potrafiła skojarzyć braku okresu z ciążą. Dopiero Catalina, jej najlepsza przyjaciółka, otworzyła jej oczy.

– *Mon pare em matarà.* Ojciec mnie zabije – powiedziała przerażona Lola swojej jedynej przyjaciółce. – *M'has de prometre que guardaràs el secret per sempre.* Musisz mi przyrzec, że na zawsze zachowasz tajemnicę.

– *Així ho faré, Lola.* Tak zrobię, Lolu.

– *Mira'm als ulls, Catalina.* Spójrz mi w oczy, Catalino.

– *Som amigues. Confia amb mi.* Jesteśmy przyjaciółkami. Zaufaj mi.

– *Jura'm-ho.* Przysięgnij.

– *No diré mai res. Mai a la vida. Passi el que passi.* Nigdy nic nie powiem. Nigdy w życiu. Żeby nie wiem co. – *Wzięła ją za rękę.* – *T'ho juro.* Przysięgam.

\* \* \*

Catalina weszła do kościoła. Proboszcz i Marina wciąż siedzieli naprzeciw ołtarza. Podeszła do nich.

– Zostawiam was same – odezwał się proboszcz, wstając.

Catalina usiadła obok Mariny.

– Ale Néstor? Néstor był moim ojcem? – spytała prawie ze strachem Marina, nie odwracając wzroku od ołtarza.

– Tak. Był twoim ojcem.

– A moja siostra Anna? Też jest córką Loli?

– Nie. Twoja siostra nie jest córką Loli. Jest córką Néstora i Any de Vilallonga. Nie bardzo rozumiem, dlaczego Lola postanowiła zostawić młyn i piekarnię wam obu. Wiedziała od twojej babci Nerei, że Anna, odkąd znalazła się w ich domu, ciągle chciała być z tobą, co noc wchodziła do twojego łóżeczka, żeby was nie rozdzielono. Twoja siostra Anna cię uwielbiała. Pomyśl, że Lola, twoja matka, opiekowała się Anną od urodzenia i kiedy wracała w niedziele do Valldemossy, nie przestawała mówić o twojej siostrze. Nosila ją w ramionach od pierwszych godzin jej życia.

Catalina zamilkła.

– Proszę, mów dalej – poprosiła Marina, płacząc jak nigdy dotąd.

– Lola bardzo kochała twoją siostrę, a sama nie miała rodzeństwa. Pewnie myślała, że jeśli zostawi spadek wam obu, to nigdy się nie rozstaniecie.

Catalina ponownie zamilkła i popatrzyła na ołtarz.

– Lola była kobietą bardzo samotną... i nie chciała takiego samego losu dla ciebie.

– Ale co wydarzyło się naprawdę? Co zrobił mój ojciec?

– Na to pytanie nikt ci już nie odpowie. Mogę ci tylko opowiedzieć, co mi wyjawiała twoja matka. Historię miłości twojego ojca i matki znają tylko oni oboje. Twoja matka miała siedemnaście lat, kiedy zaszła w ciążę. Miała mieć dziecko z panem domu. Z mężczyzną żonatym, z dobrej rodziny. Wyobraź sobie skandal, jaki mógł z tego wyniknąć. W czwartym miesiącu ciąży Lola zamieszkała w domu opieki dla samotnych matek prowadzonym przez zakonnice i...

Przerwała na chwilę. Czy rzeczywiście musiała powiedzieć całą prawdę?

– Mów szczerze, Catalino. Dość już kłamstw.

– W tamtych czasach samotna matka, Marino... W tym małym miasteczku. Jej ojciec był bardzo gwałtowny. Gdyby się dowiedział, pasy by z niej darł. Lola chciała oddać cię do adopcji. Zakonnice nawet już znalazły zamożną rodzinę na Majorce; nie mogli mieć dzieci, więc zdecydowali się na adopcję. Opowiadała mi, że kiedy się urodziłaś, w ogóle nie płakałaś. Wzięła cię na ręce, a ty się natychmiast uśmiechnęłaś. Zobaczyła na twoich policzkach dołeczki, takie same jak jej, i już nie była w stanie oddać cię zakonnicom. Nie wiem dokładnie, co się stało, ale to twoja babcia Nerea zdecydowała, że zostaniesz w domu w Son Vida. Żona Néstora, ta, którą nazywałaś matką, rozchorowała się z wściekłości, ale musiała to przełknąć. Kazała przysiąc twojemu ojcu, że już nigdy więcej nie zobaczy Loli. I tak się stało.

– A Lola? Czy nigdy więcej mnie nie zobaczyła?

– Widywała cię – odpowiedziała ze smutkiem Catalina. – Zawsze piętnastego sierpnia.

– W dzień moich urodzin? – spytała Marina prawie szeptem.

– Tak. Ubierała się odświętnie, malowała sobie oczy i siadała pod wiatą na przystanku w Valldemossie, aby móc cię zobaczyć. Siedziała sekundę, dwie... Nie dłużej. Wiedziała, że Néstor was zabierał do portu, aby wziąć *llaüt*. Wiem, że Lola pływała kilka razy w *llaüt* twojego ojca. Oczywiście, nim zaszła w ciążę. No i tam, na przystanku, Lola czekała. Siedziała, aż będziecie przejeżdżać. We troje. Twoja siostra, ty i on. – Catalina powtórzyła: – Dwie sekundy, trzy. Nie dłużej. I wracała do domu ze złamanym sercem.

Do Mariny już nic nie docierało. Tak jakby jej umysł był sparaliżowany i chłonał nieskładnie informacje, których nie udawało mu się połączyć w całość.

– Jest coś, co dobrze pamiętam. Kiedy była w ciąży, odwiedziłam ją w domu opieki. Całe rano rozmawiałyśmy o tym, jakie imię ci nadać, choć wiedziałyśmy, że twoja rodzina adopcyjna da ci inne. Pomyślała, że gdyby mogła dać ci imię, wybrałaby wesołe. Nie takie jak jej własne, które wcale jej się nie podobało. Chciała, abyś miała coś od niej, i chciała nazwać cię swoim pierwszym imieniem: María. Potem pomyślała o twoim ojcu i bawiąc się imionami, do Maríi dodała pierwszą literę imienia twojego ojca i tak wyszło prześliczne imię Marina, kobieta zrodzona z morza.

– Jaka była Lola?

Catalina zastanowiła się, zanim odpowiedziała. Spróbowała znaleźć właściwe słowa. Takie, które określałyby Lolę i które jej córka usłyszałaby po raz pierwszy. Najlepsze, zdolne ukoić ból, który czuła Marina, odkrywszy tę okrutną prawdę. Nie znajdowała właściwego słowa. Żadne nie wydawało jej się trafne.

– Jaka była moja matka, Cati? – dopominała się Marina.

– Twoja matka była...

Wzięła ją za rękę. Marina wreszcie spojrzała przyjaciółce w oczy. Jedyne, co przyszło Catalinie do głowy, to:

– Twoja matka była jak dobry chleb.

\* \* \*

Wytrzymał urwanie chmury jak prawdziwy mężczyzna. Marina wylała w jego ramionach wszystkie łzy. Obejmował ją z całych sił w poczuciu winy. Úrsula odczytała mu przyczyny, dla których Marinie odmówiono świadectwa przydatności, podkreślając z ironią ewentualne szczęście, jakie mógł odczuwać wobec decyzji psychologów z IMAS-u. Mathias, nie przestając obejmować Mariny, zaproponował, że pojedą na rozmowę z urzędniczkami, które podpisały te dokumenty. Musiał istnieć sposób, żeby ten problem rozwiązać. Marina poprosiła, aby zamilkł. W tej chwili usiłowała poradzić sobie z tym, czego dowiedziała się o swoim życiu.

Jakby na ironię, kilka kilometrów od nich, na parkingu przesyconym zapachem spalin, Anna wypłakiwała łzy w ramionach Antonia. „Przerzuty do płuc. Trzy, cztery, pięć miesięcy”, powiedziała jej onkolożka podczas ostatniej wizyty.

Mathias chciał zostać we wrześniu w Valldemossie, ale Marina poprosiła go, aby wrócił do Palestyny. Był to najgorszy okres w jej życiu. Potrzebowała samotności. Obraz Naomi powoli zatrze się w jej myślach. Znajdzie dla Loli miejsce w swoim życiu. Ale w tej chwili najważniejsze było trwać u boku siostry, zmierzającej ku śmierci.

– Kochasz mnie, Marino? – spytał ją na lotnisku, nim przeszedł przez kontrolę paszportową.

– Tak. Jak tylko będę mogła, dojadę do ciebie – odparła ze smutkiem, całując go w usta.

Poszła do wyjścia i wsiadła do taksówki, aby pojechać do domu siostry. Zastała Annę i Anitę siedzące w tym ładnym mieszkaniu z widokiem na morze, w którym jeszcze tak niedawno planowały spędzić życie.

– Chodź. Usiądź z nami – powiedziała Anna z uśmiechem.

Marina usiadła obok siostrzenicy. Zastanawiała się, czy Anita wie, jaką diagnozę postawiono matce. Siedząc między nimi, czuła, jak bardzo są jej w tej chwili bliskie. Nic im jeszcze nie mówiła ani o Naomi, ani o Loli. Tragedia Anny spychała wszystko

na drugi plan.

Anita z laptopem na kolanach tłumaczyła stronę internetową Universität der Künste Berlin, niemieckiego uniwersytetu sztuki i technik audiowizualnych.

– Marzyłabym o tym, mamo.

Anna spojrzała tkliwie na córkę.

– Marzenia się spełniają, jeśli tego naprawdę chcesz, córeczko. Do dzieła. Masz jeszcze kilka lat, nim pójdziesz na uniwersytet. Będziesz musiała przyłożyć się do niemieckiego.

– Poproszę Úrsulę, żeby mi dawała lekcje.

– Poza tym uniwersytet jest w Berlinie. Rodzice Mathiasa tam mieszkają – dodała Marina.

Dalej surfowały po internecie. Na filmikach na YouTubie niemieccy studenci uczyli się w laboratoriach miksowania i realizacji dźwięku, aby kiedyś zostać technikami dźwięku w teatrach, na koncertach, wybiegach, jako didżeje. Do późnych godzin nocnych siedziały wpatrzona w ekran komputera.

– Mamo! Nie powiedziałaś mi, jak wizyta u lekarza, co ci powiedział? – spytała nagle Anita.

– Mają mi zrobić jeszcze kilka badań – odpowiedziała Anna, głaszcząc córkę po policzku.

Marina znów poczuła, jak pęka jej serce.

\* \* \*

Marina obserwowała, jak Antonio zdejmuje kask i idzie w ich stronę. Wydał się jej złamany i zagubiony. Tak jak wtedy, gdy zadzwonił do niej, żeby ją zawiadomić o śmierci Anny. Wypłynęli razem na *llaüt* i Anna umarła w jego ramionach na tej starej łódce, patrząc na zachód słońca.

– Poczekaj, kochanie – powiedziała Marina do Anity, która głaskała urnę z prochami matki, wpatrzona w morze.

Marina wstała i podeszła do Antonia. Objął ją i rozpłakał się, wcale się tego nie wstydząc. Wzięła go za rękę i zaprowadziła do Anity.

Usiedli przy niej.

– Ano, to jest Antonio. Dobry przyjaciel twojej mamy.

Antonio wycierał niezręcznie spływające mu nieustannie łzy.

– Jeśli mama was widzi stamtąd, gdzie teraz jest, wiem, że chce, żebyście wspólnie pozwolili jej odejść.

Anita o nic nie zapytała, wzięła rękę nieznanego i położyła ją na urnie. Odczekali kilka minut, nic do siebie nie mówiąc. Wiatr tramontana wiał łagodnie, morze nadal wyglądało jak ogromna tratwa. To Anita, nie puszczać ręki Antonia, powoli

wysypała prochy matki do morza.

\* \* \*

Marina oparła głowę o szybę autobusu. Poczła jej chłód na czole. Spróbowała uspokoić myśli, koncentrując się na tym, co widziała przez okno. Niemożliwe. Wzięła plecak z siedzenia obok, położyła go sobie na kolanach i wyjęła starą teczkę w kolorze wina, z przetartymi gumkami. Tę, o której wspomniała Catalina i którą Lola przechowywała w swoim nocnym stoliku.

Otworzyła ją i znów obejrzała zdjęcia swojej biologicznej matki. Na niektórych była sama. Na innych ze swoimi rodzicami lub w otoczeniu sąsiadów z Valldemossy. Oglądała je codziennie przez cały tydzień. Im dłużej się im przyglądała, tym bardziej uświadamiała sobie, jak bardzo nieznaną jej matka i ona były do siebie podobne. Między zdjęciami znajdował się dokument z domu opieki w Palmie, poświadczający, że María Dolores Molí Carmona dnia piętnastego sierpnia 1964 roku urodziła dziewczynkę ważącą 3,456 kilograma. Ojciec nieznan, tymczasowe imię Marina.

Kilka dni przed śmiercią Anna wysłała do Mariny list, w którym napisała:

*Cuca znalazła tę teczkę w gabinecie Curra, w papierach Armanda.*

*Marino, zdjęcia, które znajdziesz w środku, sprawią, że twoje życie zadrży w posadach. Jestem pewna.*

*Dostrzegam w nich coś, o czym nawet nie mam odwagi napisać.*

*Wczoraj pomyślałam, że najlepiej byłoby podrzeć je i zapomnieć.*

*Bo może sprawią ci tylko ból.*

*Ale kiedyś powiedziałaś mi, że kłamstwo nie jest dobre.*

*Wiesz? Patrząc na nie, przypomniałam sobie, że tata opowiedział mi kiedyś historię zakazanej miłości jego i Majorkanki o wiele młodszej od niego. Mówił niejasno i niewiele chciał mi wytłumaczyć, ale pamiętam głęboki smutek w jego oczach, kiedy mnie obejmował.*

*Jeśli o mnie chodzi, to wiem już wszystko, co mam wiedzieć o tej kobiecie, którą kochał tata. To ona znów przywróciła cię do mojego życia, za co jestem jej bardzo wdzięczna.*

Anna prosiła w liście, niemal błagała, aby dla dobra Anity spróbowała utrzymywać poprawne stosunki z Armandem. Wiedziała, że to kretyn, ale przecież zawsze będzie ojcem Anity. „Zaopiekuj się nią. Proszę cię, pokieruj nią”. Bolesny paradoks, pomyślała Marina. Zaledwie kilka miesięcy temu odmówiono jej prawa do bycia matką, a oto jej siostra prosi, aby pełniła tę funkcję. Zrobi to. Bez chwili wahania. Jeśli Armando jej pozwoli.

Choć prawdę powiedziawszy, Anita sama potrafiła o siebie zadbać. Była silna i mimo trudnego okresu dojrzewania doskonale wiedziała, czego chce w życiu. Zdała maturę i dostała się na Universität der Künste Berlin. Zerwała z Pippą i minęły lata, nim znalazła miłość innej kobiety. Ale w końcu znalazła. Dwadzieścia lat po śmierci Anny Marina wzięła udział w ceremonii ślubu siostrzenicy w San Francisco. Gdy Anita z łagodnym, wdzięcznym uśmiechem powiedziała „Tak”, Marina spojrzała w niebo i pomyślała, że być może Anna, z tamtego świata, do którego wszyscy wędrujemy, gdy nasze życie dobiegnie końca, doprowadziła do tego, czego najbardziej pragnęła przed śmiercią: ujrzeć wreszcie swoją córkę szczęśliwą.

\* \* \*

Marina wysiadła z autobusu. Zapadał zmierzch. Przez kilka sekund patrzyła na wiatę, a potem usiadła w tym samym miejscu, w którym siadała jej matka piętnastego sierpnia każdego roku, aby ją zobaczyć. Ogarnął ją żal, gdy patrząc na pasażerów przejeżdżających samochodów, uświadomiła sobie, co można dostrzec przez trzy sekundy.

Poszła powoli przez miasteczko do Can Molí. Wyjęła z kieszeni klucz i włożyła do zamka w drzwiach piekarni. Otworzyła. Podeszła Niebla i polizała ją w rękę. Marina pogłaskała sukę i razem z nią weszła po schodach do kuchni. Wzięła szklanekę, otworzyła kran, napełniła szklanekę wodą i wypijała. Oparta o kuchnię, patrzyła na Nieblę. Jedyne, co jej pozostało w Valldemossie, to ta stara suka o zmęczonych i smutnych oczach. I duch kobiety, która dała jej życie. Nabrała powietrza i wypuściła je powoli. Podeszła do komputera i nie siadając, sprawdziła pocztę. Pusta. Poszła na górę do sypialni, rozebrała się i położyła do łóżka. Czekala ją długa noc. Noc żalu po zmarłej siostrze. Noc pełna pytań bez odpowiedzi. Co zrobić z siostrzenicą. Z piekarnią. Ze swoją pracą w krajach Trzeciego Świata. Ze swoim życiem. W jej myślach znów pojawiła się Lola. Marina zmusiła umysł do wyobraźni, aby ujrzeć się w łonie tej nieznannej kobiety. Wyobraziła sobie moment, w którym się rodzi, i pierwsze minuty na jej piersi.

Zasnęła około czwartej nad ranem. O siódmej zadzwonił telefon. Otworzyła oczy zdezorientowana, spojrzała, która godzina, i zbiegła do salonu. O tej porze mógł to być tylko Mathias.

– Tak?

– Cześć... to ja – odezwał się zgaszonym głosem. – Jak było wczoraj?

– Pogrzeb był ładny. Tak jak tego chciała. A ty jak się czujesz?

– Marino, nie czuję się dobrze. Pierwszy raz mnie potrzebujesz, a mnie przy tobie nie ma.

– To ja ci powiedziałam, żebyś nie przyjeżdżał – odpowiedziała.

– Wszystko jedno. Powinienem być wrócić, nie pytając cię o to. Wiem, że ty byś to dla mnie zrobiła. Przepraszam.

– Nie szkodzi.

– Marino, tym razem to ja nie śpię od dwóch nocy, myśląc o naszym związku. I...

Zamilkł na sekundę. Ta sekunda oczekiwania sprawiła, że jej serce zadrżało. Wiedziała, że Mathias jest zmęczony czekaniem na nią. Po raz pierwszy w ciągu tych sześciu lat u jego boku poczuła strach. Gdyby zerwali, jej życie by się rozpadło. Załamałaby się do reszty.

– Marino, mówiłem ci już to wiele razy.

Znów zamilkł. Miała wrażenie, że każde słowo przychodzi mu z trudem.

– Co się dzieje, Mathiasie? – spytała pośpiesznie. – Przecież zaraz będę. Jutro dzwonię do organizacji i wracam do pracy.

– Nigdy nie czułem potrzeby bycia ojcem. Nie wiem dlaczego. Pewnie jestem egoistą.

– Mathiasie, już o tym rozmawialiśmy – przerwała mu.

– Proszę cię, pozwól mi dokończyć. Jeśli chcesz – ponownie zamilkł – możemy razem zaadoptować Naomi.

Serce zabiło jej mocniej, a po policzku spłynęła łza. Gdyby byli razem, uśmiechnęliby się do siebie, bo Mathias też miał łzy w oczach.

– Nadal chcę pracować w terenie. Nie widzę się w szpitalu w Berlinie. Nie chcę codziennie rano iść do pracy w tym samym miejscu. Nie byłbym szczęśliwy. Ale jeśli chcesz, możemy zostać na Majorce, w twoim domu. I jeśli się zgodzisz, niech to będzie nasz dom. Na zawsze. Co trzy miesiące będę do was wracał.

Płakali ze wzruszenia, czując, jak bardzo się kochają.

Pod koniec listopada przyszło z Berlina dziesięć skrzyń. Całe życie Mathiasa. Ubrania, mnóstwo książek medycznych, komiksy, których jego matka nie chciała więcej przechowywać, strój pletwonurka, kolekcja ogromnych buciorów, skrzynka na narzędzia łącznie z wiertarką. Marina oniemiała, patrząc, jak dwóch przewoźników wnosi te dziesięć skrzyń. W jej siedemdziesięciometrowym domu nie było miejsca na tyle rzeczy.

Miesiąc później Mathias przyleciał na Majorkę. Wszedł do domu i wzruszył się, widząc komiksy, których już nigdy w życiu nie miał czytać, na półkach w salonie obok książek medycznych.

Po tygodniu zaczęli razem szkolenie dla rodziców adopcyjnych. Marina niemal się cieszyła, że Mathias nie może zrozumieć połowy tego, co mówiła pani psycholog. Tak naprawdę aż się prosiło, żeby wziąć nogi za pas. Marta, widząc, że nietypowy związek tych dwojga ludzi kochających się na odległość był dziesięć razy solidniejszy niż jej własny, wystawiła im świadectwo przydatności już po dwóch miesiącach.

W ciągu tego czasu Mathias poznał emerytowanego niemieckiego architekta,



przyjaciela Úrsuli, z którym zastanawiali się nad możliwościami przebudowy młyna. Zaprzyjaźnili się. Pewnej nocy Úrsula zaprosiła ich na kolację. Mathias przyniósł swoją skrzynkę z narzędziami i podczas gdy one gotowały, zabrał się do naprawy maszyny do pisania. Wyjął rolki, taśmę, wózek, a ponieważ był uparty, udało mu się ją zreperować.

\* \* \*

Rozpoczęło się długie, jak to w Afryce, oczekiwanie, aby Naomi została uznana za dziecko do adopcji. Sprawy sądowe w Addis Abebie, honoraria etiopskich adwokatów. Po niezliczonych formalnościach i solidnym przepłaceniu wszystko zaczęło się układać i w końcu, pierwszego maja 2014 roku, Naomi przybyła na Majorkę.

Weszli do piekarni. Marina postawiła Naomi na ziemi i mała pobiegła na zaplecze. Mathias i Marina obserwowali ją trochę zaniepokojeni. Był to pierwszy dzień w jej rodzinnym domu. Naomi znalazła worki mąki *xeixa* i włożyła ręce do środka. Pobawiła się mąką i popatrzyła na swoje pobielone dłonie, kontrastujące z jej czarną skórą.

– Indżera? – spytała, oglądając swoje rączki.

– Tak, to do robienia indżery. Tutaj wypiekamy z mąki chleb – odpowiedziała Marina.

– Chleb – powtórzyła Naomi, znów zanurzając rączki w worku z mąką.

– Chleb, tak, chleb – powiedziała z dumą Marina, słysząc pierwsze słowo wymówione przez córkę po hiszpańsku.

Naomi wzięła garść mąki i wybiegła na dwór. Otworzyła rączki i pozwoliła tramontanie wymieść z nich mąkę. Jesienny wiatr rozsiał tysiące drobinek po polach pełnych maków, które rosły dziko, jak co roku.

Naomi wskazała na nie paluszkiem.

– Chcesz tam pójść?

Dziewczynka przytaknęła. Marina pocałowała lekko wystraszonego i milczącego Mathiasa, który czekał na jej polecenia.

– Przygotujesz coś do jedzenia?

– Tak, już idę – odpowiedział, kierując się w stronę domu.

– Mathiasie...

Odwrócił się do niej. Ona uśmiechnęła się, spojrzała mu głęboko w oczy i w swoim macierzystym języku wreszcie wypowiedziała słowa, których nigdy przedtem od niej nie słyszał.

– *Te amo*. Tak mocno cię kocham.

Naomi wzięła Marinę za rękę i pociągnęła ją w stronę pól maków. Tam puściła jej rękę i pobiegła sama, zanurzając się w ten piękny krajobraz. Odtąd krajobraz jej życia.

Biegła przed siebie w podskokach, a potem zawracała i rzucała się w ramiona mamy.

Mathias spojrział przez okno w kuchni na te dwie kobiety, z którymi połączyło go życie. Za dwa tygodnie miał wyjechać, aby objąć stanowisko szefa zespołu lekarzy w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie nastąpił kolejny wybuch epidemii eboli. A na początku grudnia znów miał być z nimi. Otworzył okno, patrząc na tę czarnoskórą dziewczynkę bawiącą się wśród czerwonych maków obok jego żony, i nieoczekiwanie poczuł, że już za nimi tęskni.

Te dwa tygodnie minęły błyskawicznie. Naomi ani razu nie spała w swoim pokoju. Próbowali ją do tego przyzwyczajać przez kilka nocy, ale dostawała takiego ataku hysterii, że zrezygnowali. Tak więc spała co noc między swoimi rodzicami.

W dniu wyjazdu Mathiasa poszli we trójkę na spacer uliczkami Valldemossy. Mathias posadził sobie Naomi na biodrze i objął ramieniem żonę. Szczęśliwa ze swoją rodziną, patrzyła na ten kawałeczek śródziemnomorskiej krainy, który do niej należał.

## CHLEB I MASZYNA DO PISANIA

I to ten, dotąd nieodkryty przez nie składnik, popchnął ją do pisania.

Úrsula przysunęła sosnowy stół do wielkiego okna w salonie. Jej stare, niezdarne ręce nie powstrzymały jej od tego ogromnego wysiłku.

Pogłaskała pogrążony w letargu gramofon męża, śpiący obok maszyny do pisania. Wzięła maszynę i postawiła ją na stole. Przysunęła ergonomiczne krzesło kupione z Gabrielem w sklepie w Palmie i usiadła. Westchnęła. Tak. Było to dobre miejsce na spędzenie kolejnego roku życia. Gdyby wysiliła wzrok, mogłaby dostrzec w oddali, za polami zbóż, plantacjami drzewek oliwnych i migdałowców, skrawek morza.

W zeszłym tygodniu prawie nie wychodziła z domu. Za zimno dla starej artretyczki. Żeby się czymś zająć, zatopiła się w lekturze dawno już przeczytanych, zapomnianych na półkach powieści. Pomyślała, że któż jak nie one mógł być dla niej lepszym towarzystwem. Przesuwała palcami po setkach woluminów, aż dotarła do książek swojej młodości. Do starych wydań jej łacińskich mistrzów czytanych na wygnaniu.

Miała jeszcze jedną niezłatwioną sprawę. W całej swojej karierze literackiej nigdy nie odważyła się pobawić realizmem magicznym, który tyle ją nauczył. Próbowala, ale jej niemieckie geny, tak bardzo poszukujące doskonałości, zawsze ją hamowały. Jednak na tym etapie życia nie miała już się czego bać. Należało im tylko z pokorą zawierzyć.

Czytając powoli, od nowa, ulubione książki, podkreślała i robiła notatki, jednocześnie konstruując swoją powieść. Historia działa się w czterech ścianach małej piekarni na nieznannej wyspie na wodach Morza Śródziemnego. W piekarni piekł się słodki chlebek zawierający magiczny składnik, dzięki któremu wyspiarze doznawali niezwyklej przyjemności. W pierwszych liniijkach powieści zamierzała przedstawić bohaterkę, młodą, piękną dziewczynę o smągłej cerze, mocno zbudowaną, o obfitych piersiach i czarnych, prostych włosach, zawsze splecionych w warkocz. Każdego ranka ta młoda piekarka mieszała bez pośpiechu mąkę, cukier, mleko, skórkę z cytryny i mak;

i wtedy to się działo. Całym ciałem znów czuła przeszłość, wspominając minuty, kiedy tuliła w ramionach swoje nowo narodzone dziecko, które po kilku godzinach porzuciła. Ze świadomością, że będzie dźwigać ciężar tej decyzji przez całe życie. Wtedy zamykała oczy, a jej łzy spływały na ciasto. W całej swej mądrości zbierała je i rozdzielała między mieszkańców swojej małej wyspy, którzy od pierwszego kęsa czuli zawartą w nim miłość.

Úrsulę czekał długi rok, podczas którego miała wymyślić postaci, historie zakazanych miłości i niespodziewane zwroty akcji, pamiętając cały czas o zakończeniu, które było dla niej oczywiste. Zamykała nim całą historię, pozostawiając tę małą piekarnię prześlicznej dziewczynce o zwichrzonych włosach i skórze w kolorze czekolady.

Westchnęła. Nieufnie spojrzała na maszynę do pisania. Piętnaście lat kary, bez zawieszenia. Być może to ona teraz odmówi współpracy. Spróbowała pokonać niepewność i wątpliwości ogarniające ją zawsze w pierwszych dniach. Ale jej się nie udało. Czy będzie potrafiła zapełnić trzysta stron? I czy kogoś zainteresują te kartki, które tak naprawdę nie są niczym więcej niż atramentem na papierze?

Przyjrzała się swoim rękóm. Wykonała te cholerne ćwiczenia, którymi co rano usiłowała je rozruszać.

Najpierw tytuł, jak zawsze. Potem będzie się o niego wyklócać z wydawcami, żeby go zostawili. Delikatnie położyła palce na klawiaturze. I w wieku ponad osiemdziesięciu lat – tak, zaczęła pisać swoją ostatnią powieść: *Cytrynowy chlebek z makiem*.

## PODZIĘKOWANIA

Napisanie tej książki nie byłoby możliwe, gdybym nie miała przy sobie klanu przyjaciółek, z którymi idę przez życie i które są często źródłem natchnienia do tego, co piszę. Chcę więc wyrazić na piśmie głęboką wdzięczność moim przyjaciółkom: Marianie Corominie, Chiarze Arroyo, Anie Manresie, Marii Alejandre, Anie León, Mónice Puga i Tere Enrich. I tym nowym, Mar Saez i Manueli Moreno, a w szczególności Clarze Tarrero, bo bez ciebie, Claro, postać Mariny nie byłaby możliwa.

Pragnę również podziękować wspaniałemu zespołowi kobiet z wydawnictwa Planeta, które towarzyszyły mi i służyły radą przez cały czas. Dziękuję ci, Nurio Valls, za to, że mnie z nimi poznałaś. Dziękuję ci, Raquel M. Barrio, za twoje mądre uwagi.

Chciałabym wyrazić wdzięczność tym wszystkim, którzy od razu pośpieszyli mi z pomocą. Ich wskazówki, choć nasze rozmowy były krótkie, zawsze skutecznie pomagały mi posunąć fabułę do przodu. Po pierwsze, dziękuję Miguelowi Ángelowi, właścicielowi Ca'n Molinas, piekarni w Valldemossie, który był motorem tej historii. Lisi Lluch za kawałeczek regionu León i za tę przyjaciółkę, którą mi przedstawiłaś, a której życzę, aby wkrótce trzymała swojego synka w ramionach. Rosie Esteve za poprawki w języku majorkańskim. Pere Puigowi za „Lorda Blacka”. Avi Lloren za wiedzę z dziedziny ginekologii.

Dziękuję Markowi Mormeneo i Davidowi Bazánowi, moim przyjaciołom z dzieciństwa, którzy pozostali przy mnie do dziś. Javiemu Olidenowi za to, że nadal jest. Paliemu Amilibia za to, że jest przyjacielem wszystkich. I Quique Camínowi za jego niewyczerpaną szczodrość. Románie Loverdosie, straciłam z tobą kontakt, ale piętnaście lat temu udowodniłeś, że byłeś moim przyjacielem, i nie zapomniałam o tym. Dziękuję ci, Thomasie Schneiderze, nie mogłabym pisać o Niemczech, gdybym cię nie poznała.

Mamo, tato, do Was kieruję najgorętsze podziękowania za to, że tak wspaniale opiekowaliście się moimi dziećmi, gdy tylko tego potrzebowałam.

A wreszcie dziękuję tobie, Jaume, za wszystko.

## przypisy końcowe

1. *Lläut* (kat.) – typowa dla Balearów łożka kabinowa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki). ↵
2. Teff – miłka abisyńska – gatunek rośliny zbożowej rosnącej w północno-wschodniej Afryce. ↵
3. Mogogo – ceramiczna patelnia do smażenia naleśników, jej oryginalna wersja pochodzi z Etiopii i Erytrei: to okrągła płyta gliniana obramowana niskimi brzegami do smażenia na ogniu kwaśnych podpłomyków o nazwie indžera. ↵
4. Brudny ryż – tradycyjna potrawa majorkańska. Ryż z mięsem i warzywami podawany w głębokim talerzu, jedzony łyżką. ↵
5. *Pa amb oli con tomàtiga de ramellet* (kat.) – chleb z oliwą i pomidorem, czyli kromki chleba lub bułka, w które wciera się miąższ dojrzałego pomidora, posypuje solą i polewa oliwą, czasem robi się tosty; wtedy można wetrzeć w nie ząbek czosnku. ↵
6. Miguel de Cervantes Saavedra, *Przemysłny szlachcic Don Kichote z Manczy*, przeł. Anna Ludwika Czerny i Zygmunt Czerny, PIW, Warszawa 1986. ↵
7. Herman Melville, *Moby Dick czyli Biały Wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, PIW, Warszawa 1961. ↵
8. *Pardals asoleiats* (kat.) – Wróbel nagrany od słońca. Żartobliwe określenie rozochoczonego mężczyzny lub osoby, która zachowuje się jak szalona. ↵
9. Ostatnie dni z tobą (niem.). ↵
10. 1 000 000 sprzedanych egzemplarzy (niem.). ↵
11. Thuraya: telefon satelitarny używany przez członków organizacji pozarządowych, aby komunikować się w miejscach, gdzie nie ma lub została przerwana konwencjonalna komunikacja telefoniczna. ↵
12. Kobieta wojująca (hiszp.). ↵
13. Dzień uboju świń wypada w Hiszpanii na świętego Marcina, w kontekście tej wypowiedzi oznacza to: Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy lub Przyszła kryśka na matyska. ↵
14. „Obcy” to potoczne określenie dla Hiszpanów, którzy mieszkają na Majorce, ale nie urodzili się na wyspie. Czasem stosuje się je pejoratywnie nawet wobec osób tam urodzonych. ↵
15. Tradycyjne święto, które odbywa się 28 lipca w Valldemossie na cześć świętej Cataliny Tomàs, Katarzyny z Palmy, zakonnicy i pisarki urodzonej na początku XVI wieku w tej miejscowości. Wszyscy mieszkańcy ubrani w tradycyjne stroje śpiewają, tańczą i jeżdżą w ozdobionych kolorowymi wstążkami wozach pełnych dzieci, oddając hołd świętej. ↵
16. Skóra w kolorze miodu (hiszp.). ↵